

Trollope Joanna

Chór

1

Elliott, młodzieniec, który w swoim krótkim życiu doświadczył już wielu przeciwności losu, uchylił drzwi katedralnej kruchty i usłyszał śpiew. Było jeszcze wcześniej, trochę po ósmej rano, więc idąc do katedry słyszał tylko świst wiatru i krzyk kilku mew kołujących nad wieżami. Drzwi kruchty lekko się zatrzasnęły, odcinając dźwięki z zewnątrz, i teraz do uszu Nicholasa dochodził jedynie śpiew, odległy, ale czysty. Śpiewano „Tu es Petrus” Patestriny. Ruszył szybko, na paluszkach, przez nawę ku północnemu transeptowi. W rogu transeptu znajdowały się drzwi, które kiedyś, dawno temu, otwierał każdego rana przez cztery lata. Za drzwiami były kamienne schody prowadzące do sali prób. I właśnie w tej sali teraz śpiewano. Nicholas zobaczył dwudziestu czterech chórzystów, pulpity, kurz, przybory do krykieta rzucone na okap kominka, sterty psalterzy na porysowanych ławach i krzesłach, sztychy przedstawiające dawnych organistów wiszące krzywo na ścianach. W tamtych czasach miejsce Nicholasa w chórze znajdowało się pod wizerunkiem tłustego, łagodnego Williama Goode'a, który grał na organach katedry w Aldminsterze od 1782 do 1801 roku.

Śpiew urwał się.

- Pytam was, co tu robi ten krzyżyk? - rozległ się głos organisty dziesięć metrów nad głową Nicholasa.

Pamięć przyniosła Nicholasowi smak pasty do zębów, byle jak splukanej w porannej panice. Mógł usłyszeć matkę, która idąc z nim ulicą krzyczała, że nigdy by na to nie pozwoliła, gdyby tylko wiedziała...

- Wooldridge, jeżeli tam jest trzy drugie, to co to oznacza? - spytał organista. - No, słucham.

- Trzy półnuty?

- Poszukajcie antyfony Battena*. Będziecie ją śpiewać podczas procesji. Posłuchajcie, jak ma brzmieć ta nuta. A teraz ładne, okrągłe O...

* Adrian Batten, 1585-1637, angielski kompozytor, organista katedry św. Pawła w Londynie (przyp. red.)

Nicholas uznał, że organista chyba, a właściwie na pewno, gra na tym samym starym Steinwayu, z klawiaturą zwróconą w stronę zamglonego kurzem okna i wiekiem pełnym ułożonych w nieporządne stosy nut.

- Słuchajcie - powiedział organista. - Alty podają ton, prawda? Nicholas czuł znajomy zapach kurzu, papieru i chłopięcych ciał. Był chory z zazdrości. Wydawało mu się, że jego dłonie spoczywają na starym egzemplarzu „Magnificat” Byrda¹, oprawnym w cienką, sztywną czerwoną okładkę z sygnaturą katedry na tytułowej stronie i napisem sporządzonym czerwonym tuszem: „Nie wynosić!”

- Nie mamy wiele czasu - odezwał się znów organista. - Tallis². Jeżeli Bóg mnie kocha”. Do słowa „przykazania” na jednym oddechu i będziecie musieli trochę przeciągnąć. Rozumiecie? Hooper, rozumiesz? Dwa takty z pierwszego kanonu...

Pięć minut później organista otoczony tłumkiem krzyczących i popychających się tornistrami i futerałami chłopców zszedł na dół i zobaczył obcego młodego człowieka, który siedział skulony na ławce przy ścianie i zanosił się płaczem.

- Przekazałem go Sandrze - powiedział podczas przerwy Leo Beckford dyrektorowi King's School.

- Kogo przekazałeś Sandrze?

- Młodzieńca, którego dziś rano znalazłem w katedrze. Mówił, że należał do chóru, a w 1976 roku był asystentem chórmistrza.

Sprawdziłem, i tak rzeczywiście jest. Wzruszyłem się... Wydawało mi się, że szuka schronienia. Słuchasz mnie?

- Przepraszam - rzekł Alexander Troy. - Nie uważałem.

- Wiem, że nie jesteśmy za niego odpowiedzialni, ale to dawny uczeń... Dyrektor poprawił zsuwającą się togę na swoich szerokich ramionach.

- Powiedz to Sandrze. Będzie wiedziała, co z nim zrobić. Mam nadzieję, że da mu jeść.

- Powiedziałem. Dała mu jeść. Zjadł śniadanie i był wniebowzięty, że w środy nadal jada się bekon i konserwowane pomidory. Dobrze się czujesz?

- Nie. Nie czuję się dobrze, ale nie chcę teraz o tym rozmawiać, nawet z tobą. Przepraszam.

Dyrektor wyszedł z pokoju nauczycielskiego, a razem z nim ulotniło się poczucie względnego bezpieczeństwa. Leo nienawidził tego pokoju: to nie było jego miejsce, nie należał do grona pedagogicznego i przychodził tu tylko po to, by spotkać się z dyrektorem lub walczyć, tłumaczyć po kolei każdemu nauczycielowi, z takim spokojem, na jaki tylko mógł się zdobyć,

2

◆William Byrd (1543-1623), kompozytor angielski, organista katedry w Lincoln. Tworzył głównie muzykę kościelną (przyp. red.)

²Thomas Tallis, ur. ok. 1505, angielski kompozytor (przyp. tłum.)

że próby chóru muszą mieć pierwszeństwo przed treningami krykieta, wiosłowania czy lekkoatletyki. Skierował się w stronę drzwi, gdy wtem ktoś go zawołał. Był to trener lekkoatletyki, który w zimie, gdy chłopcy nie mogli ćwiczyć na boiskach, prowadził zajęcia w warsztacie stolarskim.

- Panie Beckford. Jeśli chodzi o Wooldridge'a...

- Nie dzisiaj.

- Ale...

- Śpiewamy podczas niesporów „Stabat Mater” Monteverdiego. Są tam trzy partie sopranowe. Wooldridge jest jednym z najlepszych naszych sopranów. Skakać może kiedy indziej.

- Chyba pan wie - trener natychmiast zaczął się denerwować - że wasi muzycy są całkowitym anachronizmem.

- Naprawdę? - Leo obrzucił go obojętnym spojrzeniem i wyszedł z pokoju. Na korytarzu Sandra Miles, sekretarka dyrektora szkoły, przypinała

zawiadomienia do tablicy ogłoszeń, która wisiała w tym samym miejscu od chwili wybudowania gmachu w 1850 roku. Sandra była niska i miła, ubierała się w dziewczęce bluzeczki z wywiniętym na sweter kołnierzykiem. Gęste jasne włosy miała starannie uczesane.

- Rozmawiałem z dyrektorem - powiedział Leo - ale chyba niewiele dziś do niego dociera.

Sandra była dyskretna i zarazem świadoma, co przystoi na jej stanowisku.

- Nie sądzę, by pana Troya można było dziś niepokoić. Leo uśmiechnął się.

- Nie nazywasz go Alexander?

Policzki Sandry pokryły się mocnym rumieńcem. Pod niewinnym sweterkiem jej serce czasami mówiło do dyrektora „kochany”, a po dwóch szklankach piwa nawet „ukochany”.

- Ho-ho - zaśmiał się Leo i zmienił temat, bo nie chciał jej dokuczać. - Co zrobiłaś z naszym azylantem?

- Zaprowadziłam go do pana Farrella. Pomoże mu wytyczać trasy biegowe. Wydał mi się wzruszający. Nie ma gdzie pójść.

Rozległ się dzwonek i natychmiast otoczyła ich wrzawa.

- Pan Godwin go pamięta - zwierzyła się Sandra. W kącie tablicy wpięła zbywające pinezki na kształt równiutkiego kwadratu. - Chował się bez ojca, a jego matka była straszliwie nerwowa. Podczas zebrań rodziców robiła sceny i krzyczała na wszystkich. Chłopak pojechał do ojca do Ameryki, i okazało się, że ojciec powtórnie się ożenił, ma dzieci, i nie chce go przyjąć. Potem dostał się do Oxfordu - pan Godwin mówi, że chyba tylko ze względu na swój głos - ale wyrzucili go po roku, bo nie zdał jakiegoś egzaminu, czy coś takiego. A teraz nie może znaleźć sobie pracy. Powiedział, że nie wie, co chce robić. Naprawdę wzruszające.

- Chyba przez jakiś czas mógłby pomieszkać u mnie - zaproponował niepewnie Leo, myśląc o tym, jaki tam panuje okropny bałagan. Dopóki nie

musiał poddać swojego domu osądowi obcej osoby, ten chaos w ogóle mu nie przeszkadzał.

- Och, niech pan się nie martwi, panie Beckford...

- Leo.

- Leo. Załatwiłam wszystko. Poszłam do intendentki. Przez noc czy dwie Nicholas będzie mógł spać w infirmerii, bo na początku letniego semestru przeważnie jest pusta. Pomoże przy drobnych pracach, a jeden stołownik więcej nie doprowadzi nas do bankructwa. Zresztą bliźniaki Cottrell prawie nic nie jedzą. Pan Farrell prosił, bym panu przypomniała, że potrzebuje Woolldridge'a dziś po południu na treningu biegów przez płotki.

- Pan Farrell może iść do diabła i już mu to dziś powiedziałem. Sandro...

- Tak?

- Sandro, czy pan Troy dobrze się czuje?

Popatrzyła na niego smutnym spojrzeniem niebieskich oczu.

- Nie. Nie wydaje mi się. Ale nie powinniśmy się do tego mieszać. -Odeszła szybko lekkim krokiem po kafelkach ułożonych w białą-brą-zową szachownicę, pozostawiając go w pośpym nastroju przy tablicy ogłoszeń.

Drzwi między schludnym pokojem Sandry a gabinetem dyrektora były otwarte. Sandra widziała róg zabałaganionego biurka swojego szefa i wazon z kwiatami. W każdy poniedziałek z całym oddaniem zmieniała bukiety. Dziś były to różowe peonie z ogródka jej matki.

Dyrektor już dwa razy potracił wazon i wylał wodę na stos czasopism „Przegląd Szkolnych Chórów”, które miały być wysłane do rodziców chórzystów. Teraz telefonował. Sandra słyszała, jak mówi:

- Nie ma żadnego śladu. Po prostu wyjechała. Miałem nadzieję, że jest u was.

Rozmawiał ze szwagrem o swojej żonie, Felicity. Sandra zamknęła drzwi i wróciła do maszyny do pisania. Matka Sandry powiedziała kiedyś, że Felicity Troy ma klasę i to była prawda. Pani Troy miała szlachetne rysy, była wybitnie inteligentna, zdecydowana i praktyczna, ale miała też skłonność do uciekania w świat marzeń i poezji. Pisywała wiersze. Otaczała ją aura wiecznej młodości.

Pewnego letniego ranka Sandra zobaczyła ją spacerującą w rozmarzeniu po przykatedralnych trawnikach, ubraną w jedną z tych jej ulubionych kloszowych spódnic i okrytą szalem. Stopy miała białe, włosy rozpuszczone, i chociaż Sandra wiedziała, że pani Troy ma czterdzieści siedem lat, musiała przyznać, że Felicity wygląda jak młoda dziewczyna.

Chłopcy uwielbiali żonę dyrektora. Sandra, określając ją, użyłaby słowa „mistyczna”. Już dawniej wyjeżdżała, tak jak dziś, gdy czuła się przytłoczona panującą tu atmosferą, ale nigdy tak nagle i bez słowa. Raz pojechała do willi przyjaciół w Shropshire, kiedy indziej spędziła jakiś czas w małym

klasztorze w Suffolk. Sandra postanowiła, że gdy dyrektor zacznie wyglądać tak, jakby mógł już znieść krótką rozmowę na ten temat, przypomni mu o tamtych wyjazdach i może to go pocieszy. Na razie będzie załatwiała jego korespondencję, a zacznie od przysłanego z Granada Television listu producentki, która chciała przyjechać do Aldminsteru, aby nakręcić cykliczną audycję na temat elitarnego szkolnictwa.

Nicholas Elliott wbijał młotkiem dwa pomalowane na biało słupki, by zaznaczyć na bieżni koniec stumetrowego dystansu, gdy nagle podbiegł do niego wielki, dobrze ułożony labrador.

- Mam nadzieję, że psy panu nie przeszkadzają - rozległ się głos dziekana.

Hugh Cavendish był dziekanem już wtedy, gdy Nicholas został asystentem chórmistrza. Od tamtego czasu nie zmienił się: wyprostowany, siwy, zadbany, przypominał posiadacza ziemskiego. Chłopcy, którzy za czasów Nicholasa chodzili do domu dziekana, opowiadali o dwóch strzelbach znajdujących się w gabinecie - prawdziwych Purdey - o wędkach zamocowanych w lecie na dachu samochodu i o regularnych przyjazdach dostawczej furgonetki z tak wspaniałych sklepów jak Berry Brothers i Rudd of St James.

- Siad - rozkazał dziekan.

Pies natychmiast przybrał pozę lwa Landseera³. Dziekan posłał Nicholasowi pełen czaru uśmiech.

- Pan Nicholas Elliott? - zapytał. Twarz Nicholasa rozjaśniła się.

- Pan mnie pamięta?

- Nie. Jeśli mam być szczerzy, to muszę wyznać, że nie pamiętam. Ale właśnie spotkałem Beckforda i powiedział mi o panu. Cieszę się, że pomyślał pan o powrocie do Aldminsteru.

- Nie wiedziałem, gdzie indziej mogę...

Dziekan chwilę grzecznie pómilczał dając do zrozumienia, że przyjmuje to do wiadomości, a potem powiedział:

- I mam nadzieję, że rozmawiał pan z dyrektorem Troyem.

- Chyba dziś rano były jakieś kłopoty - odparł zażenowany Nicholas.

- Nie wydaje mi się - stwierdził dziekan - by w jakiegokolwiek szkole chociaż jeden dzień mógł minąć bez kłopotów. Proszę przyjść do nas. Pamięta pan, gdzie jest dziekanka?

- Oczywiście, proszę pana.

- Proszę przyjść na podwieczorek.

- Dziękuję.

5

³Sir Edwin Landseer (1802-73), brytyjski rzeźbiarz rzeźbiący naturalne postacie zwierząt (przyp. tłum.)

- Do nogi! - rozkazał dziekan psu.
- Jest doskonale ułożony, proszę pana - zauważył Nicholas.
- Tak, jeżeli tylko moje dzieci nie mącą mu w głowie. Wspomnienie awantury z wczorajszego wieczoru napełniło dziekana goryczą. Cosmo, który został wyrzucony z King's School za niesubordynację, a teraz podsycił anarchiczne nastroje w najlepszej szkole miejskiej Aldminsteru, wszedł do bawialni. Gwałtownie wyrwał psa z głębokiej drzemki i zaczął go ciągnąć do drzwi.
- Dokąd zabierasz psa? - spytał ostro dziekan.
- Będziemy razem oglądać „Piknik pod Wiszącą Skałą”. Benedykt czytał książkę i teraz chciałby zobaczyć film.
Pani Cavendish gwałtownym ruchem chwyciła męża za rękę.
- Huffo...
Drzwi za chłopcem i psem zatrzasnęły się z hukiem.
- Nie mogę znieść tego cudaczego antropomorfizowania zwierząt - powiedział z wściekłością dziekan. - Poniżej to zarówno człowieka, jak i zwierzę.
- Huffo, on cię tylko prowokuje.
- Nie mów do mnie Huffo.
- I sprowokował cię.
- Tak. Sprowokował - odparł dziekan i poszedł do małego pokoju na poddaszu, który dzieci pomalowały na czarno i w którym niepodzielnie królowały telewizja i głośna, obrzydliwa muzyka. Wybuchła awantura, którą wygrał Cosmo. Włączył na cały regulator magnetofon, a potem spokojnie położył się na macie, patrząc w sufit i uśmiechając się. Dziekan, schodząc z powrotem do bawialni, usiadł na schodach. Przeżył chwilę takiej rozpacz i obrzydzenia wobec samego siebie, że nawet nie mógł się pomodlić. Labrador uprzejmie okazał mu sympatię, czekając na niego dwa schodki niżej.
Teraz dziekan wyciągnął rękę do Nicholasa Elliotta.
- Około czwartej. Po nieszpiorach. Przyjdź, czekamy na ciebie.
Idąc przez teren gier ku zielonemu wzgórzu, na którym katedra wyglądała jak wielki płynący okręt, dziekan postanowił nie myśleć o Cosmie. Zamiast tego będzie myślał o organach, o tym wielkim przedsięwzięciu renowacyjnym, które dobiegało końca i które wyróżni Aldminster jako jedyne miasto posiadające siedemnastowieczne organy w pierwotnym, nie zmienionym pięknie i chwale. Prace trwały trzy lata. Każdego dnia dziekan szedł do katedry i przyglądał się z zachwytem, jak wiktoriańskie malowidła na piszczalkach i obudowie znikają, a spod nich wyłaniają się mocne kolory z czasów Restauracji, ozdoby, kwiaty, ptaki, dęby i róże, król Dawid grający w natchnieniu na harfie. Dziekan uważał, że jego obowiązkiem jest rozumieć, jak należy przystosować nowoczesne organy do historycznej skrzyni, i cieszyły go wyjaśnienia konserwatorów o tym, jakich metali używa się do jakich piszczalek, a także to, że wynosili pod niebiosą nadzwyczajne wła-

ściwości organów elektromechanicznych. Razem z nimi radował się wyjątkowym pedałem rejestrów - „z 1821 roku”, powiedział żonie w zachwycie pomieszonym ze zgrozą, podczas gdy ona usiłowała dodzwonić się do czyściciela okien - a także akustyką oryginalnego pomieszczenia chóru. Rozpaczał, że przez dwa wieki tak prostackie ręce dokonywały przeróbek. Renowacja organów zbliżyła go do Leona Beckforda, chociaż tak bardzo się różnili, że w normalnych warunkach raczej woleli się unikać.

Dziekan zatrzymał się na skraju dziedzińca i rozejrzał wkoło. Przed nim wznosiła się katedra, na swoim zielonym wzgórzu, wzruszająca i majestatyczna zarazem. Ten widok nigdy nie nużył dziekana. Dla jej zachowania i restauracji gotów był na każde poświęcenie. Żaden dziekan Aldminsteru nie wiedział więcej o swojej katedrze niż Hugh Cavendish, ani nie kochał jej bardziej żarliwie. Dziekan szedł powoli przez tum, a potem pochyłym zboczem ku dostojnej osiemnastowiecznej fasadzie dziekanki.

Zona stała przy telefonie w holu. Dziekan nienawidził tego urządzenia; było tak niecywilizowane.

- Muszę lecieć, moja kochana - mówiła Bridget Cavendish - dziś jest dzień sprzedawcy ryb. Ryby w poniedziałek, sklep we wtorek, w środę klub Evergreen, nigdy chwili spokoju...

O trzeciej Alexander Troy, dyrektor szkoły, zebrał najmłodszych chłopców na lekcję historii starożytnej. Biorąc na siebie te zajęcia mógł poznać każdego ucznia. Zauważył, że chłopcy są bardzo zmęczeni, niemal wyczerpani, a było to raczej dziwne w przypadku dziewięciolatków, którzy w letnie popołudnie grali od lunchu w krykieta. Przerabiali wojnę peloponeską. Uczniowie prawie go nie słuchali. Po chwili Alexander poddał się i zaczął im czytać książkę. Trzech z siedemnastu obecnych chłopców spokojnie zasnęło z głowami na pulpitych. Gdy zadzwonił dzwonek, Alexander miał ochotę powiedzieć: „Przepraszam, że nie byłem dziś zbyt zabawny”, ale nie było takiej potrzeby; chłopcy jeszcze ciągle mieli dziecięcą właściwość naturalnego przyjmowania wszelkiej władzy, dobrej czy złej, i nie będą go osądzać.

Sandra wyszła mu na spotkanie na korytarz.

- Dzwoniła pani Troy.

- Teraz? Czy jeszcze jest przy telefonie?

- Nie. Nie chciała, bym poszła po pana. Powiedziała, że czuje się bardzo dobrze, ale musi być przez jakiś czas sama.

- Sandro, och, Sandro, dlaczego mnie nie zawołałaś?

- Pani Troy nie pozwoliła.

- Czy nie masz na tyle rozsądku, by wiedzieć, kiedy należy okazać nieposłuszeństwo?

Sandra już otworzyła usta, by powiedzieć, że gdyby poszła go szukać, pani Troy przerwałaby połączenie, ale zmilczała. Dyrektor był taki nieszczęśliwy.

- Czy nie mówiła nic więcej?

- Jeszcze to, że chyba nie zostanie w Londynie.
 - A powiedziała, gdzie zatrzymała się w Londynie?
 - Nie... - odparła Sandra z wahaniem.
 - I nie spytałaś?
 - Nie. - Potem dodała nieśmiało: - Pamięta pan, jak wyjechała do Suffolk, a potem do willi w Picklescott? I gdy Daniel pojechał do Ameryki, była jakiś czas w Londynie...
- Akexandra nagle uderzyła niechciana, nieproszona myśl, że ani jego żona, ani jedyny syn chyba nie pragną być z nim na stałe. Odezwał się z wysiłkiem:
- Pan Beckford mówił, że mamy tu dawnego ucznia, który nie wie, co ze sobą zrobić. Chyba powinienem z nim porozmawiać. Dobrze mi zrobi, gdy zobaczę inną ofiarę brutalności życia.
 - Poszedł na herbatę do dziekana, panie dyrektorze. Przed chwilą widziałam, jak przechodził przez dziedziniec.
 - Myślałem, że ta nowinka należy do nas.
 - Dziekan go tylko wypożyczył. Alexander spojrział na nią z wdzięcznością.
 - Bądź tak dobra i przygotuj staremu nieszczęsnemu duchownemu filiżankę herbaty. Jesteś moją ostoją i podporą.
 - I kto to pomalował naszej pannie Miles policzki takimi kolorami? - spytała chwilę później w kuchni pani Monk, widząc zachwyconą twarz Sandry.
- Gdy Nicholas przyszedł do dziekanki, drzwi otworzył mu pan domu. Na kamiennej podłodze holu oświetlonego światłem wpadającym przez wspaniałe weneckie okna umieszczone nad stylowymi schodami stał labrador i wysoki mężczyzna w purpurowej sutannie.
- Za twoich czasów - powiedział Hugh Cavendish - był tu biskup Henry. Teraz mamy biskupa Roberta. Księżę biskupie, to Nicholas Elliott, który dziesięć lat temu był asystentem chórmistrza.
 - Cieszę się, że wróciłeś - przywitał go biskup.
 - Tak - odparł Nicholas i poczuł się słabo.
 - Dziesięć lat temu, gdy tu śpiewałeś, byłem w Kalkucie. Nicholas skinął głową.
 - Co cię tu przywiodło?
 - No więc, ja... ja... nie mam pieniędzy i nie wiedziałem, gdzie...
 - Damy mu herbaty - powiedział dziekan raźnie.
 - Ach.
- Robert Young podszedł do Nicholasasa i wziął go za rękę.
- Przyjdź mnie odwiedzić. Pamiętasz przecież, gdzie jest Pałac Biskupi.
 - Wszyscy są tacy dobrzy dla mnie.
 - Po to tu jesteśmy.

Nicholas nagle powiedział:

- Chciałbym nie musieć tu przyjeżdżać, chciałbym umieć sobie poradzić sam...

- Jeżeli kiedyś będziesz miał co najmniej trzy tygodnie wolnego, powiem ci, z iloma rzeczami nie potrafię sobie poradzić. To chyba nieodłączna część człowieczej doli. A teraz muszę wracać do pałacu, gdzie moja biedna żona też z trudnością sobie radzi.

Gdy drzwi zamknęły się za biskupem, dziekan powiedział:

- Zatrudniliśmy dla niego mężczyznę jako szofera i ogrodnika, lecz prawie nie korzysta z jego usług. Umieściliśmy w pałacu dwie sprzątaczkę, ale odesłał je do Rady Miejskiej; oczywiście są zachwycone, bo dostają czterdzieści pensów za godzinę więcej, a Janet Young robi wszystko sama. Gdyby ogród pałacowy nie był widoczny z tumu, chyba w ogóle nie pozwoliliby pracować w nim Cropperowi. A jeśli chodzi o Izbę Lordów... No, chodźmy na herbatę. Zjemy w kuchni.

Podwieczorek przygotowany na kuchennym stole był nieprawdopodobnie obfity. Nicholas czytał o takich podwieczorkach w starych podręcznikach w szkole podstawowej. Nawet nie był pewny, czy kiedykolwiek widział tacę z taką ilością chleba posmarowanego masłem. Pani Cavendish, wysoka, przystojna kobieta, ubrana w różową bawełnianą sukienkę w drukowany wzorek i z perłami na szyi, przyjęła go bardzo miło i od razu powiedziała, że spędziła dzieciństwo w biskupim pałacu w Walii, na wypadek, gdyby pomyślał, że nie pochodzi z kościelnej arystokracji.

- Całe życie koloratki - spojrzała na niego szelmowsko. - Myśli pan, że mogłabym kiedyś poszukać czegoś innego? Proszę wziąć powideł śliwkowych. Sama je robiłam. Czy to telefon?

- Tak - odparł dziekan - i na pewno do ciebie.

Gdy pani Cavendish wychodziła jednymi drzwiami, otworzyły się inne i wszedł przez nie czarno ubrany chłopiec z nieporządnie uczesanymi czarnymi włosami. Spojrzał na Nicholasa i powiedział „Cześć”.

- Cześć.

- Co zrobiłeś z włosami? - spytał dziekan z hamowaną odrazą w głosie.

- Ufarbowałem. To gotyckie.

- Gotyckie?

- Czarne jest gotyckie. To też - zawiadomił podnosząc nogę i ukazując szpiczaste zamszowe boty ze srebrnymi klamrami. - Teraz jestem Gotem. Widzisz?

Dziekan wyglądał jak sparaliżowany. Cosmo wyciągnął do Nicholasa drobną dłoń umazaną czarną farbą i uśmiechnął się.

- Jestem Cosmo.

- Nicholas.

- Idź do siebie - nakazał dziekan.

- Jezu - jęknął Cosmo - znowu?

Bridget Cavendish wróciła do kuchni mówiąc:

- Dzwonili z Denman College. Chcą, żebym znów wygłosiła odczyt o suszeniu kwiatów. - Zobaczyła Cosma. - Wyglądasz obrzydliwie.
- Wiem - ucieszył się.
- Powiedziałem mu, żeby poszedł do swojego pokoju.
- Mamo, jestem Gotem.
- Nie krzycz, Huffo. Przecież nie może być zamknięty w swoim pokoju, aż zejdzie farba. Nicholas, nic pan nie je. Proszę wziąć ciasta. Prosto z Instytutu Kobiecego. Cosmo, idź się umyć.
- Cosmo ruszył do zlewu.
- W łazience!
- To zabiorę Ganję⁴.
- Chodź - powiedział do psa. - Czas na mycie łap. On jest czarny. Też jest Gotem. - Cosmo zwrócił się do Nicholasa z uśmiechem tak samo pełnym czaru jak uśmiech ojca. - Ojciec nazywa go Benedykt, imieniem świętego, ale ja mówię do niego Ganja, prawda, ojcze?
- Gdy poszedł, Bridget poinformowała Nicholasa:
- Ma czternaście lat. Obawiam się, że jego starsze rodzeństwo wywiera na niego nie najlepszy wpływ. A teraz chcę posłuchać o panu. Jeszcze trochę ciasta?

Gdy Nicholas, objedzony do nieprzytomności, wychodził z dziekanki, słońce ześlizgiwało się po zachodniej ścianie katedry i wypełniało tafle wielkiego okna kolorem miedzi. Czuł się dziwnie zagubiony, choć nic się nie zmieniło, te same architektonicznie interesujące budynki tworzyły krąg wokół tumu, ta sama zielona trawa spływała gładko po zboczach, po których chodzili ci sami turyści czytający te same stare przewodniki. Po południowo-zachodniej stronie nadal widoczna była ta sama przerwa między budynkami i zaczynał się trakt, stary gościniec długości niecałych dwóch kilometrów, prowadzący do portu, obramowany starymi lipami i nowymi kosztami na śmiecie. Z góry widać było pierwsze kosze z przymocowanymi tablicami głoszącymi: „J⁴roszę wrzucać śmiecie TUTAJ!” Co za niespodziewany i niestosowny widok dla duchów średniowiecznych obywateli Aldminsteru wspinających się na wzgórze, by uczestniczyć w nabożeństwach, pomyślał Nicholas. Tylko że średniowieczne śmiecie ulegały biodegradacji.

Przeszedł przez dziedziniec do początku traktu i spojrzał w dół. Rzeka lśniła za dachami domów i budynków fabrycznych, jej powierzchnia, rozjarzona przez zachodzące słońce, odbijała szkielety dźwigów stojących w dokach. Nicholas patrzył z niesmakiem. Widok był doprawdy niezbyt ładny, urody dodawały mu tylko wzgórza. Nicholas nigdy do tej pory nie pomyślał, że to jest brzydkie, ale właśnie taka jest cena dorastania: przestajesz akceptować wszystko i zaczynasz osądzać. A już szczególnie dotyczy to

18

⁴ haszysz (przyp. tłum.)

ludzi. Dlatego właśnie nie myślał zbyt dużo o swoich rodzicach, bo ojciec, bohater dzieciństwa, okazał się gruboskórny i nudny, a matka okazała się histeryczką. Nicholas zaszurał nogami po trawie i zobaczył, że jedna z zelówek jego butów jest tak zniszczona, że aż się rozwarstwia. No i co dalej? Oto jest tutaj, dwudziestotrzyletni, bez pensa przy duszy, kwalifikacji ani ambicji, opchany ciastem upieczonym w Instytucie Kobiecym, a niedługo jeszcze zostanie bez butów. Może tylko zacząć wypływać do góry, albo spadać tam, gdzie już nawet nie będzie żadnego ciasta. Ta myśl poruszyła go do głębi. Odwrócił się od traktu i przybierając beztroską minę współczesnego Huckleberry Finna, zbiegł susami z powrotem do szkoły.

- Zgotowałem ci marne powitanie - powiedział Alexander Troy do Nicholasa.

- Wszystko w porządku, sir.

- Rodzice jednego z uczniów dali mi butelkę whisky. Napiję się. A ty? Nicholas odpowiedział, że z wielką przyjemnością. Znajdowali się

w bawialni domu dyrektora. Ze swoich szkolnych czasów Nicholas pamiętał kanapę i dwa fotele pokryte brunatnym obiciem, i trójkątny stół z lat pięćdziesiątych z nogami zakończonymi żółtymi plastikowymi kulkami. Teraz bawialnią wyglądała jak wycięta z katalogu Laury Ashley: rustykalne, nieco chaotyczne wyobrażenie anglosaskiej idylli. Długie zasłony marszczyły się na wypolerowanych deskach podłogi, a w każdym kącie ustawiono jakiś przedmiot o wyświechtanym wdzięku. Alexander wygonił kota z wiklinowego fotela obitego spłowiałą patchworkową tkaniną.

- Siadaj tutaj. Jest wygodniejszy, niż mogłoby się wydawać. Mieliliśmy dużo szczęścia otrzymując ten dom.

- W przewodniku czytałem, że jest najcenniejszy w całym tumie.

- Chyba tak. Sztukaterie na ścianach klatki schodowej są doskonałe. Musisz to zobaczyć: splatające się monogramy i herby małżeństwa, dla którego dom został zbudowany około 1680 roku. Czy dolać ci wody?

- Proszę.

Alexander podał Nicholasowi szklanekę i usiadł naprzeciwko niego na szerokim krześle, które natychmiast wydało się mniejsze.

- Moja sekretarka mówiła, że przekazywano cię dziś z ręki do ręki, jak puchar przechodni.

- Dziekan zaprosił mnie na podwieczorek. Gdy przyszedłem, był u niego biskup.

- Przemiły człowiek - wtrącił Alexander.

- Nie był ani trochę wyniosły.

- On nawet nie wie, co to słowo znaczy. Sandra mi chyba mówiła, że śpiewałeś w chórze.

- Tak - odparł Nicholas i oczy zaszyły mu łzami. - Tak, byłem...

- Mój drogi...

- Wszyscy są tacy mili - powiedział z rozpaczą Nicholas.

- Tak. I powinni być. Ale to trudne dla ciebie. Okazywanie wdzięczności jest wyczerpujące. Czy nadal śpiewasz?

Nicholas potrząsnął przecząco głową.

- Nie brakuje ci muzyki?

- W ogóle o niej nie myślałem. Ale rano poszedłem do katedry i usłyszałem, jak chór śpiewa coś Palestriny. Pamiętałem każdą nutę, i wtedy tak zatęskniłem, że prawie zemdlałem. - Nicholas przerwał, a potem gwałtownie dodał: - Przepraszam.

Alexander spojrział tęsknie na fortepian.

- Zaśpiewałbyś coś dla mnie? Może Bacha? Chciałbym zagrać...

- Jeżeli pan się nie pogniewa, to wołałbym nie. Nie teraz.

- Myślałem o „Przybądź, Duchu Święty”.

- Najpierw musiałbym wypróbować w łazience - powiedział Nicholas tonem umyślnie lekkim i zobaczył, że twarz dyrektora się chmurzy, a nastrój ulega zmianie. - Pan Beckford mówił, że pan się bardzo interesuje muzyką.

- Studiowałem muzykę w Cambridge. Potem poszedłem do koledżu teologicznego w Walii, no i teraz, po kilku złych początkach, znalazłem się tutaj i tak jest dobrze. Pan Beckford jest wybitnym organistą i o wiele za skromnym człowiekiem.

- Dziś rano pragnąłem znów być członkiem chóru - powiedział Nicholas. - Chciałem tego.

- Bo to bezpieczne?

- Bo gdy człowiek śpiewa, oddaje temu całego siebie, a inni sądzą, że postępuje się słusznie, właśnie z powodu muzyki.

Alexander wstał i dolał whisky do obu szklanek.

- Na tym polega profesjonalizm, prawda? Nikt tego nie kwestionuje. Oczywiście muzyka sakralna wydaje mi się doskonałym ujściem dla energii chłopców: platoniczna, nie fizyczna, nie podniecająca, ale ogromnie satysfakcjonująca, bo jest czymś, co potrafią tak cudownie robić.

Nicholas popił ze swojej szklanki.

- To jest jedyna rzecz, którą kiedykolwiek potrafiłem robić. Alexander przez chwilę zatopił się we własnym smutku i zdecydował, że w tej chwili nie ma sił na zmaganie się ze smutkiem swojego gościa. Powiedział więc:

- Czy sądzisz, że przesadzam mówiąc, iż chór jest duszą katedry? Nicholas poczuł się niezręcznie i odparł, że nie wie. Alexander wstał.

- Nie martw się. Nie będę ci prawil nauk ani pytał, czy w naszych czasach istnieje jeszcze miejsce dla Boga. Ale spytaj chłopców, co myślą o muzyce i katedrze. I o Bogu. Spytaj o to Henry'ego Ashwortha, kandydata na członka chóru. Ma jeden z najbardziej obiecujących głosów, jakie słyszałem w ciągu ostatnich lat, i wybitną osobowość.

Nicholas opuścił" głowę i wymruczał, że według niego ludzie wierzą

w Boga tylko dlatego, że boją się nie wierzyć, i jego zdaniem muzyka pomaga, nie jest pewny, ale chyba stanowi jakąś pociechę... Biedny chłopak, pomyślał Alexander patrząc na niego, biedny, zagubiony chłopak. Wziął Nicholasa pod rękę.

- No, już dosyć na ten temat. I tak intendentka będzie cię nieustannie pouczać. Czy masz coś do czytania?

Nicholas spojrział na niego z rozpaczą.

- Nie czytam wiele...

- Proszę „Prywatny detektyw”.

- Przepraszam - powiedział Nicholas - przepraszam...

- Za co?

- Bo tak się tu kręcę, nie potrafię nic ze sobą zrobić, odmówiłem śpiewania, nie czytam, jestem taki galaretowaty...

Alexander położył mu na chwilę rękę na ramieniu.

- Twoja obecność jest dla mnie pociechą. A jeśli chodzi o ciebie, mam nadzieję, że to tylko przejściowy stan.

- Dziękuję, sir. Dobranoc i dziękuję za whisky.

Gdy Nicholas wyszedł, Alexander podszedł do fortepianu i zagrał chorał Bacha, który chodził mu po głowie od godziny, potem wstał i w wypolerowanym biurku z drewna wiązu, które Felicity kupiła w sklepie ze starzyzną i sama odnowiła, znalazł kartkę papieru, na której napisał:

Najdroższa Felicity!

Trzy rzeczy pozwalają mi żyć: Bóg, muzyka i Ty. Na szczęście dwie pierwsze raczej mnie nie opuszczają, ale gdy Ty się oddalasz, z trudnością żyję dalej.

Zawsze Twój Alexander

Potem podarł papier na drobne kawałeczki, które wrzucił do pustego paleniska, nalał sobie trzecią szklankę whisky, chociaż było to niemądre, i zabrał ją do łóżka.

2

Trening był fantastyczny! - opowiadał matce Henry Ashworth. - Prawie spóźniliśmy się na nieszpory, bo gdzieś nam się zgubił Hooper i mieliśmy tylko dwie minuty na przebranie się, więc poszliśmy w kaloszach. Dopiero po nabożeństwie dziekan spojrzał na nas i powiedział k a l o s ze, z takim oburzeniem w głosie, że sprawa była tego warta.

- Oburzeniem... - powtórzyła Sally Ashworth bezmyślnie, bo czytała list od męża, który przebywał w Arabii Saudyjskiej na dwuletnim kontrakcie. Pracował przy budowie nowego szpitala na przedmieściach Dżiddy. List, tak jak wszystkie w ostatnich czasach, wydawał się Sally nieszczerzy.

- Jestem cały zablocony - kontynuował Henry. - Czy mogę wziąć herbatnika?

Sally popchnęła pudełko przez blat sosnowego stołu. W liście Alana wyczuwała utajoną chęć do chwalenia się swoimi zdobyczami, chociaż nie w sposób bezpośredni, jedynej osobie, która o nich nie powinna wiedzieć?

- Zaśpiewałem dziś wysokie c w „Sanctus” - ciągnął Henry, wygryzając półksiężyc w ciasteczku. - Trening był naprawdę wspaniały, nie czuję nóg. Pomożesz mi w angielskim?

Sally spojrzała na syna z troską.

- Boli cię głowa? - spytał Henry.

- Trochę.

Henry odłożył ciasteczko na stół.

- Czy mam zagrać?

- Tak, och tak, Henry, zagraj.

- Wprawki? Preludium?

- Co chcesz.

Henry zaczął przerzucać nuty leżące na klapie pianina i nagle powiedział szybko, ciągle odwrócony plecami do matki:

- Będę członkiem chóru.

- Henry!

- W przyszłym miesiącu. Urządzą specjalne nabożeństwo, dla mnie i Chilwortha. Zostaniemy przedstawieni dziekanowi. Lepiej wtedy nie mieć kaloszy na nogach...

Sally oparła dłonie na biodrach i rozpromieniona patrzyła na syna.

- Henry, tak się cieszę. Nawet sobie nie wyobrażasz. Wiedziałam, że któregoś dnia to się stanie, ale nie sądziłam, że tak szybko, przecież byłeś kandydatem o połowę krócej niż Chilworth. Urządzą ci jeszcze jeden egzamin?

- Na szczęście nie. Pan Beckford powiedział: „Jeden egzamin wystarczy”. - Henry przyjął odpowiednią pozę. - „Ashworth, zaśpiewaj as. Ashworth, zaśpiewaj as. Ashworth, zapisz ten kanon, zagram go tylko dwa razy. Ashworth, wymień największych kompozytorów muzyki kościelnej z czasów Tudorów. I, Ashworth, co to jest *sforzando*?”

- Pan Beckford tak się nie zachowuje...

- Ale pytał mnie o to wszystko.

- Graj już tego Chopina.

- Chcesz wiedzieć, co mi dziś powiedział? - spytał Henry wymachując nutami.

- Oczywiście.

- Gonilem Wooldridge'a po krążanku - opowiadał Henry sadowiac się na taborecie przy fortepianie - i nadszedł pan Sims, który jest tylko zarządcą w Kapitulie, ale uważa się za ważniejszego niż sam biskup, i nazwał nas chuliganami. Nadszedł pan Beckford i powiedział, że naprawdę jesteśmy chuliganami i jaka to szkoda, że tak zachowuje się człowiek tak poważny jak ja, który będzie niedługo pełnoprawnym członkiem chóru. Wtedy pan Sims powiedział, że na to nie zasługuję, a pan Beckford kazał nam przeprosić, a potem iść przymierzyć komże.

Z panem Beckfordem był jakiś młody człowiek, i gdy usłyszał o komży, powiedział: „Nawet nie wiecie, jakie macie szczęście”, ale Henry wiedział, że ma szczęście. Rozumiał, czym jest jego głos i w ogóle muzyka, chociażby z powodu kontrastu, jaki widział między sobą a Chilworthem, który wolałby w sobotnie popołudnia grać w piłkę zamiast chodzić na próby i który powiedział, że i tak odejdzie z chóru za rok, bo dla niego muzyka wielkanocna jest zbyt żałobna. Teraz Henry obrócił się na taborecie, stworzył nuty z preludiami, a Sally oparła łokcie na stole i przyglądała się z dumą i miłością plecom syna odzianym w szary sweter.

Henry grał dobrze, troszkę za szybko, co było oznaką zmęczenia. Oboje odczuwali zmęczenie w czasie semestru. Codziennie trzeba było chodzić do katedry na próby, w sobotnie popołudnia dodatkowo mieli śpiewane nabożeństwa. Do tego codzienne odrabianie prac domowych. Ale przynajmniej fakt, że musiała poświęcać tyle czasu Henry'emu, pozwalał jej nie myśleć o pustce pozostawionej przez Alana, spowodowanej zresztą nie tyle jego fizyczną nieobecnością, ile celowym odsunięciem się, chęcią oddalenia od siebie obowiązków męża i ojca. Chociaż na pewno na swój sposób kochał

Henry'ego. Kiedyś w katedrze Sally słyszała, jak biskup powiedział, że jest tak wiele sposobów kochania. Ale co robić, gdy twój sposób i sposób twojego męża tak bardzo się różnią, że nawzajem nawet nie rozumiecie, co każde z was nazywa miłością? Wepchnęła list Alana pod talerz z resztkami kanapki z podwieczorku Henry'ego i gorąco zapragnęła męża, który mógłby być jednocześnie przyjacielem.

Henry przestał grać i odwrócił się na taborecie, szeroko ziewając.

- Kąpiel i do łóżka - nakazała Sally.

Oczy Henry'ego spojrzały z widocznym pragnieniem w stronę telewizora.

- Nie - powiedziała Sally.

- Tylko „East Enders”...

- Zwłaszcza nie „East Enders”.

- Proszę...

- Nie.

- Jest za wcześnie. Nie zasnę.

- Łóżko służy też do odpoczynku, nie tylko do spania.

- Przy telewizji doskonale się odpoczywa...

- Henry! - powiedziała Sally ostrzegawczo.

- Czy wiesz - zaczął mówić nagle rozpromieniony - że jeżeli rozłożysz swoje płuca całkiem na płasko, to pokryją kort tenisowy?

- Obrzydliwe.

- Wiedziałem, że tak powiesz. Chilworth twierdzi, że jego mama powiedziałaaby: „Och, to ciekawe”, bo nie pozwala sobie na to, by coś ją zaszokowało.

- Biedny Chilworth musi się czuć rozczarowany.

- Jest nauczycielką.

- Tak?

- Chciała strajkować z innymi ze szkoły w Horsley, ale dziadek ich od tego odwiódł.

Dziadek! Spojrzeli po sobie.

- Henry, musisz mu powiedzieć, że zostałeś przyjęty do chóru. Idź, zadzwoń, szybko!

Frank Ashworth mieszkał na najwyższym piętrze jednej z wiktoriańskich kamienic przy ulicy zwanej Tylną. W tej dzielnicy się urodził. Ulica Frontowa przeobraziła się w część doków i celem życiowym Franka było podniesienie jej statusu. Ulica Tylna biegła równolegle między Frontową a dokami. Wejście do kamienicy znajdowało się dokładnie nad grządkami, na których ojciec Franka hodował pory, ogromne jak krzaki, tak rozrośnięte, że były godne każdej nagrody, prezentujące na tle czarnej gleby swoją niezmierną biel. Frank tylko trzy lata mieszkał z dala od doków. Było to wtedy, gdy matka Alana, żądna podwyższenia swojego statusu społecznego, zmusiła go do przeprowadzki do Horsley, nabierającego znaczenia przedmieścia Aldminsteru, którego zanikające łąki stanowiły w dawnych czasach

pastwisko dla koni rasy angielskiej. Frank nienawidził Horsley. Nienawidził jego izolacji od miasta i gardził jego aspiracjami do pańskości. Po trzech latach matka Alana nawiązała romans z właścicielem stacji obsługi samochodów i odjechała jaguarem do Edgbaston, a Frank wrócił do doków.

Założył przedsiębiorstwo transportowe, które rozwijało się powoli, dając utrzymanie jemu i piętnastu pracownikom. Mógł zapłacić za naukę Alana w Malvern College, chociaż nie rozumiał, czemu syn chce studiować w elitarnej szkole. Jego stosunki z Alanem nigdy nie były serdeczne i Franka smuciło, że nie potrafił przekazać synowi własnych poglądów. Gdy Alan skończył osiemnaście lat i w pierwszym swoim głosowaniu wybrał konserwatystów, Frank odczuł prawdziwy ból, nie tyle z powodu politycznych upodobań syna, ile dlatego, że wiedział, iż Alan nie podjął decyzji samodzielnie, lecz pod wpływem poglądów wyniesionych ze szkoły publicznej. Z okazji pełnoletności matka dała Alanowi złoty sygnet.

- Głupio zrobisz nosząc to - powiedział Frank. - Będą cię wytykać palcami, wcale nie z powodu głosowania, ale dlatego, że nie masz prawdziwych ideałów.

Alan trochę bał się ojca. Mieszkanie pełne było książek, a Alan nie był do nich przyzwyczajony. To, co matka nazywała książkami, w Malvern College nazywano magazynami, a to, co w szkole nazywano książkami, rzadko widziano w domu w Edgbaston. Ale Frank czytał: Szekspira, Marksa, Jamesa Joyce'a, Gibbona. Miłość, którą nie mógł obdarzyć rodziny, zwrócił ku swojemu miastu. Rada Miejska przynajmniej była laburzystowska, a on, socjalista w trzecim pokoleniu, był najpotężniejszym i najbardziej oddanym jej radcą. Walczył o parki i drzewa, miejsca spacerów dla pieszych i o oświetlenie ulic, o szkoły

i lepsze warunki dla kalek i ludzi starych, o to, by miasto było przyjazne dla swoich mieszkańców. Jego obecnym celem było przekształcenie starego wewnętrznego doku na ulicy Frontowej, który już nie nadawał się dla nowoczesnych statków potrzebujących większej głębokości, w przyjemny staw, po którym mogłyby pływać łodzie specjalnie przysposobione dla wózków inwalidzkich, a na wybudowanej specjalnie estradzie grałyby nie orkiestry dęte, ale grupy folkowe i kwartety jazzowe. Gdy tego dokona - rozważał chodząc po swoim obszernym salonie od zachodniego okna wychodzącego na doki do wschodniego, z którego miał widok na strome zbocze katedralnego wzgórza - otworzy dla ludzi z miasta tum, to nienaturalne w dzisiejszym świecie sanktuarium, bo przecież należy do nich.

W połowie zbocza wznosił się miły szereg georgiańskich domów, które najlepsze czasy miały już za sobą. Jeden z nich należał do Alana i jego żony Sally. Po ślubie Alan nie chciał mieszkać w mieście. W odległości piętnastu kilometrów od niego znalazł kilka domków, które zamierzał przekształcić w miasteczko, ale Sally pragnęła pracować, a poza tym w dzieciństwie dość się namieszkała z matką na wsi. W końcu szalę przechylił fakt, że Alan tyle czasu przebywa za granicą. Kupili stary domek na Blakeney Street. Sally podjęła pracę w antykwariacie z książkami, którego właściciel prowadził

również niewielką hurtownię win. Frank i Sally szanowali się nawzajem. On uważał, by nie mieszać się do jej życia i nie wypełniać pustki pozostawionej przez częste nieobecności Alana, ale cieszył się, gdy Sally zwracała się do niego. Czuł, że dobre stosunki z wnukiem przynajmniej częściowo zawdzięcza synowej.

- Ile ci zapłacą za ten zaszczyt? - spytał teraz Henry'ego przez telefon.

- Sześć pensów za nieszpory...

Frank chrząknął. Po chwili milczenia stwierdził: - To koło sześćdziesięciu funtów za pięć lat. Ile godzin tygodniowo?

- Siedem nabożeństw i osiemnaście godzin prób. Tak samo jak teraz, dziadku.

- No i?

- Będę musiał mieć krezę.

- Będziesz wyglądał jak paniczyk, co?

- Mama mówi, że wybierasz się do nas.

- Teraz? Czy jest zmęczona?

- Wykończona - odparł pogodnie Henry.

- Powiedz, żeby poszła do łóżka ze szklaneczką szkockiej. Przyjdę kiedy indziej.

- Mówi, że chce ci coś powiedzieć. Poczekaj. Sally wzięła słuchawkę.

- Nie przyszedłbyś wypić ze mną i uczcić to wydarzenie?

- Jadłaś już?

- Trochę przegryzłam dając Henry'emu podwieczorek.

- Mam w domu steki. Chcesz, żebym je przyniósł?

- Tak. - Sally nagle poczuła się głodna.

- Nie zostanę długo.

- Cieszę się, że się zobaczymy.

Nastąpiła chwila milczenia, a potem Frank powiedział: - Mądry chłopczyk. -I odłożył słuchawkę.

Jego lodówka była wypełniona pożywnym jedzeniem, które wolał od byle czego, a była pełna, bo lubił jeść. Wziął steki, kilka dużych pomidorów, kawałek smakowitego cheddara i papierową torbę wielkich pieczarek, które nie umywały się do prawdziwych pieczarek polnych, ale i tak były o wiele lepsze niż anemiczne małe guziczki kupowane w supermarketach. Znalazł pięć funtów w monetach jako zachętę dla Henry'ego w tym wyjątkowym dniu i zaniósł wszystko do ośmioletniego szarozielonego rovera, jednego z najlepiej znanych w mieście samochodów, pobłażliwie traktowanego przez policję drogową.

Sally nakryła stół w dużym parterowym pokoju, upięła luźno włosy i zmieniła różowy sweter na biały. Nie pocałowała Franka; nigdy się nie całowali. Natomiast Henry, już w piżamie, skakał z radości, rzucił się dziadkowi na szyję i gorąco go ucałował.

- Wyciągnij rękę - nakazał Frank i ułożył kółko z monet na dłoni Henry'ego.

- Hura!
- A może byś podziękował - zawołała Sally z kuchni.
- Skąd masz taki głos? - spytał Frank.
- Właśnie to lubię - powiedziała Sally rozpakowując mięso. - Po prostu coś mieć, nie wiedząc skąd pochodzi.
- Nie dawaj czosnku.
- Pan Godwin cały czas cuchnie czosnkiem - wtrącił Henry. - Na łacinie nie możemy oddychać. Przyjdiesz na moje nabożeństwo?
- Spróbuj mi zabronić.
Henry poczuł się niezręcznie. Dziadek nie wierzył w Boga.
- Nie będzie ci to przeszkadzało?
- Przeszkadzało?
- Że będziesz w katedrze.
- Dlaczego miałyby mi przeszkadzać? Często tam chodzę. To moja katedra. Jest piękna.
- Pan Beckford mówi, że nie należy do najważniejszych angielskich katedr, ale znajduje się prawie na górze drugiej listy.
- Do łóżka - rozkazała Sally.
- Chciałbyś, żebym ci coś zagrał?
- Coś szybkiego, małpiszonie, a potem do łóżka. Henry pobiegł do fortepianu.
- Zagram ci synkopowane „Gloria”. Brzmi jak muzyka chińska. Słuchaj... - Zakończył grę wyśpiewując: - Jing tong jidle i po!
- Ile masz lat? - spytał Frank.
- Prawie jedenaście.
- Co za pajacyk z ciebie! Ktoś ci już to mówił?
- Tylko ty.
- Henry - zawołała ostrzegawczo Sally - do łóżka! Henry pocałował dziadka.
- Dobranoc.
- Dobranoc, mój stary.
- Mamo, dobranoc.
- Przyjdę cię otulić. Nie zapomnij umyć zębów.
Henry wybiegł z pokoju zatrzasnąwszy za sobą drzwi i podśpiewując: „Jing-tong-jing-tong”, a potem, bez żadnej przerwy, zaśpiewał czystym i silnym głosem pierwsze takty «Magnificat». - Jest naprawdę taki dobry? - spytał Frank.
- Nie wiem. Nie mam wykształcenia muzycznego. Ale był kandydatem tylko przez pół roku. Wszystko odbyło się tak szybko... nawet to, że w ogóle umie śpiewać, było nagłym odkryciem. Przyniosła z kuchni i postawiła na stole talerze ze stekami.
- Co za poczęstunek. Przeważnie jadamy z Henrym parówki i jajka. Dla nas samych nie warto kupować i przygotowywać mięsa.
Na stole, między solniczką i pieprzniczką, leżał porzucony list lotniczy.

- Od Alana? - spytał Frank.

- Tak. Przeczytaj, jeśli chcesz.

- Nie zrobiłbym tego.

- Powinam ci chyba wyznać, że układ między Alanem a mną nie ma wiele wspólnego z tym, czym powinno być małżeństwo.

Frank popatrzył na synową. Była przystojna i nie brakowało jej odwagi. Poczul ból w sercu, ale powiedział:

- To do ciebie niepodobne, byś się poddawała.

Sally zaprosiła go do stołu i podsunęła mu półmisek z pieczarkami.

- Nie mówię, że się poddaję. Mówię tylko, że nasz sposób życia, całkiem osobno, nie ma wiele wspólnego z małżeństwem. Przynajmniej dla mnie.

Frank nałożył sobie na talerz.

- Chciałabyś, żeby wrócił do domu?

- Niespecjalnie - odpowiedziała Sally po dłuższej chwili.

- Czy mogę jakoś ci pomóc?

- Dziękuję - Sally uśmiechnęła się - ale nie możesz. Chciałam tylko, byś wiedział, co myślę. To wszystko. Opowiedz mi teraz, o czym plotkuje się w mieście.

Po wyjściu od Sally Frank pojechał wzdłuż traktu do tumu i zaparkował samochód za siedemnastowiecznym budynkiem przytułku, który mieścił obecnie archiwa hrabstwa i kancelarię adwokacką. Chociaż księżyc był niewidoczny, za wielką bryłą katedry niebo jeszcze lśniło. Frank spojrzął z miłością na katedrę. Trochę się obawiał, że na starość idea istnienia jakiegoś boga wyda mu się bardziej oczywista. Nawet teraz fakt, że katedra jest budowlą sakralną, nadawał jej w jego oczach znaczenie i dostojność, których nie miałyby będąc dworem albo otoczonym fosą zamkiem wieńczącym zielone wzgórze. I właśnie owo dostojność trwożyło niektórych w Aldminsterze. Frank wątpił, czy więcej niż kilkuset obywateli miasta regularnie uczęszcza do katedry, i czuł wielkie moralne oburzenie, a zarazem głęboki smutek, że odstraszało ich coś, co zostało zbudowane przez ludzi takich jak oni, dla ludzi takich jak oni.

Na wzgórzu panował całkowity spokój, o wiele większy niż na trakcie o dziesiątej wieczorem, o wiele większy niż w dokach czy w nowo zbudowanym pasażu, o który walczył z lokalną Izbą Handlową. Pragnął, by otwierano tam bary z winem i restauracyjki, w których tętniłoby życie po zamknięciu sklepów. A oto tu jest wzgórze, wielkie zielone płuco w sercu miasta, ofiarowane niebiosom, puste, absolutnie bezludne, bez śladu życia oprócz kilku świateł w oknach i lśnienia kutego metalu bram, piękne na swój sztuczny sposób, harmonijne, surowe, ale martwe. Nie ma tu nawet pijaków ani narkomanów chowających się po kątach, tak jak to robili nocami na cmentarzach przykościelnych w mieście, leżąc na grobach, niektórzy sami

półmartwi. Na tamtych cmentarzach rosną cisy i bluszcz, dostarczając kryjówek, ale gładka powierzchnia tumu nie daje ochrony; spróbuj się tu gdzieś schować, a wielkie, opustoszałe trawniki same wydadzą cię na spojrzenia czegokolwiek, co spogląda ku ziemi zza gwiazd. Może czasami jakiś stary włóczęga wtuli się w skarpe, ale on, w swojej tułaczkiej samotności, nie ma nic do ukrycia, nie musi nikomu zdawać rachunków ze swojego życia. Teraz też był tu jeden włóczęga, Frank widział go, czarny pakunek w kącie utworzonym przez południową kruchtę i ścianę. Podszedłby do niego, . ofiarowałby funta czy dwa, pogadał chwilkę. Ostatni, z którym rozmawiał, stwierdził, że jego zdaniem jest to piękna katedra, ale nie umywa się do tej z Wells.

Wtedy Frank ucieszył się widząc tamtego włóczęgę. Teraz też cieszył się widząc ogieniek papierosa innego włóczęgi i czyjąś sylwetkę rysującą się na tle niewyraźnego światła w odległym krańcu wzgórza. To musiał być dziekan wyprowadzający psa na nocny spacer. Frank potrząsnął głową. Miły człowiek, ten dziekan, ale tak odległy od spraw, którymi żyją normalni ludzie, jakby znajdował się w innym świecie. Żył tymi kamieniami, ułożonymi jeden na drugim, podczas gdy dla Franka ważne były tylko ręce ludzi, którzy je układali. Odwrócił się i ruszył w stronę domu dyrektora szkoły, przyciągnięty, tak jak tyłu innych, zarówno przez niezwykle urok tego człowieka jak i jego charakter. W domu paliły się dwa światła, jedno, przytłumione, na pierwszym piętrze, a drugie, silniejsze, w dwóch wysokich oknach przy drzwiach wejściowych. Zasłony nie były zaciągnięte. Frank zobaczył Alexandra Troya siedzącego w fotelu, z notatnikiem i papierami na kolanach i butelką whisky obok. Przez szybę słyszał wyraźnie muzykę chóralną. Henry powiedziałby mu, że to „Wojenne Requiem” Beniamina Brittena. Troy wydawał się rozpaczliwie samotny. W pierwszej chwili Frank odczuł sympatię, ale potem podniósł wzrok i popatrzył na piękną fasadę ciemnego domu, którego tak niewielka część była używana. „Cholerne marnotrawstwo”, mruknął. Zacisnął pięści w kieszeniach spodni i przyglądał się nieświadomemu tego Alexandrowi. „Cholerne marnotrawstwo”.

Po wyjściu Franka Sally Ashworth trochę sprzątnęła, potem włączyła telewizor i zaraz go wyłączyła, zrobiła listę zakupów na następny dzień, nakarmiła kota, włożyła bieliznę do pralki i wreszcie poszła na górę sprawdzić, czy Henry już śpi. Zobaczyła idealny obrazek uśpionego dziecka: zwinął się jak ślimaczek, spod kołdry wystawały tylko włosy. Obok łóżka na podłodze leżało w nieładzie szare szkolne ubranie, komiks z Asterixem i pognieciona fotokopia „Cargoes” Masefielda, na której swoim dziecięcym pismem Henry zaznaczył: „nauczyć się na wtorek”. Nad łóżkiem Henry przypiął duże zdjęcie chóru zrobione podczas wyjazdu do Worcester, z ogromną czerwoną strzałką prowadzącą od niego do marginesu, gdzie napisał: „Henry Francis Ashworth, 10 lat”. Wisiała tam również fotografia jego

rodziców i co najmniej tuzin zdjęć kota o imieniu Mozart i bardzo swoistym poczuciu humoru.

Sally w pewnym okresie zamierzała zająć się dekoracją wnętrz i zaczęła od urządzenia własnego domu. Jednak ustalony przez nią porządek nie trwał długo, prawdziwe życie szybko sobie z nim poradziło. Okazało się, że wielki bukiet suchych kwiatów w wiklinowym koszu, stanowiący w zamierzeniu Sally centralny punkt holu, stał dokładnie na trasie, którą Henry przefruwał od drzwi wejściowych do kuchni, a także gdzieś w swojej głębinie zawierał jakąś szeleszczącą groźbę dla Mozarta. Sally wywiórkowała i nawoskowała wszystkie drewniane powierzchnie w pokoju Henry'ego, pokryła ściany tapetą w takie same paski jak na obiciach krzeseł, na podłodze położyła maty, kupiła woreczek z fasolą, korkową tablicę i lampę Anglepoise. Po trzech latach męski bałagan wprowadzony przez Henry'ego zniweczył wszystkie wysiłki Sally. Dziś na przykład zauważyła, że Henry wyskubywał matę, bo sterczały z niej rozplecione strzępy, kilka leżało nawet pod drzwiami, lampa została przechylona, na tablicy nie było nic oprócz pinezek ułożonych w napis „Zespół”, a kilka dni temu Henry powiedział, że chciałby mieć brązowe ściany. Ciemnobrązowe.

Sally pochylała się nad łóżkiem i poprawiała kołdrę. Powinien umyć głowę. Jego włosy zawsze aż się prosiły o umycie.

- Dobranoc, dobranoc.

Harry chrząknął. Nagle pomyślała, że jest bardzo daleko od niej, nie tyle oddzielony snem, ile swoim talentem, muzyką, sprawami, które mogła tylko podziwiać i cieszyć się nimi, ale nie podzielać; własnymi sprawami Henry'ego. Budzik z wyświetlaczem cyfrowym ustawiony koło łóżka wskazywał dziesiątą. Pod wpływem impulsu Sally szybko zeszła na dół i chwyciła słuchawkę telefonu.

- Słucham? - odezwał się Leo Beckford.

- Tu Sally Ashworth, matka Henry'ego. Przepraszam, że dzwonię tak późno...

- Jest już późno?

Leo rozejrzał się wokół siebie z roztargnieniem, tak jakby godzina mogła się jakoś przebić przez chaos pokoju. Właśnie pisał artykuł dla magazynu poświęconego muzycznym zespołom szkolnym i, jak zwykle, nie potrafił od razu przestawić się na inne myśli.

- Chciałam tylko spytać o Henry'ego...

- Tak?

- Czy... czy jest naprawdę dobry, czy tylko troszeczkę powyżej przeciętnej? Leo przypomniał sobie nagle Henry'ego śpiewającego „Agnus Dei”.

Jego umysł się oczyścił.

- Powiedziałbym, pani Ashworth, że to wyjątkowy głos.

- Taki dobry?

22

- Taki dobry. Oczywiście przez następne dwa lata będzie dojrzewał. Leo nie mógł sobie przypomnieć matki Henry'ego. Matki chórzystów

istniały dla niego tylko jako osoby zobowiązane do karmienia i opieki nad chłopcami i irytował się, jeżeli nie traktowały tego jako swojego najważniejszego obowiązku. Sally Ashworth powiedziała głosem zduszonym przez emocje:

- Widzi pan, tak bym chciała, by miał w życiu najlepsze szanse, a jeżeli jego głos, nawet tylko w dzieciństwie, jest tak dobry, mógłby pomóc mu uciec od przeciętności, podnieść na wyższy poziom, rozumie pan...

- Czy naprawdę pani myśli, że to najlepsza pora i sposób na tego rodzaju rozmowę? - spytał uprzejmie Leo.

Po chwili milczenia Sally powiedziała pokornie:

- To był impuls. Byłam tak wzruszona słysząc, że Henry zostanie członkiem chóru, i chciałam się poczuć bliżej tego, czym on żyje...

- Jeżeli pani chce, proszę przyjść na próbę - zaproponował Leo wbrew swojej woli.

- Chyba pan nie lubi, gdy matki przychodzą.

- Szczerze mówiąc, nie. Ale wydaje mi się, że pani chce uczestniczyć w muzyce Henry'ego, i jeżeli pani sądzi, że to będzie dobre dla niego, ofiarowuję pani tę możliwość.

- Pan nie...

- Chórzyści to zawodowcy, pani Ashworth.

Po następnej chwili ciszy Sally powiedziała z zamierzoną brawurą:

- Och, panie Beckford, chyba robię z siebie wariatkę. Tak bardzo mnie cieszy pana dobra opinia o Henrym i jestem wdzięczna, że pan mi o tym powiedział. Bardzo dziękuję. Dobranoc.

Rozłączyła się. Po drugiej stronie linii Leo stał trzymając buczącą słuchawkę. Czego naprawdę chciała z tym swoim zabawnym sposobem bycia, jednocześnie bezradnym i dzielnym? Odłożył słuchawkę. Pani Ashworth wzbudziła w nim tę samą niezrozumiałą sympatię co biedny Nicholas Elliott, który ciągle jeszcze wykonywał drobne prace w szkole, podczas gdy wszyscy bezskutecznie zastanawiali się, jak nim pokierować. Leo nawet rozważał, czy nie powinien wziąć Nicholasa do swojego domu. Rozejrzał się po pokoju, po obładowanych książkami i papierami krzesłach i stołach, przepełnionych koszach na śmiecie, skrzynkach i torbach leżących tam, gdzie je rzucił, po kłębowisku kabli idących od lamp, piecyków elektrycznych i adapterów. Wyobraził sobie, jak otwiera Nicholasowi drzwi i mówi:

- Bałagan byłby jeszcze gorszy, gdybym nadal był żonaty. I przynajmniej to było prawdą.

3

Gdy dyrektor szkoły w Horsley - człowiek, którego prawdziwe powołanie pedagogiczne częściowo się wypaliło, bo zbyt często bywał zmuszany do wypijania gorzkiego koktajlu agresji i apatii wychowanków - napisał do Cavendishów z prośbą o spotkanie w sprawie Cosma, Bridget zapowiedziała, że porozmawia z nim bardzo stanowczo. Dziekan w pierwszej chwili pomyślał, że pomówi z Cosmem, któremu to się naprawdę należało.

- Oczywiście, że nie, Huffo. Z panem Millerem. Jeżeli Cosma traktuje się z odpowiednią wrażliwością, tak jak my, nie sprawia wielkich kłopotów. Pan Miller musi nauczyć się tego samego.

Dziekan pochylił głowę nad grzanką z marmoladą.

- Cosmo - powiedział wyważonym tonem człowieka, który już prawie całkowicie wyczerpał rezerwy opanowania - stanowi koszmarny problem, a pogarsza go jeszcze twoja idiotyczna pobłażliwość.

Bridget otworzyła następny list, posłała mężowi uspokajający uśmiech i powiedziała miło:

- Nonsens.

Gdy dziekan poznał Bridget Mainwaring, mieszkała jeszcze w rodzinnym domu. Nie tylko mieszkała, ale i prowadziła gospodarstwo, bo biskup Mainwaring był wdowcem. Wchodząc do pałacu biskupiego, nawet w tych wczesnych latach sześćdziesiątych, wchodziło się do szlacheckiego świata zarozumiałości i komfortu. Przystojna, zaradna córka biskupa, roześmiana i o nieposkromionej energii, wydawała się Hughowi Cavendishowi sercem tego cywilizowanego, wywoskowanego, wypełnionego kwiatami domostwa, kobietą, która instynktownie rozumiała i Boga, i Mamona⁵.

Gdy zalecał się do niej i w końcu ją zdobył - co nie było zbyt trudnym zadaniem, bo miała już trzydzieści dwa lata i chętnie przyjmowała zaloty,

32

choć była wymagająca - odkrył, że zdaniem Bridget Bóg stanowi element Mamona, rodzaj moralnego werniksu przykładanego na dobre rzeczy tego świata. Odkrył również, że niczego w niej nie zmieni, że brakuje jej nie tylko świadomości sytuacji, ale, co gorsza, najmniejszego nawet atomu pokory. Przywożąc ze sobą ciężarówkę pięknych mebli, dywanów i obrazów z pałacu - „bez mnie tato nie będzie potrafił o to odpowiednio dbać” - rzuciła się do dzieła i każdemu kolejnemu domowi, w którym mieszkali w miarę, jak Hugh Cavendish awansował, nadawała nieomylny charakter arystokratycznej dziewiętnastowiecznej siedziby duchownego posiadającego własne środki. Parafiami zarządzała w ten sam sposób, wzbudzając fale furii i podziwu, wypełniała pokoje dziecinne potomkami, których nawet za cenę życia nie potrafiłaby oceniać obiektywnie, bo przecież byli przedłużeniem jej samej. Hugh Cavendish był dobrze karmiony, nosił doskonale uprane i uprasowane ubrania, kroczył między wazonami kwiatów, wdychał woń jaśminów i potpourri¹ i patrzył, jak żona pograża się w coraz większym samozadowoleniu. Czasami zastanawiał się, czy widziała Cosma, dosłownie, czy go zauważała, czy też gdy jej wzrok zatrzymywał się na najmłodszym synu - urodzonym, gdy miała już czterdzieści dwa lata - zamiast rzeczywistości makabrycznych ufarbowanych włosów i czarnych ubrań w swojej wyobraźni widziała tweedową marynarkę i zamszowe, doskonale wyczyszczone buty. Teraz mówiła:

- Pójdę spotkać się z panem Millerem. Nie przejmuj się.
- Sam chciałbym z nim porozmawiać.
- Mój drogi, przecież nie masz ani chwili wolnej.
- Znajdę czas. Mam wiele zrozumienia dla pana Millera.
- Biedny człowiek. Musi zajmować się dziećmi pochodzącymi z tak różnych środowisk...
- Mam wiele zrozumienia dla pana Millera w sprawie Cosma.
- Huffo! Dziekan wstał.
- Taki uczeń jak Cosmo to naprawdę musi być coś okropnego.
- Huffo!
- Nie nazywaj mnie Huffo. Zabiorę Benedykta na spacer. Bridget znów się uśmiechnęła.
- Nie przejmuj się panem Millerem. Zadzwoń do niego, gdy tylko skończę czytać listy.
- Proszę, nie dzwoń. Ja zadzwonię po powrocie ze spaceru. Zawołał psa, który był w kuchni, wziął smycz i laskę i wyszedł z domu przez frontowe drzwi. Nie zdążył jeszcze dojść do furki, a już słyszał głos żony, która z jedyną w swoim rodzaju przyjazną władczością prosiła o natychmiastowe połączenie z dyrektorem szkoły.

•potpourri - kompozycje aromatycznych suszonych kwiatów i liści (przyp. tłum.)

Rodzaj ludzki rozczarował dziekana. Chciał kochać ludzi i wierzył, że nie tylko będzie mógł ich kochać, ale że to będzie łatwe, jednak ku swojemu rozczarowaniu stwierdził, że większości bliźnich po prostu nie można kochać. Przebaczyłby nieszczerłość, nieuczciwość, a nawet okrucieństwo - w końcu świat nie jest miłym miejscem i człowiek musi zrobić wiele, byle tylko przetrwać - ale czuł obrzydzenie wobec głupiej wulgarności, bezwstydnego upodobania do tandety i braku finezji. Będąc w katedrze wyobrażał sobie prawdziwą średniowieczną kongregację, wyprowadzoną z nędznych mieszkań i podziwiająca w zachwycie blask i piękno świętego miejsca; dusze tych ludzi wydawały mu się o wiele szlachetniejsze. Potem spacerował po tumie i napotykał turystów w adidasach, porzucone pudełka po hamburgerach, i pary, które nigdy nie wchodziły do kościoła, pieszczące się na trawie, i czuł furję widząc nie tylko ich oczywistą niechęć do dążenia ku pięknu, ale wprost odwracanie się do niego plecami.

Jakby nie było dosyć tych gorzkich rozczarowań zarówno w małżeństwie jak i w kapłańskiej misji Hugh'a Cavendisha, dzieci też mu się nie udały. Wychowane wśród cennych przedmiotów i pięknych dźwięków, starannie wykształcone, przystojne i ponadprzeciętnie inteligentne, instynktownie łączyły się w agresywną bandę sprzeciwiającą się zasadom ojca. Fergus, najstarszy i najinteligentniejszy, głośno deklamował swój ateizm i pracował jako asystent redaktora satyrycznego magazynu, dla którego jakakolwiek tradycja automatycznie stawała się celem drwin. Mieszkał z piękną aktorką o skórze czarnej jak węgiel, mającą dwoje brązowych dzieci z poprzedniego związku z hinduskim kochankiem.

Następna według wieku, Petra, rzeźbiła w metalu wielkie bestie. Urządziła sobie pracownię w starym magazynie i dzieliła ją z walijskim malarzem starszym niż dziekan. Jego żona regularnie wpadała do magazynu i niszczyła prace Petry. Dziekan martwił się, że Petra tyle pije. Piła ostro, jak mężczyzna, i w takich samych ilościach.

Ianthe - dziekan miał w gabinecie fotografię Ianthe, wówczas czteroletniej, ubranej w bluzkę od Liberty i śmiejącej się do niego z gałęzi jabłoni -otrzymała w spadku po chrzestnej matce pięć tysięcy funtów i zainwestowała je w firmę płytową o nazwie Ikon.

- Czy wiesz, co to jest ikona? - spytał dziekan.

- Oczywiście. Obrazek. I o to chodzi.

- Ale to święty obraz!

Córka tylko wzruszyła ramionami.

Ianthe przynajmniej nie miała dziwnego kochanka, jeśli nie liczyć wątlęgo młodzieńca o imieniu Adam, który podawał jej ogień do papierosa i śmiał się, cokolwiek powiedziała. Ianthe traktowała go bardzo źle, ale mimo to wszędzie za nią chodził. Traktowała go tak źle, bo była zakochana w Leonie Beckfordzie, choć Leo wyraźnie dawał do zrozumienia, że jest dla niego jak zmora. Ianthe była jedynym dzieckiem dziekana, które ciężko

pracowało, a pracowała tak ciężko, bo pragnęła sukcesu Ikona, by udowodnić Leonowi, że jest naprawdę wspaniałą współczesną kobietą.

I jeszcze był Cosmo. Cosmo, który uśmiechał się do ludzi i nigdy nie był wyrzucany za drzwi, i którego serce i dusza dążyły wyłącznie do przeciwstawiania się wszystkiemu, co jest uporządkowane, harmonijne czy twórcze. Potrafił być zarazem ujmujący i serdeczny, od najwcześniejszego dzieciństwa parafianie go uwielbiali. Czasami dziekan odnosił wrażenie, że Cosmo nie jest jego własnym dzieckiem, lecz postacią z książek fantastycz-nonaukowych.

Dziekan czuł, że Cosmo jest niebezpieczny, a pan Miller, jak kapitan walczący o przeżycie załogi podczas nieustannego huraganu, powinien otrzymać wszelką możliwą pomoc. Teraz, gwizdząc na psa, który zajmował się swoimi sprawami z nosem wetkniętym w kosz na śmieci, dziekan czuł, że jego lojalność skłania się bardziej ku panu Millerowi niż ku żonie i synowi. W ostateczności zadzwoni do pana Millera, by spotkać się z nim bez wiedzy żony.

Dziekan ruszył w powrotną drogę do domu, a jego wzrok z ulgą i radością prześliznął się po zachodniej ścianie katedry. Odpowiedź znajdowała się tam. Tam było wszystko, co dobre, słuszne i piękne. Tej budowli dziekan chciałby oddać wszystko, co miał; po latach rozczarowań nie żywił już wątpliwości, że katedra jest prawdziwym domem Boga, jedynym miejscem, w którym Bóg może mieszkać. Frank Ashworth ubrał się wyjątkowo starannie na wizytę u dziekana, nie tyle z szacunku, ile w wycuciu politycznej konieczności. W gabinecie dziekana jego stary, wygodny kardigan nie przydałby mu tyle dostojności co przygnębiający garnitur, który kupili z Sally na wyprzedaży w likwidowanym sklepie z męskimi ubraniami. Frank pamiętał, jak jego ojciec kupił w tym samym sklepie czarny kapelusz na pogrzeb matki. Frank nie cierpiał eleganckich ubrań i przekonał się do tego garnituru tylko dlatego, że pasował na jego masywne ciało, kosztował zaledwie sześćdziesiąt funtów i ponieważ Sally powiedziała, że to najnudniejsze ubranie, jakie kiedykolwiek widziała. Kiedy dziekan otworzył drzwi, ubrany w szary kardigan z koloratką, Frank - nie mając pojęcia, że to kaszmir - uznał, iż rozmowa zapowiada się dobrze.

- Panie Ashworth.

- Dziękuję, że zechciał pan mnie przyjąć.

- Bardzo mi miło. Proszę siadać.

Na biurku dziekana stała czara z różami, przed kominkiem na macie leżał wielki pies, a w świetle słońca lśniła karafka z sherry i szklanki.

- Sherry?

- Nie, dziękuję. Jakoś do mnie nie pasuje.

- Gin i tonik?

- Chętnie napiję się toniku - zgodził się Frank.

Dziekan postawił przed nim szklanę z rżniętego szkła, napełnioną kostkami lodu i musującym płynem.

- Pana zdrowie...

- Panie Cavendish, przyszedłem przedstawić panu pewną propozycję. Hugh spojrział w zamyśleniu na sufit.

- Właśnie myślałem, że ma pan jakieś plany.

- Ludzie z miasta nie korzystają w wystarczającym stopniu z tumu. Wzrok Hugh'a porzucił stiukową różę na suficie i prześliznął się na Franka.

- Panie Ashworth, to ich decyzja. Tumu jest otwarty dla wszystkich, tak samo jak katedra. Ludzie z własnej woli wybierają inne części miasta.

- Bo wiedzą, że nie są mile widziani - odparł spokojnie Frank.

- Nie są mile widziani? Absurd! Frank powoli napił się toniku.

- Czują, że tum jest nie dla nich. Jest zbyt uroczystry. Nie ma tam żadnego miejsca, w którym mogliby czuć się jak u siebie.

- Wszędzie są u siebie - powiedział z wysiłkiem dziekan.

- Powtarzam: nie są mile widziani. Czują się nie na miejscu. Dziekan wstał i podszedł do okna. Benedykt, wyczuwając jego nastrój, zaczął niespokojnie węszyć. Dziekan usiadł ponownie.

- Panie Ashworth, może myślimy o różnych sprawach. Katedra jest sakralną budowlą, w której czci się Boga w ciszy i spokoju. Ludzie nie wyznający chrześcijańskiej wiary są najserdeczniej witani w katedrze, ale z powodów, które podałem, nie chcemy, by biegali, krzyczeli, grali w jakieś gry czy słuchali głośniejszej muzyki. Takiej samej postawy, pełnej szacunku - szacunku zarówno dla Wszechmogącego jak i innych ludzi - oczekujemy w tumie, który ze względu na bliskość katedry nie jest jednak takim samym miejscem jak jakikolwiek park publiczny.

- Właśnie o to chodzi. Dziekan czekał.

- Nie proponuję, by tum upodobił się do parku przy trakcie. Proponuję tylko, by nie odstraszał ludzi. - Frankowi nasunęły się słowa „zadzierać nosa”, ale był wytrawnym negocjatorem, więc ich nie wypowiedział. - Mam propozycję.

- Słucham.

- Dom dyrektora szkoły jest, jak mi się wydaje, własnością dziekana i Kapituły. Panie Cavendish, to wielki dom, jakieś czternaście czy piętnaście pokoi, prawda? Obecnie mieszkają w nim tylko państwo Troy, którzy nie mają dzieci i używają może sześciu pokoi. Chciałbym zaproponować Radzie Miejskiej, by złożyła dziekanowi i Kapitulie ofertę na ten dom, a gdy już zostanie kupiony, urządzilibyśmy tam miejsce spotkań towarzyskich, albo żłobek czy kawiarnię, a może sklep z czasopismami, lub nawet galerię wystawiającą dzieła miejscowych artystów...

Dziekan zwalczył narastającą w nim panikę, którą zaczął odczuwać już podczas rozmowy z żoną.

- To... to coś zupełnie nowego. Myśli pan o czymś w rodzaju klubu?

- Raczej nie. Chciałbym, żeby tum przestał być miejscem dla wybranych.

- Muszę porozmawiać z innymi, ale nie sądzę, by się zgodzili. Dom dyrektora szkoły jest najcenniejszym budynkiem w tumie, a sam dyrektor musi mieć odpowiednią siedzibę, ma obowiązki reprezentacyjne...

Frank wstał.

- Poruszy pan tę sprawę podczas następnego zebrania Kapituły?

- Tak, no cóż, chyba muszę, skoro pan tego żąda, ale naprawdę propozycja nie wydaje mi się korzystna, ani nawet potrzebna.

- Gdyby pan mieszkał w samym mieście, wiedziałby pan, że jest potrzebna.

Dziekan podszedł do Franka i spojrzał mu prosto w twarz.

- A co pan myśli o budynku przytułku? Archiwa na pewno mogłyby być przechowywane gdzie indziej, a Rada już jest właścicielką połowy tego domu.

- Nie byłby tak samo dobry. Nie ma ogrodu. Nie jestem człowiekiem, który zadowala się gorszym rozwiązaniem.

Dziekan odsunął się o krok.

- Przypuszczam - powiedział zimno - że składając tę propozycję kieruje się pan szczerymi intencjami. Chyba nie grozi mi pan przymusowym wykupem? Bo jeżeli tak, to muszę panu powiedzieć, że chroni nas statut gwarantowany przez Henryka VIII.

Frank ruszył do drzwi. Na progu zatrzymał się i spojrzał na dziekana.

- Nie grozę, panie Cavendish. Nie potrzebuję. Po prostu proponuję coś, co mogłoby wyjść na dobre obu stronom.

- Na dobre?

- Wydaje mi się, że dom dyrektora jest wart wcale niemałą sumkę, a wam zawsze brakuje pieniędzy.

- Panie Ashworth, to chyba nie jest sprawa Rady. Frank wzruszył ramionami.

- No cóż - powiedział z pozorną obojętnością, której jego oponenti w Radzie nauczyli się obawiać - to tylko taki pomysł. Niech pan go rozważy.

Gdy Sandra weszła do gabinetu Alexandra Troya, by powiedzieć mu, że telefonuje dziekan i chce porozmawiać o pewnej delikatnej sprawie, Alexander się zirytował.

- Powiedz mu, że jestem na zebraniu, i poproś, żeby się umówił na spotkanie.

Sandrę cechowało irytujące uwielbienie dla prawdy.

- Przecież pan nie jest na zebraniu. Powiedziałam, że jest pan wolny.

- To powiedz, że prowadzę lekcję.

- Ale tak nie jest!

- Co za idiotyczna rozmowa - zachnął się gniewnie Alexander. Sandra poddała się. Nie mogła powiedzieć, że to z jego winy.

- Zobaczę, co da się zrobić.

- Och - jęknął Alexander w rozpacz - porozmawiam z nim.

Sandra wróciła do swojego pokoju. Pani Troy nie było już od dziesięciu dni, raz tylko przysłała pocztówkę z reprodukcją Turnera z galerii Tate. Nabazgrała na niej „Nie martw się”, z zamazanego znaczka nie można było nic się dowiedzieć. Alexander nosił tę pocztówkę ze sobą niczym jakiś talizman i Sandra widziała, jak wpatrywał się bez końca i bez sensu w znaczek. Nie miała mu za złe, że okazywał jej zły humor; przecież przy uczniach nigdy się nie denerwował, a gdzieś musi dać ujście nerwom. Ale jakie to dziwne, a zarazem fascynujące, widzieć, że duchowny jest tak samo podatny na zranienie jak każdy inny mężczyzna w podobnej sytuacji. „To normalni ludzie”, powiedziałyby Sandra przyjaciółkom. „Wewnątrz są tacy sami, tylko nie mogą tego okazywać”. A potem dodały w zaufaniu: „A dla żon to wszystko jest jeszcze trudniejsze”.

Przed podjęciem pracy w King's School Sandra nigdy nie uwierzyłaby, że żony duchownych są takie same jak żony innych ludzi; myślała, że żony duchownych wyposażone są w jakąś moralną wzniosłość, która czyni je niepodatne na odczuwanie urazy, zaniedbania, na zazdrość czy żal do męża. Czyż nie dzieliły z mężami automatycznie i radośnie życia dla Boga i ludzkości? Kiedyś, w rzadkiej chwili intymności, gdy z pralki wylała się woda i razem sprzątały, powiedziała o tym nieśmiało Felicity Troy, a ta odparła:

- Chyba powinnaś raczej widzieć to, co istnieje naprawdę, a nie to, co chciałabyś widzieć. Może wiktoriańskie żony misjonarzy tak czuły, ale teraz...

Sandra zaczęła patrzeć i stała się nałogową obserwatorką małżeństw w tumie. Pośród nich wszystkich chyba tylko biskup i jego żona odpowiadali jej wcześniejszym poglądom, ale Youngowie żyli na uboczu, a kto mógł wiedzieć, jakie walki być może toczą się za tymi wysokimi oknami, które Janet Young tak pracowicie sama myła? Youngowie prowadzili prywatne życie, podczas gdy Cavendishowie wystawiali swoje na widok publiczny. Nie trzeba było wielkiej spostrzegawczości, by widzieć, jak władczą jest pani Cavendish, jak spokojnie wyjeżdża sobie raz na miesiąc do Londynu, elegancko ubrana, pozwalając dzieciom włóczyć się po ulicach i wyglądać jak hipisi, bo uważała je za tak doskonałe, że niczego nie zauważała. Ale pani Bridget ma pieniądze. I na tym polega cała różnica.

Większość żon duchownych parafialnych musiała zadowalać się taką samą skromną sumą pieniędzy, jaką Sandra zarabiała jako sekretarka, a przecież ona mieszkała u matki, miała chłopca na tyle staroświeckiego, że chciał płacić za wszystko, więc właściwie mogła przeznaczać całą pensję na drobne wydatki. Ale żony

duchownych za takie same pieniądze musiały nakarmić, ubrać, ogrzać i wychować dzieci, a parafianie nie lubili, gdy mówiły o swojej biedzie. Sandra wiedziała to z pierwszej ręki, bo w parafii jej matki, w Coombe-brook, ludzie byli niezadowoleni, gdy wikary poprosił o pomoc w zakupie drewna i węgla na zimę. Nic więc dziwnego, że kobiety te przeważnie pracowały zarobkowo, miały mało czasu i energii na zajęcia w parafii i nie mogły dzielić z mężami życia tak, jak kiedyś. Sandra odbyła z matką długą rozmowę na te tematy, ale nie mogły dojść do zgody, bo matka miała bardzo staroświeckie poglądy.

Na przykład była bardzo oburzona na Felicity za jej okresowe akty znikania, jak je nazywała, Sandra jednak już to rozumiała. Przykro jej było widzieć ból Alexandra, ale wiedziała, jak ciężkie było życie Felicity, a mógł to pojąć tylko ktoś, kto patrzył na nią z bliska. Jeżeli człowiek się nie pilnował, Bóg potrafił wejść między małżeństwo, bo w sposób oczywisty niektórym mężczyznom łatwiej jest kochać Kościół niż żonę. Bóg jest bezosobowy. Nie czuje się zaniedbany albo wykorzystywany, nie cierpi na bóle głowy, a świat zawsze pochwała, gdy przyznaje Mu się pierwszeństwo. Świat przyklaskuje, gdy wykonujesz wspaniałą pracę w parafii, a użala się, gdy masz żonę znerwicowaną, zapracowaną czy nie udzielającą ci pomocy. Ale świat nie zauważa, że pod względem emocjonalnym parafia nie kosztuje cię nawet jednej tysięcznej tej ceny, nawet jeżeli bardzo o nią dbasz i zamiast zająć się żoną i rodziną poświęcasz obowiązkom cały swój czas, co w końcu jest jakimś rodzajem ucieczki.

Alexander wyszedł z gabinetu.

- Dziekan przyjdzie o szóstej. Bądź tak dobra i pobiegnij po butelkę sherry fino, dobrze? Mam tylko troszkę whisky z butelki, którą dostałem od pana Cottrella, i... przepraszam, że na ciebie nakrzyczałem.

- Niech pan nie bierze sobie tak do serca wyjazdu pani Troy - powiedziała impulsywnie Sandra. - Bo ona odjechała nie od pana, lecz od Aldminsteru, tumu i katedry. Chyba na jej miejscu zrobiłabym to samo -skończyła, bardzo zarumieniona.

Nastąpiła chwila milczenia, a potem Alexander położył pięćofuntowy banknot na biurku Sandry.

- Dziwne, że tak mówisz. Sam często myślałem, że chętnie uciekłbym na trochę od samego siebie, gdybym mógł. Proszę, tu są pieniądze na sherry. Biegnij, proszę, bo zamkną sklepy.

- Miałem zadziwiającą wizytę dziś rano - powiedział Hugh Cavendish. - Obawiam się, że z zaskoczenia nie zachowałem się zbyt mądrze. Frank Ashworth przyszedł i wygłosił przemowę o tym, jak to obywatele Aldminsteru czują się niepożądani w tumie, a potem powiedział, że chce, aby Rada Miejska kupiła tu posiadłość. Zorganizowano by w niej coś w rodzaju ośrodka towarzyskiego, w którym ludzie mogliby czuć się jak we

własnym domu. Nie owijał niczego w bawełnę. Powiedział, że chodzi mu o ten dom.

- O ten dom?!

Dziekan zdążył już odzyskać panowanie nad sobą po porannym spotkaniu.

- Oczywiście poinformowałem go bardzo wyraźnie, że nie może być o tym mowy.

- Mówił poważnie?

- Raczej tak. Nie sądzę, by Frank Ashworth miał zwyczaj rzucać słowa na wiatr, i dlatego moim obowiązkiem jest zawiadomić pana i Kapitułę. Wydaje mi się, że będzie dążył do celu, więc musimy być uzbrojeni. Zaproponowałem mu, by pomyśleli raczej o gmachu przytułku.

Alexander wstał, podszedł do kominka i oparł się o gzyms.

- Jestem przerażony. Dlaczego wszystko musi być degradowane, dlaczego doskonałość wydaje im się czymś brudnym? Dlaczego wolno ludziom zachowywać się dokładnie tak, jak chcą, a nawet zachęca się ich do tego i wyposaża w odpowiednie narzędzia?

- Myślę - powiedział łagodnie dziekan - że Frank Ashworth jest staroświeckim socjalistą i wierzy w szlachetność ludzkiej natury.

- Nie może pan tak myśleć! Dziekan milczał.

- Pan przyszedł - spytał głośno Alexander - by mi powiedzieć, że na następnym zebraniu Kapituły zamierza zaproponować sprzedaż tego domu?

- Wprost przeciwnie. Przyszedłem uprzedzić pana o planach Franka Ashwortha i przemyśleć wspólnie taktykę, jaką musimy przyjąć, gdy powróci do tematu, a z całą pewnością tak się stanie.

- Czy Rada go popiera?

- Jeżeli jeszcze go nie popiera, na pewno wkrótce to zrobi. Musimy się im przeciwstawić zwartym frontem. Z radością stwierdzam, że kanonicy nie będą stanowić problemu.

- A czy królewskie edykty nie chronią tego domu?

- Myślałem, że tak - odparł ostrożnie dziekan - ale obawiam się, że się myliłem. Za Cromwella dokonano przeglądu własności katedry, ale oczywiście dom został zbudowany później i nie figuruje w tamtych dokumentach.

Alexander znowu usiadł.

- Dziękuję, że pan przyszedł. W końcu jestem dyrektorem szkoły i muszę mieszkać tam, gdzie mi każą.

Dziekan pochylił się do przodu i powiedział z wielką troskliwością:

- Mój drogi kolego, tak bardzo mi przykro...

- Trudności wzmacniają charakter - rzucił szybko Alexander w obawie, że dziekan wypowie imię Felicity. - Wie pan, że to prawda...

- Wiem.

- Przemyślę wszystko. Może przytułek rzeczywiście mógłby...

- Jeżeli ktoś będzie o tym z panem rozmawiać, czy zechce pan powiedzieć, że dziekan i Kapituła rozważają sprawę?

Alexandrowi przyszło do głowy, że celem wizyty dziekana było raczej wyrażenie współczucia z powodu wyjazdu jego żony niż przedyskutowanie propozycji Franka Ashwortha, bo w tej sprawie i tak nie miał żadnej władzy. Powiedział więc serdecznie, próbując okazać wdzięczność:

- Przynajmniej mamy przed sobą uroczystość z okazji odnowienia organów.

- To będzie wielkie wydarzenie - rozpromienił się dziekan. - Bilety zostały wyprzedane już dwa tygodnie temu.

Wstał i położył rękę na ramieniu Alexandra.

- Prawdę mówiąc, nie wiem, po co mielibyśmy sprzedawać ten dom. Więc proszę się nie martwić. Jeżeli Rada ma pieniądze do wyrzucenia, może wybudować centrum rozrywkowe. - Przerwał na chwilę. -1 będę się modlił, żeby pan dostał dobre wiadomości.

Gdy dziekan wyszedł, Alexander nalał sobie jeszcze jedną szklaneczkę sherry, a potem poszedł przez cały parter do lekko przerażającej wiktoriańskiej spiżarni i odstawił butelkę na najwyższą półkę, gdzie mniej go będzie kusila. Potem wrócił do swojego gabinetu na tych kilka minut, pozostałych do wieczornej modlitwy, którą prowadził w szkole raz na tydzień, obowiązkowej dla wszystkich uczniów poniżej czternastego roku życia, a dowolnej dla starszych, choć frekwencja na ogół była zadziwiająco wysoka. Kładł to na karb nie tyle pobożności chłopców, ile ich instynktownego wycucia wyjątkowej i tajemniczej atmosfery wieczornego nabożeństwa, podczas którego widział na ich twarzach wzruszenie. Gdy musiał ukarać jakiegoś ucznia, na ogół wystarczała rozmówka po ostatnim nabożeństwie.

Felicity często mówiła, jak bardzo romantyczni są dla, niej mężczyźni i chłopcy. Wierzą, że ich marzenia mogą się spełnić. Naprawdę wierzą. Mówiła to tak tęsknie, niemal z zazdrością. Alexander wiedział, że żona ma swoje marzenia i że jedynym ujściem dla jej wyobraźni są wiersze, wypracowywane w nieustannym trudzie i bólu. Wiedział również o jej kobiecej praktyczności, realizmie, który musiał czasami wydawać się Felicity wrogiem poetyckiego spojrzenia na świat. A jednak obie te cechy tkwiły w niej, tworzyły jej wymykającą się definicjom, uroczą postać i prowadziły ku rozpacz, odosobnieniu i ucieczce od walki umysłu i duszy. Być może -ostrożnie badał ten pomysł - być może doprowadził ją do załamania nie wierząc w jej marzenia i wizje? Pragnął, by rozmawiała z nim o tych sprawach. Pragnął wiedzieć, czego nie potrafi znieść w ich sposobie życia albo może w nim samym. Była zawsze taka niezależna, a z wiekiem coraz bardziej zatapiała się w sobie. Próbując zrozumieć żonę, Alexander musiał się uciekać do jej wierszy. Felicity nigdy nie stawiała mu zarzutów; zawsze uśmiechała się i była kochająca, ale kochająca w sposób, który do niczego nie zobowiązywał, a czasami była prawie nieobecna duchem. To przerażające, jak bardzo za nią tęskni. A wyobraźmy sobie, że tym razem nie wróci; wyobraźmy sobie jeszcze, że Rada Miejska kupi ten cudowny dom i on będzie musiał przeprowadzić się do pustego mieszkania na najwyższym

piętrze gmachu szkoły, gdzie z obawą będzie wyczekiwał wakacji i bez wątpienia zacznie sięgać po butelkę. Jak to zniesie? Alexander gwałtownie się wyprostował. Tak nie będzie. Zawsze z uczuciem bliskim hysterii mówił, że nienawidzi u innych litowania się nad sobą. Pójdzie teraz na górę i przed udaniem się na wieczorne nabożeństwo porządnie wymyje zęby, bo chłopcy potrafili węszyć jak psy i po szóstej wieczorem z radością rozpoznawali wśród osób z grona pedagogicznego najdelikatniejszy nawet zapach alkoholu. „Gdy tylko zegar wybije szóstą, piją gin w spiżarni” - powiedział kiedyś Leo Beckford, powtarzając zasłyszane słowa któregoś ucznia. Ianthe Cavendish przyjechała na weekend z Londynu. Na stacji złapała taksówkę i kazała się zawieźć na szczyt traktu. W ten sposób idąc do dziekanki będzie mogła okrążyć tum, przejść przez mały szesnastowieczny dziedziniec po północnej stronie, tam gdzie znajdowało się biuro Kapituły i gdzie w dwóch pochylonych drewnianych domkach mieszkali po sąsiedzku organista i jego asystent. Asystent organisty, Martin Chancellor, miał żonę i malutkie dziecko. Na ścianie obok jego frontowych drzwi wisiał koszyk z lobeliami i pelargoniami, kołatka była wypolerowana do połysku, a w specjalnej skrzynce na schodkach stały puste butelki od mleka. Zasłony były zaciągnięte, ale Ianthe nie wątpiła, że Martin i Cherry Chancellor, którzy pracowali na część etatu w szkole miejskiej, po umyciu naczyń, położeniu dziecka spać i przygotowaniu stołu do śniadania na jutro, czytali książki albo oglądali program BBC. Zasłony w domu Leona nie były zaciągnięte i Ianthe się tego spodziewała. Właściwie była tam tylko jedna zasłona, bo drugą Leo pożyczył kiedyś znajomemu do opakowania skrzypiec, i nigdy jej nie odzyskał. W pokoju była lampa u sufitu i cztery lampy stojące. Leo siedział przy pianinie, z papierem nutowym i ołówkiem, miał na sobie zielony podkoszulek z napisem „Klub Narciarski Uniwersytetu w Warwick”, co było dla niego typowe, ponieważ nigdy w życiu nie był w Warwick ani na trasie narciarskiej. Ściany domu wyrastały bezpośrednio z bruku dziedzińca Kapituły, więc Ianthe, kładąc łokcie na parapecie, mogła zajrzeć do pokoju. Gdyby postukała w szybę, na pewno by tego nie usłyszał. Ianthe jeszcze nigdy w życiu nie widziała człowieka, który tak potrafił się koncentrować na tym, co robi. W swoich marzeniach wyobrażała sobie, że cała jego uwaga skupia się na niej; czułaby się wtedy, jakby spalał ją cudowny płomień. Patrzyła na Leona, na jego gęste, potargane włosy i kostki kręgosłupa odznaczające się pod koszulką, gdy pochylał się nad klawiaturą, i na słodkie, wąskie siedzenie na taborecie i jego naprawdę inteligentne dłonie - mogła dobrze widzieć tylko prawą - poruszające się ze znajomością rzeczy po klawiszach. Co za radość tak go potajemnie obserwować. Pomyśli o tym, gdy w niedzielę zobaczy, jak Leo wchodzi do katedry na nabożeństwo dla uczczenia reno-

wacji organów. Będzie miał na sobie komżę i nawet wyszczotkuje włosy, i tylko ona będzie wiedziała o tym rozkosznym prywatnym bałaganie.

Uderzyła w szybę. Nie usłyszał, więc jeszcze raz uderzyła, głośniej, aż w końcu odwrócił się ze złością na taborecie, wstał i poszedł otworzyć okno.

- Idź sobie, Ianthe. Pracuję.

- Skąd wiedziałeś, że to ja?

- Stąd, że dziś jest piątek i widziałem twoją matkę u Sainsbury'ego.

- Mogę wejść?

- Nie.

- Tylko na pięć minut?

- Jutro podczas nabożeństwa dajemy wielki koncert i mam jeszcze tysiąc spraw...

- Zostanę niedługo. Obiecuję. Mam trochę wódki.

- Ty i Petra za dużo pijecie.

Ianthe wstawiła butelkę przez okno do pokoju i już się szykowała do przeskoczenia przez parapet.

- Wejdz przez drzwi - nakazał szorstko Leo.

Ianthe bez tchu wsunęła się do pokoju i potknęła się o stos książek i pudełek.

- Pięć minut - przestrzegł Leo.

- Jak to miło cię zobaczyć - uśmiechnęła się do niego promiennie.

- Jestem w okropnym humorze i nie chcę nikogo widzieć.

Ianthe utorowała sobie drogę do odrażającej kuchni i wróciła z dwiema brudnymi szklankami.

- Zawsze mnie pociesza widok twojego domu. Żadna kobieta nie wytrzymałaby tutaj, ale ten bałagan przynajmniej dowodzi, że z nikim się nie związałaś.

- Kto by mnie chciał? - powiedział nierozsądnie Leo nalewając wódkę.

- Och, ja, ja, ja...

- Ciebie nie liczę.

Ianthe nagle posmutniała i spoważniała.

- Pewnego dnia będę dla ciebie ważna. Leo spojrzał na nią, gdy kontynuowała:

- Myślisz, że jestem ładna?

Nadał na nią patrzył. Po chwili powiedział z namysłem:

- Chyba tak, ale wyglądasz sztucznie i agresywnie. Dlaczego twoje włosy nie układają się tak, jak powinny?

- Lubię tę fryzurę.

- Więc mnie nie pytaj, czy jesteś ładna.

- Muszę to wiedzieć - powiedziała pokornie Ianthe.

Zawsze gdy Ianthe przybierała taką poddańczą postawę, w głowie Leona zaczynały dźwięczeć ostrzegawcze dzwony.

- Jest coś, czemu mogłabyś poświęcić swoją nadzwyczajną energię.

- Tak? Co takiego?

43

- Przyplątał się do nas rozbitek życiowy, były chórzysta, bezrobotny i bezdomny. Porozmawiaj z nim i zorientuj się, czy ktoś może mu pomóc. Powoli zaczyna stawać się problemem, zwłaszcza dla mnie, bo to ja go znalazłem płaczącego w katedrze. Zapoznam was. - Leo spojrzął na zegarek. - Już czas. Wychodź.

- Och...!

Leo wziął butelkę z wódką i włożył ją do kieszeni obszernego bawełnianego żakietu Ianthe.

- Idź.

- Pocałujesz mnie?

- Nie - odparł Leo. - Całowanie staje się bardzo niebezpieczne. Nie mam pojęcia, gdzie przebywałaś.

- Och, Leo...

Wziął ją za ramię i poprowadził do frontowych drzwi.

- Dobranoc, Ianthe. Otworzyła szeroko usta.

- Jeżeli będziesz krzyżeć - ostrzegł ją - obudzisz dziecko Chancello-rów, Cherry przybiegnie w nocnej koszuli i będzie się bardzo, na ciebie gniewać, i potrwa to długo, a ja wprost się wścieknę, bo muszę wracać do pracy. Dobranoc.

Gdy Leo zamknął drzwi, Ianthe usiadła na schodkach i objąwszy kolana kiwała się z bólu i rozkoszy. Napawała się myślą, jakim wspaniałym okropnym draniem jest Leo, i swoją gorącą nadzieją, że nigdy nie opuszczą jej męczarnie powodowane przez miłość do niego.

Aby wyglądać przyzwoicie w katedrze, Nicholas Elliott musiał pożyczyć marynarkę ze szkolnego magazynu starych ubrań. To był pomysł Sandry. Powoli przestawano się nim interesować z tego prostego powodu, że jego problem wydawał się niemożliwy do rozwiązania, a on nadal nie wiedział, co z sobą zrobić. Tak więc odpowiedzialność za niego została zepchnięta na sam dół, do Sandry, która z przerażeniem usłyszała, że Nicholas zamierza iść na nabożeństwo z okazji odnowienia organów w dżinsach i trykotowej koszulce, co chyba stanowiło całą jego garderobę. Pani Cavendish wygrzebała szare płócienne buty, dane jej przez kogoś dla Cosma, ale Cosmo czuł się obrażony na samą myśl, że mógłby je włożyć. W szafie ze starymi ubraniami Sandra znalazła całkiem ładną szewiotową marynarkę, czarne buty i szkolny krawat. Nicholas posłusznie pozwolił, by go ubrała jak lalkę i poczuł się dziwnie dobrze w cudzych ubraniach, mimo że nie były w jego guście. Gdy przyszedł do katedry, odczuwał nawet zadowolenie z krawata, prawdziwego symbolu przynależności.

Sally Ashworth, która wchodząc za nim do katedry myślała, jakie to wzruszające, że dawny uczeń pragnie uczestniczyć w nabożeństwie, poczuła się przytłoczona widokiem, który się przed nią rozpościerał. Znała katedrę doskonale - mogła wskazać zwiedzającym splendor masywnych normańskich kolumn z wczesnoangielskimi łukami clerestorium*, późnogotyckie prezbiterium i krużganki - ale dziś ten wielki święty gmach wypełniony po brzegi ludźmi, ozdobiony świetlistymi piramidami kwiatów, wywierał tak potężne wrażenie, że czuła się jak w zupełnie obcym miejscu, nowym i jednocześnie cudownym. Popołudniowe światło wpadało tak, jak to zaplanowali budowniczowie, przez wysokie południowe okna, każąc wzrokowi podnieść się i prowadząc go po ożebrowaniu dachu do siatki łuków nad prezbiterium. Wydawało jej się, że wszyscy patrzą w górę: ludzie siedzący w równych rzędach w nawie, ci, którzy

* ściana z oknami ponad dachem nawy bocznej (przyp. tłum.)

przysiedli na kamiennych stopniach pod chrzcielnicą, a także stojący wzdłuż grobowców. Członkowie władz, zdobni w orderzy, przybrali miny pełne godności. Leo, na górze, w swoim gołębniku, grał fugę Bacha. Nicholas, przeciskając się przez zatłoczone przejścia ku specjalnemu miejscu pod parapetem chóru, które mu przyznał Alexander, przypomniał sobie, jak w jego czasach organista mówił, zanim zaczął go uczyć nowego utworu Bacha: „Zobaczysz, jakie to wzniosłe”. Leo grał pięknie. Tam na dole, w nawie, rząd za rzędem, na wszystkich twarzach, niezależnie od tego, czy ich właściciele wiedzieli o tym, czy nie, malował się wyraz zachwytu, podniecenia i zarazem spokoju, wywołany atmosferą katedry, muzyką i samą uroczystością. Nicholas zanurkował na swoje miejsce i spojrzał w górę. Nie zdziwiłoby go, gdyby nagle na jednym z tych promieni światła tam, na wysokościach, przysiadł gołąb. Muzyka Bacha zamilkła, całe zgromadzenie niepewnie wróciło na chwilę do życia i zaraz potem, dla ogłoszenia początku nabożeństwa, Leo triumfalnie uderzył w klawisze, intonując toccatę z piątej symfonii Widora*.

Siedząc w połowie nawy, Sally Ashworth - ubrana w nowy kostium z beżowego lnu z wywatowanymi ramionami - zastanawiała się, co Leo gra. Wydawało jej się, że to Bach, ale nie miała programu nabożeństwa, bo wystarczyło ich jedynie dla pierwszych dwustu pięćdziesięciu osób wchodzących do katedry, a ludzie siedzący obok niej chyba też go nie mieli. Henry zaśpiewał króciutkie solo i chociaż oczywiście od pierwszej nuty wiedziała, że to on, bardzo żałowała, że nie znając dobrze utworu nie mogła z góry cieszyć się na usłyszenie jego głosu. Podczas śniadania spytała go, czy ma tremę.

- Teraz troszeczkę, ale nie wtedy, gdy śpiewam. Po prostu nie myślę o tym. - A potem dodał: - Chciałbym, żeby tato tu był.

Te słowa wstrząsnęły Sally. Byli tak zajęci swoim pracowitym życiem, że nie rozmawiali wiele o Alanie, więc Sally często zapomniała o nim, nawet w swoich myślach nie włączała go do ich wspólnoty, ale ciągle czuła coś na kształt winy i, jednocześnie, wyzwania. Henry nie wspominał ojca prawie nigdy, a gdy już to robił, mówił o chwilach, kiedy robili razem coś przyjemnego, a Sally nie pamiętała, by kiedykolwiek wyraził głośno życzenie, by ojciec był razem z nimi.

- Mógłbyś mu o tym napisać - zaproponowała niepewnie.

- To nie to samo.

- Nie. - Spojrzała na syna z uwagą. - Henry, przykro mi, że tak jest.

- To nie twoja wina.

- Ale i tak przykro mi, ze względu na ciebie.

- Ojcowie innych chłopaków — stwierdził Henry bez specjalnego żalu -mieszkają w domu i tylko chodzą do pracy. Czasami odprowadzają chłopaków do szkoły, bawią się z nimi.

♦Charles-Marie Widor (1884-1937), francuski organista i kompozytor (przyp. tłum.)

- Wydaje mi się, że twój tato nie mógł znaleźć tutaj tak dobrej pracy, jak tam. Tak ciekawej, czy dobrze płatnej...
- Ojciec Hoopera jest pilotem i wraca do domu.
- Henry - odezwała się cicho Sally - nic na to nie poradzę.

Nie odpowiedział. Sally poczekała chwilę, a potem Henry spytał, czy może wziąć batonik, i popędził do swojego pokoju, zostawiając ją z poczuciem winy, gdyż wiedziała, że jednak mogłaby jakoś temu zaradzić, gdyby chciała. Teraz, uczestnicząc w nabożeństwie, ciągle jeszcze odczuwała winę. Od dwóch tygodni nie pisała do Alana. Nie wiedział, że Henry zaśpiewa solo i że będzie członkiem chóru.

Przeważnie myśląc o Alanie była zła. Na ogół mogła sobie z tym radzić, ale dziś czuła się bardzo nieszczęśliwa. Próbowała skoncentrować uwagę na tym, co widziała. Przypomniała sobie, jak po lekcji o architekturze katedralnej Henry podśpiewywał: „Perp, perp, perp”, bo tak samo jak jego kolegów z klasy, oczarowały go skróty terminów architektonicznych, mające posmak lekceważenia. Styl perpendykularny. Sally poczuła z przerażeniem, że zaraz zacznie płakać.

Organy wygrywały coś wzniosłego. Tłumnie zgromadzeni wierni z hałasem powstali, i do katedry weszła procesja, poprzedzana przez mężczyzn niosących sztandary i Wielki Krzyż Aldminsteru. Za nimi szli ministranci, chórzyci, asystent organisty, potem Alexander Troy, a dalej tłum duchownych, kanonicy honorowi i rzeczywiści, kościelny, dziekan, który wyglądał tak, jakby był w stanie egzaltacji. Za urzędnikami Kapituły szedł biskup z wyraźnie wypisanym na twarzy wyrazem niepokoju sumienia, bo pod wpływem nalegań dziekana zgodził się na zorganizowanie nabożeństwa z takiego powodu. Po twarzy Sally płynęły łzy. Siedząca koło niej miła kobieta w obcisłej sukience i kardiganie odwróciła się i podała jej idealnie wyprasowaną chusteczkę.

- Mój syn śpiewa w chórze - powiedziała przepraszająco Sally.
- Och! - roztkliwiła się kobieta.

Zaszeptła do męża, który objął sympatycznym spojrzeniem zarówno żonę, jak i Sally. Ciemnowłosa głowa Henry'ego wysunęła się na chwilę nad parapet i zniknęła. Z głośników rozległ się głos dziekana witającego zgromadzenie. Ludzi było tak wielu, że gdy siadali, towarzyszył temu odgłos werbli.

- Składamy Ci dzięki, Panie - mówił Hugh Cavendish, posługując się szczególną dykcją zarezerwowaną na użytek wystąpień w katedrze
- za to, że objawiłeś się mężczyznom i kobietom i że obdarowałeś ich wielkim darem muzyki, dzięki której mogą Cię wysławiać.

Skulony pod chórem Nicholas Elliott poczuł, jak oblewają go fale zarazem radości i rozpacz.

- My, ludzie Kościoła z katedry w Aldminsterze, Tobie Panie poświęcamy te organy, którym dzięki umiejętnościom współczesnych rzemieślników została przywrócona pierwotna chwała - kontynuował dziekan. - Pozwól, Panie, byśmy mogli, za pomocą tego wspaniałego instrumentu, zaświadczać Ci o naszym nieprzemijającym umiłowaniu dla piękna i świętości.

W swojej stali biskup zamyślił się. Piękno świętości, jak się obawiał, znaczyło zupełnie co innego dla Hugh'a Cavendisha, a co innego dla niego samego. Piękno, które widział Hugh Cavendish, cudownie wyrastało przed nim, po południowej stronie chóru: okazałe, błyszczące piszczałki, bez wątpienia danina ludzkiej wiary złożona Bogu, ale mniej ważna danina. Dla biskupa piękno świętości polegało na nieskończonych możliwościach duszy, bezustannie uginającej się, ale nigdy nie złamanej przez zwierzęcy aspekt ludzkiej natury. Biskup potrafił się gniewać, ale nie potrafił nienawidzić. Ogarniała go furia na myśl o Synodzie, który egoistycznie wolał raczej spierać się o opinie każdego z jego członków zamiast z pasterską troską, w zjednoczeniu, nieść pomoc zagubionym owieczkom. Ciągłe podzieleni i niemal dumni z tego! To jest tak samo złe jak wydanie tych wszystkich tysięcy na organy, nawet jeżeli są zabytkowe, podczas gdy świat żyje w ignorancji i niedostatku. Nie może teraz o tym myśleć. Musi myśleć o muzyce. Po drugiej stronie nawy nieomal doskonały chłopięcy głos zaintonował: „Chwał duszo moja Pana, o chwał duszo moja Pana”.

Henry! - pomyślała Sally. Naokoło niej ludzie przyjęli postawę uważnego wsłuchiwanie się. Henry zamilkł i melodię podjął alt, potem drugi. Nicholas Elliott ukrył twarz w dłoniach. On też kiedyś śpiewał sopranem. Ale ten chłopiec był o wiele lepszy, jego głos brzmiał nadzwyczaj czysto. Nicholas czuł wzruszenie, zazdrość i tęsknotę. Podjął decyzję. Po nabożeństwie pójdzie do domu Kapituły, gdzie duchowni i chórzyści zbiorą się na herbatę, znajdzie tego chłopca i powie mu, że jest doskonały.

- Co za sukces - pogratulował Alexander Leonowi, gdy już byli w siedzibie Kapituły.

Leo popatrzył na niego przebiegle.

- Zabawne, przy całej tej kościelnej muzyce atmosfera była raczej świecka.

- Nonsens.

- Czułem się bardziej na koncercie niż na nabożeństwie.

- Śpiewali cudownie, ale zebrani nie mogli klaskać.

- Właśnie to mam na myśli.

Podszedł do nich chłopiec z wyładowaną tacą.

- Kanapkę, sir?

Leo przyjrzał się zawartości tacy.

- Z czym są?

- Chyba z szynką, w każdym razie coś różowego - odpowiedział Hooper.

- Doskonale się sprawiłeś - pochwalił go Alexander.

- Dziękuję, sir - odparł zadowolony z siebie Hooper.

- Wolałbym kanapkę z ogórkiem - stwierdził Leo - i, Hooper, wolałbym, żebyś kończył nuty tak samo czysto, jak zaczynasz.

- Przepraszam, sir. Pójdę po Ashwortha. On roznosi kanapki z ogórkiem.
- Dlaczego potraktowałeś go tak ostro? - spytał Alexander, gdy chłopiec się oddalił.
- Jestem straszliwie wymagający, a oni to doskonale rozumieją. Hooper wie tak samo jak ja, że czasami coś mu nie wychodzi.
- Henry Ashworth pojawił się z ogromną tacą, a za nim szła przystojna kobieta w beżowym kostiumie, z włosami opadającymi na ramiona, i Nicholas Elliott.
- Sir!
- Ogórki i delegacja...
- Pani Ashworth - powiedział szybko Alexander uśmiechając się. - Myślę, że odczuwa pani uzasadnioną dumę.
- Och, tak.
- Jest wspaniały - powiedział Nicholas do Leona - naprawdę wspaniały. Aż mnie zabolowało...
- Słyszysz? - spytał Leo Henry'ego. Alexander położył rękę na ramieniu chłopca.
- Ashworth, idź nakarmić kanoników. Zawsze są głodni, szczególnie ci honorowi. Stary kanonik Savile, który umarł w zeszłym roku, przyjeżdżał na spotkania Kapituły konno i natychmiast wołał o kanapki, taki był zgłodniały po jeździe. Jeśli państwo pozwolą, muszę jeszcze porozmawiać z innymi gośćmi. - Z tymi słowami Alexander oddalił się.
- Jestem panu winna przeprosiny - powiedziała Sally zwracając się do Leona z tą samą szczerością, którą widział w jej synu. - Zachowałam się głupio, dzwoniąc do pana tamtego wieczoru. Gdybym miała dość cierpliwości i poczekała do dziś, uzyskałabym odpowiedź na moje pytania. - Spojrzała na Nicholasa i wyjaśniła mu uśmiechając się z zakłopotaniem: - Zadzwoiłam do pana Beckforda późnym wieczorem, by spytać, czy sądzi, że głos Henry'ego jest tylko po prostu dobry, czy też naprawdę dobry.
- Nicholas, ciągle jeszcze przepełniony gorącym pragnieniem okazania szlachetności, oddał jej uśmiech i powiedział:
- Jest naprawdę wspaniały.
- To miły chłopiec - dodał Leo. - Bardzo prostolinijny. Nie mam z nim żadnych problemów.
- W domu też nie sprawia kłopotów. Oczywiście jeszcze nie jest...
- Cześć! - rozległ się głos Ianthe Cavendish. Ubrana była w czarny bawełniany żakiet i długą wąską spódniczkę z dzianiny w paski. W jednym uchu miała wielki kolczyk ze srebrnego drutu z czarnymi paciorkami.
- Leo spojrzał na nią z niechęcią.
- Co tu robisz?
- Jestem córką dziekana - odparła. Paznokcie miała pomalowane na śliwkowy kolor. - Chyba o tym pamiętasz? - Odwróciła się do Sally.
- Dzień dobry.

- Jestem Sally Ashworth.
- A to - wpadł jej w słowo Leo - jest Nicholas Elliott. Mówiłem ci o nim.
- Znasz się na muzyce? - spytała Ianthe patrząc na młodzieńca uważnie.
- Zajmowałem się...
- Rockiem?
- Czasami tego słucham...
- Mam firmę płytową - przerwała mu Ianthe. - Nagrywamy zespoły rockowe. Podpisaliśmy umowy z kilkoma nowymi odlotowymi grupami. -Odwróciła się znów do Sally. - To był pani chłopak? Ten z cudownym głosem?
- Na ogół nie ma zwyczaju mówić w ten sposób - wyjaśniał Leo. - To jej młodzieżowy styl na użytek firmy. Jeżeli chce, potafi mówić normalnie.
- Coś pani powiem. - Ianthe całkowicie zignorowała Leona. - Pani chłopak mógłby coś dla nas zaśpiewać. Oczywiście nie te staroświeckie śmiecie.
- Idź sobie - zdenerwował się nagle Leo. - Idź i popisuj się przed kimś, na kim wywrzesz większe wrażenie. Nicholas, zabierz ją stąd. Opowiedz, co chcesz robić, może będzie mogła ci pomóc. Zobacz, czy przynajmniej raz okaże się użyteczna. Błysk wzruszenia zmiękczył wyzwanie w oczach Ianthe, ale stłumiła to. Wzięła Nicholasa za rękę.
- Nie był pan dla niej troszkę za twardy? - spytała Sally, gdy odeszli. -Jest tak rozpaczliwie młoda.
- Jest rozpaczliwie głupia. Pani jest już drugą osobą, która oskarża mnie dziś o twardość. Chyba staję się kłótlivy mając do towarzystwa tylko sakralną muzykę i małych chłopców. Boże! - roześmiał się. - Można to było lepiej powiedzieć.
- Czemu wszystkie dzieci dziekana są takie krnąbrne?
- Nie wydaje się pani, że to było nieuniknione?
- Myśli pan, że z powodu Kościoła...
- Tak.
- Pan wie, że ta dziewczyna jest w panu zakochana. Dlatego był pan dla niej taki szorstki.
- Ona też tak myśli. Próbuję pokazać jej, że nie warto mnie kochać.
- Ale traktując ją tak szorstko, staje się pan dla niej jeszcze atrakcyjniejszy.
- Naprawdę? - Leo spojrział na Sally ze zdziwieniem.
- Tak.
- O Boże! Niech pani pomyśli, co by się stało, gdybym był dla niej miły.
- Trwałoby to krótko. Byłoby bardzo intensywne, ale krótkotrwałe. Znuziłaby się.
- Gdybym był dla niej miły?

- Tak. Bo to nie jest takie błyskotliwe. Zły humor jest bardziej sexy. Leo uśmiechnął się radośnie.
 - Nie rozmawiałem na takie tematy od lat. Już zapomniałem, jak to jest. Czy napije się pani jeszcze kapitulnej herbaty?
 - Nie, dziękuję.
 - Proszę mi powiedzieć szczerze, dlaczego dzwoniła pani do mnie tamtego wieczoru.
 - Z samotności - odpowiedziała bez wahania Sally.
 - Ale przecież Henry był w domu i, jak sędzę, ma ojca...
 - Jest w Arabii Saudyjskiej. A Henry jest dzieckiem i ze względu na swoją muzykę żyje w pewnym odosobnieniu, podczas gdy ja nie mam talentu muzycznego, co jeszcze bardziej go ode mnie oddala. Nie skarżę się, jestem wprost chora z dumy i radości, ale jestem samotna. Pytał pan, więc odpowiedziałam.
 - Nigdy przedtem nie poświęcałem uwagi matkom chórzystów.
 - I dobrze. Będąc zawodowym...
- Pojawił się przy nich rozpromieniony dziekan.
- Ach. Dwoje ludzi, których najbardziej chciałem zobaczyć. Beckford, nie mam słów, by wyrazić swój zachwyt. To był absolutny triumf. Od lat w katedrze nie słyszano takiej muzyki, a może nawet nigdy. Pani Ashworth, moja droga pani Ashworth. Co za głos! Wiedzieliśmy, że jest wspaniała, ale dziś przeszedł samego siebie. Dlaczego tylko jedno solo, Beckford? Czemu nie usłyszeliśmy więcej?
 - Bo mimo swojego talentu, na razie jest tylko kandydatem. Inni chłopcy mają więcej doświadczenia.
 - Jesteśmy wprost zasypywani pochwałami - ciągnął dziekan nie zwracając uwagi na odpowiedź Leona. - Pani Knatchbull z Croxton Manor przyprowadziła, bez mojej wiedzy, eksperta od instrumentów muzycznych, który nie może teraz otrząsnąć się z wrażenia, jakie wywarły na nim same organy, a co dopiero ich restauracja. I mnóstwo ludzi, po prostu mnóstwo, mój drogi, mówiło mi, że trudno o drugiego organistę z pana darem frazowania i rytmu. Chór jest zapchany, naprawdę zapchany ludźmi, którzy chcą obejrzeć organy. Chciałbym tylko, żeby oświetlenie było lepsze. Beckford, nie znajduję słów, by wyrazić panu swoją wdzięczność i by pogratulować wam obojgu. To wielki dzień dla Aldminsteru, wielki dzień.
- Gdy dziekan odszedł i zmieszał się z tłumem, Sally odezwała się: - Nie mogę pana zatrzymać. I zrobię wszystko, co będzie w mojej mocy, by nie zostać sprawiającą kłopoty matką.
- Proszę przychodzić na próby, jeżeli pani chce - powiedział ku własnemu zdumieniu Leo. - Naprawdę pragnąłbym tego.
- Sally potrząsnęła głową.
- Nie mogę. Teraz muszę się już pożegnać. - Wyciągnęła rękę. - Do widzenia. I gratuluję.
- Leo skrzywił się.

- Niech pani da spokój - mruknął, ale gorąco uściskał jej dłoń i uśmiechnął się.

Sally i Henry poszli do domu razem, kupując po drodze gotowego kurczaka po kijowsku na kolację, a dla uczczenia okazji czekoladę i lody dla Henry'ego. Gdy przyszedli do domu, Mozart bardzo narzekał na spóźniony posiłek, więc go nakarmili, potem przygotowali kolację dla siebie i zjedli ją siedząc przy jednym końcu stołu, podczas gdy telewizor grał na drugim. Patrzyli na jakąś okropną grę, której głównym celem było chyba upokorzenie uczestników, i bardzo dobrze się bawili. Henry dwa razy dobierał lodów, Sally wypijała filiżankę kawy i zagrała w słówka. Wreszcie Henry poszedł się umyć i gdy już leżał w łóżku, Sally przeczytała mu pierwszy przerażający rozdział *Księżycowej floty*, w którym trumny podskakiwały i roztrzaskiwały się w zalanej piwnicy. Potem poszła się wykapać i powędrowała do łóżka z zamiarem poczytania czegoś bardziej wzniosłego niż jakaś powieść napisana przez kobietę dla kobiet. Uznała to za dobry znak. Lubiła czytać poezję tylko wtedy, gdy była szczęśliwa. Położyła się z tomikiem Briana Pattona, za nią przyszedł Mozart, chwilę uprzejmie porozmawiał, potem zakręcił się szukając wygodnego miejsca, wreszcie ciężko się o nią oparł i zasnął.

Dwie ulice bliżej tumu, na trakcie, Ianthe i Nicholas siedzieli przy pizzy i butelce wina. Ianthe powiedziała, że go zaprasza, bo musi być już chory od szkolnego jedzenia, a Nicholas, mimo że niezbyt mu się podobała, cieszył się mogąc być z dziewczyną i chociaż przez chwilę pozwolił sobie na swobodne zachowanie. Ianthe mówiła, a Nicholas zjadł prawie całą pizzę. Dowiedział się, że jej najstarszy brat jest genialny, naprawdę genialny, siostra dziwna, a młodszy brat to prawdziwa plaga, i że Ikon ma przed sobą wielką przyszłość i że najchętniej zabiłaby Leona Beckforda. Musiała mówić bardzo głośno, by przekrzyczeć muzykę - „Dire Straits”, wyobrażasz sobie? Jak mogą grać coś tak okropnego? - więc większość gości w lokalu dowiedziała się o niej wszystkiego, ale ponieważ byli bardzo młodzi, z zainteresowaniem słuchali, gdy mówiła:

- Niedługo będziemy mogli sobie wyplacać po patyku miesięcznie...

- Po patyku!

Ianthe zapaliła papierosa i głęboko się zaciągnęła.

- Coś koło tego. A co ty planujesz?

- Nie wiem. Mam nadzieję, że coś się nadarzy.

- Może będę mogła ci pomóc - powiedziała Ianthe tonem, jakiego ludzie używają, gdy mówią, że zadzwonią do ciebie, ale wiadomo, że nigdy tego nie zrobią.

- Dziękuję. - Nicholas wyczuł jej ton.

- Nie, naprawdę. Zobaczą, co się da zrobić.

- Wpadłem w lekką depresję.

- Mnie to mówisz! Ja jestem na dnie, na samym dnie.

Zamówiła więcej wina i Nicholas opowiedział jej o swojej matce i ojcu, o nowej rodzinie ojca i o tym, jak go wyrzucono z Oksfordu. Ianthe słuchała go z sympatią. Zjedli cały brązowy cukier z cukiernicy stojącej na stole między nimi i wypili wino, po czym wyszli na Lydbrook Street i Ianthe powiedziała, że rano zabierze go do pubów w dokach, bo inaczej niedziela zniszczy ich oboje. Nicholas wrócił do swojego pokoju w infirmerii w radosnym nastroju, a Ianthe poszła do domu przez dziedziniec Kapituły i przyglądała się, jak Leo próbuje sprzątnąć swoją bawialnię. Miał na sobie sztruksowe spodnie, koszulę w kratę i wydawał się tak bardzo samotny i sexy, że niemal ugięły się pod nią kolana i prawie zastukała w szybę. W porę przypomniała sobie, że jest na niego wściekła za to, jak ją potraktował dziś po południu przy ludziach, poszła więc do domu i obudziła Cosma, bo chciała posłuchać muzyki, ale nie w samotności.

Leo po powrocie do domu czuł się wyjątkowo niespokojny. Z całą pewnością przyczyniło się do tego napięcie związane z nabożeństwem, ale po raz pierwszy poczuł autentyczną rozpacz, gdy otworzył drzwi do mieszkania i zobaczył, że bawialnię wygląda dokładnie tak samo, jak wtedy, gdy wychodził. Wyglądało to tak, jakby porozrzucił całą zawartość szuflad i szaf, a potem zamieszał ją gigantyczną łyżką. Nagle pojął, że taki styl życia wyczerpuje i niszczy całą twórczą energię. Leo podniósł taśmę leżącą najbliżej, porzuconą na stosie starych gazet, i włożył ją do magnetofonu. Okazało się, że to „Hiob” Vaughana Williamsa⁶. Leo nie był w nastroju do wysłuchiwanie tego utworu, ale nie chciał tracić dziesięciu czy dwudziestu minut na wyszukanie Faurego, którego by wolał. Przygotował sobie kanapkę i kubek kawy i zabrał je w sam środek bałaganu, by ocenić sytuację. Pierwszym posunięciem powinno być sprawdzenie, co można wyrzucić. Oczywiście gazety, stare, zapomniane dodatki niedzielne. Będzie łatwo się ich pozbyć, jeżeli nie pozwoli sobie na przeczytanie choćby jednej linijki, bo wtedy zagłębi się w lekturze. Następnie poustawia z powrotem na półkach książki, które wyjmował, gdy były mu potrzebne, ale nigdy nie odstawiał na miejsce. Potem powkłada nuty do pudełka, a raczej wielu pudełek, położy poduszki z powrotem na krzesłach, ubrania zabierze na górę, rozplącze kable, żeby nie tworzyły takiego kłębowiska... Metodycznie wziął się do roboty. Poszedł do Chancellorów i pożyczył dwa worki na śmiecie. „Uśmiełam się - powiedziała potem Cherry mężowi - Leo i sprzątanie!” Poprosił ją o dwa worki, więc tyle oderwała z rolki. Zabrał je do siebie i napełnił w dwadzieścia minut, a potem natknął się na album ze zdjęciami, które on i Judith robili zaraz po ślubie; już chciał go

46

⁶Ralph Vaughan Williams (1872-1958), kompozytor angielski, tworzył muzykę zarówno świecką, jak i kościelną (przyp. red.)

wyrzucić, ale nie oparł się chęci rzucenia okiem i zobaczył Judith wykrzywiająca się znad fletu, więc usiadł i zaczął przewracać strony. Oto Judith podczas ich jałowego miesiąca miodowego w Quantocks, ubrana w dzinsy i tenisówki; on na drabinie, malujący framugi okien w ich pierwszym domu, w Lincoln, gdzie dostał pierwszą pracę w swoim zawodzie; Judith czytająca w ogrodzie, z włosami zasłaniającymi twarz; Judith śpiąca w łóżku wyglądającym tak, jakby przejechał po nim kombajn zbożowy. Małżeństwo z Judith było z góry skazane na klęskę. Natura nie przeznaczyła jej do dzielenia życia z drugą osobą. A jednak całe miesiące namawiał ją, by go poślubiła, aż w końcu zgodziła się, z zastrzeżeniem, że dla nikogo nie ma zamiaru się zmieniać. I nie zmieniła się. Gdy ulotniło się uniesienie pierwszych miesięcy, Leo z rozpaczą zobaczył, że żona nie pójdzie na żadne ustępstwa dla dobra wspólnego życia. Chciała tylko śpiewać, grać na flecie i pracować dla ruchów kobiecych. Żyli w brudzie i ciągle się kłócili. Judith zaczęła wyjeżdżać do Greenham Common, najpierw na weekendy, potem na całe tygodnie, a kiedy ją zaaresztowano i Leo przyjechał, by spróbować ocalić ją przed więzieniem, powiedziała, żeby się wynosił do diabła. W końcu znalazła się w więzieniu. Gdy z niego wyszła, na krótko wróciła do Rochesteru, gdzie Leo był asystentem organisty, zebrała swoje rzeczy i wyjechała. Rok później rozwiedli się i Leo odszedł z pracy, bowiem czuł, że powinien tak postąpić.

Nową pracę dostał w publicznej szkole dla dziewcząt, St Mary w Ald-minsterze, jako nauczyciel muzyki. W tamtym czasie nie wiedział nic ani o Aldminsterze, ani o dziewczętach. Miał malutkie mieszkanie w budynku szkoły, a niektóre dziewczęta flirtowały z nim, aż zdarzył się kłopotliwy i nieunikniony epizod z podniecającą irlandzką dziewczyną, która wprost miała obsesję na jego punkcie. Leonowi znów groziło wymówienie.

Wtedy przygarnął go Martin Chancellor, w tamtym okresie jeszcze nieżonaty. Pracował jako asystent łagodnego, nieudolnego organisty, który od dwudziestu pięciu lat grał na organach katedry w Aldminsterze. Martin i Leo poznali się w kręgach muzycznych miasta i polubili się, a przynajmniej, jak myślał Leo, w Martinie Chancellorze nie było nic takiego, czego można by nie lubić. Przez cztery miesiące Leo rano i wieczorem dawał prywatne lekcje fortepianu, a w samotne popołudnia hodował w sobie żal. Potem organista umarł na atak serca i Leo złożył podanie o stanowisko organisty.

Był najlepszym kandydatem, przyznawał to nawet Martin Chancellor, chociaż z goryczą mówił, że Leo gryzie rękę, która go karmiła. Ale Leo był rozwodnikiem, co stanowiło wielką przeszkodę dla dziekana i Kapituły. Gdyby nie biskup, Leo nigdy nie dostałby tej pracy. Biskup wezwał Leona do siebie i rozmawiał z nim tak łagodnie, wprost miękko, że dopiero po długim czasie Leo zorientował się, jak bardzo biskup go wysondował. Najpierw mówili o muzyce.

Dlaczego muzyka w katedrze - pytał biskup, dlaczego nie recitale

organowe, dyrygowanie, nagrywanie czy nauczanie, przecież z talentem Leona nie byłoby żadnych trudności w uzyskaniu takiej pracy. Dlaczego nie utworzy własnego chóru? W Aldminsterze będzie zarabiał tylko siedem tysięcy rocznie, więc czy nie jest to z jego strony lekkomyślne? Leo, obracając bez końca filiżankę w rękach, powiedział, że to go zadowala, że granie i słuchanie sakralnej muzyki w świętym miejscu to jedyna sytuacja, w której sercem i duszą będzie się czuł, jakby wrócił do domu.

- Wierzy pan? - spytał biskup.

- Nie wiem. Staram się...

- Jest tyle różnych dróg do wiary...

- Przybliżam się do wiary, gdy gram na organach katedralnych, wtedy też odczuwam prawdziwe spełnienie. W najlepszym wypadku jestem wierzącym na pół etatu.

- Jest pan wyjątkowo dobrym organistą - powiedział biskup.

Potem chwilę posiedział w milczeniu, aż wreszcie poruszył temat małżeństwa Leona. Leo starał się odpowiadać uczciwie i szczerze.

- Nienawidzi jej pan?

- Nie. Ale czasami jeszcze odczuwam złość.

- Złość - powiedział biskup biorąc swoją filiżankę i z zalem stwierdzając, że jest pusta - to zupełnie co innego niż nienawiść. A jeśli chodzi o pana rozwód - przerwał i ostrożnie pokiwał filiżanką - moim zdaniem chrześcijańskim małżeństwem jest dobre małżeństwo, niekoniecznie pierwsze.

Instynktownie obaj skierowali wzrok na okno, przez które było widać Janet Young, która w starym swetrze biskupa obcinała zwiędłe jesienne stokrotki.

- Ja miałem wyjątkowe szczęście - stwierdził biskup. - Chyba panu i pana żonie go zabrakło.

W końcu Leo wstał i szykował się do wyjścia, ale jeszcze powiedział:

- Dziękuję, że ksiądz biskup mnie przyjął. Wiem, że nie mogę mieć nadziei na tę pracę, ale rozmowa bardzo mnie pokrzepiła.

Biskup uściśnął mu dłoń.

- Będę się gorąco modlił o to, i tak samo gorąco porozmawiam z pewnymi osobami. - Nagle coś mu przyszło do głowy. - Wie pan, że Bach spłodził dwadzieścioro dzieci? Z dwóch małżeństw. Nadzwyczajne. - Puścił rękę Leona. - Niech panu Bóg błogosławi.

Trzy tygodnie później Leo został zatrudniony jako organista katedry i wprowadził się na dziedziniec Kapituły, do domu sąsiadującego z domem Martina Chancellora. Alexander Troy przyszedł go odwiedzić. Natychmiast się polubili i stwierdzili, że mają jednakowe ambicje co do chóru. Potem przyszła Felicity i Leonowi wydawało się, że się w niej zakochał, bo była taka dystygowana i cudowna, a także dlatego, że w swojej wdzięczności dla biskupa, albo Boga, albo jakiegoś nieznanego czynnika sprawczego, miał serce tak przepełnione, że musiał dać ujście uczuciom.

Te pięć lat w Aldminsterze to był najszcześniejszy okres jego życia.

Muzyczna sława katedry rosła nieustannie, a z nią sztuka Leona. Często chodził do katedry, a improwizacje przy organach napawały go ożywym spokojem. Gdy schodził z chóru, znajdował w nawach wielu ludzi, którzy gromadzili się, by słuchać jego gry. Szkoła St Mary nawet prosiła go, by wrócił tam pracować. Nowa dyrektorka, energiczna kobieta, która spędziła większą część życia w Ameryce, powiedziała, że Leo jest wspaniałym muzykiem, i nie dbała o stare plotki. W ten sposób Leo podwoił swoje dochody. Znalazł przyjaciół, a krótko po tym, jak Felicity Troy delikatnie mu zasugerowała, żeby nie robił z siebie głupca, nawiązał bliższą znajomość z dyrektorką Szkoły Artystycznej w Horsley. Podobała mu się i odczuwał ulgę mając z kim pójść do łóżka, ale ta sympatia nie przerodziła się w miłość. Nadal byli przyjaciółmi i Leonowi wcale nie zależało na tym, by stali się dla siebie czymś więcej, chociaż z coraz większą mocą odczuwał, że ludzka strona jego życia nie nadąża za stroną muzyczną.

Zamknął album i włożył do worka na śmiecie. Potem wyjął go z powrotem i odłożył na najwyższą półkę regału, pod stos magazynów „National Geographic”. W końcu Judith nie umarła, a kiedyś byli małżeństwem. Nie mógł usunąć z pamięci ani jej, ani małżeństwa. Rozejrzał się po pokoju. Nagle poczuł, że jest krańcowo wyczerpany. Reszta będzie musiała poczekać. Zgasił światło, chwycił naręczne ubrań i powłókł się na górę. Rano Cherry Chancellor, która wyszła wcześniej po niedzielne gazety, zauważyła, że bawialnią Leona wygląda dokładnie tak samo jak zawsze, z jednym wyjątkiem: pośrodku całego bałaganu leżały dodatkowo dwie szare torby na śmiecie, jak para żebrzących hipopotamów.

Hugh Cavendish nie mógł spać w nocy. Przepelniała go spokojna radość, poczucie, że czeka go nowa misja. Leżał w łóżku obok okazałej, śpiącej Bridget, aż w końcu po godzinie bezsenności wstał, włożył szlafrok i poszedł do kuchni, gdzie rozespany Benedykt okazał radość z jego przyjscia, ale jednocześnie dał jasno do zrozumienia, że pierwsza w nocy nie jest odpowiednią godziną na opuszczanie koszyka.

Dziekan zaparzył herbatę i przygotował sobie grzanekę. Potem znalazł papier i ołówek i usiadł przy kuchennym stole. Dzięki piecykowi było bardzo ciepło, i spokojnie. Dziekan naszkicował z grubsza plan katedry, zaznaczył najważniejsze miejsca, a potem czarnymi kropkami oznaczył obecne umiejscowienie świateł. Nie zmieniło się ono właściwie od dziewiętnastego wieku, kiedy to nieszczęsny zapalacz gazowych lamp musiał w nieskończoność wspinać się i schodzić po zachodniej klatce schodowej. Tylko raz, w latach pięćdziesiątych, próbowano dostosować oświetlenie do naturalnego światła wpadającego przez okna, ale bez większego rezultatu. Inżynier miał rację. Katedra potrzebowała nowego oświetlenia, tak rozplanowanego, by nie oślepiało, lecz uwydatniało piękno i tajemniczość budowli. Po dzisiejszym nabożeństwie nie było wątpliwości, że muzyczna

sława katedry będzie rosła, że będą się w niej odbywały koncerty i recitale, a muzycy zawsze żądają dobrego światła. Jeśli chodzi o sfinansowanie prac, można odwołać się do Towarzystwa Przyjaciół Katedry, niech będzie błogosławione, i oczywiście do ludzi z Towarzystwa Zabytkowych Kościołów. Od lat Aldminster niczego od nich nie chciał, więc powinni odnieść się przychylnie do prośby. Trzeba wyszukać projektanta i skonsultować się z architektem, który okazał się tak niestrudżonym sprzymierzeńcem podczas restauracji organów. Organy, wspaniałe, odnowione organy to powód do radości. Ale organista? Przecież Leo obrócił się przeciw dziekanowi. Tak samo postąpił Alexander Troy, chociaż w sposób mniej agresywny. Gdyby organistą był Martin Chancellor, stałby się sprzymierzeńcem, bo dbałby jednakowo o instrument i o chór. Ale Beckford i Troy powodowali, że dziekan czuł się tak, jakby chór do niego nie należał, a czasami nawet jakby był przeciw niemu. Powiedziałby nawet, że umyślnie odsuwali go od chóru. Ale nie mogli trzymać go z dala od organów, a bez nich Leo nie miał przyszłości jako wirtuoz. Musi być ostrożny. Musi kontrolować Leona nie tracąc go. Musi rządzić swoimi ukochanymi włościami zarówno dyplomatycznie, jak i z siłą i życzliwością. Trzeba pomyśleć o praktycznej stronie zagadnienia. Szykując sobie drugą grzankę sporządził listę ludzi, do których musi zatelefonować. Oczywiście jeżeli wewnętrzne mury mają być lepiej oświetlone, trzeba je wyczyścić. Sprawdzi, czy ma ruchome rusztowania. Katedralny zegar wybił drugą godzinę. Benedykt podniósł głowę i słuchał. Przy stole dziekan odsunął papier, talerz i filiżankę, złożył ręce, pochylił głowę i zaczął dziękczynną modlitwę. „Modląc się nie trzeba nic mówić” - dziekan słyszał, jak biskup Robert wypowiada te słowa podczas niedawnej uroczystości konfirmacji w mieście. „Tylko patrzcie na Boga. I pozwólcie Mu, by patrzył na was. To wszystko”.

5

Wtedy między radnymi miejskimi Aldminsteru rozeszła się wiadomość, że dziekan i Kapituła potrzebują czterdziestu pięciu tysięcy funtów na nowe oświetlenie katedry, Frank Ashworth poczuł, że nadszedł odpowiedni moment, by ponowić swoją propozycję kupna domu dyrektora szkoły. Zastał dziekana w zupełnie innym nastroju niż podczas ich ostatniej rozmowy. Był pogodny i nie zdradzał chęci poddania się sugestii.

- Panie Ashworth, nie znajdujemy się w sytuacji, którą ludzie finansów nazywają jako „poszukiwanie funduszy”. Towarzystwo Przyjaciół Katedry wyasygnuje dwie trzecie potrzebnej sumy, a na resztę możemy otrzymać subwencję.

- Możemy poczekać - odparł Frank Ashworth. - Nie ma pośpiechu. Nie wątpię, że któregoś dnia będziecie potrzebować pieniędzy.

- Będę z panem szczery. - Dziekan przybrał poufny ton. - Musi pan pożegnać się z wszelką nadzieją na kupienie tego domu Katedra i tum staną się bardzo atrakcyjne, będzie tu przychodziło mnóstwo zwiedzających, i oczywiście, musimy zachować dla nich otoczenie w nie zmienionym stanie.

- Czy nie niepokoi pana - powiedział wolno Frank - wydawanie takich pieniędzy na nowe oświetlenie, podczas gdy według opinii prawie wszystkich dotychczasowe jest wystarczające, a miasto potrzebuje pieniędzy, by pomóc swoim mieszkańcom?

- Katedra należy do miasta i jego mieszkańców. Są z niej bardzo dumni...

- Nowe lampy w katedrze nie pomogą im znaleźć pracy ani nie wyleczą ich z chorób.

- Panie Ashworth - powiedział dziekan z władczością, której Frank nie chciał się teraz przeciwstawiać - pan i pana rada zajmujecie się mieszkaniami, zatrudnieniem i zdrowiem. Zostawiamy to wam. My natomiast zajmujemy się innymi ważnymi aspektami ludzkiego życia. I zostawcie to nam. Do widzenia.

Następnym ruchem Franka było umówienie się na rozmowę z biskupem. Gdy Robert Young otworzył mu drzwi pałacu, z kuchni doleciał zapach pieczeni i dźwięk radia. Zaprosił Franka do jasnego, podłużnego gabinetu ze starymi meblami, książkami i modelem samolotu na gzymsie kominka.

- Jak pan wie - rzekł biskup żując oprawkę okularów - nie mogę wtrącać się do spraw diecezji i Kapituły. Służę całej diecezji, a nie tylko katedrze.
- Eminencjo, przyszedłem rozmawiać z panem o sprawie, która ma zasadnicze znaczenie.
- Mhm.
- Martwi mnie, że tak mało ludzi z miasta korzysta z katedry i tumu.
- To martwi przede wszystkim mnie - odparł biskup.
- Szczerze mówiąc, tum ich odstrasza. Jest zbyt elitarny.
- Tak pan sądzi?
- Ja to wiem. Biskup założył okulary.
- Niech pomyślę. - Po chwili milczenia powiedział: - W pewnym sensie ma pan rację. Ludzi onieśmiela rytuał, bo nie zostali wychowani tak, by go rozumieć. Dlatego katedra może im się wydawać jakimś klubem, którego zasad nie znają. Ale nie jest elitarna w sensie, który pan ma na myśli. Elita, o ile dobrze wiem, to szczyt, kwiat czegoś. W oczach Boga taka rzecz nie istnieje wśród ludzi.
- Nie przyszedłem tu rozprawać o teologii - zauważył z uśmiechem Frank.
- A to właśnie robimy?
- Do pewnego stopnia. Ale przyszedłem, by podzielić się z panem moim odczuciem, że ludzie z miasta powinni mieć jakieś miejsce, jakiś budynek, w którym czuliby się jak u siebie...
- Świeckie miejsce? Miejsce spotkań?
- Tak.
- Jestem jak najbardziej za zachęcaniem ludzi do przychodzenia do katedry. Spędzam mnóstwo czasu na przynagłaniu ich do tego. I rozumiem, że dom przeznaczony na spotkania mógłby przybliżyć ich do tumu, chociaż zawsze sprzeciwiam się sztucznym strukturom, bo są mylące. - Biskup spojrzął na Franka Ashwortha i dodał stanowczo: - Na trwałe można zdobyć ludzi jedynie miłością.
- Czy nie wydaje się panu niesłuszne, że dyrektor szkoły i jego żona używają tylko czwartej części swojego domu?
- Niesłuszne? - spytał biskup siadając.
- Podczas gdy mieszkańcy miasta korzystając z tego domu, a przecież mają do tego pełne prawo, czuliby, że tum do nich należy.
- Panie Ashworth, pan zbyt wiele przypuszcza. - Biskup znów wstał.
- Tak więc uprzywilejowani nadal będą się wzajemnie chronić... Biskup opanował się z wielkim wysiłkiem.

- Pozwoli pan, że jeszcze raz zacytuję słownik. Przywilej oznacza, między innymi, wolność od brzemienia, które inni muszą dźwigać. Panie Ashworth, mieszkańcy tego miasta są uprzywilejowani właśnie w ten sposób. Pan niesie niektóre z ich brzemion, ja staram się udźwignąć inne, a dyrektor King's School niesie ich jeszcze więcej. W pełni popieram pana pragnienie przybliżenia tumu mieszkańcom miasta, ale nie będę uczestniczył w planie, który pod maską altruizmu kryje zazdrosne serce. - Biskup podszedł do kominka, wziął z okapu model spitfire'a, popatrzył na niego czule przez chwilę i odłożył go z powrotem. Ponownie odwrócił się do Franka. - Słyszałem, że pana wnuk jest teraz członkiem chóru. Gratuluję panu.

- To mnie również wprawia w zakłopotanie - odparł Frank. - Nie chciałem, żeby Henry chodził do King's School, ale mój syn tak postanowił.

- Chłopcy ze szkół miejskich mają taką samą szansę śpiewania w chórze jak chłopcy z King's School. Wydaje mi się, że uczniowie miejskich szkół mają do dyspozycji kilkanaście stypendiów. I czy nie jest prawdą, że kurator szkolny należy do zarządu King's School? Frank powoli wstał.

- To ten sam problem, prawda? Ten sam problem co z tumem. Ludzie czują, że nie są tam mile widziani.

Biskup podszedł do drzwi i położył rękę na klamce.

- Panie Ashworth, moje doświadczenie mówi mi, że ludzie są pewni dobrego przyjęcia wszędzie, chyba że wyraźnie powie im się, że tak nie jest. Kościół naucza, że trzeba gorąco witać wszystkich przychodzących, i to powitanie zawsze, każdego dnia, czeka na każdego mieszkańca miasta, zarówno w katedrze, jak i w sercach wszystkich członków tumu. - Otworzył drzwi. - Odprowadzę pana.

Gdy Frank wyszedł, biskup poszedł po pociechę do kuchni.

- Takie szlachetne serce! Takie szlachetne! Ale umysł błędzący. Gdy się nie ma w sercu Boga, to jest tak, jakby chciało się iść prosto na jednej tylko nodze, a to jest niemożliwe. On widzi wszystko przez pryzmat walki klasowej...

- Czy powiedziałaś mu - spytała Janet Young, układając paseczki ciasta na szarlotce - że chodziłaś do miejskiej podstawówki?

- Nie było okazji. Rada zamierza kupić dom dyrektora szkoły i stworzyć tam jakiś ośrodek spotkań towarzyskich.

- A co w tym złego?

- Nic. Pewnie mają rację. Ale motywy i metody są niesłuszne. Czy szykujesz to na lunch?

- Niestety nie. Na weekend, gdy przyjedzie Matthew. Biskup przysiadł na rogu kuchennego stołu.

- To dobry człowiek. Poświęcił życie miastu, ale wierzy, że tylko on wie, czego ludzie potrzebują.

- A ludzie wiedzą, czego chcą? Biskup pochylił się i pocałował żonę.

- Ja chcę zjeść lunch. I moje okulary znów się rozleciały.
- Nie powinieneś ich gryźć. Dlaczego nie sprawisz sobie drugiej pary? Wstyd mi za tę fotografię w „Jichu”, na której jesteś w mitrze, a okulary masz sklezione taśmą.
- Biskupi nie muszą być zadbani.
- Ten, który siedzi tu, na stole obsypanym mąką, na pewno nie jest.
- Janet...
- Tak?

- Chciałbym, żeby ludzie naszych czasów nie byli tacy nieszczęśliwi. Janet wstawiła szarlotkę do piekarnika, podeszła do męża i uściśnęła

jego rękę swoją dłonią pachnącą kuchennymi przyprawami.

- Ale masz taką pracę, że niektórym z nich możesz pomóc.

Podając jako pretekst zebranie Towarzystwa Szkolnych Chórów Alexander Troy pojechał do Londynu szukać żony. Wchodząc do wagonu jak zwykle zauważył, że jego koloratka denerwuje współpasażerów. Bardzo niewiele nie zwróciło na nią uwagi. W dalszej części wagonu siedziały dwie amerykańskie zakonnice w sandałach, habitach i nowoczesnych krótkich welonach. Wokół nich panowało to samo ostrożne milczenie. Alexander spojrzął na młodą kobietę czytającą jakiś magazyn i na mężczyznę w lotniczej kurtce, który stuknął zwiniętą gazetą w okno, dzielących z nim tę samą ławkę, i zastanowił się, co by zrobili, gdyby się odezwał. Na pewno by ich przestraszył. Wobec tego postąpił tak, jak tego oczekiwali. Wyjął z teczki gazetę i szkic przemówienia na zakończenie roku szkolnego. Po chwili podniósł wzrok i zobaczył, że młoda kobieta przygląda mu się z zainteresowaniem, które zmieniło się w obrzę, gdy się do niej uśmiechnął.

Dojechał do stacji Paddington, jak zwykle poszedł złożyć milczący hołd pomnikowi Brunela (gdy miał czas, chodził także pozdrowić wzruszający, zaniedbany pomnik z brązu Sierżanta Jaggera), a potem skierował się do zatłoczonych tuneli metra i ruszył w skomplikowaną drogę do Highgate, gdzie mieszkał brat Felicity, Sam. Zajmował się on kilkoma rzeczami naraz: projektował okładki książek, komentował mecze krykieta dla wielkiej niedzielnej gazety, a także udzielał korepetycji z literatury. Nie był żonaty i cieszył się tym spokojnym samozadowoleniem człowieka, którego nie interesują ani mężczyźni, ani kobiety. Poświęcił wiele starań urządzeniu swojego domu. Podłogi pomalował w piękne, ale dziwaczne wzory przypominające średniowieczne mapy, ze smokami i morskimi potworami. Omijając walijski zamek, na którego blankach samotny trębacz wygrywał alarm, Alexander usiadł w dyrektorskim fotelu obitym skórą. Sam nastawił ekspres do kawy.

- Nie przyszła tu - powiedział. - Gdybym się z nią widział, pewnie bym ci o tym powiedział. Ale dzwoniła. Nie była bardzo rozmowna, powiedziała tylko, że jest absolutnie bezpieczna. I że wróci.

- To już prawie trzy tygodnie.

Sam postawił dwa fajansowe kubki na czarnym stoliku.

- A zeszyłem razem, jak długo to trwało?

- Trzy tygodnie. Sam...

- Pytasz, dlaczego wyjeżdża?

- Tak.

Sam zapalił papierosa.

- Wiesz co, stary? Wydaje mi się, że cała pasja, której ja jestem pozbawiony, przypadła w udziale jej. Mam na myśli emocjonalną pasję. Wiesz o tym. Życie czasami staje się dla Felicity ciężarem. Nie chodzi o to, co ty robisz albo czego nie robisz. Chodzi o nią. Już w dzieciństwie tak się trzepotała. - Sam spojrzął z ukosa na Alexandra. - Tęsknisz, prawda?

- Och, tak.

- Zawsze uważałem - powiedział Sam - że jesteś dla niej bardzo dobry. Myśl o dzieleniu z kimś życia głęboko mnie przeraża. Nie potrafię tego. Ale ty jesteś taki cierpliwy.

- Chcę być cierpliwy. Nie odczuwam niecierpliwości.

- Ma wielkie skrupuły dotyczące wiary - zauważył Sam gasząc papierosa.

- Wszyscy je mamy.

- Ale może sądzi, że będąc twoją żoną nie powinna.

- Ja też je mam. To chyba jest związane z pracą.

- Może.

- Czy masz jakikolwiek pomysł, gdzie może teraz być?

- Nie. I gdybym był na twoim miejscu, nie próbowałbym jej szukać. Wróci, gdy będzie mogła, i będzie dla niej wiele znaczyło, że jej nie ponaglałeś. - Sam spojrzął na zegarek. - Przykro mi, stary, za pół godziny mam lekcję. Okropny cymbał, a na dodatek musimy przerobić Gerarda Manleya Hopkinsa*, niech Bóg ma w opiece nas wszystkich trzech. Alexander wstał.

- Rozmowa z tobą pocieszyła mnie, pozwoliła uwierzyć, że jej wyjazd jest rzeczą bardziej zwyczajną, niż wydawało mi się w Aldminsterze. - Musimy temu stawić czoło. Dla Fliss.

Jednak lepszy nastrój nie trwał długo. Alexander poszedł na zebranie, raz wstał i wygłosił mowę długą, ale niezbyt związaną z tematem obrad, o tym, jak bardzo wystawiona jest na zniszczenie niezrównana brytyjska tradycja chóralnej muzyki sakralnej we wrogim klimacie ekonomicznym. Potem pojechał na stację Paddington z nieprzyjemnym wrażeniem, że jego umysłowe i uczuciowe struny całkowicie się splątały. Pociąg był przeładowany i przez pół drogi musiał stać, chociaż ku jego przerażeniu

◆poeta angielski (1844-1889), za życia nie opublikował żadnego utworu, jego nazwisko stało się sławne dopiero od drugiego wydania dzieł, w 1930 roku (przyp. tłum.)

trzęsąca się ze starości kobieta w swetrze własnej roboty chciała mu ustąpić miejsca. Spokojne słowa pociechy wypowiedziane przez Sama ulatywały w miarę, jak pociąg w swojej drodze na zachód pożerał kilometry, a gdy wreszcie dojechał do Aldminsteru, Alexander był już bliski najczarniejszej rozpacz. Zbliżając się do szkoły zobaczył, że chłopcy wychodzą z wieczornego nabożeństwa, i wstrząsnęła nim świadomość, jak pokrzepiający jest widok ich beztróskiego zachowania, gdy tak radośnie wybiegali z kaplicy po skupieniu modlitwy. Miał nadzieję, że spotka Leona, ale nie było go. Właśnie w tej chwili Leo szedł na Blakeney Street niosąc w kieszeni butelkę Valpolicelli, bo został zaproszony na kolację przez Sally Ashworth.

W domu Alexander znalazł przygotowaną przez panią Miles tacę z pieczenią wieprzową i plastikowym opakowaniem Surówki z kapusty przyprawionej ostrą musztardą. Miał jeszcze sporo do zrobienia. Musiał zaplanować przyszłoroczne wielkanocne tourné chóru, a czas naglił. Uprzejmy list od proboszcza z Saint Benoit-sur-Saone leżał na biurku już od dwóch tygodni jak wyrzut sumienia. Zbliżało się zakończenie roku szkolnego i straszliwe wystawianie ocen, które było ciągłą walką między współczuciem a sprawiedliwością. Czekąco go jeszcze przygotowanie pytań na egzaminy wstępne, a on ani na chwilę nie potrafił przestać myśleć, że nawet nie wie, gdzie jest Felicity, i że ten dom ma zostać przekształcony w kawiarnię dla miasta. „Pięćdziesiąt dwa lata”, pomyślał przyglądając się sobie bez żadnej pobłażliwości w lustrze, które trzymał w gabinecie, bo czasami tutaj przebierał się do kościoła.

„Pięćdziesiąt dwa lata. To powinna być wspaniała dekada w życiu mężczyzny, bogata dekada. A mnie to przestało obchodzić. Gdybym teraz umarł, co by po mnie pozostało?” Podszedł do starego gramofonu i nastawił „Lux Aeterna” Mathiasa w wykonaniu Chóru Bachowskiego, potem wrócił do zarzuconego papierami biurka. W kuchni Nicholas Elliott, który przyszedł tu ze swojego samotnego kąta w infirmerii w poszukiwaniu czegoś do zjedzenia, znalazł pieczeń z surówką i z radością z niej skorzystał.

Następnego popołudnia Alexander zamiast poświęcić lekcję historii starożytnej Peryklesowi, jak to było w planie, zabrał chłopców na teren tumu. Byli tym tak podnieceni, że skakali wokół niego, szczebiotali sir, sir, sir, i wcale nie zwracali uwagi na jego odpowiedzi. Przez te wszystkie lata pracy Alexander nauczył się być dobrym przewodnikiem dla małych chłopców. Dziś poprowadził ich szlakiem wzdłuż pałacu biskupa, krużganków, koło grobu biskupa Osrica leżącego sztywno na swoim granitowym sarkofagu, aż do grobu Langleya Blake'a, który w bardzo średniowieczny sposób ubolewał nad niemoralnością lat sześćdziesiątych i w drugiej połowie dekady lat siedemdziesiątych umarł ze słowami: „Przecież wam mówiłem”. Jak zwykle, chłopcom podobał się najbardziej wdzięczny kartusz

upamiętniający osiemnastowiecznego biskupa Joshuę Fieldinga, z głowami jego ukochanych koni i psów pośród marmurowych zwojów pergaminu. Życzeniem biskupa było, by jego zwierzęta zostały na nagrobku upamiętnione razem z nim. Mówiono, że w swoim gabinecie trzymał w koszyku oswojonego zająca i że czytywał swoje kazania starej maciorze mieszkającej w zagrodzie za pałacem. To zabawne uczłowieczanie zwierząt zawsze stanowiło dobry sposób na wprowadzenie chłopców w historię katedry, a potem Alexander zabierał ich na chór, na chwilę cichej modlitwy. Chłopcy odczuwali dreszcz podniecenia klęcząc w tym samym miejscu, co chórzyci, ponieważ szkoła była dumna ze swoich śpiewaków. Teraz rzucali ukradkowe spojrzenia na Ashwortha i Chilwortha, którzy tak dobrze znali drogę ku tym ciemnym, wysokim ławom, z rzeźbionymi oparciami i twardymi, czerwonymi poduszkami z pluszu. Siedemnastu chłopców uklękło odmawiając krótkie modlitwy do Boga, o którym mieli dość niejasne pojęcie, i rozważając sprawę biskupa i jego świni, a o świniach wiedzieli o wiele więcej. Potem skwapliwie wstali. Alexander ostrzegł ich, by nie bawili się psalterzami i lichtarzami, ustawił ich w jakim takim porządku i odprowadził do szkoły na podwieczorek, na który, jak zawsze w czwartek, podawano drożdżówki.

Po drodze z chóru, na zachodnich schodach, spotkali dziekana, architekta i jeszcze jednego mężczyznę. Wszyscy trzej wydawali się bardzo stroskani. Architekt mówił: „Oczywiście, gdy się dowiemy, jak daleko sięgają zacieki i jak głęboko wniknęły w mury...”, a jednocześnie dziekan ponad jego głową zwracał się do trzeciego mężczyzny: „I pomyśleć, że obecne ustawienie świateł służyło do zasłonięcia nam tego...”. Chłopcy zatrzymali się i patrzyli z szacunkiem. Dziekan był nie tylko jedną z najważniejszych osób w tumie, ale także należał do zarządu szkoły. Ponadto był doskonałym wędkarzem i ojcem legendarnego Cosma, którego mit inspirował najmłodszych chłopców tak, jak studentów inspirował Che Guevara w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Dziekan spojrzał na nich, zaprzątnięty swoim zmartwieniem. Architekt, człowiek bezdzietny, i w konsekwencji czujący się nieswojo, gdy przebywał z kimkolwiek, kto nie przekroczył dwudziestego roku życia, zaczął robić żartobliwe uwagi, że zorganizuje quiz na temat katedry. Chłopcy patrzyli na niego kamiennym wzrokiem, podczas gdy Alexander tłumaczył, że w tej chwili powinni uczyć się o handlowej rywalizacji między Koryntem a Atenami, na co architekt stwierdził z ulgą: „Ach, spustoszenie Attyki”.

- Jakie spustoszenie? - spytał dziekan myśląc jedynie o tych wielkich kamiennych żebach nad swoją głową, ciemnych od zacieków, które właśnie odkryli.

- Sparta, sir - powiedział Briggs, klasowy prymus. Ktoś z całej siły kopnął go w kostkę. - Au - jęknął głośno Briggs.

Dziekan, z twarzą pochmurną z niepokoju, pociągnął Alexandra na bok.

- Poszliśmy z panem Harveyem z firmy Harvey Electrical na galerię sprawdzić, jakie są możliwości założenia nowego oświetlenia, i zobaczyliśmy, że niektóre arkady triforium⁷ są zniszczone przez zacieki, po prostu zniszczone, i ta część dachu wygląda podejrzanie ciemno, czego oczywiście nigdy nie zauważyliśmy, bo oświetlenie jest skierowane w dół, do nawy...

- Czy te uszkodzenia są poważne?

- Tak - powiedział Hugh Cavendish. - Tak, bardzo poważne. - Spojrzał w kierunku architekta. - Mervyn mówi, że jest bardzo zaniepokojony.

Chłopcy zaczęli szeptać i szurać nogami.

- Proszę mi wybaczyć, ale chyba muszę odprowadzić to stadko do owczarni, bo zaraz pouciekają na wagary.

- Chłopcy, nie zrobicie tego panu dyrektorowi, prawda?

Kilku uczniów uprzejmie się uśmiechnęło. Briggs już chciał powiedzieć, że skoro dyrektor jest w szkole najwyższą władzą, nie musi się przed nikim opowiadać, ale poczuł, że ktoś mu wsunął palec pod krawat i go dusi, więc odegrał atak dławienia się.

- Wystarczy - powiedział Alexander.

- Ale, sir...

- Słyszeliście.

- Ach - jęknął Hugh Cavendish. - Co za profanacja. - Spojrzał do góry. - Chyba powinienem natychmiast porozumieć się z przedsiębiorstwem budowlanym.

Gdy już uczniowie wyszli z katedry, Henry Ashworth usiłował odłączyć się od grupy, by uniknąć zetknięcia z butem Briggsa, i prawie wpadł na Alexandra. Ten chwilę milczał, a potem odezwał się, nie po to, by powiedzieć coś szczególnego, ale żeby się okazać uprzejmym.

- Kiedy zostaniesz przedstawiony dziekanowi jako członek chóru?

- Za dwa tygodnie, sir. Dostałem już krezę i pani Ridgeway ma wszystkiego dosyć, bo nowe krezy mają zatrzaski zamiast guzików, a ona nie wierzy w zatrzaski, więc przyszywa guziki.

- Musimy zrobić próbę. Przed wojną nowi chórzyci zawsze dostawali egzemplarz „Muzyki kościelnej” Boyce'a. - Zerknął na Henry'ego. - Może to i dobrze, że już się tego nie robi, bo księga jest tak wielka, że we dwóch z Chilworthem trudno by było wam ją unieść.

Chilworth, który już się kłócił z Briggsem, podbiegł do Henry'ego.

- Zaśpiewaj as - nakazał. Henry zaśpiewał.

- A teraz asas. Henry zaśpiewał i to.

- Widzisz, mówiłem głupiemu Briggsowi, że potrafisz - pobiegł kontynuować kłótnię.

65

⁷w architekturze romańskiej i gotyckiej - rząd ślepych albo otwartych arkad (przyp. tłum.)

Nagła czułość dla tych chłopców wstrząsnęła Alexandrem jak spazm wdzięczności. Spojrzał ciepło na Henry'ego.

- Udało mi się fuksem - wymruczał Henry, zaczerwienił się i przeprosił Alexandra.

Dziekan i inżynier, posepny, doświadczony mężczyzna, który zawsze musiał mieć ostatnie słowo we wszystkim, spędzili męczącą godzinę na galeriach. Jim Woodcote, świadomy, że odpowiedzialność za stan świątyni spada na niego, był bardziej milczący niż zwykle, do tego stopnia, że często ignorował niespokojne pytania dziekana. Dla obu było oczywiste, że najważniejszym problemem są długie ślady zacieków wzdłuż krawędzi dachu południowej nawy w pobliżu zachodniego krańca, czyli przy powierzchni najbardziej narażonej na deszcze przynoszone przez wiatr znad rzeki. Silny strumień światła z latarki Woodcote'a oświetlał długie, ciemne plamy wyglądające jak palce, dochodzące aż do sklepienia i, co było jeszcze bardziej alarmujące, dziwnie lśniące krople wilgoci spływające z galerii aż do miejsca, gdzie potężne żebra wspornikowe bocznej nawy łączyły się z dachem nawy głównej. Jim Woodcote był coraz bardziej zaniepokojony, co uwidaczniało się w jego zachowaniu. Przez jakieś dziesięć minut w ogóle nie chciał rozmawiać, aż w końcu odwrócił się do dziekana i powiedział, że nie może wyrazić miarodajnej opinii, póki nie wyjdzie na dach, by obejrzeć zachodnie i północne parapety przy nawie. Potem zacisnął wargi i latarką wskazał, że powinni zejść na dół. Hugh Cavendish, powtarzając sobie, jakim wspaniałym rzemieślnikiem i niestrudzonym administratorem jest Woodcote, nie miał innego wyjścia, jak tylko spełnić jego życzenie. Gdy szedł do domu, jego depresja była tak samo wielka, jak wcześniej popołudniowa egzaltacja. Za pół godziny będzie musiał przygotować się do wyjścia na przyjęcie z serem i winem, wydawane przez Towarzystwo Przyjaciół Katedry, wspaniały zespół ludzi, których gorliwość, w obecnym stanie ducha, przerażała go. W bawialni Bridget przyjmowała na zwyczajowej herbatce żony duchownych. Dziekan wiedział, że takie spotkania bardziej dzielą niż łączą, ponieważ połowa zaproszonych żon nigdy nie mogła przyjść, gdyż pracowały na pełnym etacie jako nauczycielki, fizjoterapeutki czy pielęgniarki, i ich nieobecność była komentowana przez chór niewolnic Bridget, które zawsze pojawiały się punktualnie. Z góry dochodził grzmot muzyki reggae. Cosmo nastawił ją tak głośno, gdyż chwilowo, na prośbę pana Millera, miał zakaz wychodzenia z domu. Ojciec pragnął w ten sposób powstrzymać go od prowadzenia po lekcjach kolegów do dzielnic mieszkalnych Horsley, gdzie zrzucali pokrywy z koszy do śmieci i przez otwory skrzynek na listy wykrzykiwali nieprzyzwoite słowa. Gdyby dziekan poszedł na górę i poprosił Cosma o ściszenie muzyki, ten uśmiechnąłby się ciepło i serdecznie i pokazał gestem, że nic nie słyszy, a więc nie może spełnić prośby. A gdyby dziekan sam przyciszył magnetofon, Cosmo poczekałby, aż

ojciec zejdzie na dół, i pogłośnił muzykę tak, że cały dom trząsłby się w posadach. Dziekan kiedyś skonfiskował magnetofon, ale Bridget po kilku godzinach oddała go synowi ze słowami: „Biedny ojciec, taki zmęczony, że już nie jest sobą”. Dziekan poszedł do gabinetu i zamknął drzwi, odgradzając się od wszelkich buntowniczych hałasów. Podeszedł do okna i popatrzył z miłością i nieomal bólem na katedrę, która nagle, mimo całego swojego majestatu, wydała mu się wystawiona na ciosy i bezbronna. Nie ustąpi w sprawie nowego oświetlenia. Pan Harvey olśnił go magiczną wizją sklepienia nawy iluminowanego snopami światła z ukrytych reflektorków, arkad triforium rzucających cienie na ściany rozjaśnione rozproszonym światłem, i wreszcie parapetu chóru uwypuklonego blaskiem dobiegającym z galerii. Ale, jeżeli dach jest naprawdę poważnie uszkodzony, czy czterdzieści tysięcy funtów wystarczy? Zegar wybił wpół do szóstej. Za trzy kwadransy musi być w Croxton, a jeszcze ciągle miał na sobie zakurzone buty i stare flanelowe spodnie, które włożył na oględziny katedry. Po drodze będzie mógł pomyśleć, bo czuł instynktownie, że musi przyjechać już z pewnymi propozycjami w sprawie obrony swojego pomysłu oświetlenia, który byłby argumentem przeciw żądaniom naprawiania dachu z funduszy katedry. Otworzył drzwi gabinetu. W bawialni śpiewano „Jerusalem”, bez wątpienia po to, by udowodnić wątpiącym żonom duchownych, że w oczach Bridget Instytut Kobiety, którym prawdziwie władała w hrabstwie, ma o wiele większe znaczenie niż Kościół. Wzdychając z tuzina różnych powodów, Hugh Cavendish położył dłoń na pięknej poręczy schodów i ze znużeniem ruszył do swojego pokoju, by przebrać się na spotkanie.

- Zamknij oczy - powiedział Leo - a ja zapalę światło i wtedy zdecyduję, czy wytrzymasz ten widok.

- Mieszkam z mężczyznami - odparła rozsądnie Sally - i pracuję u mężczyzny. Jestem przyzwyczajona do bałaganu.

- Ale tu - w głosie Leona zabrzmiało prawdziwe przerażenie - mamy prawdziwy pięciogwiazdkowy bałagan.

Sally otworzyła oczy.

- Rzeczywiście.

- Gdybym przewidział, że najdzie mnie impuls, by cię tu zaprosić, nie zostawiałbym pokoju w takim stanie.

- Naprawdę?

- Co naprawdę?

- Nie wiedziałeś, że mnie zaprosisz?

- Oczywiście, że wiedziałem - odpowiedział Leo. - Jestem takim samym nędznym kłamcą jak gospodarzem domu. To chyba test. Jeżeli wytrzymasz, mogę mieć szansę.

- Szansę?

60

- Sally, nie flirtuj ze mną.
- Dlaczego?
- Bo mówię poważnie.
- Nie możesz być poważny. Wczoraj przyszedłeś na kolację, dziś poszliśmy do winiarni i...
- Jestem poważny.
- O Boże - westchnęła Sally, ale była zachwycona.

Leo podszedł do okna i zaciągnął na jego środek jedyną zasłonę, która mu została, a potem zabrał z sofy naręczkę książek, karton z butelkami i stos gazet, i powiedział:

- Proszę, siadaj. Chyba mam trochę wina.
- Wolałabym już więcej nie pić.
- Kawy?
- Z przyjemnością.
- Nie mam ziarnistej, zrobię neskę. Sally, nie pozwól mi traktować tego poważnie. Jestem taki bezużyteczny.
- Nie zauważyłam - odparła prowokująco.
- Sally, prosiłem, nie flirtuj.
- Nie wiem, co z tobą zrobić. Leo ukląkł przy sofie.
- Ale ja wiem, co chciałbym zrobić z tobą.

Sally miała znów to dziwne uczucie, którego doświadczyła, gdy wszedł do winiarni i stanął w drzwiach rozglądając się po lokalu. Właśnie pomagała swojemu szefowi wyciągać korki i nalewać wino, więc mogła tylko pomachać mu ręką. Wtedy podszedł, spojrzał na nią dziwnie, wziął szklanki do obu rąk i powiedział: „Burgund i burgund?“, po czym odszedł porozmawiać z innymi gośćmi. Sally przez godzinę nie zamieniła z nim ani słowa, a potem znów zbliżył się mówiąc: „Chodź do mnie na pół godzinki, to porozmawiamy“, i oto teraz znajdowała się w tym uroczym zabałaganionym pokoju z Leonem, który chciał się z nią kochać. I ona też tego chciała.

- Muszę pomyśleć - powiedziała. Leo wstał z klęczek. - Idę poszukać kawy w mojej diabelskiej kuchni.
- Sally poszła za nim i zatrzymała się w drzwiach, podczas gdy Leo zaglądał to tu, to tam, szukając kubków, łyżeczek i dzbanka na kawę.
- Leo, nie mogę wytłumaczyć sobie swojego zachowania. Czy jestem jeszcze jedną znudzoną żoną, której mąż nigdy nie bywa w domu i który często jest mi niewierny? A ty, czy jesteś po prostu samotny?
- To niepodobne do ciebie, tak mówić.
- Ale przecież nie wiesz, jaka jestem! Nie możesz...
- Mogę i wiem wystarczająco dużo, by widzieć w tobie chłód i odwagę, które mnie zbijają z tropu. Jesteś też nieprawdopodobnie atrakcyjna
- Ty też.
- To już lepiej - powiedział Leo.

- Nie chciałam, żeby to brzmiało tak, jakbym użalała się nad sobą -stwierdziła o wiele spokojniejszym tonem. - Ale to wszystko mnie drażni i męczy.

- Nie dziwię się. Podał Sally kubek.

- Opowiedz mi o Alanie.

- Naprawdę chcesz? To chyba nic ciekawego. Po prostu już go nie lubię. Nie mamy sobie nic do powiedzenia i nic wspólnego, oprócz Henry'ego.

- A więc?

- Więc przez cały ostatni rok dość często przychodziło mi na myśl, że nie chcę już tego ciągnąć. Czasami zastanawiam się, czy życie może mi dać tylko tyle.

Leo poprowadził Sally do sofy i usiadł obok niej.

- Czy miałaś romans z kimś innym?

- Od chwili ślubu z Alanem? Nie.

- No więc - powiedział Leo nie ruszając się - teraz będziesz miała.

- Decyzja należy nie tylko do ciebie. Leo pochylił głowę.

- Ty ustalisz tempo. Czy nie widzisz? Chcę robić to, co ty chcesz, ale i to, czego ja chcę.

- Nigdy w życiu nie doszłam z nikim tak daleko w tak krótkim czasie.

- Ani ja.

- Ale byłeś żonaty, prawda?

Leo wstał i wziął album spod magazynów. Sally poszła za nim. Leo otworzył album i podał go jej.

- To ona.

- Co się stało?

- Rozpaczliwie pragnąłem, żeby za mnie wyszła, a gdy już się pobraliśmy, okazało się, że to beznadziejne. Tak naprawdę nigdy jej nie lubiłem, po prostu byłem zrozpaczony. - Teraz też jesteś zrozpaczony?

- Nie - odparł. - Jestem niewymownie szczęśliwy. - Zabrał album, objął Sally i pocałował. W tym momencie Alexander, który zastał dom otwarty, zastukał raz w drzwi bawialni i wszedł nie czekając na odpowiedź.

Sally próbowała się uwolnić, ale Leo ją przytrzymał. - Alexander - powiedział ledwo dosłyszalnym głosem.

- Proszę - szepnęła Sally i Leo ją puścił. Przeszła szybko przez pokój, powiedziała „Dobranoc, panie Troy” i wysliznęła się do holu.

- Co ty robisz? - spytał Alexander.

- Zbyteczne pytanie.

- To matka jednego z chórzystów - powiedział Alexander podchodząc do Leona. - Czy zdajesz sobie z tego sprawę? Oboje, i ty, i ja, ponosimy odpowiedzialność za Henry'ego Ashwortha. Czy ty w ogóle nie myślisz?

- Myślę. O niej i o sobie.

- Och, Leo, Leo.

- Po co przyszedłeś?

- Chciałem porozmawiać.

Leo westchnął, położył rękę na ramieniu Alexandra i podprowadził go do sofy.

- Porozmawiajmy o wszystkim, o czym chcesz, oprócz Sally Ashworth.

- Leo, to nie może trwać, musisz zrezygnować.

- Nie.

- Od jak dawna ją znasz?

- Dwa dni.

- Więc...

- Nie, Alexandrze.

Poszedł do kuchni po butelkę wina, którego Sally nie chciała pić, i wrócił do bawialni niosąc jeszcze dwie szklanki i korkociąg.

- Leo, dopiero co wygrzebałeś się z poprzedniego skandalu. - To nie jest skandal.

- Wydaje ci się, że ją kochasz?

- Myślisz, że powiem ci coś, czego nawet jej jeszcze nie powiedziałem? - W głosie Leona słychać było gniew. - Nie masz żadnej władzy nad miłością. W powietrzu zawisło między nimi nie wypowiedziane imię Felicity.

- Nie chcę się z tobą kłócić - odezwał się prosząco Alexander.

- Obawiam się, że to wino nie jest nadzwyczajne - stwierdził Leo podając Alexandrowi szklankę.

Przez chwilę pili w milczeniu. Potem Alexander zaczął mówić o planach Rady Miejskiej dotyczących domu i o popołudniowym spotkaniu z dziekanem, a Leo uznał, że jest wdzięczny losowi za to, że nie musi się mieszać do polityki tumu.

- Ale czy tego chcesz, czy nie, możesz być w nią wmieszany.

- Dlaczego?

- Czuję, że krąży nad nami jakaś burza.

Leo powstrzymał się od powiedzenia, że to może być osobista burza Alexandra.

- Och, zawsze coś się dzieje. Jakieś burze w szklance wody - pocieszył go. - Jak na przykład sprawa zatrudnienia mnie.

Alexander wstał.

- Muszę już iść.

- Chyba nie powiedziałeś, z czym tu przyszedłeś.

- Poszło nie tak, prawda?

- Lepiej powiedz - zaproponował Leo. - Jeżeli już muszę kiedyś tego wysłuchać, niech to będzie teraz.

- Przyszedłem - rzekł Alexander - po trochę balsamu na moje rany. Ale z tego, co przed chwilą mówiłeś, wnoszę, że to ostatnia rzecz, którą tu dostanę...

- Myślisz o Felicity?

- Tak.

Leo położył na chwilę rękę na ramieniu Alexandra.

- Przykro mi, że tak się stało, ale nie mogę ci pomóc. Mogę tylko mieć gorącą nadzieję, że wróci.

- Jeżeli nie wróci, pojedę jej szukać.

- Alexandrze...

- Jest moją żoną. Jesteśmy związani nierozzerwalnym węzłem. Nie mogę tak po prostu pozwolić jej odpłynąć.

- To samodzielna istota ludzka.

- Każdy jest samodzielną istotą ludzką. Ale ona jest moją ukochaną żoną. Jest ogromna różnica między daniem komuś odrobiny wolnej przestrzeni a zostawieniem go na pastwę samotności i lęku. Właśnie do tego służy małżeństwo: by chronić przed tym.

- A jeśli małżeństwo wystawia cię na pastwę samotności i lęku? - spytał Leo myśląc o Sally.

- Trzeba wołać o pomoc.

- I to właśnie robi teraz Sally Ashworth.

- Ale nie woła do swojego męża - stwierdził z naciskiem Alexander.

- Nie słuchałby.

- Albo może ty słuchasz chętniej i z większym wyczuciem?

- Ty kochasz Felicity, podczas gdy Sally i Alan się nie kochają. Chcesz kawy?

Alexander odmówił.

- Judith i ja przestaliśmy się kochać. Nie chcieliśmy tego, ale tak się stało. Ty, chociaż w tej chwili czujesz się nieszczęśliwy, jesteś jednak szczęśliwym człowiekiem, mogąc kochać kogoś tak, jak kochasz Felicity.

- Wiem. Chyba nie poddałbym się, nawet gdybym przestał ją kochać. O Boże, co za głupia rozmowa. Mówiąc o miłości myślimy o tylu rzeczach, tak bardzo pełnych znaczenia i rozmaitych, że zawsze musi istnieć coś, co pomoże małżeństwu przetrwać.

- Nie - odparł Leo. - Niekoniecznie. Ale chciałbym, żebyś miał rację. - Wierzę w małżeństwo.

- Nie pouczaj mnie - powiedział Leo podniesionym głosem. Alexander ruszył w stronę wyjścia i otworzył drzwi do holu.

- Na dobre i na złe... - Co za piękne wyjście - zauważył jadownicę Leo.

- Tani dowcip.

Przypatrywali się sobie przez długość zabałaganionego pokoju.

- Jesteś wspaniałym facetem - odezwał się po chwili Leo - ale dziś nie mogę cię znieść.

- Wyjąłeś mi to z ust - odparł Alexander wychodząc na dwór.

Gdy Alexander wyszedł, Leo zadzwonił do Sally. Była bardzo spokojna.

- To taki dobry człowiek. Chyba był przerażony. Czy robił ci wymówki?

71

- Nie. Ale prosił, żebym przestał się z tobą spotykać.
 - I co?
 - Odmówiłem.
 - Och - westchnęła Sally i zaraz spytała: - Czy mówił coś o Henrym?
 - Tak.
 - Leo...
 - Sally, nie mam swoich dzieci, ale spędzam z dziećmi dużo czasu. Wydaje mi się, że nie możesz żyć tylko dla nich, bo wtedy nie będą potrafiły ułożyć sobie własnego życia. Jeżeli tobie sprawy układają się dobrze, im też będzie lepiej.
 - Wiesz, że podziwiam Henry'ego tak samo mocno, jak go kocham.
 - Ja też podziwiam Henry'ego, tak samo mocno, jak go lubię. A ciebie kocham.
 - Nie możesz wiedzieć...
 - Mogę - odparł Leo. - Kocham cię - powtórzył i odłożył słuchawkę. Trzy minuty później zadzwonił jeszcze raz.
 - To samo będę mówił, gdy już spędzimy razem noc, tyle że częściej.
 - Leo, nie próbuj zawrócić mi w głowie.
 - Nie potrafisz wyobrazić sobie, jaką ulgę odczuwam - powiedział Leo z nagłą energią - gdy wreszcie cię znalazłem, a przecież nawet nie wiedziałem, że to ciebie właśnie szukam. Zadzwonię jutro.
- Sally odłożyła słuchawkę i zgasiła lampkę nocną. Słyszała, jak na ulicy ktoś kopie po bruku pustą puszkę. Przy jej kolanach Mozart kręcił się, zmieniał ułożenie i usypiająco mrucał. W swoim pokoju Henry na pewno leżał dokładnie tak samo jak w chwili, gdy poszła go pocałować na dobranoc, zwinięty pod kołdrą, niepomny jej ani niczego innego, całkowicie zatopiony w sobie. Z poczuciem szczęścia i wielkiego spokoju zapadła w sen.

6

Dziekan poinformował zebraną w pilnym trybie Kapitułę, że remont dachu katedry będzie kosztował co najmniej ćwierć miliona funtów. Parapet, na którym stoi balustrada, jest poważnie uszkodzony, co zagraża bezpieczeństwu. Tak więc całe odcinki parapetu muszą być jak najszybciej wymienione, a reszta naprawiona. Największe uszkodzenia powstały u podstawy słupków balustrady, gdzie miękki kamień został wypłukany i po każdym deszczu w zagłębieniach pozostawały ogromne ilości wody. Przez lata, na długich odcinkach w południowej i zachodniej części dachu, woda przeciekała do ścian nawy. Jedynym sposobem przeprowadzenia naprawy byłoby zdjęcie pokrycia dachu, wyrównanie wiązania, wymiana wręgów i remont całego parapetu i balustrady. Remont dachu potrwa rok, a prace kamieniarskie jeszcze dłużej. Katedra ma na to jakieś pięćdziesiąt tysięcy funtów, reszty trzeba szukać gdzie indziej.

Jeden z kanoników zaproponował zorganizowanie zbiórki pieniędzy. Dwaj inni jednocześnie przypomnieli, że jeszcze nie skończono zbiórki na renowację organów i ludzie niechętnie wpiszą się na obie listy. Dziekan chciał opowiedzieć o ofercie Franka Ashwortha dotyczącej kupna domu dyrektora szkoły, ale z jakiejś niepojętej dla niego samej przyczyny przemilczał ją. Potem pomyślał, że jednak nie można dopuścić, by taki klejnot architektury przeszedł spod władzy kościelnej w ręce Rady Miejskiej, więc lepiej nie rzucać kanonikom tak nęcącej przynęty.

Między kanonikami podniósł się gwar. Jeden proponował, by ograniczyć wydatki diecezji na szkolnictwo i przeznaczyć zaoszczędzone w ten sposób pieniądze na naprawę dachu; najwyraźniej chciał sprowokować kolegę kanonika odpowiedzialnego za szkolnictwo w diecezji. Inny zasugerował zmniejszenie środków wysyłanych misji dla umierających w Kalkucie, która to sprawa, jak wszyscy wiedzieli, była szczególnie droga sercu biskupa, a trzeci, podejrzewając, że dziekan już szukał pieniędzy na nowe oświetlenie w Fundacji Zabytkowych Kościołów, spytał, czy można zwrócić się do tej instytucji o pomoc.

Hugh Cavendish patrzył na nich pogodnie. Jego wyjazd do Croxton okazał się owocny, a przyjęcie z winem i serem pochlebilo mu, gdyż zgromadzeni wychwalali pod niebiosa jego pełną miłości troskę o katedrę. Teraz pochylił się do przodu i położył złożone ręce na stole, przy którym obradowały już dziesiątki generacji kanoników Aldminsteru.

- Panowie. Mam nadzieję, że mi wybaczycie, ale mam plan, który muszę jeszcze przemyśleć, zanim was o nim powiadomię. Na następnym zebraniu chyba będę już mógł przedstawić propozycję zaradzenia ciężkiemu położeniu, w jakim się teraz znajdujemy.

- Stary lis - powiedział później kanonik Ridley do kanonika Yeatsa, pomagając mu schodzić po kamiennych stopniach na dziedziniec.

-Coś kombinuje. Gdy przyjmuje tak majestatyczną postawę, wprost słyszy się, jak w jego mózgu obracają się kółka, zupełnie jak w Małym Budowniczym.

- Chodzą plotki - odparł zadyszany kanonik Yeats, próbując jednocześnie trzymać się balustrady, nieść kule i schodzić ze schodów - że będziemy sprzedawać dom dyrektora szkoły. Przyniosłoby to sporo pieniędzy.

- Nie wierz w te pogłoski. Dziekan nigdy by się nie zgodził na sprzedaż któregośkolwiek budynku, a już szczególnie tak cennego. Prędzej sprzedałby nas, gdybyśmy mieli jakąkolwiek wartość. Zjesz ze mną lunch przed wyjazdem?

Frank Ashworth wcale nie był zdziwiony, gdy dziekan poprosił go

o rozmowę, natomiast był ciekaw, dlaczego dziekan chce, by ta rozmowa była prywatna. Tak więc któregoś wieczoru, gdy piękny zachód słońca oświetlał brzoskwiniowym blaskiem dźwigi w porcie, nadając im wygląd fantastycznych bocianów, dziekan przyjechał do kamienicy przy ulicy Tylnej

i brzydka winda obita plastikiem zawiozła go na najwyższe piętro.

- Nie miałem pojęcia, że ma pan stąd takie widoki.

- Mieszkam teraz dwadzieścia metrów nad miejscem, w którym się wychowywałem.

Dziekan podszedł do okien wychodzących na ostro zarysowane w zachodzącym słońcu domy, i na kopułę katedry.

- Nigdy jej stąd nie widziałem. Jest wspaniała.

- Słyszałem, że w najbliższym czasie będę stąd widział rusztowania.

- Obawiam się, że tak - odparł dziekan. - Oczywiście będziemy się starać, by prace szły jak najszybciej.

- Panie Cavendish, czy mogę pana poczęstować whisky? Niestety nie mam sherry.

- Chętnie troszeczkę wypiję. Dziękuję. Widzę, że pan kolekcjonuje książki.

- Od zawsze. Ale Niestety synowi nie przekazałem tego upodobania. Nie warto więc, bym mu je zapisywał w testamencie.

- A wnukowi? - Dziekan podniósł szklanę. - Na zdrowie, panie Ashworth.
 - Ach, Henry... - Głos Franka złagodniał.
 - To, z czym przyszedłem do pana, jest w pewien sposób związane z Henrym.
- Frank poprosił dziekana, by usiadł. Fotele, obite ciemnobrązową skórą, z poduchami z brązowego pluszu, były bardzo wygodne. Z otchłani swojego siedziska dziekan powiedział:
- Chciałbym wiedzieć, co pan myśli o chórze, zwłaszcza pamiętając pana opinię, że tum jest niedostępny dla mieszkańców miasta.
- Frank spojrział na dziekana podejrzliwie.
- Moje uczucia co do chóru są takie same, nawet jeżeli jestem dumny z Henry'ego. Jednak czuję, że on miał szansę, której chłopcy z miasta są pozbawieni.
 - Przecież mamy stypendystów...
 - Wiem. Ale oni nie są kształceni w muzyce. Ich rodzice nie potrafią im pomóc, albo po prostu nie mają na to pieniędzy.
 - Czy, według pana, chór powinien istnieć?
 - Czy powinien istnieć? - Frank powtórzył pytanie.
 - Myśli pan, że powinniśmy mieć chór? Frank był zakłopotany.
 - Bez muzyki katedra wiele straci.
 - Mamy wspaniałe organy. Ale teraz mówię o chórze - podkreślił dziekan.
 - Gdyby przestał istnieć, byłaby to wielka strata. Utracilibyśmy część historii miasta.
- Dziekan poprawił się w krześle.
- Czy, gdyby z jakiegoś powodu Kapituła i katedra nie mogły nadal ponosić kosztów istnienia chóru, Rada Miejska byłaby zainteresowana jego finansowaniem? W takiej sytuacji dostęp do chóru stałby się bardziej demokratyczny.
 - Trudno mi powiedzieć - odparł z namysłem Frank - czy Rada chciałaby lub mogła wziąć na siebie finansową odpowiedzialność. Wydaje mi się jednak, że większość radnych z przykrością widziałaby likwidację chóru. Ue to was kosztuje?
 - Pięćdziesiąt do sześćdziesięciu tysięcy rocznie.
 - Więc gdybyście się pozbyli chóru, naprawa dachu katedry mogłaby być splanona w ciągu czterech czy pięciu lat?
 - Tak - potwierdził dziekan. - Widzi pan, stoję przed wyborem między historyczną budowlą a muzyczną tradycją. A budowla wydaje mi się o wiele ważniejsza.
 - Nie musi pan wybierać - powiedział Frank obracając w rękach szklanę. - Może pan sprzedać nam dom dyrektora szkoły i tymi pieniędzmi od razu zapłacić za naprawę dachu.

- Musiałbym się nad tym zastanowić, ale katedra jest najważniejsza.
- Nie wiem, czy dobrze pana rozumiem. Proponuje pan likwidację chóru. Oszczędzi pan w ten sposób około pięćdziesięciu pięciu tysięcy funtów rocznie. Ale i tak potrzebuje pan przynajmniej propozycji wsparcia ze strony Rady Miejskiej, by wziąć górę nad tymi, którzy pana krytykują. A do tego musi pan mieć pewność, że Rada kupi dom dyrektora szkoły.
- Satn pan powiedział - rzekł dziekan - że potrzebujemy pieniędzy.
- Czekaj pana ostra walka.
- Wiem - przyświadczył dziekan.
- Nie mogę obiecać wsparcia.
- Ale będzie pan próbował? - upewniał się dziekan.
- Pomyślę o tym.

Gdy dziekan wyszedł, Frank podszedł do okna i długo tam stał przyglądając się wzgórzom. Hughowi Cavendishowi nie zależało na niczym prócz katedry. Znaczyła dla niego tak wiele, że nie można było wierzyć, iż dotrzyma danego słowa, gdyby miało ono w jakikolwiek sposób przynieść katedrze szkodę. Ale było w nim jeszcze coś więcej niż widoczna miłość do katedry. Frank wiedział, że w grę wchodzi również władza Dziekana pożądaną władzą nad tumem. To było jego królestwo. Jeżeli istniały w nim elementy, które nie chciały poddać się jego władzy, musiał się ich pozbyć. A takim elementem był chór, ze względu na Alexandra Troya i Leona Beckforda, a także, paradoksalnie, z powodu rosnącej rangi muzycznej, która dała śpiewakom popularność, a zatem i większą niezależność. Dziekan nie pogodził się z tym; niezależność miała dla niego posmak rebelii. Dziwne, by człowiek o jego statusie społecznym aż tak się bał opozycji, że reagował chęcią odrzucenia lub nawet zmiążdżenia opozycjonistów. Frank zachichotał. Parę lat w Radzie Miejskiej nauczyłoby dziekana, jak sobie radzić z opozycją. A jeśli chodzi o jego własne uczucia, Frank wierzył w swoją bezstronność, chociaż odczuwał leciutki dreszczyk na myśl, że przyczynia się do likwidacji chóru. Z wewnętrznym lękiem myślał o staniu przed Sally, a zwłaszcza przed Henrym. Ale jeżeli dziekan dotrzyma słowa i dom w tumie miałby pomóc w realizacji jego, Franka, marzenia, czyż nie będzie to słuszny wybór? Henry został wychowany tak samo, jak matka wychowała Alana, w poczuciu nieusprawiedliwionych przywilejów, ale Henry ma więcej rozumu niż Alan i lepszy charakter, więc zrozumie słuszność tego, co się dokonuje. A jeżeli da się utrzymać chór, chociaż raczej dla chłopców z miasta niż dla uczniów King's School? Czyż wtedy nie uzyska wszystkiego, do czego dążył?

Frank przeszedł przez pokój, zebrał ze stołu szklanki i zaniósł je do swojej małej, czystej kuchni. Przez chwilę patrzył na szklankę dziekana, aż powiedział głośno, ale bez specjalnej złości: stary krętacz.

Dwa dni później, po porannej komunii, dziekan zatrzymał Alexandra wychodzącego z kaplicy Matki Boskiej.

- Ach, Troy. Spodziewałem się, że pana tu zastanę. Mam dobre nowiny.

Alexander podczas mszy klęczał słuchając skrzeku mew kołujących nad wieżą w ten letni poranek i z wyjątkową mocą chłonał atmosferę katedry. Teraz zwrócił ku dziekanowi twarz, na której jeszcze malowały się tamte odczucia, i powiedział, że go to cieszy.

- Na początku tygodnia złożyłem wizytę Frankowi Ashworthowi -oznajmił dziekan podchodząc poufale do Alexandra tak blisko, że dotykał go fałdami sutanny - i myślę, że przynajmniej na razie udało mi się oddalić pomysł zakupu domu.

- To wielka ulga, ale jak...

- Odwróciłem jego uwagę, proponując mu do przemyślenia coś innego. Mam nadzieję, że to pana uraduje.

- Dziekanie, cieszę się bardziej, niż może pan sobie wyobrazić. Rozmyślanie nad tym, co może się zdarzyć, bardzo mnie przygnębiało.

- Podzielim to uczucie. Wie pan, jak cenię budynki tumu. I bardzo mi zależy na tym, by kroki, które ewentualnie podejmiemy w celu - jak by to powiedzieć - uczynienia tumu bardziej dostępnym dla mieszkańców miasta, były słusznymi krokami. Sprzedaż architektonicznego klejnotu nie wydaje mi się słusznym posunięciem. Ale, oczywiście, jestem stronnicy - uśmiechnął się do Alexandra - i przyznaję się do tego.

Alexander, czując, że musi okazać się uprzejmy i jakoś zareagować na takie wyznanie, powiedział, że jest mu przykro z powodu kosztów i kłopotów spowodowanych naprawą dachu.

- I tę sprawę też chyba uda mi się załatwić - uspokoił go Hugh Cavendish. - To część umowy, jaką zawarłem z Frankiem Ashworthem, by ocalić pański dom. Nie muszę chyba mówić, ile rocznie kosztuje nas chór. W rozmowie z Ashworthem rzuciłem pomysł, by chór został przejęty przez Radę.

Alexander zatrzymał się i położył rękę na ramieniu dziekana. Przy południowych drzwiach stała grupka duchownych, którzy też uczestniczyli w porannej komunii. Zatrzymali się na chwilę pogawędki, zanim rozejdą się do codziennych zajęć.

- Mówi pan...

- Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie. Niech mi pan wierzy, nie chcę stracić naszych małych śpiewaków, ale pewne sprawy mają pierwszeństwo.

- Nie - powiedział głośno Alexander. - Nie.

- Mój drogi Troy...

- Sugeruję pan, że rozwiążemy chór, aby opłacić remont dachu?

- Jak mówię, mam nadzieję, że do tego nie dojdzie. O, jest biskup. Jedź dzisiaj do Londynu i muszę przedtem z nim porozmawiać.

Przepraszam. Oczywiście będę pana informował o rozwoju sytuacji...

Gdy pięć minut później Leo Beckford przyszedł na próbę chóru, zastał Alexandra stojącego w drzwiach jak posąg.

- Dobrze się czujesz?

- Ciągłe mnie o to pytasz.

- Nie wyglądasz najlepiej.

- A jak ty byś wyglądał? - rzucił gwałtownie Alexander. - Gdyby ci właśnie powiedziano, że chór katedry w Aldminsterze, założony przez niczszego anglikańskiego biskupa miasta dla odśpiewania mszy za duszę króla w 1535 roku, zostanie rozwiązany przez dziekana Kapituły i oddany Radzie Miejskiej, bo trzeba zapłacić za naprawę dachu?

W jakiś sposób Alexandrowi udało się przetrwać zebranie, rozmowę z emerytowanym fabrykantem z Aldminsteru pragnącym sfinansować nową podłogę w sali gimnastycznej, następną rozmowę z Rogerem Farrellem, który trenował lekkoatletów i złożył formalną skargę na organistę uniemożliwiającego chłopcom z chóru uczestnictwo w treningach, pół godziny pisania listów, rozmowę telefoniczną z kuratorem szkolnym, i lekcję łaciny z klasą A, której tematem był Tacyt. Dopiero wtedy mógł poświęcić uwagę temu, co powiedział dziekan. „Nie przejmuj się” - pocieszył go Leo wcześniej - „to tylko element kościelnej polityki. Nie może ruszyć chóru, który został założony na mocy królewskiego dekretu”. Poklepał Alexandra po ramieniu, co teraz wydało mu się protekcjonalnym gestem, i poszedł w kierunku północnego transeptu nieprzyzwyczajenie lekkim krokiem.

Pewnie miał rację. Do odwołania królewskiego dekretu potrzeba było uchwały parlamentu. Ale żaden immunitet królewski nie mógł ochronić chóru przed subtelną destrukcją i lekceważeniem skrywającymi się pod propozycją dziekana. Rada miałaby finansować chór! A gdyby musiała sięgnąć do swoich zasobów, w sposób naturalny przejęłaby kontrolę nad szlachetną tradycją chóralną, której oczywiście nie rozumie.

- Kawy? - spytała Sandra stojąc w drzwiach. Alexander odmówił.

- Panie dyrektorze, jest tu Nicholas Elliott. Prosił o chwilę rozmowy, a ponieważ jest pan wolny do lunchu, pozwoliłam mu poczekać, ale przykazałam, żeby się streszczał...

Znów wyglądała tak, jakby się nad nim litowała. Alexander miał ochotę ją uderzyć. Była przepelniona romantycznymi złudzeniami i choć usiłowała rozumieć ludzi, nie potrafiła pojąć jego cierpienia. Zdobywając się na wielki wysiłek przepowiedział sobie w myśli litanię jej zalet, uśmiechnął się tak promiennie, jak tylko potrafił i powiedział, że z przyjemnością zobaczy się z Nicholasem. Nicholas miał na sobie dzinsy i wypłowiały granatowy sweter z białym napisem „Precz z bronią jądrową” biegnącym przez pierś.

- Przepraszam, że panu przeszkadzam, sir, ale czuję, że powinienem wyjechać i nie wiem...

- Siadaj - zaprosił go Alexander. - Obawiam się, że trochę o tobie zapomnieliśmy. Ale byłeś niezwykle użyteczny. Boiska nie wyglądały tak dobrze od lat.

- Mogłem zrobić przynajmniej tyle. Jednak naprawdę nie mogę tak dłużej dryfować. Zaczynam odczuwać depresję i chyba wiem, co chciałbym robić.

- To dobrze - powiedział serdecznie Alexander.
- Chcę wrócić do muzyki.
- Tak? Doskonale. A w jaki sposób?
- No właśnie. Z tym jest kłopot. Nie wiem, z kim miałbym porozmawiać...
- Chcesz śpiewać?
- Och nie - zaprotestował szybko Nicholas. - Nie jestem dość dobry. Wcale nie jestem w tym dobry.
- Rozmawiałeś z panem Beckfordem?
- Nie. Jest taki zajęty i...
- Chcesz, żebym ja z nim porozmawiał?
- Och, zrobiłby to pan?
- Ma w mieście mnóstwo kontaktów. Może coś ci znajdzie. Chyba nudno ci w infirmerii.
- Trochę.

Telefon zadzwonił i Sandra spytała, czy ma odebrać.

- Tak, dziękuję. - Alexander odwrócił się do Nicholasa. - Obawiam się, że teraz już musisz iść, ale nie zapomnę o twojej sprawie.
- W pokoju nauczycielskim, po lunchu, John Godwin, który był kaleką, roztronym człowiekiem, i nauczycielem historii w King's School od trzydziestu lat, poklepał fotel obok siebie, wskazując Alexandrowi, by usiadł.
- Panie dyrektorze, przykro mi, bo wiem, dlaczego pan tak wygląda. Alexander ciężko usiadł.
 - Poczta pantoflowa zadziałała?
 - Pewnie jeden z kościelnych coś usłyszał. Okropni starzy plotkarze. Alexander spojrzął po zatłoczonym pokoju.
 - Wszyscy już wiedzą?
 - Obawiam się, że tak. Przycichli, gdy pan wszedł. Alexander westchnął.
 - Może mi pan udzielić jakiejś rady? Wyobrażam sobie, że oddziały Farrella ustawiły się pod sztandarami dziekana?
 - Ich zapal przygaśnie, gdy minie pierwsze podniecenie i zdadzą sobie sprawę, że nasza ogólnie uznawana renoma zniknie razem z chórem. W każdym razie jest dekret królewski. Wydaje mi się, że mówiono kiedyś o tym, jak to w dziewiętnastym wieku dziekan chcąc powiększyć swój dochód zamierzał sprzedać chór, ale okazało się, że dekret tego zabrania. Niech pan sprawdzi w archiwum.
 - Ale i tak przykro mi, że nauczyciele nie są po mojej stronie.
 - Proszę się nie przejmować. - John Godwin uśmiechnął się i chwycił kule przygotowując się do wstania. - Gdy będą musieli wziąć stronę szkoły albo Kapituły, cały ten krzyk ustanie. Groźba inwazji zawsze podsycy patriotyzm. - Godwin wstał i jeszcze dodał: - Farrell jest zręcznym agitorem, ale w końcu nie należy do naukowego grona. Niech pan sprawdzi w archiwach, a potem przeczyta dekret na zebraniu.

- Dziękuję, John.

- Proszę mi nie dziękować. To ja się cieszę, że mnie pan wysłuchał.

Gdy odszedł, Alexander zebrał się w sobie i podszedł do grupki otaczającej Rogera Farrella, który, w niepokalanie czystym dresie, mówił o mistrzostwach lekkoatletycznych juniorów hrabstwa. Alexander rzucił kilka obojętnych uwag i wtedy Farrell powiedział głośno:

- Panie dyrektorze, słyszałem, że szkoła nareszcie zostanie przeciągnięta w dwudziesty wiek. Gdyby pan mnie pytał, powiedziałbym, że najwyższy czas.

- Wszystko, o co pana proszę, Farrell - powiedział ostro Alexander -to odrobina lojalności. I pan o tym wie.

W tym momencie w całym pokoju zapadła cisza i Alexander ledwo zdołał dojść do drzwi, zanim poddał się nieopanowanemu drzeniu. Tego dnia próba chóru odbywała się po lekcjach. Leo będzie na górze, w sali prób, z dwudziestoma czterema śpiewakami ćwiczącymi przed nieszporymi. Ta myśl stanowiła ogromną pociechę. Tak jak zawsze, była sama katedra, tajemnicza w świetle późnego popołudnia, niepokonana, bezosobowa, ale ofiarująca schronienie każdemu potrzebującemu. Alexander, przebrany już na nieszpory, uitorował sobie drogę między szepczącymi turystami - jego widok w bogatych liturgicznych szatach zawsze powodował poruszenie - i poszedł do drzwi w północnym transepcie, prowadzących do sali prób.

- Wooldridge! - rozległ się gniewny głos Leona.

- Przepraszam, sir, przepraszam, nie zauważyłem zmiany klucza. Alexander stanął w cieniu i słuchał. Ireland*.

Nuty spadały jak zimne szklane krople.

- Miętko, miętko przy „Święte jest Imię Jego”.

Alexander oparł policzek o chłodny antyczny kamień. Miał ogromną ochotę zapłakać. Święty Paweł wiedział dużo o muzyce i o Bogu. Wspólnie śpiewajcie Panu - mówił pierwszym chrześcijanom. Nie ma nic potężniejszego niż muzyka, bardziej łączącego, nic nie działa na modlących się ludzi tak jak muzyka, jak głos trąbki wzywającej: „Wspinajcie się na wyżyny, chodźcie do Mnie”.

- Czy na pewno potrafisz czysto zaśpiewać fis?

Haendel napisał „Mesjasza”, bo chciał, by ludzie byli lepsi. Tak powiedział. Gdy komponował „Alleluja”, wydawało mu się, że widzi Niebo. A jaki kompozytor, wynajęty przez świecką radę miejską, której troski dalekie były od tej wizji, potrafiłby tak stworzyć?

Duchowa moc muzyki, którą słyszał z sali ponad sobą, spadła na Alexandra jak wszechogarniająca fala. Tu było zbawienie, pokarm zaspokajający ludzkie łaknienie religii.

♦John Ireland (1879-1962), brytyjski kompozytor, zasłużony w dziele angielskiego muzycznego odrodzenia (przyp. tłum.)

Ostatnie nuty ostatniego „Amen”.

- Jesteście zmęczeni - powiedział Leo. - Cały ten krykiet...

- Lubimy go, proszę pana.

- Ja też go lubię. Ale, Ashworth, nie lubię, gdy potem jesteś zbyt senny, by przewracać strony śpiewnika.

Alexander otworzył drzwi. Chłopcy wyprostowali się z szacunkiem.

- Możecie już iść się przygotować. Macie co najmniej dziesięć minut. -Przeszedł przez zakurzoną salę do pianina, przy którym siedział Leo w starej sztruksowej marynarce, z wyprostowanymi plecami i rękami ciągle jeszcze na klawiaturze.

^ Nie powinienem rano tak cię potraktować - powiedział. - Miałaś rację. To okropny plan.

- Musimy o tym porozmawiać. Stałem na schodach i słuchałem...

- Nie wypadliśmy dziś najlepiej. Śpiewali nierówno.

- Leo, przywilej posiadania tej muzyki, to, czego ona może dokonać jak żaden inny przejaw ludzkiej działalności...

- Nie musisz mi tego mówić.

- Będę walczył wszelkimi sposobami - uniósł się Alexander.

- Ja też. Pomyśl, że mogę skończyć jako pracownik Rady Miejskiej! Wyobraź sobie rozmowę o muzyce chóralnej prowadzoną w ratuszu. - Leo wstał i zaczął byle jak wpychać nuty do teczki. - Słuchaj, muszę iść, nie jestem jeszcze ubrany...

- Pójdę z tobą. Myślałem, że dziś gra Martin Chancellor.

- Gra. Ale chcę go posłuchać. Mamie nam wychodzi „Nunc dimittis” i on chce dziś spróbować coś nowego.

- Leo, chciałbym, żebyś przyjął na jakiś czas Nicholasa Elliotta do domu. Leo zamarł z otwartą teczką w rękach.

- O Boże, biedny chłopak. Całkiem o nim zapomniałem. Ciągle jeszcze koczuje w infirmerii?

- Tak. I mówił, że chciałby znaleźć pracę związaną z muzyką.

- Ma doskonały słuch - powiedział Leo zamykając teczkę - i dobre wyczucie muzyczne. Gdyby tylko nie był taki bezwolny.

- Może byłby inny, mając jakieś konkretne plany. Leo uśmiechnął się.

- Jak służenie mi za przyzwoitkę, co? Jasne, niech pomieszka u mnie. Może trochę posprząta. Ale to nic nie zmieni. Nawet gdybym mógł się spotykać z Sally wyłącznie w publicznej czytelni, też nic by się nie zmieniło.

- Leo, błagam cię, przemyśl wszystko raz jeszcze. To może prowadzić tylko do nieszczęścia dla wszystkich, a już zwłaszcza dla chłopca.

- Pilnuj swoich spraw - powiedział szorstko Leo, szybko przeszedł obok Alexandra i trzasnął drzwiami, pozostawiając za sobą wirujące w powietrzu kłęby kurzu.

Stalla dyrektora szkoły często była dla Alexandra schronieniem. Zapewne jego poprzednicy przez prawie pięćset lat również szukali tu spokoju. Miał stąd wspaniały widok na organy, a muzyka ogarniała go jak przyływ morza. Chórzyści, stojący dokładnie przed nim, zawsze na początku nabożeństwa byli głęboko świadomi jego obecności, ale gdy zaczynali śpiewać, zapominali o nim i mógł patrzeć z zachwytem i czułością, które zawsze w nim budzili. W ich skupieniu było tyle godności. „Chłopcy to kochają” - mówił często Leo - „kochają śpiew”. Trzy lata temu, przy niechętniej zgodzie dziekana i Kapituły, Alexander zwolnił ich na Boże Narodzenie, bo czuł, że przynajmniej raz powinni spędzić święta z rodzinami. W następnym roku błagali go, by mogli zostać. Alexandra często uderzało, że lubią, gdy ludzie spodziewają się po nich dorosłego zachowania, a ich entuzjazm dla muzyki był dla nich tak naturalny jak oddychanie. „Cudowne” - napisała pewna gazeta o ich oddaniu; sami uważali, że to normalne.

Archidiakon, spoglądając przez grube okulary jak stary borsuk, podszedł do ołtarza, by zacząć nabożeństwo. Letnie nieszpory nigdy nie miały tej tajemniczej atmosfery co zimowe, gdy lampy paliły się tylko przy stallach chóru, a głosy wznosiły się w cichy mrok katedry, ale i tak były to wzruszające chwile. Alexander wstał. Chłopcy i świeccy śpiewacy czekali przed nim, biało-niebiescy na tle ciemnych organów. Trzecim chłopcem od lewej był Henry Ashworth, którego matka miała romans z Leonem. Może muzyka, tak silnie działająca na wrażliwego chłopca, osłabi wstrząs, gdy prawda o związku matki z organistą i chórmistrzem wyjdzie na jaw. Instynktownie, kierowany uczuciami, Alexander uderzył pięścią w otwartą dłoń drugiej ręki i napotkał karcące spojrzenie zza grubych okularów.

.Jeżeli mówimy, że nie mamy grzechu, to samych siebie oszukujemy i nie ma w nas prawdy. Jeżeli wyznajemy nasze grzechy, Bóg jako wiemy i sprawiedliwy odpuści je nam i oczyści nas z wszelkiej nieprawości".*

Wszyscy uklękli.

„Chciałbym - modlił się Alexander - nie brać wszystkiego tak gorąco do serca. Chciałbym odnosić się spokojniej do zdarzeń. Chciałbym potrafić osądzać chłodno i spokojnie. Ale ponieważ natura nie dała mi takich cech, a w ciągu półwiecza życia nie potrafiłem ich nabyć, proszę, pomóż mi użyć całej mojej energii do ocalenia chóru dla katedry, bo gdy już raz zostanie oddany, straszna rozpacz rozsnuje się nad ludźmi, i nigdy nie zostanie ukojona. A gdy już jesteśmy przy tym, Boże, proszę, znajdź Felicity, gdziekolwiek jest, i odeślij ją do domu, bo przy niej jestem mocniejszy, a muszę być mocny. I zrób coś, by ocalić Henry'ego Ashwortha, by nie został niewinną ofiarą ludzkich zagmatwanych uczuć. Przepraszam, że przedstawiam Ci taką listę próśb będąc tu, by Cię wychwalać, ale dziś

♦Pierwszy List Św. Jana Apostoła, 1; 8,9. Ten i następne cytaty z Biblii pochodzą z Pisma Świętego Starego i Nowego Testamentu, Biblia Tysiąclecia, Wydanie IV, Pallottinum, Poznań - Warszawa, 1990 (przyp. tłum.)

wieczorem pragnienia wzięły w moim umyśle górę, a, jak wiesz o tym lepiej niż ktokolwiek inny, zawsze poddaję się pragnieniom mojego umysłu i uczuć".

Alexander otworzył oczy i wstał, razem z innymi. Psalm sześćdziesiąty pierwszy. Chórzyści stali cisi, gotowi do śpiewu. „Wołam do Ciebie z krańców ziemi, gdy słabnie moje serce: na skałę zbyt dla mnie wysoką wprowadź mnie".

Alexander potrząsnął głową, jak pies, który chce pozbyć się wody z uszu, i zdecydowanie wziął do ręki modlitewnik. Będzie stał na swojej skale i przeciwstawi się wszystkim.

7

Urzędniczka w archiwum hrabstwa, poważna młoda kobieta w ogromnych okularach z szylkretową oprawką i z miłym uśmiechem, postawiła przed Alexandrem japońską szkatułkę.

- Przepraszam, że trwało to tak długo, ale byłoby podobnie, nawet gdyby pan zadzwonił wcześniej; nie cierpię wyjmować tak cennych dokumentów, dopóki naprawdę nie muszę.

Archiwum hrabstwa znajdowało się na tyłach browaru w długim budynku, wyglądającym na prowizoryczny, i trudno było wyobrazić sobie, że jest wystarczająco mocne, by pomieścić bezpiecznie tak ważne dokumenty. Pokój, w którym siedzieli, przypominał Alexandrowi baraki zbudowane, gdy po objęciu przez niego stanowiska, zaczęła w King's School wzrastać liczba uczniów.

- Niestety muszę zostać z panem...

- Będzie mi bardzo miło - poprosił uprzejmie Alexander.

- Regulaminy...

- Niech pani nie przeprasza, nie ma za co. Archiwistka otworzyła szkatułkę.

- Tutaj - powiedziała z czcią.

Oboje spojrzeli do środka, na cenne relikwie. Był tam dekret, leżał między zszarzałymi pergaminami z szesnastego wieku. Zobaczyli brązowy szesnastowieczny atrament.

- Czy mogę tego dotknąć? - spytał Alexander.

- Przykro mi - odparła archiwistka - ale nie mogę panu na to pozwolić. Pokażę panu sama, jeśli pan chce.

- Czy oznacza to, że gdybym musiał okazać te dokumenty w sądzie, musiałaby pani pójść ze mną jako uprawniona okazicielka dowodu A?

- Sąd? - przeraziła się archiwistka.

- Oczywiście mam nadzieję, że do tego nie dojdzie. Liczę, że fizyczne istnienie dekretu w pani biurze wystarczy dla ocalenia chóru.

Słowo króla było drukowane wiele razy.

- Ależ, panie Troy - archiwistka spojrzała na Alexandra ze zdumieniem -nie może pan użyć dekretu jako dowodu! Chyba zdaje pan sobie z tego sprawę.

- Dlaczego nie?

- Bo nigdy go nie ratyfikowano. Został spisany, dokładnie tak, jak pan widzi. Ale nigdy nie przystawiono na nim królewskiej pieczęci. Zna pan tę sprawę. Jest zapisana we wszystkich szkolnych kronikach i w przewodnikach turystycznych. Chodzi o spór z biskupem Fisherem.

- Tak, oczywiście znam sprawę. Ale my zawsze stosowaliśmy się do dekretu, zawsze i w każdym szczególe. Przez czterysta lat był naszym kamieniem węgielnym. Szkoła nie mogłaby istnieć, gdybyśmy nie stosowali się do niego!

- Szkoła stosowała się do dekretu z własnej woli. Ale obawiam się, że w sądzie nie będzie on miał wartości dowodowej. To tak, jakby testament został spisany prawidłowo, ale testator nigdy go nie podpisał.

Alexander usiadł ciężko na najbliższym plastikowym krześle.

- Przecież wiedział pan o tym? - spytała cicho archiwistka.

- Oczywiście wiedziałem, co stało się z aktem założycielskim. To część historii szkoły. Ale nigdy nie zastanawiałem się nad konsekwencjami prawnymi.

- Nie przypuszczam, by sam akt założenia szkoły był kiedykolwiek kwestionowany - wyjaśniła archiwistka. - Żaden sąd tego nie kwestionował. Oczywiście intencje założycieli są jasno wyłożone w ich pismach, ale wątpię, by miały prawną wartość.

Alexander rozpogodził się.

- Pisma?

Archiwistka pochyliła się nad pudełkiem i z nieskończoną delikatnością wyjęła kilka kartek pożółkłego papieru oprawionych w folię.

- Listy wymienione między biskupem Tomaszem a Henrykiem VIII*. Biskup opowiada królowi, że zakłada chór dla króla i szkołę dla chórzystów, która będzie nazwana na cześć króla. A to jest odpowiedź króla. Mówi, że jest bardzo wdzięczny i zadowolony, ale tylko tyle. A potem, niech pan zobaczy: biskup znów pisze czyniąc aluzję, że przydałby się dekret królewski, a król odpowiada, że jeszcze nie może go wydać, gdyż wie, jakim uwielbieniem biskup ciągle jeszcze darzy papieża. Widzi pan, biskup chciał zostać arcybiskupem, a król Henryk odmówił, bo uważał, że w głębi serca biskup nadal jest katolikiem. Czyż to nie jest fascynujące? - Archiwistka wpadła w egzaltację. - To jedyne takie listy.

Alexander leciutko dotknął wierzchniej kartki.

- Są cudowne, ale nie tego potrzebowałem. Potrzebowałem królewskiego dekretu.

Archiwistka zmartwiła się.

- Nie ma dekretu, tylko szkolne statuty, które stanowią, że szkoła będzie

♦Henryk VIII Tudor (1491 - 1547), król Anglii. Za zgodą parlamentu zerwał z Papiestwem i został uznany za jedyną i najwyższą głowę Kościoła w Anglii, zwanego od tego czasu Kościołem Anglikańskim.

istniała dla chóru, ale oczywiście nie mają takiego samego znaczenia prawnego.

Alexander rozpromienił się.

- To mogłoby pomóc. Dziękuję pani. Ma pani kserokopie najsłabszych fragmentów? ^J

- Mogę panu zrobić kopie. Chciałabym pomóc. W każdą niedzielę chodzę na nieszpory słuchać chóru. - Uśmiechnęła się miło. -

Gdybym mogła, wyczarowałabym panu prawdziwy dekret królewski.

- No i mam kłopot - skrzywił się Alexander.

- Mamy tu też ironię losu. Aldminster jest chyba jedyną szkołą królewską nie chronioną przez królewski dekret.

Alexander wracał do siebie w ponurym nastroju. Przechodząc przez dziedziniec zastukał do drzwi domu Beckforda. Nie było odpowiedzi. Zająknął do bawialni przez okno i zobaczył Leona siedzącego w fotelu. Nogi trzymał na telewizorze i rozmawiał przez telefon. Alexander zapukał w szybę, ale Leo się nie odwrócił, więc Alexander oparł się o ścianę i napisał krótkie streszczenie swoich odkryć na pustej stronie kalendarzyka, wyrwał kartkę i wrzucił ją do skrzynki na listy.

- Judith była prawdziwą feministką - mówił Leo do telefonu.

- Nie mów mi o feminizmie - wybuchnęła Sally po drugiej stronie linii. - Nawet nie wspominaj tych cholernych feministek. Nie mają pojęcia o życiu normalnych kobiet, więc gardzą nimi i zarzucają im nielojalność. To jest inna płęć.

- Wiem. Wspomniałem, że Judith była feministką tylko dlatego, że ty dzięki Bogu, jesteś inna. A co myślisz o kapłaństwie kobiet?

- Hm - mruknęła szczęśliwa, zastanawiając się nad pytaniem. Kochała te rozmowy, naprawdę uwielbiała, że Leo pyta ją o zdanie i ciekawia go jej odpowiedzi. Kilka dni temu powiedziała, że nie znosi omletów, a on od razu spytał „Och, dlaczego? Powiedz mi”. Wtedy odrzekła, że to przez tę gumową substancję, która jest w środku, a on słuchał uważnie. Kiedyś czytała, że we wczesnym etapie romansu człowiek jest zdolny rozkoszować się nawet widokiem ukochanego czytającego głośno książkę telefoniczną. Może za trzy miesiące Leo nie będzie już zainteresowany jej opinią na temat omletów czy kapłaństwa kobiet, ale na razie było cudownie.

- Co zrobiłaby kobieta kapłan, musząc odwiedzać chorych i starców w parafii, podczas gdy wszystkie jej dzieci są chore na odrę, a ona hiestety ma pieniądze na opiekunkę?

- Jesteś taka praktyczna.

- Kobiety są praktyczne.

- Więc byłyby dobrymi proboszczami.

- I pozostawiałyby mężczyznom wygłaszanie kazań...

- I oczywiście pozostawiałyby im stanowisko arcybiskupa.

- Oczywiście. Co to za hałas?

- Nicholas.

- Nicholas?
 - Nicholas Elliott będzie u mnie mieszkał przez jakiś czas. To on walnął we frontowe drzwi, a całe to mruczenie ma oznaczać, że przeprasza.
 - Zadzwoń do ciebie później - powiedziała Sally. - Teraz muszę zrobić kanapki dla Henry'ego.
 - Nie dzwoń zbyt późno. Chcę cię jeszcze spytać o wiele spraw.
 - Na przykład?
 - O rozbrojenie nuklearne, państwową służbę zdrowia, filisterstwo obecnego rządu, czy wydaje ci się, że moje ubrania wyglądają jak stare szmaty, i takie rzeczy...
 - Leo...
 - Śmiejesz się?
 - Tak. I odkładam słuchawkę. Połączenie zostało przerwane.
 - Czy wiesz - spytał Leo patrząc na słuchawkę - że nawet telefon jest obrzydliwie brudny?
 - Wymyję go - odparł Nicholas. - Proszę, znalazłem tę notatkę w pana skrzynce.
- Leo wziął kartkę bezmyślnie i rozejrzał się po pokoju.
- Zrobiłeś tu zadziwiającą robotę. Gdzie się tego nauczyłeś?
 - Intendentka.
- Intendentka wierzyła, że w leniwe ręce szatan wkłada zajęcie, więc podczas długich tygodni pobytu Nicholasa w infirmerii nauczyła go zamiatać podłogi przed myciem i czyścić okna ciepłą wodą z octem i starymi gazetami. Pracowała jako intendentka w King's School już wtedy, gdy Nicholas był uczniem, i dlatego stanowiła dla niego coś w rodzaju opoki.
- Myślę, że tajemnica polega na tym, że ja zawsze muszę przeczytać przynajmniej linijkę w gazetach, które mam wyrzucić.
 - Nie czytam wiele - powiedział Nicholas. - Zauważyłem. To mnie denerwuje. Dlaczego nie czytasz?
 - Chyba dlatego, że nigdy się do tego nie przyzwyczyłem.
 - Zaradzimy temu. Nie mogę dzielić domu z analfabetą, nawet jeżeli potrafi dobrze machać ścierką od kurzu.
 - Nie wiedziałbym, od czego zacząć - przyznał się Nicholas.
 - Czy chcesz, żebym cię grzmotnął? - jęknął Leo w rozpacz.
 - Niech pan coś zaproponuje. - Nicholas był pełen dobrej woli.
 - „Przewodnik Hitchhikera po Galaktyce” i „Kolekcjoner” Johna Fow-lesa. Tylko nie mów, że ich nie masz, bo ja je mam. I nie pytaj mnie, która jest krótsza.
 - Nie miałem tego zamiaru. - Co teraz będziesz robił?
 - Pójdę do kina.
 - Dobrze, bo ja mam pracę.
 - Idę się przebrać.

Nicholas poszedł na górę i wrócił po pięciu minutach, wyglądając dokładnie tak samo. Leo siedział przy fortepianie i coś gryzmolił na papierze nutowym

- Przynieść coś z chińskiej restauracji na kolację? - spytał Nicholas
- Dobry pomysł. Pieniądze są koło zlewu.
- Okropnie się czuję, nie mogąc panu płacić.
- Zapłacisz, jak będziesz mógł.
- Podoba mi się tu - powiedział niezręcznie, ale z wdzięcznością Nicholas
- Nick...
- Dobrze, dobrze, już idę.

Idąc traktem do kina Nicholas myślał o Leonie. Stosunki z nim były łatwiejsze niż z kimkolwiek innym w Aldminsterze, bo podchodził do spraw prosto i mówił ci, że jesteś dokuczliwy, jeżeli tak myślał. Nicholas czuł się naprawdę okropnie z powodu braku pieniędzy, a Alexander zakazał mu zarejestrować się i pobierać zasiłek dla bezrobotnych. Potem wynalazł jakiś stary przepis o jałmużnach i dawał Nicholasowi dziesięć funtów tygodniowo. Nie był całkowicie bez środków, a jadać mógł w szkole. Z pierwszej zapomogi kupił puszkę pasty do mebli i zamierzał wypolerować wszystkie drewniane powierzchnie w bawialni Leona. Nie przypuszczał, że Leo to od razu zobaczy, ale czuł się lepiej robiąc takie plany.

Podejrzewał, że czuje słabość do Leona. Leo był taki samowystarczalny-nawet mimo wyraźnego bzika na punkcie Sally Ashworth potrafił całkowicie odwrócić się od niej i zajmować się muzyką. Nicholasowi wydawało się że Leo wie, dokąd podąży i czego chce; nie było w nim nic „wzruszającego” Leo nigdy nie poszedłby sam do kina nie wiedząc, co grają, nie miałby trudności w wyborze między salą A i salą B, ani nie wszedłby pod koniec seansu. Leo powiedział mu, że jest apatyczny, i Nicholas wiedział, że w pewnym sensie to prawda, chociaż nie tyle była to obojętność, ile brak czegoś, o co mógłby się troszczyć. Czuł się dobrze atakując bałagan w kuchni Leona, naprawdę dobrze, aż do chwili, gdy Cherry Chancellor przyszła i powiedziała: „No proszę! I kto to zrobił?”. Wtedy stwierdził, że nie chce się przyznać, że on. Dla żartu dała mu rękawiczki ochronne, i wcale nie był tym zachwycony.

Przed salą A stał ogonek. Grali film na podstawie powieści E M Forstera⁸.

Nicholas nie bardzo miał ochotę obejrzeć ten film, ale nie chciał by Leo znów go nazwał analfabetą, więc ustawił się za mężczyzną w średnim wieku noszącym wielkie okulary i kobietą w luźnej bawełnianej sukni, zupełnie nie pasującej do jej wieku. Rozmawiali o kinie jak profesjonaliści, a kobieta powtarzała: „Mam nadzieję, że wie, co robi. Te filmy po prostu robią wrażenie”. Miała rozczochrane włosy z pasemkami i wielkie srebrne kol-

* Edward Morgan Forster (1879-1970), angielski powieściopisarz i krytyk Dłuższy pobyt we Włoszech zaowocował dwiema powieściami. Jego najbardziej znanym utworem jest „Droga do Indii” (przyp. tłum.)

⁸ Morus; sir Thomas More (1478-1535), angielski mąż stanu, biskup i pisarz polityczny. Za odmowę złożenia przysięgi, w której miał odrzucić zwierzchnictwo papieża i uznać Henryka VIII za głowę Kościoła w Anglii, został skazany na karę śmierci; kanonizowany przez Kościół Katolicki w czterechsetną rocznicę śmierci, w 1935 r. (przyp. tłum.)

czyki wyglądające niczym wirujące tarcze. Nicholas przypuszczał, że to małżeństwo; mógł sobie wyobrazić, jak razem robią zakupy w Habitat. Mężczyzna powiedział:

- Wiesz, co usłyszałem dziś podczas lunchu? Chcą zlikwidować chór. Kobieta podniosła na niego wzrok.
- Chór katedralny? Niemożliwe.
- Myślę, że to znak czasu. Nie mogą podolać finansowo. Dach katedry się wali i muszą mieć pieniądze na remont.
- To bardzo poważne - powiedziała kobieta.
- Ten chór nie jest najlepszy w kraju.
- Wszystko jedno...
- I jeszcze coś. Dostali zezwolenie na wybudowanie ośrodka pomocy społecznej w samym centrum tego ładnego średniowiecznego fragmentu na dole traktu.
- Niemożliwe!
- Rampy dla wózków inwalidzkich, pomieszczenia dla matek z małymi dziećmi...
- I poradnia dla narkomanów?
- Na pewno. Boże, mam nadzieję, że ten film wart jest ceny biletów.
- Oczywiście - zapewniła go kobieta. - Obiecuję ci. Jego filmy zawsze są dobre.

Nicholasowi film się podobał. Był optymistyczny i romantyczny, a zdjęcia Włoch przepiękne. Wyszedł z kina gorąco pragnąc pojechać do Włoch i zakochać się, i dopiero gdy kupował paszteciki oraz kurczaka na słodko-kwaśno w barze Winga Kee, przypomniał sobie o chórze. Pobiegł na dziedziniec Kapituły tak przejęty, jak już od lat mu się nie zdarzało, wpadł do domu i rzucił pudełka z kolacją na pianino.

- O co chodzi z chórem? - spytał Leona.

Umysł Leona wracał z odległych muzycznych przestrzeni w swoim własnym, powolnym rytmie.

- Słucham?
- W ogonku do kina słyszałem, jak jakaś para mówiła, że chór zostanie rozwiązany, bo potrzeba pieniędzy na remont katedry.
- Rzeczywiście, istnieje takie zagrożenie.
- Ale przecież nie mogą!
- Obawiam się, że mogą. Wydawało nam się, że chroni nas dekret królewski, ale okazuje się, że nie. Wygląda na to, że chór był osobistym pomysłem biskupa Tomasza⁹, który chciał zadowolić króla Henryka VIII,

89

⁹ Morus; sir Thomas More (1478-1535), angielski mąż stanu, biskup i pisarz polityczny. Za odmowę złożenia przysięgi, w której miał odrzucić zwierzchnictwo papieża i uznać Henryka VIII za głowę Kościoła w Anglii, został skazany na karę śmierci; kanonizowany przez Kościół Katolicki w czterechsetną rocznicę śmierci, w 1935 r. (przyp. tłum.)

by ten mianował go arcybiskupem. Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby temu zapobiec. Dziekan proponuje przekazać chór Radzie Miejskiej i w ten sposób oszczędzić pięćdziesiąt tysięcy funtów rocznie. - Przecież Rada nie ma pojęcia o muzyce!

- Wiem.

- Ja... zamordowałbym kogoś...

- Proszę bardzo.

- I co pan zrobi?

- Będę walczyć - powiedział Leo. - Będę pisać listy, petycje, będziemy łamać sobie głowę, jak zdobyć pieniądze.

- Czy chórzyci już o tym wiedzą?

- Oficjalnie jeszcze nie.

- Niedobrze mi się robi. Leo wstał.

- Gdybyś wymyślił jakiś plan, zamówiłbym dla ciebie natychmiastową kanonizację. Możemy już jeść. Co to jest?

- Zaraz podgrzeję. Na zimno jest obrzydliwe. Poznałem dziś wieczorem książkę, film był na jej podstawie.

złość ^{To dobre} ~ ^P"10 ^{Leo, Po} ^{patrzy} ^l na Nicholasa. - Ciesz się moja

- Jestem wściekły.

Zjedli w kuchni na stojąco, do kurczaka użyli łyżek, a paszteciki brali palcami. Potem Nicholas powiedział, że wychodzi przetrwać kolację. Leo też wyszedł z domu i skierował się cichymi ulicami do Blakeney Street Otwierając mu drzwi, Sally wykrzyknęła: „Och, jak miło!", a potem pocałowała go, mówiąc: „Henry przyniósł do domu jakąś okropną plotkę o chórze".

- Księżę dziekanie - powiedział dźwięcznie Alexander, trzymając rękę na ubranym w komżę ramieniu Henry'ego. - Przedstawiam księdzu dziekanowi Henry'ego Francis Ashwortha, który został przyjęty do chóru naszej katedry.

Henry postąpił krok naprzód. Stalle chóru były zatłoczone. W połowie drogi do stopni ołtarza stał tylko on z Chilworthem, dziekan i dyrektor szkoły. Henry podniósł ku dziekanowi twarz obramowaną nową krezą Dziekan wyciągnął rękę w geście błogosławieństwa.

- Henry Francis Ashworth! Na mocy powierzonej mi władzy mianuję cię chórzystą tutejszego kościoła katedralnego. Niech Bóg obdarzy cię wolą posłuszeństwa, mocą przywództwa i radością z wypełniania obowiązków. Niech Pan opiekuje się twoimi krokami teraz i na zawsze. Amen.

Położył ręce na głowie Henry'ego, który lekko się skłonił i odpowiedział .Amen . Odczuwał wielką ulgę. To, co Briggs mu opowiadał, widocznie nie było prawdą, bo na pewno nie mianowaliby nowych chórzystów, gdyby chór miał przestać istnieć. Wooldridge powiedział, że Briggs jest gównianym

90

10Jean-François Lallouette (1651-1728), kompozytor francuski, tworzył głównie muzykę kościelną (przyp. red.)

artystą, i Henry uważał, że te słowa bardzo do niego pasują, cokolwiek miały znaczyć. Przybył także biskup. A przecież nie przyszedłby, gdyby cała sprawa była poważna. Zdaniem Henry'ego katedra po prostu musi mieć chór, bo inaczej byłaby tylko muzeum. Wymyślanie takich plotek to specjalność Briggsa, bo jego głos nie był wystarczająco dobry do chóru; ostatnio mówił, że nie wierzy w Boga, a gdy wszyscy byli już tym znudzeni, zaczął rozsiewać plotki o chórze.

- Michael Anthony Chilworth... - wygłaszał dalej dziekan.

Uszy Chilwortha poróżwiały z przejęciem. Mówił Henry'emu, że jego rodzicom bardziej zależy na tym, by był chórzystą, niż jemu samemu, ale postanowił spróbować. Lubił śpiewać; po prostu nie chciał, by chór uniemożliwił mu branie udziału w treningach krykieta w lecie i futbolu w zimie. Chilworth nie przejmował się swoim głosem, ale szczerze podziwiał Henry'ego. Udział w chórze, myślał Henry, powoduje, że z wszystkimi żyje się dobrze.

Tam, w stallach chóru, przestawali być odrębnymi jednostkami i stawali się jednym organizmem. Najpierw wykonają hymn z trzynastego wieku do świętego Magnusa, a potem Wooldridge i Henry zaśpiewają „O mysterium ineffabile” Lallouette'a¹¹. Przeszli przez to bez jednego fałszu. Później nastąpiła modlitwa i kazanie dziekana o jednoczącej chwale muzyki. Kazanie to wymagało wiele opanowania zarówno od Leona jak i Alexandra, siedzących na przypisanych im miejscach, jeden na piętrze chóru, drugi w stallach. Potem „Chwał, duszo moja, Pana Niebios” i wszyscy zaczęli wychodzić, podczas gdy Leo grał Fantazję i Fugę g-moll Bacha. W szatni chóru Chilworth i Henry uroczyście rozpięli sobie nawzajem guziki nowych krez.

- Chłopcy z Vienna Choir Boys muszą nosić marynarskie mundurki, z krótkimi spodenkami.

- Jestem okropnie głodny - powiedział Henry. Chilworth wyciągnął z kieszeni pół jakiegoś batonika.

- Możesz to zjeść. Mam już dosyć fistaszków.

- Briggs mówi, że zlikwidują chór, bo nie mają pieniędzy - powiedział Henry.

- Nie powinieneś słuchać plotek. - Chilworth zacytował swojego ojca. - Ale i tak zabierają nas w przyszłym roku do Norwegii.

- Norwegia!

- Uhm. Ojciec to słyszał.

- Nigdy nie leciałem samolotem. Przyszedł Martin Chancellor, by ich popędzić.

- Kończcie już, chłopcy. Mason, krezy do pudełek.

- Jeżeli naciągniesz strunę wiolonczeli do samego nosa, będziesz miał doskonałą procę.

84

¹¹Jean-François Lallouette (1651-1728), kompozytor francuski, tworzył głównie muzykę kościelną (przyp. red.)

- Harrison, podnieś komżę, nie stój na niej!
- Mam *Supermana III* na wideo...
- Botham jest super...
- Harrison, słyszałeś?
- Do Norwegii trzeba lecieć samolotem, prawda?
- Proszę pana, proszę pana, Briggs mówi, że rozwiążą chór... Zapadła nagle cisza.
- Istnieje... taka propozycja-powiedział Martin Chancellor. On i Cherry obmyślili odpowiedź na to pytanie wczoraj podczas kolacji. - Ale nie powinniście się martwić. Możliwe, że ktoś inny przejmie chór, jeżeli dziekan i Kapituła zdecydują go oddać.
- Ale czy nadal będziemy śpiewać w katedrze?
- Jeżeli będziecie śpiewać gdzie indziej, nie będzie to miało aż takiego znaczenia, prawda?
- Ale jeśli dziekan nie będzie zwierzchnikiem...
- Nie wiemy, czy nie będzie.
- Nie będę śpiewać nigdzie oprócz katedry - powiedział z wyzwaniem Harrison.
- Obawiam się, że decyzja nie należy do ciebie.
- Pan Beckford będzie wściekły.
Od drzwi szatni rozległ się głos Leona:
- Pan Beckford już jest wściekły. Chłopcy zwrócili się ku niemu.
- Mam nadzieję - powiedział do Martina - że zabiegałeś o poparcie tych dzieci.
- To nie jest moje zadanie...
Leo wziął oddech i popatrzył po chłopcach.
- Niech podniosą rękę wszyscy ci, którzy są za zachowaniem chóru jako integralnego elementu katedry w Aldminsterze.
Dwadzieścia cztery ręce poszły w górę. Chilworth spytał:
- Co to jest integralny?- Doskonale. Opuśćcie ręce. Zawiadomię was, gdy dostanę karabiny do obrony chóru. Trzeba nabrać wprawy w strzelaniu do celu. Martin pomyślał, że Cherry potępiłaby żarty o broni palnej.
- Chyba nie powinniśmy słuchać plotek. W końcu niczego jeszcze nie postanowiono - powiedział.
- Staram się tylko powstrzymać podjęcie złej decyzji - odparł Leo.
- Mój ojciec ma dubeltówkę...
- A mój wiatrówkę...
- A my mamy doskonałą procę...
- No i do czego pan doprowadził! - zmartwił się Martin.
- To tylko takie gadanie. Ale poruszyłem ich, a ich zdanie też się liczy.
Martin już otworzył usta, by powiedzieć, że mimo udziału w chórze są

tylko dziećmi, ale zmilczał. Taka byłaby opinią Cherry, ale przynajmniej tym razem wiedział, że zdanie Cherry byłoby błędne.

- No więc - powiedziała żartobliwie Bridget Cavendish do Janet Young spotkawszy ją na poczcie - wspomnimy o sprawie, czy nie? Janet Young, która dziś dostała kłopotliwy dla niej list z Instytutu Kobiecego ze skargą, że pani Cavendish coraz bardziej ogranicza mu autonomię, uśmiechnęła się tak ciepło jak tylko potrafiła i odpowiedziała „nie”.

- Hugh już w ogóle nie sypia - ciągnęła Bridget nie zwracając uwagi na tę odpowiedź, ale zauważając, że żona biskupa ma sandały na gołych nogach, co nie uchodzi, nawet jeżeli te nogi są ładne i opalone na brązowo, a dzień jest bardzo ciepły. - To takie niesprawiedliwe. Stara się ocalić dziedzictwo miasta, narodowe dziedzictwo, a w zamian dostaje tylko naj-podlejsze obelgi. Wiedziałam, że nie miał racji zatrudniając Leona Beckfor-da. Był całkowicie nieodpowiedni na to stanowisko, a jego postawa jest świecka. Natomiast biedny dyrektor szkoły nie wie, co się dzieje z Felicity, więc naprawdę trudno liczyć na to, że udzieli jakiejś rozsądnej rady.

- Proszę sześć znaczków na ekspres - powiedziała Janet Young do urzędniczki w okienku - a ta paczka normalną pocztą. Proszę jeszcze formularz na przedłużenie ważności paszportu.

- Muszę powiedzieć, że nie mam pani za złe chęci wyjazdu na trochę...

- To dla Matthew. Czasami nie dopilnuje swoich spraw.

- Niech mi pani nie mówi o dzieciach. Czy raczej szkołach. Gdyby tylko Hugh chciał mnie posłuchać i wysłał Cosma do Marlborough, gdzie uczyli się wszyscy chłopcy z mojej rodziny! Rozmawiała pani z Rachel Frost?

Janet spędziła godzinę przy telefonie wysłuchując tego, co żona archidiakona ma do powiedzenia na temat chóru.

- Dzwoniła do mnie.

- Oczywiście nas popiera. Janet wzięła znaczki i resztę.

- Chyba nie jest specjalnie zainteresowana muzyką. Bridget położyła rękę na ramieniu Janet.

- Proszę mi powiedzieć, jakie jest zdanie biskupa. Oczywiście w pełnym zaufaniu.

- Robert i ja bardzo się staramy nie mówić o tym.

- Ale musicie mieć jakąś opinię.

- Och, tak. - Janet uśmiechnęła się. - Mamy swoje zdanie, ale zachowamy je dla siebie, póki atmosfera się trochę nie oczyści.

- Nie oczyści się, jeżeli ludzie nie będą o tym mówić. Janet uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

- Proszę mi wybaczyć, ale muszę lecieć. Robert jedzie na konfirmację

do Handley i obiecałam, że go zawiozę, żeby po drodze mógł opracować kazanie. Czyż ten ciepły dzień nie jest rozkoszny?

- Rozkoszny - zgodziła się Bridget i zaczęła dyrygować panienką w okienku, by ulżyć swoim uczuciom. Bóg wie, jakie jest zdanie Youngów w tej sprawie. Jakiego wsparcia można oczekiwać od biskupa, który woli szeregowych księży parafialnych od hierarchów? Gdy niedawno spytała biskupa wyzywająco, czy podczas Synodu poparł sankcje wobec Afryki Południowej, mrugnął do niej i spytał: „Uważa pani, że biskupi powinni być różowi?” i wtedy z niepokojem zdała sobie sprawę, że z niej kpi. Ale gdy w końcu dał się ubłagać i powiedział, że głosował za sankcjami, bo wierzy, że Synod musi prezentować jednolity front, nie wiedziała, co myśleć. Biskup chyba wymykał się jakimkolwiek zaszufładowaniu. A teraz Janet Young zrobiła się taka skryta... I chodzi po mieście katedralnym z gołymi nogami. Przynajmniej nie próbuje organizować żon duchownych, co pozostawia wolne pole dla Bridget; Huffo otrzyma masowe poparcie, już ona o to zadba. Spisała sobie dwie listy, jedną dla tumu, drugą dla diecezji. Radowała ją nieobecność Felicity Troy, bo nigdy nie można było oczekiwać, że postąpi właściwie i że nie będzie zjednywać sobie ludzi, jak się wydaje, tylko patrząc na nich.

- Dwa funty sześćdziesiąt cztery - powiedziała dziewczyna w okienku.

- Niech mi pani powie - poprosiła Bridget tym swoim szczególnie zniewalającym tonem - co pani sądzi o chórze katedralnym?

- Właściwie wcale mnie nie obchodzi.

Hugh Cavendish myślał, że Napoleon przed Waterloo musiał czuć się tak samo jak on, nie wierząc nowym sprzymierzeńcom, którzy jeszcze parę miesięcy wcześniej byli wrogami, i nie mając dokładnych informacji co do rozmiarów opozycji. Pozycja Hugha komplikowała się tym bardziej, że nie chciał grać zbyt szczerze ze swoim głównym sprzymierzeńcem, Radą Miejską, bo wcale nie miał zamiaru sprzedać im domu dyrektora szkoły, a tylko użyć go jako marchewki. Prywatnie uważał, że Rada nie nadaje się do prowadzenia chóru, ale w tej chwili nie miał innego sposobu na osiągnięcie swoich najrozsądniejszych celów, zarówno jawnych jak i ukrytych, jak tylko oddanie chóru, chociaż na samą myśl o tym wzdrygał się. Ku jego irytacji Ianthe podczas długiej, wścieklej rozmowy telefonicznej przyprawiła go o poczucie winy mówiąc, że uważa go nie tylko za filistra, lecz również za mordercę historycznych tradycji. To ostatnie zdanie usłyszała kiedyś z ust Leona, który mówił wtedy o kimś innym, ale dziekan tego nie wiedział i jej przemowa bardzo go zraniła. Przynajmniej Kapituła go popierała, oprócz kanonika Yeatsa, którego właściwie i tak nikt nie słuchał. („Nie pozwolą mi mówić” - w rozpaczy mówił tej nocy żonie.) Pozostali kanonicy chyba odczuwali ulgę na myśl, że już nie będą musieli zasiadać w zarządzie King's School, co wydawało im się stratą czasu, bo nie dostawali za to wynagrodzenia.

- Prawda jest taka - powiedział kanonik Ridley - że jesteśmy przepracowani. Nie możemy zajmować się wszystkim. Po prostu nie jesteśmy w stanie nadać szkole takiego priorytetu, na jaki zasługuje.

Hugh Cavendish pozwolił, by po tych słowach zapadła chwila ciszy, a potem powiedział: - Racja.

Jeśli chodzi o muzykę chóralną, znów tylko kanonik Yeats wydawał się rozżalony.

- Przecież mamy jeszcze organy - mówili mu wszyscy.

- To nie to samo. Myślę o sile duchowej. Nie ma nic wznioślejszego niż doskonały sopran chłopięcy.

- Tylko dlatego, że się przyzwyczailiśmy. Ale i tak się nie zgadzam. Przecież organy to królewski instrument.

Wyplątano kanonika Yeatsa z jego kul i ze szczególną troskliwością ktoś pomógł mu zejść ze schodów i wsiąść do samochodu.

- Dobry człowiek - powiedział Hugh Cavendish patrząc, jak samochód rusza w stronę miasta. - I dobry ksiądz. Ale nienawidzi zmian.

Kanonik Yeats był przedstawicielem jedynie małej i nieudolnej części opozycji. Dziekan wiedział, że jego nieprzyjacielem jest organista, być może również asystent organisty - chociaż ten był o wiele bardziej potulny - a także dyrektor szkoły i wszyscy, których potrafili zjednać dla swojej sprawy. Nie mogli liczyć na przyciągnięcie uwagi całego kraju, gdyż chór katedry aldmisterskiej nie był zbyt sławny, natomiast konieczność ocalenia samej budowli na pewno zainteresuje wielkie organizacje miłośników restauracji zabytków. Na następnym zebraniu Kapituły przedstawi formalną propozycję i równie formalnie poprosi o opinię na temat złożonej przez Radę Miejską oferty kupna domu dyrektora szkoły. W ten sposób zapewni sobie czas na wycenę kosztów remontu dachu katedry i ustalenie harmonogramu prac. Wtedy potrafi zmierzyć się z opozycją, która nie znajdzie nic, czym mogłaby mu zagrozić.

Ianthe Cavendish wysiadła z pociągu w Aldminsterze w szary czerwony piątkowy wieczór. Pierwszą rzeczą, którą zrobiła, było kupienie egzemplarza „Echa” w stacyjnym kiosku. Nagłówek mówił: „Chór musi ocalić katedrę”, a pod nim widniały słowa: „Zudynek w Tumie zostanie zakupiony dla mieszkańców miasta”. Od stacji do domu Ianthe musiała przebyć około dwóch kilometrów, więc dla podtrzymania sił kupiła w najbliższym sklepie ze słodyczami paczkę papierosów i batonik. Zarzuciła na ramię czarny worek ze swoimi rzeczami i poszła ulicą, gryząc batonik, paląc i czytając gazetę. Z tego, co czytała, zrozumiała, że jej ojciec powiedział „Echu”, iż przez dziesięć lat bez chóru można by oszczędzić około pół miliona funtów i te pieniądze mogłyby zostać spożytkowane na katedrę. W gazecie było zdjęcie jej ojca z Benedyktem, zrobione przed południowymi drzwiami katedry, a poniżej zamieszczono inną fotografię, przedstawiającą chór prowadzący procesję, opatrzoną podpisem

SPADA NA NICH TOPÓR. W artykule cytowano wiele opinii oburzonych rodzin członków chóru, łącznie ze zdaniem Sally Ashworth, która powiedziała: „To przerażające, i będziemy walczyć na wszystkie dostępne sposoby”. Wydawało się, że dyrektor szkoły i organista odmawiali udzielania wywiadów, ale tak czy owak główne gazety opisywały walkę toczoną w tumie, ludzi skaczących sobie do gardeł i tak na siebie zagniewanych, że w ogóle nie chcących ze sobą rozmawiać. Ianthe, wypluwając resztki batona, pomyślała, że weekend zapowiada się bardzo zabawnie.

Nie zamierzała tak szybko wracać do Aldminsteru. Myślała, że przed ponownym przyjazdem upłyną całe miesiące. Chciała trzymać się z dala od Leona po tym, jak zachował się wobec niej tak okropnie, i dokładała wszelkich starań, by zakochać się w dziennikarzu z rockowego magazynu, który wydawał się nią naprawdę zainteresowany i nawet, ku jej zdumieniu, przysłał kwiaty. Nikt jeszcze nie przysłał Ianthe kwiatów. Poczula więc romantyczną skłonność do dziennikarza, ale tylko wtedy, gdy nie byli razem. Gdy go widziała, myślała o Leonie przez cały czas, co odbierało tamtemu mężczyźnie wszelkie szanse. Próbowwała porozmawiać z Petrą, ale ona właśnie rzeźbiła ogromnego metalowego konia w stylu greckim i nie potrafiła poświęcić uwagi niczemu innemu. Na dodatek była to rzeźba na zamówienie, a poza tym Petrę wreszcie rozżłościły zniszczenia dokonywane przez żonę jej kochankę, więc wyrzuciła go z pracowni i teraz próbowała mu tęsknić za nim. Nie była więc w nastroju do rozmów o miłości. Piękna Minna Fergusa też nie okazała się pomocna, bo wychowała się w Ameryce i uważała, że nie wolno pozwolić, by mężczyzna pomiatał kobietą. Powiedziała, że gdyby Fergus potraktował ją choćby tylko raz tak, jak Leo zachował się wobec Ianthe, nawet nie zdążyłby mrugnąć, a już byłaby za drzwiami. Ianthe próbowała wytłumaczyć, że niestety nigdy nie znajdowała się, by tak to nazwać, u Leona, ale Minna była o wiele bardziej zainteresowana własnym punktem widzenia niż ciężkim położeniem Ianthe, więc zwierzenie się jej nie przyniosło Ianthe zadowolenia.

Ianthe bez przerwy zastanawiała się, co zrobić, by sprawy z Leonem się poprawiły. Jedną rzeczą była pewna: nie może go już więcej błagać, musi udawać tak zimną, jak tylko potrafi. Musi też pokazać, że nie jest tak wyzywająca, jak mu się wydaje. Uczesała się zupełnie niemodnie, kupiła sobie mniej agresywne kosmetyki i, ponieważ ku jej zdumieniu Dcon podpisała umowę z zespołem, którego płyta znajdowała się teraz wśród pierwszej pięćdziesiątki, kupiła sobie też nowe ubrania. Wymyśliła również plan, którego celem miało być udowodnienie Leonowi, że jest odpowiedzialną istotą ludzką. Jednocześnie pomogłaby swojej firmie znaleźć odpowiedniejszego recepcjonistę. Wszyscy w Ikonie zgadzali się, że potrzebują miłego, muzycznego chłopca, by zastąpić dziewczynę o imieniu Sharon, która dbała tylko o to, by wieczorem wracać jak najwcześniej do domu, a w każdej chwili wolnej od odbierania telefonów piłowała paznokcie. Ianthe doznała przyływu natchnienia i powiedziała, że chyba może to załatwić.

W domu zastała matkę w kuchni, przy szykowaniu sałatki. Cosmo siedział na krawędzi stołu i podkradał smakowite kaski.

- Zostaw - upominała go Bridget.

- Pomidory mi służą.

- Tak samo ci posłużą, jeżeli zaczekasz do kolacji.

- Cześć - powiedziała Ianthe, rzucając torbę na podłogę, a gazetę na stół. - Wygląda na to, że będziecie tu mieli prawdziwą wojnę.

- Masz inną fryzurę, kochanie. Bardzo ci w tym dobrze.

- Nie jest dobrze.

- Nie - potwierdził Cosmo. - Wcale nie.

- Od tygodni cię nie widziałam - powiedziała czule Bridget. - Niegrzeczna dziewczynka.

- Praca, mamo.

- Coś takiego nie istnieje - powiedział Cosmo.

- Niedobry chłopiec. - Bridget poklepała go po czarno odzianym kolanie. Obeszła stół, pocałowała Ianthe i przyjrzała się jej.

- Dobrze wyglądasz, kochanie. Jakie ładne kolczyki.

- Mamo... - zaczęła Ianthe.

- Idź się umyć, a ja przygotuję kawę. Pachniesz pociągiem.

- Przecież jechałam pociągiem. Wolałabym whisky.

- Kochanie, nie popisuj się. Cosmo zachichotał.

- Mam w moim pokoju trochę whisky ze sklepu bezcłowego. Brent ją kupił, gdy popłynął poduszkiem na jeden dzień do Francji.

- Cosmo! - Nie wypilem całej...

- Co za głupota - jęknęła Bridget. - Nie wiem, czy jesteś gorszy sam, czy z nią.

W holu zadzwonił telefon. Natychmiast zaalarmowana, Bridget odłożyła nóż i poszła odebrać.

- Przyjechałaś, żeby zobaczyć się z Leonem - stwierdził Cosmo.

- Nie.

- Tracisz czas.

- Co ty możesz o tym wiedzieć? Jesteś tylko dzieckiem. Ale i tak nie z nim chciałam się zobaczyć.

- Więc z kim?

- Nie powiem. Gdzie jest whisky?

- W kaloszu w moim pokoju. Kogo chcesz zobaczyć?

- Nicka Eliotta.

- Nicka Eliotta!

- Nie w ten sposób, głupku. Mam do niego sprawę. Cosmo zszedł ze stołu.

- Czy jeżeli poczęstuję cię whisky, pożyczysz mi czarną koszulkę z nietoperzem?

- Dobrze.

Poszli do holu i usłyszeli, jak Bridget mówi:

- Wiesz, Rachel, jesteśmy bardzo zadowoleni z artykułu w „Echu”. Prawie nie ma protestów. Hugh naprawdę potrafi załatwiać takie sprawy.

- Co o tym myślisz? - spytał uśmiechnięty Cosmo, gdy wchodzili po schodach.

- Lubię walkę - odparła Ianthe.

Z pójściem na dziedziniec Kapituły Ianthe zaczęła do sobotniej popołudniowej próby chóru. Umyła włosy, włożyła nowe czarne spodenki do jazdy na rowerze i obszerną białą bluzę. Nicholas otworzył drzwi i powiedział „O, cześć!”, co sprawiło jej przyjemność. W bawialni, którą z trudem mogła rozpoznać, Leo siedział na fotelu, nogi trzymał na taborecie od pianina. Przez chwilę na nią patrzył, a potem powiedział:

- Ładnie wyglądasz.

Wstał, pocałował Ianthe, poprosił, by usiadła, i zaskoczył ją słowami:

- Jak to miło cię zobaczyć.

- Nie posiadamy się ze zdumienia. Kto to zrobił?

- Tutejsza pani Mop, czyli Nicholas. Boję się nawet tknąć poduszkę.

- Więc miałam rację przychodząc.

- Tak?

- Chcę zaproponować pracę twojej sprzątacze.

- Co takiego?

- Rozwijamy się. Potrzebujemy gońca, telefonisty, kogoś, kto zna się na muzyce. Mówiłeś, że Nick chciałby mieć pracę związaną z muzyką...

- Nick?

- Och tak, wspaniale.

- Kto będzie mi mył wannę?

- Sam możesz to robić.

- Mogę też zostawiać obwódki. Ianthe, mówisz poważnie?

- Oczywiście. Rozmawialiśmy o tym z kolegami. Sześćdziesiąt funtów tygodniowo, spanie na kanapie mojego współnika Mike'a, korzystanie ze wspólnego roweru. Umiesz jeździć na rowerze?

- Nauczę się - zapewnił Nicholas, rzucając poduszkę do góry. - Cudownie!

- Odkąd to jesteś taką kobietą interesów? - spytał Leo.

- Zawsze byłam, tylko nie zauważałeś.

- Wyglądasz inaczej.

Ianthe chciała spytać, czy mu się podoba, ale z wyrazu jego twarzy poznała, że chyba tak. Był zdumiewająco miły i chyba lepiej było nie prowokować go.

- Kiedy mogę zacząć? - spytał Nicholas.

- W poniedziałek.

92

- Super!

- Tak - powiedział Leo - to jedyna dobra rzecz, która się dzieje. Słyszałaś o chórze?

- Słyszałam. Okropne.

- Zabierając Nicka zabierasz mi nie tylko niańkę, ale i adiutanta. Chyba wiesz o tym. Planujemy okupację stall chóru. Biedny Alexander jest nieprzytomny z wrażenia.

- Przyjadę, gdy tylko będzie mnie pan potrzebował - zapewnił podniecony Nicholas.

Leo wstał i poszedł do kuchni.

- Uczcijmy to drinkiem. Mam nawet trochę wina, a w ostatnich czasach szklanki są dziwnie czyste.

- Dziękuję. - Nicholas zwrócił się do Ianthe. - Jesteś pewna?

- Przedsiębiorstwo tak zdecydowało - odparła bez troski.

- Gdzie jest przedsiębiorstwo?

- To jeden pokój na siódmym piętrze, w budynku po złej stronie Charing Cross Road. No, właściwie półtora pokoju, ale czajnik znajduje się w tej połowce.

- Londyn... - rozmarzył się Nick.

- Jasne. Chcesz papierosa?

- Nie, dziękuję. I nie pal tu. Leo się wścieknie.

Ianthe chwilę zastanowiła się, czy nie sprowokować Leona, ale doszła do wniosku, że nastrój jest zbyt miły, by go niszczyć. Zadowolona się więc rzuceniem paczki na dywanik przed kominkiem, by pokazać, że zapaliłaby, gdyby chciała. Leo wrócił z butelką i szklankami. Po drodze do swojego fotela nadepnął na paczkę papierosów. Nicholas, tak podniecony jak jeszcze nigdy w życiu, zaniósł się chichotem i znów zaczął podrzucać poduszki w powietrze.

- Jesteś pewna, że chcesz go zatrudnić? - spytał Leo. Ianthe uśmiechnęła się i podniosła szklankę w toastie.

- Za chór!

- Dziękuję. I za wspaniałą przyszłość dla was obojga. Obyście zostali milionerami.

Ianthe poczuła się bardzo szczęśliwa, więc wstała i pocałowała Nicholasa, a potem Leona, a on pocałował ją i nagle wszystko wydawało się zbyt dobre, by mogło być prawdziwe.

8

Sandra zauważyła, że dyrektor zeszczułał, i to całkiem sporo jak na takiego wysokiego mężczyznę. Jego rozpacz i tęsknota za Felicity były naprawdę wzruszające. Chłopiec Sandry niedawno się jej oświadczył i chociaż wiedziała, że ona i mężczyzna taki jak Alexander Troy żyją w odrębnych światach i że będzie o wiele szczęśliwsza z Colinem, który mimo wszystko bardziej do niej pasował, nie mogła się powstrzymać od żalu. Lubiła Colina, nawet kochała go i pochwałała jego rozsądny konsumpcyjny styl życia, ale nie było w nim nic, za co mogłaby go podziwiać, i nigdy nie poczuła odrobiny podniecenia na myśl o jego ciele, gestach czy tonie głosu. Od tygodni wiedziała, że Colin szykuje się do oświadczeń, więc gdy już do nich doszło, stosując zwykłą w takich przypadkach grę powiedziała, że odpowie w piątek. Oznaczało to, że w sobotę mogą kupić pierścionek i dziesięć dni później, w dniu urodzin matki Sandry, ogłosić zaręczyny. Teraz Sandra mówiła sobie, że w żadnym wypadku nie powinna spędzać dni pozostałych do soboty na bezowocnym i bolesnym wyobrażaniu sobie, co mogłoby być, ani na przynoszeniu krewetkowego majonezu domowej roboty - za którym Alexander przepadał - by nakłonić go do jedzenia. Zamiast tego, ciężko pracowała przez cały tydzień, czym zyskała sobie najgorętszą wdzięczność Alexandra, ale wcale jej to nie cieszyło.

To właśnie Sandra zaproponowała, żeby poszedł zobaczyć się z biskupem.

- Niech pan sobie przypomni, jak pomógł panu Beckfordowi. Nigdy by me mógł tu pracować, gdyby nie biskup Robert. Moja matka go nie lubi, bo twierdzi, że nigdy nie wiadomo, jak postąpi, ale ja myślę, że to czyni z niego nowoczesnego człowieka. A poza tym on naprawdę kocha muzykę.

Zadzwoiła do pałacu i od Janet Young dowiedziała się, że biskup będzie wolny koło piątej. Potem jeszcze Janet spytała, czy nie ma w szkole kilku chłopców, którzy powinni zrobić coś dla dobra swojej duszy, bo rabatki byłyby bardzo wdzięczne, gdyby ktoś się nimi zajął. Sandra roześmiała się i odparła, że to dotyczy całej piątej klasy. O umówionej godzinie w towarzystwie trzech

chłopców, którzy zostali przyłapani na wyzywającym paleniu pod krzakiem bzu, Alexander skierował się do pałacu. Oddał chłopców do dyspozycji żony biskupa znanej ze swojej uprzejmości, ale również z tego, że nie toleruje źle wykonanej pracy. Z okien gabinetu biskupa obaj duchowni mogli widzieć winowajców plewiących grządki pod czujnym okiem pani domu.

- Jest zdumiewająca, gdy chodzi o ogród - powiedział biskup. - To tak, jakby malutką łódką dowodził najwaleczniejszy z kapitanów. Perfekcjonści nigdy nie rozumieją, że inni są tylko zwykłymi śmiertelnikami.

- Powinni się cieszyć, że wywiną się tak tanim kosztem. Do rozpaczki doprowadza mnie, że czują taką potrzebę popisywania się. Jako ekstemiści mają mnóstwo czasu, by zachowywać się źle wtedy, gdy nie możemy im tego uniemożliwić, ale oni muszą łamać reguły tak jawnie, jak to tylko jest możliwe.

- Może odrobina pracy w ogrodzie pod nadzorem kobiety będzie odpowiednim odwetem za okazywanie pewności siebie godnej *macho*. Och, zobaczyli nas. Nieszczęśni chłopcy, szpiegowani ze wszystkich stron. Czy któryś z nich należy do chóru?

- Nie. Są za dorośli. Nasz najstarszy chórzysta ma czternaście lat i to już jest właściwie górna granica.

- Przypuszczam, że przyszedł pan porozmawiać o losach naszego biednego chóru - powiedział biskup prowadząc Alexandra od okna do starego fotela obitego spleśniałym lnem.

- Tak - odparł Alexander siadając. - To wielka ulga mieć z kim porozmawiać, bo jestem zrozpaczony. Nie wiem, gdzie mógłbym zwrócić się o pomoc. Dziekan i Kapituła mają za sobą głosy w stosunku pięć do jednego, w moim pokoju nauczycielskim dwadzieścia siedem osób jest za i tylko cztery przeciw, bo w ten sposób wreszcie nie będą musieli cierpieć z powodu priorytetu, jaki nadaje się próbom chóru. Obawiam się następnego zebrania zarządu, na którym będą obecni i dziekan, i członkowie Kapituły, a także trzech radnych miejskich, z Frankiem Ashworthem włącznie. Wydaje mi się, że jeżeli nie znajdziemy sposobu, by chór się sam finansował, stracimy go, a wtedy stracimy coś tak cennego, że nawet trudno o tym myśleć.

- Czy to niemożliwe, by chór się sam finansował?

- Nie jesteśmy pierwszorzędnym chórem, nie jesteśmy chórem Wells. Nie przyciągamy uwagi narodowej i międzynarodowej tak, jak oni. Gdyby dać Leonowi Beckfordowi dosyć czasu, nasz chór dołączyłby do czołówki, chociaż on zawsze będzie lepszym organistą niż chórmistrzem, a organistą jest wspaniałym. Ale nie mamy czasu. Jeżeli stracimy chór, nigdy go już nie odzyskamy, przynajmniej nie w jego historycznym, niepowtarzalnym kształcie.

Alexander spojrział na biskupa, który huśtał okulary trzymając je za nausznik.

- Czy mogę... to znaczy chciałbym spytać, czy poprze nas pan w naszej walce o chór? Stanowiłoby to ogromną pomoc.

Nastąpiła długa chwila ciszy. Biskup włożył okulary. Potem znów je zdjął i powiedział uprzejmie:

- Obawiam się, że nie mogę tego zrobić.
- Nie może pan?!
- Nie, nie mogę. Chciałbym - mówię to w największym zaufaniu - ale nie mogę. Tak jak pan, wierzę w niezwykłą moc muzyki chóralnej wykonywanej w naszych katedrach, jednakże moim najważniejszym obowiązkiem i pragnieniem jest dobro całego Kościoła, a nie tylko naszej katedry i odprawianych w niej nabożeństw. Nie mogę dopuścić do tego, by konflikt, który podzielił administratora, stał się pożywką dla prasy. Gdybym jawnie sprzeciwił się dziekanowi, byłoby to egoistycznym zaspokojeniem moich własnych pragnień i bardzo zaszkodziłoby całemu Kościołowi. Musimy pozostać złączeni, dla dobra ludzi, którym służymy. Gdyby widziano, że istnieją między nami spory i kłótnie, zaszkodziłoby godności Kościoła.
- Ale czy nie zaszkodzimy tym samym ludziom, odbierając im radość słuchania muzyki chóralnej w katedrach?
- Zaszkodzimy, to prawda - odparł biskup - ale mniej. Nie ma nic bardziej gorszącego jak rozłam w Kościele, bo stanowi on największy wstrząs dla ludzkiej wiary. Alexander wstał i podszedł z powrotem do okna. Hargreaves, wyrośnięty piętnastolatek w ciasnym mundurku, chyba właśnie odbierał lekcję na temat zwiędniętych kwiatów róży. Sekator wyglądał w jego rękach jak nożyczki do paznokci. Alexander odwrócił się od okna i spytał:
- A co z domem dyrektora szkoły?
- W tej sprawie mam bardzo jasne zdanie. Powinien należeć do miasta, ale pozostać pod wpływem tumu. Niech stanie się miejscem spotkań, ale chrześcijańskim miejscem.
- Wydaje mi się, że pan zgadza się ze mną w obu sprawach - zauważył gorzko Alexander - ale w żadnej nie chce mi pan udzielić poparcia.
- Raczej nie mogę. Nie przestanę się jednak za pana modlić. Jak to mawiał kanonik Savile, moje modlitwy będą płonąć gorącym ogniem.
- Biskup wstał. - Alexandrze, ma pan jakieś wiadomości od żony?
- Nie.
- Ile to już...
- Pięć tygodni. Biskup przygryzł okulary.
- I pan będzie czekał?
- Do końca semestru. Potem chyba uznam, że dopełniłem warunków naszej niepisanej umowy o zostawianiu sobie nawzajem trochę swobody, i pojadę szukać żony.
- Kobiety - powiedział w zamyśleniu biskup - mają nadzwyczajną władzę, prawda? Wydaje mi się to prawdziwe i dobre, ale mało wzniosłe.
- I tak jest. Bo kobiety wcale nie są romantyczne.
- Nie są romantyczne?
- Nie. I nauczyłem się tego od Felicity.
- Byłyby doskonałymi kapłanami - powiedział ponuro biskup.

- Ale chór dziewczęcy nie wywierałby tego nieziemskiego wrażenia, jak chór chłopięcy.

Biskup położył rękę na ramieniu Alexandra.

- Razem z chórem zniknie to objawienie czystości, coś absolutnie platonicznego i nieziemskiego.

- Niech pan nawet o tym nie wspomina!

- Alexandrze, jeszcze nie wszystko jest stracone.

- Czuję się tak, jakby opozycja wobec mnie wzrastała z każdym dniem, a w miarę jak ona rośnie, ja staję się coraz słabszy.

- Nonsens. Jest pan wspaniałym człowiekiem, często nawet myślę, że zbyt dobrym dla Aldminsteru. Janet mówi, że widzi pana jako przedsiębiorcę o wizjonerskich pomysłach, i dobrze to rozumiem. Z niewielką pomocą niebios mógłby pan poruszyć góry i mam absolutną pewność, że pan tego dokona. Zabierze pan ze sobą więźniów Janet, czy mam ich zatrzymać, aż zrobią wszystko?

- Och, niech zostaną. To jest pewnie najbardziej twórcza godzina w całym życiu Hargreavesa. Nie wie, jak spożytkować swoją niepokromioną energię, więc wszystko niszczy. Meble po prostu znikają, gdy tylko się do nich zbliża. Dziękuję, że zechciał pan mnie przyjąć.

- Będę pamiętał o wszystkim, o czym dziś mówiliśmy.

Na schodach pałacu Alexander jeszcze obrócił się do biskupa.

- Myśli pan, że wszelka działalność ludzka spowodowana jest pragnieniem wyjątkowości, sławy?

- Z psychologicznego punktu widzenia chyba tak. Ale z duchowego, nie jest to potrzebne. - Biskup spojrzął przed siebie. - Och, Bridget Cavendish. Nasze spotkanie zostało zarejestrowane.

Alexander dogonił Bridget prawie koło jej domu. Miała na sobie drogą bawełnianą sukienkę i niosła koszyk pełen papierowych torebek.

- Kilka składników do sałatek - powiedziała Alexandrowi. - Nigdy nie potrafię kupić wszystkiego za jednym zamachem.

- Nie mogę już patrzeć na sałatki. To jedyna potrawa, którą przygotowuje teraz pani Monk, bo mamy czerwiec, ale nie bierze pod uwagę pogody.

- Mój drogi Alexandrze - rozpromieniła się Bridget - niech pan przyjdzie któregoś dnia do nas na kolację.

- Dziękuję, ale nie powinienem, właśnie teraz.

- Nonsens. Wysłucha pan doskonałych argumentów Hugh'a, a potem podyskutujemy jak ludzie cywilizowani.

Alexander odsunął się o krok.

- Nie jestem teraz w towarzyskim nastroju.

- Oczywiście, rozumiem. Bardzo mądrze pan zrobił rozmawiając z biskupem.

Spojrzął na nią z lekkim obrzydzeniem, skłonił głowę, mruknął „Do widzenia” i szybko odszedł. Bridget patrzyła za nim przez chwilę, a potem pobiegła do domu i bez pukania wpadła do gabinetu męża.

- Huffo, właśnie spotkałam Alexandra Troya. Wychodził z pałacu. Zaprosiłam go na kolację do nas, ale odmówił. Z biskupem mógł rozmawiać tylko o tym wstrętnym chórze...

Dziewkan siedział przy biurku i coś pisał. Nie podniósł głowy.

- Niekoniecznie.

- Ale, Huffo, o czym jeszcze...

- Mogli rozmawiać o czymkolwiek.

- I nie przyjął mojego zaproszenia!

- A sądziłaś, że może je przyjąć t e r a z ?

- Huffo, robię wszystko, co w mojej mocy, by ci pomóc w tym trudnym czasie.

Dziewkan spojrzął na żonę sponad okularów do pisania.

- Więc bądź tak miła i przynieś mi filiżankę herbaty, dobrze?

Sally już trzeci kolejny dzień pracowała w porze lunchu, bo w ten sposób mogła odłożyć na później pisanie listu do Alana. Jej szef, który przyuczał nowego młodego barmana w winiarni na Lydbrook Street, był jej niezmiernie wdzięczny i obiecał, że nagrodę za to znajdzie w piątkowej kopercie z tygodniówką. Była lepszą sprzedawczynią niż on i na ogoł udawało jej się przekonać klienta, który przyszedł kupić *Papieża* Lyttona Stracheya, książkę rzadko pojawiającą się na rynku, do kupienia o wiele popularniejszej *Elżbiety i Essex* tego samego autora, a w wielu wypadkach również skrzynki niemarkowego burgunda. Sally zajmowała się też takimi kobiecymi sprawami jak pastowanie skórzanych opraw książek, dbanie o rośliny czy ozdabianie sklepu ładną porcelaną kupioną na bazarze. Widok tak zadbanej księgami przyciągał klientów, którzy zazwyczaj nie kupowali używanych książek. Dwa razy napisała „Kochany Alanie” na osobnych kartkach, za trzecim razem zaczęła „Mój kochany Alanie, nawet gdybym nie była zakochana w kimś innym, nie chcę dłużej być twoją żoną”, potem podarła wszystkie trzy kartki i wrzuciła do kosza. Pomyślała, że Alan może odczuć ulgę czytając taki list, ale potem doszła do wniosku, że ma taką nadzieję tylko dlatego, iż ułatwiłoby to iei sytuację.¹¹

Nie chciała nikogo oszukiwać, jeżeli mogła tego uniknąć, a oczywiście oszukiwała Alana każdego dnia, który upływał bez napisania listu. Było jej trudno pisać, bo wiedziała dokładnie, że chce go opuścić, nie miała jednak pojęcia, co zrobić potem. Leo pragnął, by wyszła za niego, ale była zdania, że zanim zacznie poważnie myśleć o małżeństwie z kimś innym, najpierw musi przyzwycząić się do myśli, że już nie jest żoną Alana. Była szalenie zakochana w Leonie, w to nie wątpiła, a szaleństwo nasiliło się jeszcze bardziej, gdy spędzili noc w jego domu, a Leo okazał się delikatnym i czułym kochankiem. Nie była do tego przyzwyczajona. Jego sposób poznawania jej ciała z tak wielkim, czułym zainteresowaniem był tak samo uwodzicielski jak to, że

szczerze interesował się zawsze jej opiniami. W zadziwiający sposób przywracał Sally poczucie własnej wartości.

- To nie może trwać - powiedziała Leonowi. - Ten nieprawdopodobny entuzjazm musi przeminąć.

- Zapominasz, że naprawdę mi się podobasz. Bądź sobą i zobaczysz, że do siebie pasujemy. Kiedy się tego nauczysz? Chcę cię taką, jaka jesteś. Chciałbym tylko, żebyś nie była mężatką.

Nie czuła się mężatką. Czuła się matką Henry'ego, ale nie żoną Alana. To pierwsza rzecz, którą musi Alanowi napisać, a drugą jest to, że znalazła mężczyznę, który zwrócił ją samej sobie. Alan nie zrozumie tego, nie wiedziała jednak, jak inaczej to wyrazić bez uciekania się do terminologii feministycznej. Alan będzie oczywiście mówił o swojej miłości do Henry'ego, ale ona musi być twarda jak stal i wstrzymać się od wykazania mu, że nie jest dobrym ojcem. Postanowiła sobie, że będzie uczciwa.

A jeśli chodzi o Franka, to była na niego wściekła z powodu chóru, więc nic mu nie powie. Frank nie przyszedł powiedzieć jej uczciwie, co ustalili z dziekanem na temat chóru i domu dyrektora szkoły, po prostu pozwolił, by dowiedziała się o tym z plotek. Pobieła do niego do domu.

- Komu jesteś winny lojalność? - krzyczała. - Wnukowi czy swoim politykom? Jesteś nie tylko oszustem, ale i tchórzem. Pozwoliłeś, żebyśmy z Henrym sami to odkryli. Nic dziwnego, że od tyłu tygodni nie byłeś u nas. Zrywamy stosunki, Frank, mimo Henry'ego. Jak myślisz, co to dla niego znaczy, że ma dziadka, osobę publiczną, który postępuje w ten sposób i chce zlikwidować chór, do którego on właśnie został wybrany? I wszystko to za naszymi plecami!

Frank poczuł przypływ męskiego szowinizmu; jego ojciec uderzyłby matkę, gdyby tak się do niego odezwała. Otworzył drzwi mieszkania.

- Wyjdź - powiedział. - Wyjdź, zanim cię wyrzucę.

Od tamtego czasu nie rozmawiali ani razu. Henry raz czy dwa spytał, czy dziadek przyjdzie, a Sally odpowiadała obojętnie, żeby nie myślał, że stało się coś ważnego: „Dziadek jest teraz bardzo zapracowany. Przecież znasz go i wiesz, ile ma zajęć”. Frank nie poszedł do katedry spotkać się z wnukiem, ale jeżeli Henry nawet to zauważył, nie mówił nic. W końcu był przyzwyczajony, że rzadko ma całą rodzinę przy sobie.

Leo powiedział Sally, że może źle ocenia Franka.

- Sal, nie znasz dziekana. Frank może być w trudnej sytuacji, jego plany mogły obrócić się przeciw niemu, a ponieważ nie jest przyzwyczajony do tego, że ktoś nim manipuluje, nie wie teraz, co zrobić. Popęłił błąd, ale duma nie pozwoli mu się do tego przyznać. Ja go raczej podziwiam. To ostami prawdziwy ojciec miasta.

Ale Frank był również ojcem Alana, a w obecnym stanie swojego umysłu Sally nie chciała roztrząsać swojej sytuacji. Powie mu, gdy uzna, że chwila jest odpowiednia, tak samo jak Henry'emu. Henry nie może o niczym się dowiedzieć, póki Sally nie będzie potrafiła dokładnie wyjaśnić, co się dzieje.

Była jednak jedna sprawa, która bardzo ją martwiła: przyjaźń Leona z Alexandrem Troyem. Z powodu Sally byli na siebie tak obrażeni, że prawie się do siebie nie odzywali, a teraz właśnie, ze względu na chór, powinni móc ze sobą rozmawiać. Sally zastanawiała się nawet, czy nie wyjechać na jakiś czas albo przestać się spotykać z Leonem, ale w praktyce było to niemożliwe, a zresztą Leo powiedział Alexandrowi, że w żadnym wypadku nie zrezygnuje z Sally. Tak bardzo lubiła Alexandra, i Henry go lubił. Pragnęła, by Felicity wróciła do domu, bo wtedy Alexander miałby przy sobie kogoś, komu mógł ufać. Kiedyś zaproponowała Leonowi, że pójdzie do Alexandra i spróbuje załagodzić spór, ale trafiła na nieodpowiedni moment, gdy Leo był zaabsorbowany pracą, więc tylko spojrzął na nią nie widzącym wzrokiem i powiedział, że nie warto tam iść, absolutnie nie warto.

W ostatnim czasie miała tyle energii, była tak pewna siebie, wydawało się, że może dokonać, czego tylko chce. Wysprzątała cały dom, nawet za meblami, gotowała skomplikowane potrawy na kolacje dla siebie i Henry'ego, ale jego jedyną reakcją było pytanie, w którym wyczuła łagodny wyrzut, kiedy znów będzie spaghetti. Zabrała go po szkole na plażę, poszła popatrzeć na niego i na Chilwortha podczas treningu siatkówki, dyżurowała w szkolnym sklepiku z używanymi ubraniami, prowadzonym przez matki uwielbiające pracę w komitetach, czego ona z kolei nie cierpiała. W czwartkowe popołudnia po zamknięciu księgami, a także w inne wieczory, widywała się z Leonem, który siadał w jej bawialni z Mozartem na kolanach (wydawało się, że Mozart ceni sobie jego towarzystwo) i rozmawiali, pili wino, a czasami on grał dla niej na pianinie. Którejś nocy Henry, dręczony jakimś koszmarem na temat ćwiczeń francuskich, których nie przygotował, zszedł na dół, troszkę się zdziwił widząc Leona, ale Leo zaraz przepytął go ze słówek, chociaż było już dwadzieścia po dwunastej.

- A teraz wracaj spać, bo wszystko umiesz. *Comment dit-on* „spać” u żabojadów?

- *Dormir.*

- A „dobrze spać”?

- *Dormir bien.*

- Doskonale. Już po koszmarze. Zabierzesz tę futrzaną osobistość na górę? Henry wziął Mozarta.

- Dziękuję, sir.

- Śpij dobrze. Jutro przychodzisz punktualnie o wpół do dziewiątej z bardzo czystym głosem.

Henry uśmiechnął się. Rano spytał matkę:

- Dlaczego pan Beckford tu był?

- Chciał porozmawiać ze mną.

- O mnie?

- Ależ z ciebie zarozumialec. Nie, po prostu porozmawiać. Przyjacielska wizyta.

- Jest przyjacielem?

99

- Tak, bardzo dobrym przyjacielem.

- Troszkę dziwne przyjaźnić się z nauczycielem. - Henry poczuł się nieswojo.

- Dlaczego? **a** czy nie są zwykłymi ludźmi? A poza tym on nie jest nauczycielem.

- Prawie jest. - A potem Henry dodał: - On jest w porządku.

- Jak to miło z twojej strony.

Henry dostał tego rana list od Alana, pierwszy od trzech miesięcy napisany bezpośrednio do niego. Wydawał się dziwnie obojętny, nie chciał go otworzyć, a gdy Sally przecięła kopertę i podała mu list, popatrzył na pierwszą linijkę czy dwie i powiedział niewyraźnie, że potem przeczyta. Gdy zszedł na dół po umyciu zębów, gotowy już do wyjścia na próbę, oderwał róg koperty ze znaczkami saudyjskimi, by dać je Hooperowi.

- Zabierz list, przeczytasz go na przerwie - powiedziała Sally, ale po wyjściu Henry'ego znalazła kopertę na małym stoliku przy drzwiach frontowych, na który odkładali różne drobiazgi. Przeczytała list. Było to wesołe sprawozdanie z wyścigu wielbłądów, a pod koniec Alan napisał: „Opiekuj się mamą, synu. Zobaczymy się podczas wakacji”. Miał na myśli sierpień. Za sześć tygodni. W ciągu sześciu tygodni Sally musi podjąć jakąś decyzję, powiedzieć mężowi, Henry'emu i Frankowi. Poczła, że rzeczywistość przejmują ją dreszczem. Poszła do pokoju wypić jeszcze jedną filiżankę kawy i przyłapała Mozarta siedzącego na stole i z zadowoleniem zajadającego masło.

Reporterowi „Echa Aldminsteru”, który przyszedł do budynku Rady Miejskiej przeprowadzić wywiad z Frankiem Ashworthem na temat interesującej inicjatywy miejskiej dotyczącej przejęcia dwudziestoczworoosobowego chóru katedry, powiedziano, że niestety pan Ashworth nie może się z nim zobaczyć. Dziennikarz był przyzwyczajony do wysłuchiwanie takich słów, więc uśmiechnął się pogodnie i powiedział, że poczeka. Sekretarka Franka wyjaśniła, że może nie wyraziła się dokładnie; pan Ashworth nie ma nic do powiedzenia „Echu” i ta odpowiedź jest ostateczna.

Dziennikarz zanotował to sobie i spytał, czy należy rozumieć, że propozycja przejęcia chóru została odrzucona, a sekretarka, pisząc zawzięcie na maszynie i nie patrząc na niego, stwierdziła, że nie ma pojęcia. „Bardzo ciekawe” - rzucił irytująco dziennikarz, potem jeszcze powiedział „Trzymaj się, kochanie” i poszedł trzy domy dalej, do „Lamb and Flag”, gdzie stawiając obecnym piwo można było wysłuchać wszystkich plotek z ratusza. Dziennikarz znał wielu bywalców baru i po pół godzinie wy dobył informację, której szukał, a mianowicie, że propozycja Franka, by miasto przejęło chór, została z hukiem odrzucona.

To było najgorsze zebranie Rady, jakie Frank pamiętał. Trzej młodzi radcy - w tym jeden, który z uporem proponował, by „owdowiałym” homoseksualistom i lesbijkom przyznawano renty - szydzili z Franka, otwarcie

śmiali się z mego i w nieznośny sposób obrażali. Według powszechnej opinii chór katedralny był niemodny, elitarny i nieprzystający do współczesnego świata, który doskonale potrafił się obyć bez przesądów i oparcia, jakie być może kiedyś dawała religia. -Obrońca gejów powiedział następnie, uśmiechając się złośliwie, że w chórze śpiewa wnuk Franka, więc jego propozycja to czysty nepotyzm. Kurator - w swoim czasie Frank ujawnił jego nieskuteczność podczas strajku nauczycieli - stwierdził z pewnym zadowoleniem, że to przesada ze strony Franka żądać pięćdziesięciu tysięcy funtów na pomoc jego rodzime.

Frank miał do czynienia z opozycją bardzo często, ale nie aż tak wulgarną i ignorancką, do tego w miejscu publicznym, w tej sali Rady, wobec której żywił większy szacunek niż wobec czegokolwiek innego. Tego już nie mógł znieść. Przyszedł tu jako młody radny przed samymi trzydziestymi urodzinami, i wspaniałość czerwonego mahoni delikatnie pozłacanego tu i tam, herbów miasta i hrabstwa, tablic upamiętniających poległych w obu wojnach światowych, napisu „1888” nad wielkim zegarem - daty wzniesienia budynku - wywarła na nim ogromne wrażenie i sprawiła, że zrozumiał, jakim zaszczytem jest służyć miastu. Oczywiście w ciągu trzydziestu lat było wiele kłótni, słyszał mnóstwo obelg i złorzeczeń wykrzykiwanych przez ludzi zasiadających przy stole w kształcie podkowy, albo z ław po drugiej stronie, ale rzadko, pomijając ostatnie pięć lat, widział, by Rada straciła poczucie godności. Ludzie, którzy nazywali siebie postępowymi, wkroczyli do Rady tylko po to, by nadużywać władzy; by walczyć o obsesje mniejszości, które nie robiły nic dla dobra mieszkańców miasta. Frank z przerażeniem widział, jak teraz pogardzają biednymi, szarymi obywatelami, którzy ich wybrali po to, by ktoś ich bronił. A debaty przeradzały się w zwykłe sprzeczki. Frankowi wstyd było słuchać niektórych bezsensownych kłótni przywdziewających maskę publicznej dyskusji. Teraz, siedząc na swoim zwykłym miejscu w połowie podkowy, sam znajdował się pod pręgierzem. Z szyderczymi uśmiechami oskarżano go o chęć napełnienia własnej kieszeni i dopomożenia wnukowi w karierze. Nie mógł nawet nic wyjaśnić, nie mógł powiedzieć, że pozwolił dziekanowi na snucie przypuszczeń co do przyszłości chóru, na wyciąganie własnych wniosków z tych przypuszczeń, bo pragnął uzyskać dostęp do zaczarowanego kręgu tumu. Jedynym zaś sposobem na to byłoby kupno domu dyrektora szkoły. Sam przed sobą przyznawał, że dom ten byłby czymś w rodzaju piątej kolumny umieszczonej przez Radę na terenie tumu, ale nie powie tego tutaj, w sali narad, słuchaczom węszącym za ukrytymi motywami, jak szczury na śmietniku. Jednak jeżeli będzie milczał, wszyscy dojdą do wniosku, że miał jakieś konszachty z dziekanem. W istocie ten zarzut został już podniesiony, przez ładną młodą kobietę w czerwonej bluzce, która ze swojej ławy głośno mówiła, że człowiek, który miał szczęście przyjmować Hugh'a Cavendisha w swoim mieszkaniu, jest dwulicowym socjalistą, bez którego partia doskonale może się obejść. Miała czarne włosy i zuchwałą prostacką twarz, a część jej zwolenników mruczała

z aprobatą. Frank próbował powiedzieć coś o historycznym dziedzictwie miasta, którego nieodłączną częścią jest także chór, a wtedy ona zerwała się na nogi i krzyknęła, że tradycja to wstrętne słowo, bo oznacza tylko zachowanie społecznej nierówności, czego chór jest obrzydliwym przykładem.

Powtórzyła kilka razy „obrzydliwy” i wtedy Frank, który zawsze twierdził, że wyjście z zebrania jest objawem osobistej klęski, wstał powoli i ciężkim krokiem poszedł do drzwi. Gdy je za sobą zamykał, ktoś wykrzyknął z podnieceniem:

- I tak odchodzi ostatni mastodont! - co spotkało się z wybuchem śmiechu.

Chciało mu się płakać. Nie z powodu obrazy, ale dlatego, że Rada upadła tak nisko. Nie tylko przestała być wspaniałą instytucją, ale trudno ją było w ogóle traktować jak instytucję, gdy tak nieumiejętnie rządziła miastem, w którym zbyt wielu młodych nie stać było na zdobycie przyzwoitego wykształcenia i nie wszyscy chorzy mogli korzystać z opieki lekarskiej. Wszedł do swojego gabinetu, popatrzył na puste biurko i wiedział, że przynajmniej chwilowo odczuwa brak odwagi i gorycz. A co gorsza, czuł, że zawiódł sam siebie.

Jego sekretarka, zmęczona, doświadczona kobieta, która przez lata pracy w Radzie poznała przedstawicieli wszystkich możliwych odcieni politycznych, weszła i spytała, czy napiłby się kawy.

- Nie, dziękuję.

Nie zapytała, jak przeszło zebranie; nigdy tego nie robiła. Frank nigdy nie widział, by zainteresowała ją coś oprócz królewskich ślubów i styczniowych wyprzedazy, gdy żądała nieprzyzwoicie dużo wolnych dni. Odstawiła dwa segregatory do metalowej szafki za biurkiem Franka i powiedziała niespodziewanie: - Powinien pan pójść do szkoły zobaczyć się z wnukiem. Mają przerwę na lunch, prawda? - I wyszła. Gdy chwilę później przechodził obok niej, znów, jak zwykle, pisała na maszynie. Nie przerywając rzuciła: - Załatwię wszystko z tyń człowiekiem z „Echa”.

- Dziękuję - odparł Frank.

Był jednocześnie zdumiony i zirytowany, bo miał ochotę wstąpić na Blakeney Street. Sam nie wiedział po co, bo przecież Sally była o tej porze w pracy. Przeszedł nawet obok domu, zobaczył wielki dzban z irysami stojący na parapecie, Mozarta wyglądającego na ulicę, a także idealnie wypolerowaną kołatkę w kształcie delfina, którą Sally i Alan kupili podczas miodowego miesiąca na Malcie i o której zawsze im mówił, że zzielenieje. Pod wpływem impulsu napisał: „13.15. Przechodziłem tędy. Frank” na formularzu wpłaty, wyrwał go z książeczki czekowej i wepchnął do skrzynki na listy. Mozart natychmiast opuścił parapet i poszedł sprawdzić, co nadeszło.

Frank ruszył stromymi ulicami do tumu. Widok znanych od zawsze domów, ogrodzeń i ogrodów powoli go uspokajał. Było chłodno, pochmurnie i cicho, w winiarniach i barach kłębiły się tłumy ludzi, przez otwarte drzwi pubów dobiegał na ulicę zapach piwa. W tłumie także było pełno ludzi,

śpiących na trawnikach, jedzących z torebek i pudełek, tu i ówdzie grupki nastolatków paliły papierosy, psy i małe dzieci biegały, a na ławkach siedzieli ludzie czytając gazety i starając się nie być za blisko jeden drugiego. Na trawnikach walały się śmiecie, a kosze były przepełnione. Nad tym wszystkim wznosiła się z pyszną obojętnością katedra.

Frank przeszedł przez tum ścieżką biegnącą prosto pod wielkim zachodnim oknem wiktoriańskiej neogotyckiej bryły szkoły. Po drodze minął dom dyrektora, rzucił na niego spojrzenie, a potem zatrzymał się przy kamiennej bramie prowadzącej na imponujący szkolny dziedziniec. Był pusty, ale otwarto okna refektarza, z których dobiegał szczełk noży i widelców, a także zapach stołówkowego jedzenia. Frank zatrzymał chłopca biegnącego w jego stronę i spytał, gdzie jedzą lunch młodsze klasy.

- Już zjedli - odpowiedział chłopiec bez tchu. Chciał pędzić dalej. - Są teraz na boisku. Jedli o wpół do pierwszej.

Boiska rozpościerały się na stoku wzgórza, po drugiej stronie miasta i portu. Gdy je wytyczano, posadzono tam buki i kasztany. Dalej, w kierunku wschodnim, rozciągały się pola dochodzące aż do wioski Horsley. Teraz znajdowały się tam domy, fabryki i centra handlowe, a uczniowie musieli grać w krykieta i piłkę przy samych ścianach. Jednak drzewa nadal stały majestatycznie, a pod jednym ze szczególnie rozrośniętych kasztanów Henry i pół tuzina innych chłopców grali w kapsle.

- Czy to dobrze tak biegać po jedzeniu? - spytał Frank.

Henry podszedł do niego z radością, z której nie zdawał sobie sprawy, i odparł:

- Nie jedliśmy. Było okropne, obrzydliwe... Inny chłopiec dodał z wyższością:

- Moja mama mówi, że to z powodu soi.

- Chciałbyś pójść na spacer? - spytał Frank.

- Tak - rozpromienił się Henry. Poszli w dół zbocza.

- Przepraszam, że tak długo was nie odwiedzałem.

- Mama mówiła, że masz dużo pracy.

- Tak, zawsze mam dużo pracy. Ale poza tym troszkę się z mamą pokłóciliśmy, w sprawie chóru. Mówiła ci coś?

Henry zatrzymał się i podniósł patyk.

- Nie.

- Co myślisz o chórze? Jest dla ciebie ważny? Henry machał patykiem na boki.

- Oczywiście, że tak.

- Dlaczego?

Henry wzruszył ramionami.

- Z powodu... katedry. I muzyki. I... z powodu Boga.

- Wierzysz w Boga? - spytał Frank.

- Tak.

- Dlaczego?

Henry westchnął. Co za okropna rozmowa. Dziadek nie był dziś taki jak zwykle.

- To oczywiste - odpowiedział Henry z odrobiną pogardy w głosie. - Bez Boga nie byłoby tego wszystkiego - pokazał patykiem - a przede wszystkim nie byłoby katedry.

Frank zauważył tę lekką pogardę i zmienił taktykę.

- A co z chłopcami ze szkół miejskich, którzy nie mogą być przyjęci do chóru, tak jak ty?

- Mogą. Harrison był w podstawówce w Horsley i jego rodzice nie płacą czesnego.

Frank zatrzymał się. Doszedł do wniosku, że nie zniesie drugiej porażki w ciągu jednej godziny.

- Jak się czuje mama?

- Dobrze.

- Widziałem dziś kota w oknie.

- Jest w niełasce. Wczoraj zjadł masło, a dziś przyniósł młodą myszkę do dużego pokoju. Złapaliśmy ją do worka na śmiecie.

Frank znów ruszył.

- Wiesz, czasami zmiany są konieczne, a nam się one nie podobają. Ale w końcu widzimy, że wyszły na dobre.

Henry nie odpowiedział. Myślał o małej myszce patrzącej wystraszonymi oczkami z worka na śmiecie.

- Masz jakieś wiadomości od ojca?

- Pisał, że przyjedzie na trochę w sierpniu - odparł obojętnie Henry.

- Muszę wracać - powiedział Frank. - Chciałem tylko chwilkę z tobą porozmawiać. Ucałuj mamę ode mnie i powiedz jej, że wkrótce was odwiedzę.

Henry uśmiechnął się.

- Wczoraj powiedziałem do niej „staruszek” i, och, jak się wściekła...

- Jesteś bezczelnym małpisonem.

- Powiedziała „Och, Henry”...

- Chodź, małpko, wracaj do swojego cyrku.

Henry wspiął się na palce i pocałował Franka w policzek.

- Do widzenia, dziadku. Dziękuję, że przyszedłeś.

Frank patrzył za Henrym, który wspinał się z powrotem pod drzewo kasztana Kochał Henry'ego bardziej niż kogokolwiek w swoim życiu, co do tego nie miał wątpliwości, ale prawda była taka, że wnuk nie powinien wychowywać się wśród społeczności, która odrzuca postępek. Z okna pokoju nauczycielskiego, oddalonego o jakieś sto metrów, Roger Farrell obserwował jego sylwetkę, której nie można było pomylić z nikim innym, podczas gdy Frank powoli zbliżał się do szkoły. Odwrócił się od okna i z zadowoleniem powiedział:

- Oto nadchodzi nasz wielki sojusznik. Zaprosimy go do nas?

9

Zycie w Londynie wcale nie było zgodne z wyobrażeniami Nicholasa. Po pierwsze wszyscy - Ianthe, Mike, Steven i Jon - ciągle byli nieobecni, biegali na spotkania z ludźmi. Nicholas myślał, że do biura będzie napływał wielki strumień zespołów rockowych, że przez cały dzień będzie zajęty przygotowywaniem im kawy i uspokajaniem ich, gdy Ikon odmówi im nagrań, ale okazało się, że umowy zawiera się gdzie indziej, a sesje nagraniowe w jakimś innym miejscu trwały przez cały tydzień. Do biura przychodziła tylko poczta i dzwoniły telefony, które Nicholas odbierał. Ludzie pytali na ogół: Zastałem Mike'a?, albo Steve'a, albo Jona czy Ianthe, a gdy Nicholas mówił, że niestety nie, ale może przekazać wiadomość, przeważnie odpowiadali: nie szkodzi i odkładali słuchawkę. Czasami jeden ze współników przychodził i dawał Nicholasowi matrycę do zanieśienia do studia na Wardour Street, by tam dokonano ostatecznego montażu. Nicholas bardzo to lubił. Lubił patrzeć, jak głowica tnąca pracuje na stanowisku montażu. Czuł wtedy, że w jego życiu coś naprawdę się dzieje. Gdy spędzał całe dnie w biurze marząc, by go wreszcie wysłano coś załatwić, najlepiej do tłoczni płyt w Wimbledon, czuł się tak, jakby w ogóle nic się nie działo.

Biuro składało się z jednego pokoju o powierzchni około dwudziestu pięciu metrów z małą ławką. Okna wychodziły na mur z żółtych cegieł ze schodami przeciwpożarowymi. Łazienka była dwa piętra niżej. W pierwszych chwilach entuzjazmu współnicy wyposażyli biuro w dwa ciemnobrązowe biurka z rurek metalowych, piankowe krzesła obite sztruksem, wielkie rośliny i ostre oświetlenie. Potem zdali sobie sprawę, że inwestycja musi się zwrócić, więc przestali zajmować się wyposażeniem, dbając raczej o zarobki swojego mamie zorganizowanego przedsiębiorstwa. Wszędzie stały przepelnione popielniczki, na meblach pozostawały wypalone papierosami plamy, ciemnobrązowy dywan był wytarty i podwinięty, a rośliny zaczęły tracić liście, bo nikt ich nie podlewał. Nicholas ciężko westchnął i zaczął praktykować umiejętności, których nabył dzięki intendentce. Nie było czym sprzątać, a pierwszy wypad na

Charing Cross Road udowodnił, że na tej ulicy nie ma sklepów z miotłami czy wiadrami. Podeszedł do czarnej kobiety myjącej schody budynku. Natychmiast przerwała robotę i dała mu cały swój sprzęt. Poszła za nim i patrzyła, jak sprząta, bo nigdy dotąd nie widziała, by mężczyzna zajmował się taką pracą. Nicholas sprzątał przez cały dzień. O szóstej przyszedł Jon, strzepnął popiół z papierosa na podłogę, wciągnął powietrze i powiedział: -Dziwny zapach. Były jakieś wiadomości?

Wieczory były troszkę lepsze. Czasami Nicholasowi udawało się przyłapać kogoś ze współników i szli wtedy na miasto.

Zachowywali się wobec niego bardzo miło, chociaż nie zwracali na niego specjalnej uwagi, ale ciągle jeszcze czuł, że żyje bardziej na krawędzi czyjegoś życia, niż swoim własnym. Jednak pieniądze były czymś wspaniałym, tak samo jak używane ubranie ze sklepu w Covent Garden, które dał mu Mike, a spanie na sofie Mike'a było o niebo lepsze niż w mfirmierii, chociaż nie tak dobre, jak w gościnnej sypialni Leona. Mike miał upodobanie do gotyku, więc przy jednym końcu sofy stał manekin ubrany w habit, a na wieszaku na kapelusze przy drugim końcu umieścił białego nietoperza z papieru. Sama sofa pokryta była szorstkim czarnym welwetem. Do przykrycia dano Nicholasowi kołdrę w biało-szkarłatne paski. Musiał trzymać ubrania w torbach za sofą. Innego miejsca nie było, gdyż prawie cała niewielka bawialnia Mike'a zajęta była stanowiskami do kopiowania i pulpitemi mikerskimi. Trzeba było uważać i nie nastąpić na żyletkę, bo kiedy przestawały być potrzebne przy montażu, Mike rzucał je po prostu na podłogę. Ianthe powiedziała Nicholasowi, że Mike jest genialnym producentem. Nie chciał żadnego czynszu, żądał tylko zwrotu pieniędzy za jedzenie i butelki whisky tygodniowo. Nicholas uważał więc, że powinien zrobić trochę porządku w mieszkaniu. To nim wstrząsnęło, nie dlatego, by miał pretensję do Mike'a, ale dlatego, że poczuł się taki do niczego. Wyglądało na to, że już zawsze będzie usuwać brudy z mieszkań ludzi, którym wiodło się lepiej niż jemu.

W nowych, plisowanych od góry spodniach i zapiętej pod szyję koszuli pojechał miesiąc później do Aldminsteru i zatrzymał się u Leona, ale nie bawił się dobrze. Leo był w dziwnym nastroju i nie chciał o niczym rozmawiać. Nicholas spytał go o chór.

- Skazany.

- Myśli pan, że Rada go nie przyjmie, a dziekan nie zmieni zdania?

- Tak.

- Co pan zrobi?

- To chyba nie zależy ode mnie. Nicholas spróbował poruszyć inny temat

- Jak się miewa Sally?

- Dobrze.

- Będę mógł zobaczyć ją podczas weekendu?

- Nie. Wyjechała do matki.

- Do matki!

- Powiedziała, że musi pomyśleć.

Nicholas poszedł do szkoły. Chłopcy byli na dworze, oddawali się różnym grom, jak zawsze w soboty. Zobaczył z daleka Alexandra, który wyglądał okropnie, a potem poszedł do kuchni przywitać się z panią Monk, która przygotowywała herbatę dla graczy w krykieta i dała mu kanapkę z szynką.

- Jak ci się podoba w Londynie? - spytała.

- Super.

- Powiedziałabym, że wyglądasz troszkę lepiej. Nicholas uśmiechnął się. Nikt inny tego nie zauważył.

- A co tu słyszeć?

- Jak zwykle. Pani Troy jeszcze nie wróciła, a chór przestanie istnieć przed Bożym Narodzeniem. Pan Troy napisał petycję i zebrał dwa tysiące podpisów, ale nie sądzę, by to coś dało. Naprawdę wstyd. Teraz pomóż mi pokroić te bułki. Centymetr grubości, nie więcej, bo nie będą się do niczego nadawały.

Nicholas poszedł na nieszpory i gdy słuchał chóru, chciało mu się płakać. Śpiewano jedną z części motetu Tallisa i Nicholas pomyślał, że wkrótce nadejdzie taki dzień, kiedy już nikt nie będzie słuchał tych dźwięków, i to będzie koniec. Okropność. Gdy nabożeństwo dobiegło końca, chciał pójść za chórem do szatni, ale oczywiście nie mógł, więc kręcił się w pobliżu, aż Alexander wyszedł ze swojej stali i zauważył go.

- Miło cię znów zobaczyć. Jak się miewasz?

- Doskonale, proszę pana.

- Mają dla ciebie dosyć pracy?

- Mnóstwo.

- Bardzo się cieszę.

- Pani Monk mówiła, że chór zostanie rozwiązany przed Bożym Narodzeniem - powiedział z wahaniem Nicholas.

- Obawiam się, że to prawda. Mamy mnóstwo słownego poparcia, ale żadnych pieniędzy. A naprawa dachu zacznie się w pierwszym tygodniu sierpnia. Chyba nikt w tumie nie myśli tak jak ja.

- Pan Beckford myśli tak samo. Alexander spojrział gdzieś w bok.

- Dla niego to trudna sprawa. Wracasz dziś?

- Tak. Chciałbym...

- Powodzenia - powiedział Alexander i uśmiechnął się. - Trzymaj za nas kciuki.

Po powrocie do Londynu Nicholas nie zastał w domu Mike'a, ale ku jego zdumieniu była tam Ianthe. Powiedziała, że w jej mieszkaniu zepsuł się prysznic, więc musiała tu przyjść. Siedziała na sofie Nicholasa, miała na sobie czarną sukienkę wyglądającą jak zbyt długi podkoszulek, a na głowie zawiązała w turban rybacką siatkę. Za niepisaną zgodą ona i Nicholas trzymali się z daleka od siebie, odkąd Nicholas zaczął pracować w Ikonie, na wypadek, gdyby inni podejrzewali, że w jego zatrudnieniu było coś nieprofesjonalnego, i dziś po raz pierwszy byli sami. Porozmawiała z nim

grzecznie o pracy, a potem spytała z udawaną obojętnością, przeglądając jednocześnie jakiś magazyn, czy widział się z Leonem podczas weekendu.

- Tak. Mieszkałem u niego.

- I co?

- Czuje się dobrze, chociaż nie był zbyt rozmowny. Chór zostanie rozwiązany przed Bożym Narodzeniem. Myślę, że Leo ciężko to przeżywa.

Ianthe odrzuciła magazyn.

- Rozwiązany? To znaczy, że mój ojciec wygrał?

- Rada zrezygnowała, a szkatuła katedry nie może dać więcej. Ja też jestem wzburzony. Wiem, że tego nie lubisz, ale to wspinała muzyka...

- Nie powiedziałam, że nie lubię. Co mówił Leo?

- Niewiele. Ja mówiłem.

- Czy straci pracę?

- Nie pozbywają się przecież organów. Tylko chóru. Ianthe popatrzyła na sufit.

- Czy u Leona był jeszcze ktoś?

Nicholas już otwierał usta, by powiedzieć o Sally, ale czysty instynkt kazał mu zamilknąć. Zawdzięczał bardzo wiele Ianthe, która dała mu pracę, lecz był lojalny przede wszystkim wobec Leona. Wiedział, że Ianthe czuje słabość do Leona i że potrafi być wredna. Gdyby powiedział jej o Sally, mógłby narazić Leona na atak. Powiedział więc:

- Pracowałem przez cały weekend. Poszedłem do szkoły i spotkałem parę osób. Myślę, że naprawdę martwią się chórem.

- Jak mogą zrobić coś takiego!

- Nie wiem.

- Nick, zaparz kawę. Miałam ciężkie nagranie wczoraj wieczorem. Nicholas posłusznie poszedł do maleńkiej, pomalowanej na szkarłatno

kuchni, przygotował Ianthe kubek kawy, zaniósł go do bawialni, i nagle powiedział:

- Moglibyśmy pomóc.

- Jak? - spytała patrząc na niego.

- Moglibyśmy nagrać płytę. Pó stronie A Leo, a po stronie B Henry Ashworth, i puścić ją na rynek przez kanały rockowe. Byłoby to czymś niezwykłym, ale...

- Zwariowałeś - stwierdziła Ianthe.

- Nie. Pomyśl o tym.

- Myślę, że zwariowałeś. Nasza firma nie zajmuje się chórami chłopięcymi.

- Ale ludzie lubią ich słuchać...

- Daj spokój, Nick. Głupi pomysł.

- Wcale nie jest głupi. Jest rozsądny.

- Przestań! - krzyknęła Ianthe.

Nicholas odczekał chwilę, a potem zauważył: - Pomoglibyśmy Leonowi. -1 poszedł do łazienki.

Gdy wrócił, Ianthe już nic nie powiedziała, ale odzyskała równowagę.

109

Nicholas zrobił kilka kanapek z bekonem, a ona paplała o tym, jak spędziła weekend, i o Gerrym, który nie chciał się od niej odczepić. A jest taki nudny. Mogłaby założyć się z Nicholasem o wszystko, że gdy wróci do domu, znów znajdzie kwiaty przed drzwiami, a chyba musiałby zdobyć je w jakimś szpitalu, bo przecież, na Boga, dziś jest niedziela. Jednak ma ładny samochód. Czarny MG. Zbierając się do wyjścia, powiedziała:

- To zbzikowany pomysł, ale pomyślę. Nie mów Mike'owi.

Mike wrócił około północy z dziewczyną. Nie chcąc budzić Nicholasa, poszli prosto do sypialni, a Nicholas, który i tak nie spał, puścił dość głośno płytę, bo nie znał nic gorszego niż słuchanie ich przez ścianę, podczas gdy on był sam, tylko z mnichem, nietoperzem i czerwoną kołdrą, którą Ianthe posypała popiołem z papierosa. Jednak dziwne, że nie czuł się aż tak smutny jak zwykle, gdy Mike sprowadzał dziewczynę. W istocie był nawet trochę podniecony, nie tym co słyszał z sypialni, ale swoim pomysłem. Gdyby tylko wymyślił coś nadzwyczajnego, co Henry mógłby zaśpiewać...

Hugh Cavendish udzielił długiego wywiadu „Echu”. Starannie zaplanował, co powie i jaki nacisk położy na fakt, który był absolutną prawdą, że chór kosztuje Kapitułę jedną trzecią rocznego dochodu. Opowie szczegółowo o naprawie dachu, a nie wspomni ani słowem o nowym oświetleniu, chyba że go o to spytają. Wymiana oświetlenia niedługo się rozpocznie. Dziekanowi brakowało już tylko trzech tysięcy funtów, ale miał nadzieję, że dostanie je od Lorda Lieutenanta* w zamian za tablicę pamiątkową w ulubionej kaplicy jego matki, która zawsze skarżyła się, że w katedrze jest zbyt ciemno. Na froncie domowym nastąpił czasowy, niepewny rozejm między nim a Bridget i Cosmem, a jeśli chodzi o tum, uzyskał milczące poparcie wszystkich i głośne niektórych, włączając archidiakona, który będąc o dziesięć lat młodszy, żywił nadzieję na własną dekadę na stanowisku dziekana po ustąpieniu Hugh'a Cavendisha.

Dziennikarz chciał wiedzieć, co myśli dziekan po tym, jak Rada Miejska odrzuciła propozycję przejęcia chóru.

- Muszę przyznać, że rozumiem ich racje. Oczywiście jest mi bardzo przykro. Wszyscy żałujemy, że jak tyle innych katedr, padliśmy ofiarą naszych czasów. Ale radujemy się z posiadania najlepszych organów w Anglii i organisty na miarę tak wspaniałego instrumentu.

- Gad - stwierdził Leo po przeczytaniu wywiadu. Sam był rozgoryczony, zły i nieszczęśliwy, bo Sally zdecydowała się odejść od męża raczej po to, by uzyskać wolność, niż dla niego. Bolał też nad tym, że nie potrafił przywrócić przyjaznych stosunków z Alexandrem, który walcząc w całkowitym osamotnieniu był udręczony i wymizerowany.

◆naczelnik egzekutywy i sądownictwa w poszczególnych hrabstwach (przyp. tłum.)

Frank Ashworth, czytając ten sam wywiad, poczuł się podobnie. Dziekańskie „zrozumienie” Rady Miejskiej nie było, według niego, warte funta kłaków, a jeżeli naprawdę rozumiał Radę, nie powinien być dziekanem. Dziekan po prostu planował następny ruch. Zmiękczał Radę, by Frank poniósł znowu klęskę, gdy zaproponuje kupno domu dyrektora szkoły. Zdaniem Franka, dziekan chciałby mieć Radę w kieszeni, a schlebianie jej było pierwszym krokiem ku temu celowi. Ale jeżeli Frank będzie miał coś do powiedzenia, dziekan nie poprowadzi spraw zgodnie ze swoim życzeniem. Frank nie zamierzał pozwolić, by po raz drugi go przechytrono albo by kościelne manewry odseparowały go od jego sprzymierzeńców w Radzie. Dziekan poprosił Franka o przedstawienie szczegółowej oferty Rady dotyczącej domu dyrektora szkoły. Frank był pewien, że to tylko pozorny atak, ale przygotuje plan, którego Rada nie będzie mogła odrzucić. Cichy, niemiły wewnętrzny głos pytał go jednak nieustannie, czy nie miesza socjalistycznych prawd z pragnieniem osobistej zemsty. Ten cichutki głos był jedną z udręk, które Frank nauczył się znosić w swoim samotnym życiu.

Spotkanie zarządu King's School odbyło się w rzadko używanym pokoju stołowym w domu dyrektora szkoły. Był to piękny pokój, z sufitem ozdobionym zawilą sztukaterią i z masywnym kominkiem, ale Felicity i Alexander mogli umieścić w nim tylko niewiele mebli, więc wydawał się opuszczony. Stał w nim zniszczony wiktoriański rozsuwany stół, przykryty przez Felicity ogromnym obrusem, sięgającym aż do ziemi, kupiony lata temu za piętnaście funtów dla Daniela, by mógł na nim ustawiać swoją kolejkę elektryczną; dziesięć dziwacznych krzeseł, każde z innego kompletu, i mała szafka na książki. Na ścianie przymocowali wielką, czarną półkę z żelaza, z której zwisały metalowe gałęzie z połączonymi winnymi gronami, kupione przez Felicity zaraz po ślubie z nadzieją, że któregoś dnia znajdzie dla nich odpowiednie miejsce. Członkowie zarządu, wchodząc do pokoju, popatrywali na te grona nerwowo. Miejsce bezpośrednio pod nimi przypadło kanonikowi Yeatsowi, który wszedł ostatni, bo z powodu kul nie mógł szybko chodzić. Siadając spojrział błagalnie na grona.

Było dwudziestu dwóch członków zarządu; stanowili całkiem spore zgromadzenie. Alexander musiał dostawić dodatkowo tuzin krzeseł. W końcu usiadł obok dziekana, który przewodniczył zebraniu, chociaż wolałby tego uniknąć. Omówili gładko wszystkie bieżące sprawy, plan wybudowania nowej sali gimnastycznej, sprawozdanie finansowe i działalność komitetów, zwiększenie liczby miejsc dla dziewcząt od szóstej klasy do najniższej, a potem dziekan powiedział nie zmieniając tonu głosu:

- A teraz, panowie, chór.

Atmosfera oziębła się. Alexander spojrział na kanoników i radnych, na Franka Ashwortha, na prawników, urzędników i kuratorów, i tylko w oczach kanonika Yeatsa zobaczył iskierkę sympatii.

- Stoimy przed decyzją, której nie możemy odłożyć. Obawiam się, że już nawet nie mamy wyboru. Wydajemy jedną trzecią dochodów Kapituły na chór, a wymogi współczesnej ekonomii po prostu nie pozwalają nam na taki luksus...

- To nie luksus - powiedział-głośno Alexander. Dziekan obrócił się do niego z krzesłem.

- Panie Troy.

- Angielskie chóry są najlepsze na świecie i jedyne w swoim rodzaju. Stanowią nie tylko żywotną część naszego dziedzictwa, ale są tak ważne dla ludzkości, że nie mamy prawa odbierać tego przyszłym pokoleniom...

- Trzeba jednak powiedzieć - zaczął krzyżeć archidiakon ze swojego miejsca przy końcu stołu - że również mamy obowiązek przekazać przyszłym pokoleniom nasze katedry! Dom Boży musi mieć pierwszeństwo!

Naczelnny kurator miejski, który już żałował, że zwrócił się w Radzie przeciwko Frankowi, i pragnął mu teraz zadośćuczynić, zacytował najdokładniej jak potrafił to, co Frank mu powiedział.

- Nie jest właściwe wynosić jedne dzieci z miasta ponad drugie. Naszym celem powinno być usuwanie rażącej niesprawiedliwości, jaką są przywileje.

Frank spojrział na niego chłodno. On sam nigdy nie użyłby tak emocjonalnego słowa jak „rażący”, ale potrafił zauważyć gałązkę oliwną, gdy ją ku niemu wyciągano. Ledwie dostrzegalnie skinął głową i powiedział:

- Rada bardzo ubolewa, że nie może przejąć chóru. Jest to spowodowane nie tyle tym, że naszym zdaniem pieniądze bardziej potrzebne są na inne cele, ile tym, że naszą powinnością, jako radnych, jest likwidowanie w mieście społecznych nierówności prowadzących do niepokoju.

Zebrani ochoczo podjęli ten temat. Nie wolno zachęcać dwadzieścioro czworga dzieci, by wierzyły, że są w jakiś sposób lepsze niż pozostałe; chóry są anachronizmem i nasze dziedzictwo będzie lepiej reprezentowane przez samą katedrę; tak czy owak muzyka sakralna jest przeżytkiem we współczesnym świecie kierującym się prawami nauki. Świeccy zarządcy wskazywali, że w Aldminsterze gra się bardzo dużo dobrej muzyki, że katedra ma wybitnego organistę i że pogląd dyrektora szkoły jest sprawą bardzo delikatną, którą trzeba starannie przedyskutować.

- A co z aspektem duchowym? - krzyknął kanonik Yeats, wcale nie pomagając tym Alexandrowi.

- Dyrektor szkoły sam jest miłośnikiem muzyki - powiedział z namaszczaniem dziekan - i to oczywiście wpływa na jego opinię.

- Jestem również duchownym...

- Czyżby chwała Boża zależała od muzyki? - spytał złośliwie archidiakon.

- Najsmutniejsze dla mnie jest to, że dyskusja na temat chóru, która trwa już kilka miesięcy, przerodziła się w prywatne spory.

Podzieliliśmy się, ponieważ potracono w nas pewne osobiste struny i, paradoksalnie, daje mi to odrobinę nadziei, że chór dla was też ma jakieś znaczenie. Proszę tylko o odroczenie decyzji na rok, potrzebny do sporządzenia planu uratowania czegoś, co, jak szczerze mińmam, jest nam wszystkim potrzebne.

W pokoju wybuchła wrzawa. Dziekan pozwolił jej trwać dłuższą chwilę, zanim przywołał wszystkich do porządku. - Rok! Prosi o pięćdziesiąt tysięcy! Dziekan podniósł rękę.

- Czy mogę zasugerować kompromis? Odroczyliśmy decyzję, ale nie na rok. Jeżeli pan Troy chce poszukać sposobów na samofinansowanie się chóru, proponuję zezwolić mu na opracowanie możliwego do przyjęcia planu, który byłby przedstawiony podczas następnego zebrania zarządu, za cztery miesiące, w październiku. Jest to uczciwa propozycja, prawda, panowie?

Alexander ciężko usiadł i pochylił głowę.

- Cztery miesiące nic nie zmieniają i sami o tym wiecie.

- Panie Troy, pan się zapomina. Przedstawiam moją propozycję pod głosowanie. Kto jest za?

Podniosło się dwadzieścia rąk.

- Kto przeciw?

Tylko kanonik Yeats i Alexander podnieśli dłonie. Patrzyli na siebie przez stół z rozpaczą.

- Powinniście go posłuchać - powiedział z irytacją kanonik Yeats do zgromadzonych. - Naprawdę powinniście. To krótkowzroczność z waszej strony. - Popatrzył na Alexandra i zaintonował:

„...Przybywam do świętego miejsca Gdzie z Twoim chórem świętych Będę Ci śpiewał na wieki...”

- Herbert - upomniał go archidiakon wyniośle. Kanonik Yeats odwrócił głowę.

- To już koniec.

- Panowie...

- Chwileczkę, panie dziekanie, panie przewodniczący - przerwał kanonik Yeats. - Pan Troy i ja zostaliśmy całkowicie przegłosowani. - Rzucił spojrzenie Alexandrowi. - Niech pan Troy zechce mi wybaczyć, ale powiem, że nie jesteśmy politykami, i w związku z tym brakuje nam biegłości w, jeżeli można tak powiedzieć, manewrach. Jednak zanim przegramy, chciałbym w tym miejscu jasno stwierdzić, że nasz punkt widzenia jest prawdziwie chrześcijański i dlatego racja jest po naszej stronie. Możecie nas przegłosowywać do upojenia, ale tego nie zmienicie.

Nastąpiła krótka chwila pełnej zakłopotania ciszy, a potem Alexander zawołał zbyt głośno „Brawo!”

Zebranie zakończono modlitwą o jedność, do której Alexander nie potrafił się włączyć. Podszedł do kanonika Yeatsa pomóc mu wstać z krzesła.

- Och, panie Troy, co za banda egoistów!

- Był pan wspaniały.

Kanonik Yeats wyplątał kule z nóg krzesła.

- Ale nie doprowadziło nas to do niczego. Cała ta sprawa jest nie w porządku. Wczoraj wieczorem mówiłem żonie, że nie powinno się zarządzać katedrą tak, jakby to była zwykła parafia. Nie do nas należy podejmowanie decyzji o chórze.

Alexander szedł powoli obok kanonika do samochodu, niosąc jego kule.

- I niech pan im nie wierzy w sprawie pieniędzy - dodał kanonik sadwiąc się na swoim ortopedycznym fotelu. - To blef. Pieniądze zawsze można znaleźć, jeżeli tylko się tego chce. - Popatrzył na Alexandra. - Cztery miesiące, panie Troy. Trudne, ale nie niemożliwe. Umiem niewiele oprócz modlenia się i adresowania kopert, ale to będę robił z całym oddaniem, gdy tylko pan powie, że trzeba.

Alexander popatrzył za podskakującym samochodem, a potem poszedł powoli do swojego gabinetu w szkole. Tam, z kubkiem kawy w rękach, na brzegu biurka Sandry Miles siedziała Felicity.

- Byłam nad morzem - opowiadała Felicity - w pobliżu Southwold, w małym klasztorze tego samego zakonu, w którym przebywałam poprzednio. Tylko sześć siostr i cztery pracownice świeckie. To jest przytułek dla umierających alkoholików, ludzi znalezionych w portach wschodniego wybrzeża, przeważnie kobiet. Pracowałam naprawdę ciężko. - Wyciągnęła rękę. - Nie wyobrażasz sobie, ile tam było czyszczenia.

Siedzieli w bawialni, zapadał już zmierzch. Alexander przyciągnął krzesła do okna i patrzyli na zanikające światło dnia.

- Miałam wolne dwie godziny każdego popołudnia i czasami szłam pospacerować na plaży, niekiedy próbowałam coś napisać, albo z kimś porozmawiać. Spałam na poddaszu z inną ochotniczką, co było w tym wszystkim najgorsze, bo niedawno straciła dziecko.

Przyjechała tam, by dojąć do siebie, i przez sen okropnie płakała. A pacjenci też bez przerwy krzyczeli. To nie jest dobry sposób na umieranie, nawet przy pomocy zakonnice... i wydm Suffolku.

Alexander spędził całe popołudnie wstrzymując oddech. Nie ośmielił się o nic pytać Felicity, ledwo jej dotknął obawiając się, że znów ucieknie albo zniknie pod naporem jego uczuć, jak Eurydyka. Z głową w chmurach przetrwał wszystkie popołudniowe zajęcia, nieustannie powstrzymując się od rzucenia Trzydziestej Księgi Liwiusza, którą przerabiał z szóstą klasą, by sprawdzić, czy Felicity jeszcze jest. Ale w jakiś cudowny sposób była. Słyszał, jak rozmawia z Sandrą, panią Monk, Rogerem Farrellem, który przyszedł, by poskarżyć się, że Wooldridge znów nie uczestniczył w treningu biegów przez płotki, a Felicity go udobruchała. Alexander prowadził wszystkie swoje popołudniowe zajęcia z nieludzkim opanowaniem, do chwili, gdy Felicity zajrzała do gabinetu i powiedziała, że idzie do domu

i tam na niego zaczeka, aż będzie wolny. Alexandrowi udało się nie być wolnym jeszcze przez całe dziesięć minut.

- Chyba nie mamy nic do picia - rzekła Felicity.

- Nie mamy. Nie odważyłem się trzymać tu alkoholu, bo wypiłbym go.

- Cavendishowie zawsze mają dobrze zaopatrzoną piwniczkę. Pójdę i poproszę ich o butelkę wina.

- Felicity...

Uśmiechnęła się do niego.

- Och, muszę. Pomyśl...

Poszła przez tum w swojej powiewnej bawełnianej sukience i szalu z frędzlami. Gdy dziekan otworzył drzwi, powiedziała:

- Hugh, nie przysłałam po filiżankę cukru. Chciałabym butelkę wina. Dziekan był tak zaskoczony, że objął ją serdecznie:

- Moja kochana...

- W domu nie ma ani kropli. Byłam w małym klasztorze, a tam też nie było ani kropli.

Otworzyły się drzwi do kuchni.

- Huffo, słyszałam, że ktoś puka... Dziekan szybko się obrócił.

- Spójrz, moja droga, spójrz, kto przyszedł!

Bridget postąpiła krok naprzód, walcząc z tysiącem sprzecznych uczuć.

- Droga Felicity, jakie to nadzwyczajne...

- Że wróciłam?

Rozpromieniony dziekan pogroził jej palcem.

- Nie zaczynaj od wytykania Bridget jej niedelikatności.

- Huffo, nie wiem, o co ci chodzi.

- Obawiam się - powiedziała Felicity - że przysłałam zwędzić wam butelkę wina.

- Biały burgund? Blanc de blanc? Reńskie?

- Coś zwyczajnego, Hugh. Jesteś bardzo uprzejmy. Bridget pękała od nadmiaru pytań.

- Dopiero co wróciłaś, Felicity?

- W porze lunchu. Jestem jeszcze zmęczona podróżą. A tu widzę, że skaczece sobie do gardeł.

- Były poważnie nieporozumienia i zbyt gwałtowne reakcje.

- Przyniosę wino - powiedział szybko dziekan i wycofał się.

- Koniecznie przyjdź do mnie - zapraszała Bridget. - Musimy porozmawiać poważnie o wszystkim przy filiżance kawy. Uważam, że kobiety o wiele lepiej potrafią rozwiązać problemy. O wiele mniej emocjonalnie. - Ostatnie sześć tygodni spędziłam z kobietami.

Powiedziałabym, że wszystko traktowały bardzo emocjonalnie. - Popatrzyła uważnie na Bridget. - Pomagałam w pielęgnowaniu

umierających pijaków w Suffolk. To były kobiety alkoholiczki. - Przerwała na chwilę. - Myślałam, że chciałaś to wiedzieć.

- Moja droga...

- Proszę - przerwał jej dziekan. - Masz tu butelkę dobrego białego burgunda. Prezent ode mnie... od nas, by uczcić twój powrót.
- Nie myślałam o prezencie.
- Ale ci go daję.
- Gdy Felicity poszła, Bridget powiedziała ze złością:
- Huffo, jesteś takim głupcem. I robisz głupią ze mnie. Dziekan spojrzął na żonę.
- Wiem, moja droga.
- Zobacz! - Felicity pokazała Alexandrowi butelkę.
- To dobre wino.
- Wiem. Dał mi je dla nas.
- Ale Bridget...

Oboje roześmieli się, po raz pierwszy od powrotu Felicity.

- Możesz sobie wyobrazić.

Podeszła do Alexandra i oparła głowę na jego piersi. Nie dotknął jej. Spytała:

- Wypijemy? W bawialni, z zapalonymi światłami? - A gdy już tam byli, opowiedziała, co mówiła Bridget Cavendish. Wtedy Alexander spytał otwarcie:

- A dlaczego wyjechałaś stamtąd i wróciłaś do domu?

- Żeby być z tobą.

Podniosła kieliszek i przyglądała się winu w zamierającym świetle dnia.

- Nie wyjechałam, by ci zrobić na złość.

- Więc dlaczego?

- Czułam się zmuszona.

- Jesteś pewna, że to nie próba? Próba siebie samej? Żeby zobaczyć, czy naprawdę chcesz nadal żyć ze mną?

- Nawet gdyby tak było, za każdym razem przekonuję się, że chcę być z tobą. A tym razem bardziej niż do tej pory. - Felicity spojrzała mężowi w oczy. - Nie mogę ci obiecać, że to się już nigdy nie powtórzy, tak samo, jak nikt nie może obiecać, że nie dopuści do sprzeczki, ale spróbuję. Nie chcę, by tak się znów stało.

- A gdybym to ja cię opuścił?

- Nie umiałabym być cierpliwa, jak ty. Chcesz mnie opuścić? Alexander przełknął ślinę.

- Nie. I nigdy nie chciałem. Ja...

- Nie mów o Bogu - przerwała mu szybko Felicity. Czekał.

- Trzeba dawać sobie radę z tyloma rzeczami - mówiła dalej. - Nigdy nie sądziłam, że życie może być takie ciężkie, niezależnie od tego, gdzie się znajduję. Ale chyba nauczyłam się, że nigdzie nie jest mniej ciężko, a gdy jestem z tobą, jest mi łatwiej. Jednak presja ciągle istnieje, wszystkie te żądania, powinności... zupełnie jak w powieści Henry'ego Jamesa. Jestem złą żoną.

- Tylko jeśli chodzi o sprzątanie i robienie przetworów, a na tym mi nie zależy. Jedyne, czego nie chcę, to rozstania i wyłączenia z twojego życia.
 - Wiem. - Przerwała na chwilę. - Postaram się. Chcę się postarać. Będę dużo pisała. I czytała. Siostra Winifreda w klasztorze mówiła, że powinnam . zacząć od świętego Benedykta.
 - Może...
 - Jesteś głodny? Alexander zastanowił się.
 - Niespecjalnie.
 - Mam nadzieję, że są jajka.
 - Później.
- Felicity wstała i napełniła kieliszki.
- Opowiedz mi, co tu się działo. Sandra mówiła o chórze, i że walczyłeś samotnie, bo z jakichś powodów nawet Leo nie chce z tobą rozmawiać. Biedna Sandra. Była smutna, gdy pokazywała mi pierścionek zaręczynowy. Nauczyłeś ją, że zdrowy rozsądek jest czymś ponurym. - Chodź tu - powiedział Alexander.
- Felicity usiadła na podłodze i położyła głowę na jego kolanach.
- Pamiętasz małego Henry'ego Ashwortha?
 - Tak. Prostolinijny chłopczyk, piękny głos...
 - Leo oszalał na punkcie jego matki i planuje małżeństwo z nią. A ojciec Henry'ego jeszcze nawet o tym nie wie.
 - Syn Franka Ashwortha...
 - Tak. Frank Ashworth nalega, by Rada Miejska kupiła nasz dom od dziekana i Kapituły. Chce założyć tu ośrodek towarzyski.
 - Nasz dom?
 - Tak. Dano mi cztery miesiące na zorganizowanie chóru tak, by sam się finansował. Puściłem w mieście w obieg petycję, uzyskałem prawie dwa tysiące podpisów, ale nikt nie dał pieniędzy. Chyba teraz powinienem zaapelować do całego narodu.
 - O Boże - powiedziała Felicity. - O Boże. Chyba z moimi pijaczkami było łatwiej.
 - To nie jest zabawne. Felicity wstała.
 - Masz rację. Nie były zabawne. Znam Sally Ashworth.
 - Naprawdę?
 - Kupowałam sporo książek u Quentina Smalla.
 - Porozmawiasz z nią?
 - Wydaje mi się, że słuszność jest po jej stronie.
 - Ale Henry...
 - Nawet biorąc pod uwagę Henry'ego, Sally ma rację. Ale porozmawiam z nią. A Leo unika cię, bo go potępiasz.
 - Ostatnio wszyscy unikają się nawzajem. I, jak powiedział kanonik Yeats, nie jestem politykiem. Nie potrafię manipulować ludźmi.

- Jesteś uczciwy.

- I niezaradny?

Felicity wyciągnęła rękę i pomogła Alexandrowi wstać.

- Ani słowa od Daniela?

- Nic.

- Och - westchnęła biorąc męża za rękę. - Wszystko u nas jest takie skomplikowane.

Alexander uśmiechnął się.

- Masz dar właściwego nazywania rzeczy. Felicity oddała mu uśmiech.

- Witaj - szepnęła. Alexander szybko ją pocałował.

- Chodź - powiedział - przygotowujemy jajka.

10

Sally sądziła, że wizyta u matki rozjaśni jej w głowie. Jean Jeffries była wdową i mieszkała w miasteczku, w którym spędziła całe małżeńskie życie. Miała psa, ogród, stałe partnerki do brydża i dawną koleżankę ze szkoły, z którą jeździła na wakacje na Wyspy Scilly. Była gorliwą protektorką objazdowej biblioteki, na parapecie okna w bawialni trzymała lornetkę, przez którą obserwowała ptaki. Wyraziwszy raz swój sprzeciw wobec małżeństwa Sally z Alanem, z powodu różnicy pochodzenia, nigdy więcej do tego tematu nie wróciła. Wychowana została tak, by nie wypowiadać osobistych opinii o ludziach, a słowem, którym wyrażała największą aprobatę dla kogoś, było „rozsądny”. Jej zdaniem zamiar Sally, by opuścić Alana i związać się z organistą należącym do cyganerii, który nie mógł zarabiać więcej niż trzydzieści tysięcy rocznie, był absolutnie nierozsądny.

- Tu nie chodzi o pieniądze - mówiła Sally.

Te słowa przypomniały Jean zmarłego ojca Sally. Pobrali się pod koniec wojny i za późno odkryli, że nie mają ze sobą nic wspólnego oprócz grupki przyjaciół, którzy ich ze sobą zapoznali. Graham zawsze twierdził, że porozumiewanie się jest bardzo ważne, ale zdaniem Jean była to tylko wymiana rozsądnych opinii i informacji, nic więcej. Graham często jej mówił - i to nie w żartach - że nie ma wyobraźni, ale nie zwracała na to uwagi. Według niej wyobraźnia wprowadzała jej posiadaczy w okropne i bezsensowne labirynty rozmów i uczuć stanowiących zwykłą stratę czasu. Głupotą jest pozwalać się komuś zdenerwować - a Graham często był zdenerwowany - bo wtedy przez całe godziny człowiek jest jak sparaliżowany i nie może nic robić. Pamiętała wiele takich weekendowych popołudni, kiedy potrafiła wyplewić całą grządkę, podczas gdy Graham w domu wściekał się z powodu jakiejś głupiej sprzeczki, którą mieli w czasie lunchu. A teraz Sally jest taka podniecona, bo nawet przez chwilę nie potrafi zatrzymać myśli na tym, co jest oczywiste i roztropne.

- Przejdzie ci - powiedziała Jean. - Każdy kiedyś dostaje takiej gorą-

czki, na ogół koło czterdziestki, ale tobie to się chyba zdarzyło wcześniej. Kochanie, nie dawaj mu ciasteczka, bo potem będzie zebrał u wszystkich moich gości.

- Niech już zje, skoro polizał.

Jean odprowadziła terriera do koszyka i wróciła mówiąc:

- Znasz mnie, moja droga. Zawsze wypowiadam swoją opinię tylko raz. Jeżeli przyjechałaś, by uzyskać moją aprobatę, nie dostaniesz jej. Twój ojciec i ja byliśmy bardzo niedobrani, a jednak zdołaliśmy przeżyć przyzwoicie trzydzieści lat. Jestem pewna, że Alan jest głupcem, mężczyźni często są głupcami, ale jest twoim mężem. Już czas, żeby wrócił do domu i żebyście żyli jak rodzina. I przecież masz Henry'ego. Co by się stało z tobą, gdybym przed laty zdecydowała spakować się i odejść, bo nie lubiłam kompromisów?

- Miałabym chyba o wiele spokojniejsze dzieciństwo.

- Bardzo ci dziękuję.

- Och, mammo...

- Sally, to nie ma być osobisty przytyk, ale nie należy brać ślubu z muzykiem.

- Wydaje się, że tak właśnie postąpiły lady Elgar i kilka pań Bacho-wych...

- Wiesz doskonale, o czym mówię. Organista to zawód nie na poziomie, na takim człowieku nie można polegać. Jaki dom potrafi ci stworzyć?

- Zniszczoną chałupkę na dziedzińcu Kapituły.

- A Henry?

- Dla Henry'ego zmieni się tylko tyle, że zamiast zawsze nieobecnego ojca będzie miał ojczyzna, którego będzie widywał codziennie.

- Więc już podjęłaś decyzję.

- Prawie.

- Zaslugujesz na coś lepszego niż wędrowny grajek.

- Będzie mi dobrze.

- No cóż - powiedziała Jean - jesteś moją córką i zawsze nią będziesz, bez względu na to, czy się zgadzamy, czy nie. Jeżeli postąpisz według swoich życzeń, będziesz wiedziała, co o tym myślę, ale nikomu innemu tego nie powiem. Najlepiej byłoby, gdybyś na jakiś czas przysłała Henry'ego do mnie. Powędrujemy sobie razem. Lepiej mu zrobią rozmowy o rybach niż o uczuciach.

- A Leo? Chciałabyś go poznać?

- Oczywiście. Ale nie odwrócę się od Alana. No, już dosyć na ten temat. Chodź, pomóż mi podwiązać ostróżki. Biedactwa. Te silne wiatry położyły je na ziemi.

Jadąc do Aldminsteru Sally zastanawiała się nad swoimi uczuciami; ostatnio stało się to dla niej czymś w rodzaju nałogu. Nigdy nie ceniła zdania matki na żaden temat, począwszy od moralności, a skończywszy na guście w kwestii firanek, więc dlaczego teraz zasięgała jej opinii, szczególnie że wiedziała dokładnie, co matka powie? Może było to przyzwyczajenie, a może - i ta myśl

była bardzo pociągająca - jeszcze jeden dowód, że już nigdy nie musi pytać nikogo o zdanie, że zaczyna się dla niej prawdziwa niezależność. Może użyła matki jako testu dla siebie samej. I test zadziałał, bo razem, w pełnej zgodzie, podwiązały leżące ostróżki i Sally poczuła, że odniosła małe zwycięstwo w procesie przeobrażania się z córki w niezależną indywidualność. Dorastanie, dojrzwienie, być może, nareszcie. Prowadziła przez pochyłe ulice śródmieścia z o wiele większą werwą niż zwykle, a ponieważ miała jeszcze godzinę do odebrania Henry'ego od Hooperów, zaparkowała samochód w tłumie i poszła na dziedziniec Kapituły. Leo był w kuchni, pochylał się nad syczącym czajnikiem. Nie odwrócił się, gdy weszła, tylko postawił na stole drugi kubek, wrzucił do niego torebkę herbaty i spytał:

- No i co, mam aprobatę mojej przyszłej teściowej? Podniecenie i duma Sally zwiędły w jednej chwili.

- Wiesz, że nie po to pojechałam. Nie chcę herbaty. Leo nalał wrzątku do obu kubków.

- Nie wiem. Nie rozumiem, dlaczego potrzebujesz rozmów z kimkolwiek oprócz mnie.

- Bo dla mnie to jest bardziej skomplikowane. Mam męża i dziecko. Będę musiała stoczyć walkę.

Leo wyjął torebki herbaty z kubków i rzucił je mniej więcej w kierunku zlewu.

- A po której stronie będzie walczyć twoja matka?

- Nie sądzi, bym miała rację, ale mnie poprze.

- I co ci to da? Sally westchnęła.

- Leo, nie złość się.

- Nie złość się. Jestem zdenerwowany i miałem piekielny weekend. Nie chcesz, żebym był przy tobie. Mówisz o walkach, które będziesz musiała stoczyć, ale nie pozwolisz mi w nich uczestniczyć. - Podniósł głos. - Dziwisz się, że jestem zdenerwowany?

Sally poczuła łzy pod powiekami, nie z powodu tej sprzeczki, lecz ze złości, złości na Leona za to, że niszczy radosną wolność ducha, z którą do niego przyszła. Była nieprzytomna z gniewu. Leo powodował, że czuła się przy nim tak, jak przy Alanie, gdy sprzeciwiała się jego egoistycznemu poszukiwaniu przyjemności, a on traktował ją z pobłażliwą obojętnością, nic nie rozumiejąc. Nie będzie już miała zobowiązań wobec nikogo, wobec żadnego mężczyzny i żadnej kobiety, nigdy więcej nie będzie się uginać pod brzemieniem wdzięczności i winy, nie będzie nikomu dłużna ofiary z samej siebie w zamian za jakikolwiek dar, duchowy czy materialny. Uderzyła pięściami w stół kuchenny tak mocno, że herbata chlusnęła z kubków na blat brązowymi językami.

- Decyzja należy do mnie! - krzyknęła. - Słyszysz? Do mnie! Podejmę ją sama, gdy będę gotowa, i nie będę zdawała z niej rachunku nikomu, ani

matce, ani Alanowi, ani Henry'emu, ani tobie. Siedź tu i przetrwaj swój zły humor, jeśli chcesz. Nie obchodzi mnie to. To po prostu szantaż, obrzydliwy męski szantaż. No więc, teraz jestem na to uodporniona i możesz iść do diabła, jeżeli ci się to nie podoba!

Trzasnęła za sobą drzwiami tak gwałtownie, że Cherry Chancellor, która myła frontowe okna, poczuła, jak pod szmatką drży szyba.

- Fajerwerki u sąsiada - powiedziała Martinowi. - Oczywiście nikomu o tym nie powiem.

- Jasne.

- Ale to nie wydaje się właściwe na terenie katedry. Zupełnie jakbyśmy mieszkali w sąsiedztwie domu akademickiego.

- Jest wybitnym organistą...

Cherry zaczęła jeszcze energiczniej polerować szybę.

- Tak, ale to nie wszystko.

Martin pomyślał chwilę, a potem stwierdził:

- Nie. Jednak bardzo ważne. Wyczyść jeszcze w lewym górnym rogu.

Następnego dnia podczas śniadania Henry spytał, czy mógłby mieć szczeniaka. Hooperowie mieli dwa, o imionach Mack i Tosh, „rozumiesz, Mackintosh”. Sally powiedziała, że nie, kto by się nimi zajmował, a kiedy Henry stwierdził, że mama Hoopera nie pracuje, cały dzień gotuje i kręci się po domu, Sally się rozplakała. To było dziwne i niepokojące, ale było też dziesięć po ósmej, więc Henry zapakował książki do torby, dał matce szybkiego całusa i poszedł na próbę chóru, gdzie zamiast „Magnificat” Dysona 12, którego się spodziewali, pan Beckford kazał im ćwiczyć kilka „Mistycznych Pieśni” Vaughana Williamsa, i nikt nie potrafił zaśpiewać tego czysto, aż w końcu pan Beckford strasznie się rozzłościł i nakrzyczał na Henry'ego, który nienawidził, gdy mu zmywano głowę i przeważnie bardzo wtedy cierpiał. Wyszli ze szkoły w niezwyklej ciszy. Leo złapał Henry'ego, który próbował być niewidzialny, bo chwilowo koledzy trzymali się od niego z daleka nie wiedząc, jak go potraktować, i powiedział: „Przepraszam, że na ciebie nakrzyczałem, Henry”. To już było dla Henry'ego za wiele, więc z upokorzenia rozpląnął się we łzach. Został odprowadzony do krużganka, gdzie pozostał, aż się uspokoił na tyle, by móc wziąć udział w treningu skoków, ale spóźnił się, za co spotkało go bardzo nieprzychylnie spojrzenie Rogera Farrella. Po zajęciach Farrell zabrał go na bok i zaczął robić mu wymówki. Wtedy nadszedł Leo i powiedział, że to on zatrzymał Henry'ego. W głównym korytarzu wybuchła wówczas kłótnia między oboma nauczycielami, i Felicity, która przysła sprawdzić w kalendarzu Sandry, jakie

128

zajęcia będzie miał w ciągu tygodnia mąż, zauważyła, że podczas jej nieobecności niektóre rzeczy w ogóle się nie zmieniły.

- Pan Farrell jest zachwycony, że chór przestanie istnieć - powiedziała Sandra. - Obawiam się, że właściwie wszyscy w pokoju nauczycielskim cieszą się. Dla pana Farrella dobre jest tylko to, co wymaga wysiłku fizycznego.

- A Leo?

Sandra uśmiechnęła się z afekcją.

- Tak między nami, sądzę, że pan Beckford jest dosyć wzburzony. Oczywiście, nie straci pracy, ale bez chóru to wszystko nie będzie już dla niego takie samo.

- Wydaje mi się, że w tej sprawie każdy gra swoją własną melodię. A w katedrze roi się od inżynierów od oświetlenia, dziś od rana na zewnątrz stoi furgonetka Harveya. Jest z dziesięć różnych grup, które nie chcą ze sobą rozmawiać.

- Och, pani Troy, wie pani, jacy są ludzie.

Felicity poszła poszukać Leona, ale stwierdziła, że schronił się przy organach i bardzo głośno wyraża swoje uczucia. Wychodząc z hałaśliwej katedry natknęła się na Bridget Cavendish, z jej porządnym koszykiem na zakupy i przebacającym uśmiechem.

- Pamiętaj, moja droga, że zaproszenie pozostaje w mocy. Musisz tylko zadzwonić. Kolacja, kiedy tylko zechcesz w tym tygodniu oprócz czwartku, a w przyszłym tygodniu oprócz środy i piątku.

- Bridget, nie bądź taka uparta. I nie matkuj nam.

- Muszę powiedzieć, że to bardzo niewłaściwa postawa.

- Podziękuj, proszę, Hughowi za wino. Było doskonałe. O wiele lepsze od tego, które zazwyczaj pijemy. Ale jeżeli nie chcecie prawdziwej awantury w swoim pokoju stołowym, lepiej teraz nie organizować wspólnej kolacji i myślę, że o tym wiesz.

Bridget wróciła do domu i pocieszyła się zdradzając pani Ray, myjącej akurat podłogę w kuchni, że pani Troy chyba nie cieszy się zbyt z powrotu do domu; biedaczka, była dziś rano w takim dziwnym nastroju. Pani Ray, która jeździła do pracy tym samym autobusem co pani Monk, odrzekła tylko, że to smutne, i zachowała w pamięci całe oburzenie Bridget, by jutro o tym opowiedzieć pani Monk. Felicity poszła traktem w stronę tumu. Spotkała Janet Young, która gorąco ją ucałowała i powiedziała, jak bardzo się cieszy widząc ją znowu.

- Oboje z Robertem po prostu nie możemy rozmawiać o chórze, więc się nas bojkotuje. Myślę, że jesteś dokładnie tą osobą, której potrzebuje tum. To tak, jakby ktoś otworzył okno i między tych kłótliwych ludzi wpuścił dobre, świeże powietrze...

Felicity spojrzała na ładną, ale zmęczoną twarz Janet i jeszcze raz pomyślała, że życie żony biskupa nie jest łatwe i niesie ze sobą poczucie osamotnienia, związanego z nieuniknionym, niechcianym wyniesieniem

ponad innych śmiertelników i równie nieuniknioną izolacją w społeczności, w której trzeba się obracać, ponieważ tu jest królestwem dziekana i jego żony. Pocałowała entuzjastycznie Janet Young i poszła traktem, między pierwszymi klientami sklepów, matkami z dziećmi w wózkach i koszami na śmiecie na Brewer Street, do księgami Ouentina Smalla. Sally Ashworth, w obszernej niebieskiej spódnicy i podkoszulku, z włosami związanymi wstążką w koński ogon i bez makijażu, stała na taborecie ze szmatką do kurzu w ręku. Była zaskoczona widokiem Felicity.

- Och - powiedziała, a potem dodała niezręcznie: - Henry mówił, że wróciłeś. Chyba cała szkoła już o tym wie.

Zeszła ze stołka.

- Myślę, że nie przyszedłeś po książkę?

- Nie.

- To taka ulga widzieć cię tu znowu, wszyscy byliśmy zmartwieni. Czy wiesz... o wszystkim?

Felicity westchnęła.

- Tak. Nie chciałam tu przychodzić tak wcześnie, ale w szkole była dziś awantura. Leo i Roger Farrell ryczeli na siebie, a Henry płakał...

- Henry...

- Leo krzyczał na niego, a potem przeproszał...

- A ja płakałam przy śniadaniu, bo chciałby mieć szczeniaka i matkę, która by siedziała w domu.

- Chyba nie chce tego tak naprawdę.

- Wczoraj wieczorem zrobiłam Leonowi straszną awanturę. Nie mogę znieść, że wydostaję się z jednej klatki, by zaraz zamknąć się w drugiej.

- Nie musisz zamykać się w następnej.

- Chce, żebym mu o wszystkim opowiadała.

- To nie to samo - odparła spokojnie Felicity.

W tym momencie wszedł do sklepu młody człowiek i spytał, czy jest tu dział starożytny. Sally zabrała go na górę, a gdy wróciła, Felicity siedziała przy biurku Quentina trzymając w ręku list z nalepką poczty lotniczej, zaadresowany do Alana Ashwortha w Dżiddzie, w Arabii Saudyjskiej.

- Napisałam to wczoraj w nocy, a dziś rano jeszcze dwa razy przerabiałam. Co za dziwna rozmowa. Powinnam spytać, czy u ciebie wszystko w porządku. - Och, tak - odpowiedziała Felicity odkładając list.

- Chcesz naprawić stosunki między Leonem i Alexandrem. Nie mogę ci teraz pomóc. Chciałabym, ale nie mogę. Mam nadzieję, że za jakiś czas zobaczę się z Leonem. - Zebrała w stos cztery książki, które leżały na biurku. - Najpierw muszę się zobaczyć z ojcem Alana.

- Masz jakieś pieniądze? - spytała Felicity.

- Nie. Żadnej poważniejszej sumy.

- Znalazłabyś jakieś miejsce, gdzie mogłabyś pobyć sama?

- Chyba tak.

- Najtrudniej jest wytrzymać z samym sobą.
- Właśnie to pojęłam. Czy Henry dobrze się czuje?
- Chyba tak. - Felicity wstała. - Pójdę do Leona.
- Proszę.

Felicity podeszła do drzwi.

- Nie chcę być grubiańska - powiedziała Sally - ale muszę mieć trochę przestrzeni dla siebie.
- Och, tak. Wiem coś o tym.

Młody człowiek zszedł z wystudiowanym spokojem po schodach.

- Czy nie ma tańszego wydania Gibbona niż za dziesięć funtów?
- Chyba mamy wydanie Everymana. Zaraz sprawdzę.
- Niedługo się do ciebie odezwę - rzekła Felicity.

Wyszła na ulicę, w upał odbierający wszelką chęć do działania. Nie uszła jeszcze paru kroków, gdy Sally wybiegła za nią.

- Słuchaj. W liście do Alana nie wspomniałam o Leonie. To, że odchodzę od Alana, jest zupełnie inną sprawą, bardzo ważną dla mnie. Tak też powiem Frankowi. To prawda.

- Wiem - powiedziała Felicity.

Stały tak na chodniku, i przechodnie musieli je omijać.

- Leo uświadomił mi, co jest w moim życiu złe. I wcale nie dlatego, że coś mówił, lecz samym swoim postępowaniem. Ale i tak wiedziałam, że jest źle, wiedziałam to od lat...

- Nie musisz mi tego mówić...

- Muszę. Muszę patrzeć na sprawy realistycznie.

- Sally, jeżeli to prawda, nie zwierzaj się nikomu.

- Nie chcę być źle zrozumiana.

- To nieuniknione. Ludzie interpretują czyjeś postępowanie zgodnie z własnym życzeniem. Po prostu nie przepraszaś za wszystko.

- Dziękuję, że przysłaś. Felicity uśmiechnęła się.

- Powodzenia. Tak długo, jak wiesz, czego chcesz...

- Och! - Sally się roześmiała. - Och. - Potrząsając głową wróciła do sklepu, gdzie młody człowiek grzecznie czekał, by zapłacić.

- Słuchaj, stary - powiedział Mike. - Szczerze mówiąc, nie po to zająłem się interesami, by robić komuś przysługę.

Siedzieli w bawialni Mike'a, Nicholas na sofie, Mike przy stosach swojego sprzętu, a Ianthe na podłodze, mając przed sobą popielniczkę i butelkę wody mineralnej.

- To nie przysługa - tłumaczył Nicholas. - To propozycja interesu.

- Udzielę ci za darmo porady: nie sprzedasz ani jednej płyty. Zaryzykujesz i przegrasz.

- Ile by to kosztowało?

Mike przewrócił oczami i głęboko westchnął, a potem zabrał się do obliczeń. Ianthe wzrokiem powstrzymywała Nicholasa od powiedzenia choćby jednego słowa w tym delikatnym momencie. Po pięciu minutach skrobania na papierze i mrużenia Mike stwierdził, że mimo iż pewnie nic się nie sprzeda, nie warto wydawać mniej niż tysiąc płyt, a to kosztowałoby co najmniej trzy tysiące, ale raczej do pięciu.

- Boże - jęknął Nicholas.

- Takie są koszty. - Mike wzruszył ramionami. Ianthe z podłogi powiedziała z udawaną nonszalancją:

- A gdybyśmy znaleźli pieniądze? Nie mówię, że znajdziemy, ale jeżeli się uda, pomożesz nam? Czy zostaniesz naszym producentem? To tylko taki pomysł...

Mike wstał i próbował spacerować po niewielkiej wolnej powierzchni pozostawionej przez meble. Poruszał się leniwie, ubrany jak spod igły i nienawidził, gdy ktoś się dowiadywał, że jego rodzice mieszkają w tak małym miasteczku jak Sunningdale.

- Pozwólcie mi pomyśleć. To zajmie ponad tydzień, bo przypuszczam, że nagrywać można tylko w nocy, sesje trzy- lub czterogodzinne, obróbka w weekend. Proście o bardzo dużo. Naprawdę dużo. I nie wiem, czy to pasuje do firmy Ikon. Wcale nie jestem pewien.

Musimy dbać o naszą wiarygodność.

- Powinieneś tam pojechać i posłuchać chóru - wtrąciła Ianthe. - Są cudowni.

- To nie ten rodzaj muzyki - sprzeciwił się Mike.

- Gdybyśmy mogli zebrać pieniądze - powiedział Nicholas żarliwie - przyjechałbyś? Możemy się tak umówić? Jeżeli zbierzemy trzy tysiące funtów, przyjedziesz do Aldminsteru?

Mike pochylił się i wziął papierosa z paczki Ianthe. Kiedy indziej by go ofuknęła, ale nie dziś.

- Dobrze - zgodził się Mike. - Dopiero, gdy je będziecie mieli. Wtedy pomyślimy o tym poważnie.

- Jasne - potwierdził Nicholas. Czuł, jak wali mu serce. Gdy Mike się odwrócił, Ianthe chwyciła Nicholasa za rękę i mocno uścisnęła.

Mike znowu zwrócił się do nich twarzą.

- To się nie uda i dobrze o tym wiecie. Nie może się udać. Kto kupi takie płyty? Garstka starych kobiet? A trzy tysiące funtów nie rosną na drzewach.

W następny weekend Ianthe i Nicholas pojechali do Aldminsteru, aby spotkać się z Leonem. Zamieszkali w domu dziekana, choć Nicholas bardzo się tego obawiał. Bridget dała mu pokój Fergusa, w którym na ścianach wisiły ogromne postery z rysunkami Williama Blake'a, i zastraszyła go instrukcjami na temat wody do kąpieli oraz ubikacji, do której mógł chodzić. Ianthe kazała mu zachować w tajemnicy ich misję, a już zwłaszcza wobec Cosma, który natychmiast, ze zwykłej złośliwości, powtórzyłby wszystko

ojcu. Cosmo znów został wydalony ze szkoły, bo przyłapano go na rozprowadzaniu broszury spreparowanej przez niego samego i podlegającej azjatyckich uczniów, których było wielu, do wydania podjazdowej wojny chłopcom z Zachodnich Indii. Pan Miller, już wystarczająco wyczerpany pokonywaniem zwykłych trudności, poczuł się pokonany przez niewątpliwą, ale subtelną złośliwość Cosma. Tak więc weekend zapowiadał się źle. W czasie posiłków panowała napięta atmosfera, chociaż Nicholas był bardzo wdzięczny Bridget za jej pożywne dania. Leo zachował się wstrętnie, gdy zatelefonowali, i powiedział, że może im poświęcić tylko pół godziny w sobotę wieczorem, bo wyjeżdża. W jego głosie dźwięczała prawdziwa złość. Ianthe oświadczyła dzielnie, by się tym nie przejmowali, włożyła nową króciutką spódniczkę i oblała się perfumami. Okazało się, że miała rację, bo gdy przyszli, Leo, z oznakami wyczerpania na twarzy, otworzył im drzwi i przeprosił, że tak się do nich odniósł, ale jest wykończony tym nieustannym napięciem.

- Właśnie dlatego przyszliśmy - oznajmiła Ianthe.

Dłuższą chwilę zabrało wyjaśnianie sprawy, ale w końcu Leonowi pomysł się spodobał. Uśmiechnął się po raz pierwszy od dłuższego czasu. Powiedział nawet, że chyba mógłby dać dwie setki na fundusz nagrania, a gdy Ianthe i Nicholas zachwycili się: O Boże, aż dwie setki, Leo z żalem oznajmił, że więcej dać po prostu nie może. A potem spytał:

- Mówiliście już o tym dyrektorowi szkoły?

- Nie.

- To idźcie teraz. Po sobotnim krykiecie jest zawsze chwila spokoju. A ponieważ Felicity wróciła...

- Felicity!

- Pracowała w jakimś przytułku. Aż się pali, by pomóc w sprawie chóru.

- Rodzice nic nie powiedzieli...

Ianthe i Nicholas wymienili spojrzenia i roześmieli się.

- Po to, by ukuć nieśmiertelną sentencję, ona by się nie zawahała...

- Uważaj, Leo, moja matka...

- Masz rację, drogie dziecko. Ale ta spódniczka, którą masz na sobie, jest paskudna.

Ianthe popędziła przez tum, ciągnąc za sobą Nicholasa. Miała ochotę śpiewać. To się uda, a Leo był... och, zachowa myśli o tym na później. I ten entuzjazm trwał dalej, bo Troyowie byli zachwyceni pomysłem. Felicity zadzwoniła do swojego brata w Londynie, a on im obiecał pięćset funtów. Powiedział, że odliczy to od podatku.

- Możesz nie dostać tych pieniędzy z powrotem - ostrzegła go Felicity.

- Właśnie dlatego mogę je odliczyć od podatku. Przynajmniej przydadzą się chórowi.

Zrobili listę osób, do których mogą się zwrócić o pieniądze. Felicity obiecała, że spróbuje w sklepach i w banku, i w całym mnóstwie budynków spółdzielczych przy trakcie, gdzie są jej winni pieniądze - przynajmniej moral-

nie, jak mówiła - za to, że w pięknych parterowych oknach wywieszają obrzydliwe żółte i niebieskie ogłoszenia o spłatach kredytu. Ogłosi również apel w gazecie. Ianthe z zażenowaniem powiedziała, że jej ojciec powinien o tym wiedzieć.

- Są jeszcze honoraria. Leo mówi, że dziekan i Kapituła obciążą...

- Ale powiedział, że przekaże to, co sam dostanie, a jeżeli nie potrzebujemy całego chóru, lecz tylko Henry'ego...

- A co ze Związkiem Muzyków?

- Henry do niego nie należy, a Leo chyba może sam decydować, na co przeznaczają swoje honorarium.

- Mogę zaprojektować okładki, co nam oszczędzi kilkaset funtów - powiedziała Ianthe.

- A tantiemy?

- Dziesięć albo piętnaście procent...

- Moi drodzy, dziesięć procent od tysiąca płyt sprzedanych po sześć funtów nie ocali chóru - zauważył ze smutkiem Nicholas.

- Ale to dopiero początek! W ten sposób damy się poznać publiczności!

- Jeżeli rozpropagujemy to jako nagranie, które ma uratować chór, jeśli zrobimy dobrą reklamę...

- Znasz się na reklamie?

- Troszkę.

- Słuchajcie - wtrącił się Alexander. - Nie chcę gasić waszej radości, ale naprawdę myślę, że bardzo się rozczarujecie. W przyszłym tygodniu jestem umówiony z dawnym uczniem, który cieszy się sławą człowieka muzycznego i bogatego, a także niezbyt mądrego, niestety, i chyba to jest jedyna szansa na uzyskanie pieniędzy.

Nicholas aż się wykrzywił, tak bardzo chciał, by Alexander zrozumiał ich zamysł.

- Musimy spróbować... Alexander uśmiechnął się.

- Och, co za banda entuzjastycznych amatorów.

- Spokojnie - powiedziała Ianthe, ale tylko udawała obrazę. - Niektórzy z tu obecnych znają się na interesach. - Uderzyła ją nowa myśl.

- Czy ojciec może nam zakazać nagrywania w katedrze?

Alexander roześmiał się.

- Ianthe, w jego oczach jesteśmy tylko nieudacznikami sięgającymi po gwiazdkę z nieba, więc będzie się czuł całkiem bezpiecznie.

- Słuchajcie! - Felicity popatrzyła po kolei na wszystkich z szerokim uśmiechem i spytała:

- A może porozmawialibyśmy z małym Henrym?

Ulica Tylna przygnębiała Sally. Ślady życia prawie stąd zniknęły. Kiedyś na sznurkach suszyła się tu bielizna, rosły nagradzane na wystawach pory,

ludzie gawędzili na progach domów, a w nocy wybuchały bójki. Teraz pozostały tylko cztery domki, wyglądające bezradnie i nędznie, pomniejszone przez bloki z apartamentami i biurami, przegrodzone przerażająco wielkimi parkingami. Nowe budynki utworzyły wietrzne tunele, przez które napływały z doków śmiecie i wirowały aż na wysokość ludzkiej talii. Sally pomyślała, że gdyby jeden ze stojących jeszcze domków był rodzinnym domem Franka, ten mieszkałby w nim nadal razem ze swoimi książkami, lodówką i adapterem, wtłoczonymi do pokoi noszących jeszcze ostatnią warstwę farby, którą położył jego ojciec. Frank był tradycjonalistą, a jednocześnie człowiekiem postępowym, miał miękkie serce, jego syn nigdy nie dorośnie mu nawet do pięt - myślała Sally jadąc windą. Gdy Frank otworzył drzwi, Sally spytała:

- Oboje będziemy przepraszać, czy też żadne z nas?

- Po co pytasz?

- Czy mogę wejść?

Frank wprowadził synową do bawialni. Wielki stół zarzucony był papierami, a z adaptera rozleżał się „Anvil Chorus”. Frank wyłączył adapter.

- Czy Henry przekazał ci wiadomość ode mnie? - spytał.

- Mówił, że poszedłeś do niego do szkoły.

Sally usiadła przy stole i oparła głowę na łokciach.

- Frank, przyszedłam, żeby ci coś powiedzieć. Rozwodzę się z Alanem. Frank milczał.

- Nie mogę tak dłużej żyć, na marginesie cudzego życia. Doszło do tego, że ledwo się znamy, i chyba już mi na tym nie zależy. Nie ufam Alanowi, i chociaż naprawdę go lubię, nie kocham go. Nie jest dla mnie towarzyszem życia. - Prawie powiedziała: Przepraszam, Frank, ale powstrzymała się i dodała: - Wczoraj do niego napisałam.

Frank podszedł do kredensu, imitacji stylu z czasów Jakuba I, nalał koniaku do szklanek i postawił jedną przed Sally.

- Nie lubię koniaku bez wody sodowej.

Frank w milczeniu wrócił do kredensu, dodał wody sodowej do szklanki, podał ją Sally i usiadł naprzeciwko niej.

- No więc, co się stało?

- To się szykowało od dawna.

- Alan nie jest odpowiednim materiałem na męża - powiedział Frank — i zawsze byłeś dla niego za dobra. A teraz stał się chyba jeszcze gorszym mężem.

- Nie chodzi o niego, tylko o mnie.

- To znaczy?

- Zmieniłam się. Przychodzą mi do głowy różne myśli...

- Inny mężczyzna?

- Przyjacieli pomógł mi jasno zobaczyć moją sytuację. I to wszystko. Frank chrząknął.

- Dziewczyny takie jak ja - tłumaczyła Sally - wychodzą za męża, bo

tak się robi. Nasze matki nigdy nie pracowały i wychowały nas tak, byśmy myślały o przyszłości. Ale nie mogę tkwić w takiej sytuacji do końca życia. Mam dopiero trzydzieści cztery lata.

- Co chcesz zrobić?

- Przez jakiś czas chcę żyć sama i pracować.

- I jak to osiągniesz?

- Jeszcze nie wiem.

- Czy sądzisz, że mogę ci jakoś pomóc? - spytał Frank.

- Nie.

- Powinienem.

- Frank...

- Kobiety potrafią teraz same sobie radzić, tak samo jak mężczyźni. Co z Henrym?

- Na razie nie wie nic.

Frank wstał i podszedł do okna, popatrzeć z niechętnym podziwem na katedrę. Gdy Gwen powiedziała mu, że odchodzi z Peterem Masonem, i niech nie ośmiela się jej zatrzymywać, wcale nie miał chęci tego zrobić. Sądził, że w głębi duszy Gwen pragnie sceny, pragnie widzieć, jak dwaj potężnie zbudowani mężczyźni walczą o nią na pięści, niczym w hollywoodzkim filmie. Strasznie się złościła, gdy przyjął wiadomość spokojnie; przytuliła kurczowo małego Alana i wygadywała egzaltowane głupstwa, które tylko przstraszyły dziecko. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnęła Gwen, było samodzielne życie. Jedyne, czego chciała, to być rozpieszczaną, istnieć w przytulnym centrum czyjegoś życia i tego wymagała od Petera Masona: czekoladek, kolacyjek z szampanem i tańcami, bukietów różowoliliowych orchidei przy okazji licznych sentymentalnych rocznic. Była odległa o lata świetlne od Sally, patrzącej teraz z niechęcią na swój kieliszek koniaku i rozprawiającej o wolności i samodzielnym życiu. Frank wątpił również, czy Gwen naprawdę pragnęła zabrać Alana ze sobą; raczej chyba chciała realizować wizję słodkiego macierzyństwa. Frank sądził, że miły szczeniaczek pudel potrafiłby zaspokoić to pragnienie równie dobrze. Był też pewien, że nikt nigdy nie usiłował wytłumaczyć całej sprawy Alanowi lub Gwen; ani on sam, ani Peter Mason, który okazał się miłym i spokojnym ojczymem. Po prostu pozwolili, by wszystko to przydarzyło się Alanowi.

- Co powiesz Henry'emu? - spytał.

- Powiem, że nie chcę być dłużej żoną jego ojca, bo się rzadko widzimy i zbyt od siebie oddaliśmy. Powiem, że teraz tego nie zrozumie, ale potem tak; że odpowiem na każde jego pytanie, które zechce mi postawić. Ale zaczekam z tym, aż porozumiem się z Alanem.

- Prosiłaś, żeby wrócił?

- O nic go nie prosiłam.

Frank westchnął ciężko. Przeszedł za krzesłem Sally i na sekundę położył jej rękę na ramieniu.

- Przykro mi, Sally. Nie mogę nic ci doradzić, a nawet gdybym mógł, nie robiłbym tego. Ale nie spiesz się. Jeżeli będziesz potrzebowała pomocy, przyjdź do mnie.

- Cholera - powiedziała Sally. - Zaraz się rozplącę.

- Nie, nie będziesz płakała. Nie tutaj. Sally gwałtownie podniosła głowę.

- Tyle myślę o własnych kłopotach, że nawet nie spytałam, jak sobie radzisz ze swoimi.

- Z moimi kłopotami? - powtórzył Frank, stojący teraz po drugiej stronie pokoju. - Siedzę tutaj i usiłuję się pozbierać po tym, jak publicznie zrobiłem z siebie głupca.

- Frank!

- Dziekan manipulował mną jak dzieckiem. Wierzyłem, że w zamian za poparcie w dążeniu do likwidacji chóru, umożliwi mi kupienie domu dyrektora szkoły. Nic podobnego. Jego popierali wszyscy w tumie, w Kapitulie i w szkole, a ja skończyłem obrzucony błotem w Radzie i prawie bez szans na kupno domu, podczas gdy dziekan pozbywa się chóru i zachowuje dom. Straciłem reputację, na którą pracowałem trzydzieści lat

Sally wstała i podeszła do Franka.

- Frank, nie, nie straciłeś. Takiej reputacji niepodobna stracić z tak drobnego powodu...

- Waga problemu nie ma nic do rzeczy. W jednej chwili można stracić bardzo ugruntowaną reputację, jeżeli twoim wrogom na tym zależy. Wiem, że przemawia przeze mnie gorycz. Jestem rozgoryczony. Ale pozbieram się. - Spojrzał na Sally. - Musisz się jeszcze wiele nauczyć o samotności.

Podchodząc do swojego samochodu, Sally zobaczyła za Wycieraczką mandat za złe parkowanie. Rozzłościła się, bo ulica o tej porze dnia była pusta. Nikomu nie zastawiała drogi. Wściekła napisała na mandacie: „Wykorzystujcie pieniądze, którymi dysponujecie, na karanie ludzi, którzy naprawdę zawinili”, włożyła go z powrotem do plastikowej koperty i wrzuciła do skrzynki na listy przy gmachu Rady. To ją częściowo uspokoiło, chociaż właściwie miała ochotę krzyczeć. Pojechała na Blakeney Street, zaparkowała samochód i, wchodząc do domu, zastała Henry'ego przed telewizorem, jedzącego spaghetti z puszki.

11

Propozycja, by nagrać płytę i w ten sposób uratować chór, wywołała straszliwą wściekłość Hugh'a Cavendisha. Nie cierpiał, gdy rzucano mu otwarte wyzwanie, czuł wstręt wobec ogromnych, niekontrolowanych pasji ludzi takich jak Alexander Troy, obrażało go brutalne amatorstwo planu, który, jak sądził, narusza świętą godność samej katedry. Powrót Felicity -a dziekan był tym zaniepokojony, bo wiedział, że jej osobowość działa na niego - nadał całej sprawie nowy bieg właśnie w chwili, kiedy wydawało mu się, że trzyma już wszystkie nici w ręku. Sprawa chóru szczęśliwie odwróciła publiczną uwagę od planu instalacji nowego oświetlenia, a poparcie dla remontu było powszechne. Przyjęto nawet jeszcze jednego pomocnika, ponieważ istniała całkowita pewność, że napłyną pieniądze. Potem Rada Miejska wyśmiała pomysł przejęcia chóru, postępując dokładnie tak, jak życzył sobie dziekan. Za wszelką cenę pragnął się pozbyć chóru, sprawy musiały jednak wyglądać tak, jakby robił wszystko, co w jego mocy, by go uratować dla katedry. I wtedy wróciła Felicity Troy.

Dziekan powiedział sobie, że już nie obchodzi go jej zdanie, tak samo jak zdanie organisty czy chórzystów albo nawet biskupa. Źle przysłużyło się starym anglikańskim diecezjom, mianując w nich jako biskupów takich kapłanów jak Robert Young, którzy, będąc w sumie dobrymi ludźmi, w ciągu lat służby misjonarskiej za morzami utracili poczucie czystej doktrynabej tradycji Kościoła. Hugh Cavendish wiedział, że prywatnie biskup nie popiera go, bardziej go to martwiło, niżby sobie życzył. A jeśli chodzi o Leona, delikatne porozumienie, które się między nimi zadzierzgnęło podczas prac nad restauracją organów, całkowicie znikło. Co gorsza, niechęć między Leonem a dyrektorem szkoły, jakakolwiek była jej przyczyna, tak bardzo sprzyjająca planom dziekana, zaczęła słabnąć. A teraz, na domiar złego, Ianthe i ten beznadziejny chłopiec, którym wszyscy tak serdecznie się zajęli, chociaż niewiele udało się z niego wydobyć, przychodzą prosić, by przekazał pieniądze z czynszów na na

grywanie płyty w katedrze. To już była ostatnia kropla. Dziekan stracił panowanie nad sobą. Nie, powiedział, nic nie przekaże. Zażąda trzystu funtów za wypożyczenie katedry do nagrań i doda je do funduszu oświetlenia, a na dodatek wątpi, czy w miesiącach letnich, kiedy prace będą szły pełną parą, będzie można przeznaczyć na nagrywanie trzy kolejne wieczory. O tej porze roku prace mogą trwać do późna, a on ich nie wstrzyma ani na chwilę, ponieważ są najważniejsze. Ianthe zareagowała bardzo gwałtownie. Nazwała go hipokrytą i psem ogrodnika. Gdy wyszli, stwierdził, że trzęsie się ze złości.

Nicholas zostawił mu listę utworów, które zaśpiewa Henry Ashworth. Oczywiście „Zielone pola”, florentyńskie pieśni karnawałowe, pasterskie piosenki z Owernii, cały zestaw sentymentalnej tandety. Proponowali nagrać singel, cokolwiek to znaczy, z piosenkami pasterskimi - rozpaczliwie głupi plan, skazany na niepowodzenie ze względu na niekompetencję jego pomysłodawców. Więc dlaczego, zastanawiał się, tak go to złości, skoro nie przedstawia sobą żadnego zagrożenia? Przemierzał niezmordowanie gabinet, a zaniepokojony Benedykt patrzył na niego ze swojego dywanika. Nie może tracić kontroli ani nad tłumem, ani nad własnymi uczuciami, nie może ani na chwilę zapomnieć, że wszystko, co ma, winien oddać na chwałę i wzbogacenie katedry. Chwycił słuchawkę i wykręcił numer architekta.

- Mervyn?

- Ach, panie dziekanie, dzień dobry...

- Czy mogę pana na chwilę oderwać od pracy?

Mervyn lubił robić mnóstwo zamieszania wokół swoich zajęć.

- Oczywiście, panie dziekanie, zawsze do usług, ale akurat w tej chwili muszę pędzić...

- Tylko wycena.

- Wycena?

- Czy mógłby pan to dla mnie zorganizować? Chodzi o dom dyrektora szkoły. Proszę nikomu o tym nie wspominać. Jeżeli pan spotka pana albo panią Troy, proszę powiedzieć, że to tylko rutynowe działanie.

Nastąpiła chwila przerwy.

- Panie dziekanie, nie chciałbym...

- Mój drogi, właśnie przez pana wyceny cierpimy na bóle głowy. Trzy lata pracy kamieniarzy przy samych parapetach, co za koszt! A to dopiero początek. Po prostu badam wszystkie ścieżki. Oczywiście zawsze wolałbym żebrać i pożyczać niż sprzedawać, ale rozumie pan, ludzie sięgnęli już do dna swoich kieszeni.

- Tak.

- Mógłby pan to zrobić w przyszłym tygodniu?

- Panie dziekanie, nie mogę nic obiecać, chociaż naturalnie postaram się...

- Dziękuję, Mervyn. Dziękuję.

- Panie dziekanie, powinienem chyba powiedzieć, że widziałem, jak

pańska córka i jej przyjaciel rozmawiali z Johnem na placu budowy. Wydaje mi się, że szukali trybuny albo czegoś w tym rodzaju, by ustawić tam chórzystę, który ma dokonać nagrania. Nie wiem, czy pan...

- Znam sprawę - powiedział dziekan. - To jakiś dziecinny plan. Proszę nie udzielać im żadnej pomocy.

- Och, panie dziekanie, ja na pewno im nie pomogę, ale myślę, że John...

- Porozmawiam z Johnem.

Podczas lunchu Bridget była w dziwnym i wielkodusznym nastroju. Podała mężowi zapiekankę i sałatę, nalała wody do szklanki z wyjątkową troskliwością, ale dopiero gdy obierali jabłka przygotowane na deser, wygłosiła przemowę o tym, jak się czuje rozdarta między obowiązkiem a naturalną miłością macierzyńską.

- Wydaje mi się, że mówisz o idiotycznym pomysle Ianthe dotyczącym nagrania - podsumował dziekan.

- Huffo, ona wkłada w ten zamysł swoje serce.

- Mam na imię Hugh. Gdyby oprócz serca zatrudniła umysł, wiedziałyby, że ich plan nie ma szans. Ale ponieważ nie myśli, zrobi głupca z siebie, a także z tumu, jeżeli nie będziemy ostrożni. W żadnym wypadku racja nie jest po jej stronie.

- Rozmawiała ze mną w kuchni. Mówiła o duszy katedry. Dziekan odłożył jabłko na stół.

- Ja też mówiłem ci o duszy katedry. Ale różnica polega na tym, że ja w sposób racjonalny wyjaśniam, co przez to rozumiem. A Ianthe daje się ponieść emocjom. Nie mam żadnych wątpliwości, że jej obecne głupie postępowanie jest próbą wkradnięcia się w łaski Leona.

- Przynajmniej ja rozumiem swoje dzieci! - krzyknęła Bridget. - Huffo, ty jesteś wobec nich taki niewyrozumiały, taki twardy...

- Nie wątpię, że właśnie tak chcesz to widzieć. - Wstał. - Wybacz, ale muszę wyjść. Pozostawiam cię, żebyś przemyślała, jakie będą moralne konsekwencje twojego stanowiska.

Alexander jechał do Londynu w zupełnie innym nastroju niż wtedy, gdy wybrał się szukać Felicity. Właściwie nie potrafił racjonalnie uzasadnić, skąd bierze się jego pogoda ducha, ale od powrotu Felicity nastroje w tumie bardzo się poprawiły, a ogólna opinia była tak korzystna dla chóru, że Alexander poczuł się uprawniony do wiary we własny instynkt. Włożył koloratkę z powodów psychologicznych: bankier w swoim orlim gnieździe w Bishopsgate nie będzie mógł odmówić tak ubranemu człowiekowi, ale na drogę kupił sobie do czytania „JJetektywa” i pozwolił sobie wziąć taksówkę do City.

Dawny uczeń King's School, obecnie dyrektor oddziału ogromnego anglo-amerykańskiego banku korporacyjnego, przywitał Alexandra na szóstym piętrze, w ozdobionej boazerią recepcji. Nogi Alexandra grzęzły

w grubym dywanie. Sekretarka, która przyniosła im kawę w filiżankach z delikatnej chińskiej porcelany, wyglądała na osobę bardzo kosztowną, a jednocześnie jak godna zaufania żona. Siedzieli w pokoju ze ścianami wypełnionymi obrazami okrętów w złożonych ramach. Były to reprodukcje tak znakomite, że Alexander był pewien, iż pochodzą z trzeciego piętra Harrodsa. Okna wychodziły na zadziwiające kubiczne kształty budynków City, kończące się krzepiącą kopułą katedry Świętego Pawła.

Paul Downey wypowiedział kilka miłych zdań o czasach, kiedy był uczniem King's School. Nie, nie był chórzystą, cały czas poświęcał sportom, i nie przyjeżdżał do Aldminsteru, odkąd się stamtąd wyprowadził, ale oczywiście zawsze o tym myślał...

- W pamięci szkoły zachował się pan jako człowiek lubiący muzykę - powiedział uśmiechając się Alexander.

Paul Downey nagle się rozpromienił.

- Uwielbiam operę. Więc Felicity miała rację.

- Zobaczysz, powie ci, że uwielbia operę - uprzedziła go słysząc, że jest bankierem. - To pasuje do tryktraka i wyjazdów na narty do Verbier, i do butów ręcznej roboty. Udowadnia w ten sposób, że pieniądze nie są jego jedyną obsesją. To bardzo sztywnie lubić operę.

- Skąd wiesz takie rzeczy? - zdumiał się Alexander.

- Złośliwa obserwacja życia i gazety pani Monk.

- Ja też lubię operę - powiedział teraz Alexander Paulowi Downeyowi. - Ale chciałbym, żeby nasza stara, cudowna muzyka przyciągała pieniądze tak samo, jak opera.

- Katedry dokonują wspaniałego dzieła. Alexander pochylił się do przodu.

- Jeżeli nie uzyskam do października przynajmniej obietnicy pięćdziesięciu tysięcy funtów, nasz chór, mimo swojej wspaniałości, przestanie istnieć.

Paul Downey wyciągnął z kieszeni swojego eleganckiego garnituru białą kopertę.

- Czytając pański list pomyślałem, że chodzi właśnie o coś takiego. Przeprowadziłem kilka obliczeń, bo jak pan się domyśla, mamy w banku fundusz przeznaczony na szlachetne cele. Proszę pozwolić, bym to panu wytłumaczył. Subsydujemy głównie badania medyczne. Jesteśmy największym sponsorem badań nad chorobami serca...

Spojrzenie Alexandra zatrzymało się na wybrzuszeniu pod kamizelką Downeya. Z trudem powstrzymał się od powiedzenia, że przeznaczanie pieniędzy na ten właśnie cel chyba nie jest spowodowane czystym altruizmem.

- ...i oczywiście na badania nad rakiem oraz, naturalnie, na imponujący program pomocy dla Trzeciego Świata. Na pewno pan zrozumie, że jestem

w trudnej sytuacji, bo prośba o pomoc dla Aldminsteru mogła się wydać moim kolegom z rady bardzo osobistą prośbą. Jednak zareagowali niezwykle uprzejmie. Uznali, że trudno byłoby udzielić pożyczki, bo właściwie nie istnieje żadne zabezpieczenie, ale z radością zgodzili się na dar, pięć tysięcy funtów.

Alexander szybko wstał i podszedł do okna, by ukryć konsternację wzbudzoną tymi nieoczekiwanymi słowami. Z tyłu Paul Downey mówił swoim monotonnym głosem:

- Widzi pan, wasz chór, jakkolwiek cenny dla miasta, jest lokalnym przedsięwzięciem, podczas gdy my czujemy się zobowiązani do subsydiowania dzieł narodowych, a jeszcze bardziej - międzynarodowych. W swoim liście pięknie pisał pan o muzyce kościelnej, ale to oczywiście pański osobisty entuzjizm. Czułbym podobnie, gdyby ktoś chciał spuścić topór na chór Covent Garden. Mam nadzieję, że pan rozumie mój punkt widzenia.

Nastąpiła chwila ciszy, podczas której Alexander walczył ze sobą. W końcu odwrócił się i powiedział z niezręcznością, na którą nic nie mógł poradzić i nad którą ubolewał.

- Czy, jako nasz były uczeń, nie mógłby pan pomóc prywatnie, chociażby w uzyskaniu pożyczki?

- Och, nie, panie Troy, nie mógłbym - stwierdził poważnie Paul Downey.

- Więc serdecznie panu dziękuję za ten dar. Paul Downey wstał.

- Chciałbym móc zrobić więcej, ale mamy obowiązki wobec całego społeczeństwa.

- Czy zna pan innych dawnych uczniów... bardziej przywiązanych do swojej byłej szkoły?

- Obawiam się, że straciłem kontakt z większością kolegów z klasy. Żałuję, ale praca po prostu nie pozostawia mi na to czasu.

W windzie wiozącej go bezszelestnie na dół, Alexander patrzył z obrzydzeniem na wybite zamszem ściany. Na górze Paul Downey, wracając szybko do gabinetu, chwilę rozmyślał nad duchownymi Kościoła Anglikańskiego, i o tym, jak łatwo jest zatracić poczucie proporcji żyjąc w prowincjonalnym mieście, ale zaraz zapomniał o wszystkim, bo sekretarka powiedziała mu, że na linii czeka rozmówca z Tokio.

W drodze powrotnej Alexander czuł się prawie tak samo zgnębiony jak poprzednim razem. Ten krótki wypadek w wielki, bezosobowy zewnętrzny świat wykazał mu tylko, że jego przedsięwzięcie jest beznadziejne. Chociaż Paul Downey również żył na swego rodzaju izolowanej wyspie, jego opinia o katedrze i Aldminsterze - wspaniałe, cudowne, doskonałe, ale małe, lokalny punkt niepokoju - była prawdziwa. Alexander pomyślał, że z kapeluszem w ręku mógłby chodzić od firmy do firmy, nigdy jednak nie zebrałby tyle, by zapewnić chórowi bezpieczeństwo, a z poniżenia nieomal by umarł. Zobaczenie własnej sprawy oczami innych było zbawienne, chociaż odbie-

rano odwagę, i teraz, jeżeli potrafi, musi wyciągnąć wnioski z tej nauczki. Jeśli świat, przy najlepszej woli, nie umie rozpoznać wagi problemu, świątek Aldminsteru musi to wziąć pod uwagę.

Dzień rozdania świadectw w King's School wstał mglisty, lecz bezde-szczowy. W południe klasy, laboratoria, pracownie i warsztaty zapelniły się tłumem rodziców podziwiających wyroby z metalu lub jaskrawe okładki na wyimaginowane czasopisma. Do tradycji należał piknik pod drzewami na boisku; w ostatnich latach wywiązało się ostre współzawodnictwo w przynoszeniu najbardziej wymyślnych potraw. Drużyna Rogera Farrella popisywała się pośrodku boiska, a orkiestra szkolna dziarsko przygrywała na tarasie głównego budynku. Po lunchu rodzice zostali zagnani do ogromnego holu i posłusznie usiedli rzędami pod wielkimi belkami sklepienia. Na podium zasiedli członkowie zarządu, dyrektor i honorowy gość, dawny uczeń, który stał się narodowym bohaterem w wojnie o Falklandy. Przed nimi stał stół ze stertami książek przeznaczonych na nagrody. Chłopcy i dziewczynki z szóstej klasy siedzieli nienaturalnie spokojni między rodzicami, patrząc na ekstrawagancki bukiet kwiatów zamówionych przez Sandrę Miles do przyozdobienia podium. Gdy tylko go przyniesiono, od razu wiedziała, że popełniła błąd. Alexander powiedział, że wyglądają bardzo wesoło, a Felicity uprzejmie zmilczała.

Wszyscy zauważyli, że dyrektor jest we wzniętym nastroju. Zawsze był wysoki, ale dziś wydawał się ogromny. Roztaczał aurę witalności i życzliwości. Dla większości rodziców było to pocieszające, gdyż żyjąc w lokalnej społeczności, doskonale wiedzieli o schizmie w tumie, a ich opinie były podzielone w zależności od tego, jakimi talentami były obdarzone ich dzieci. Rodzice chórzystów i dzieci uzdolnionych artystycznie uśmiechali się do Alexandra; ci, których dzieci były zamiłowanymi sportowcami czy wykazywały się w naukach ścisłych, mieli kwaśne miny. Alexander niepomyślnie oprócz namiętej wiary w to, co zamierzał powiedzieć, i optymizmu, który go ogarnął w chwili powrotu Felicity, wstał, by wygłosić zwyczajową mowę. Słuchacze, dobrze wytrenowani, czekali na opowieść o dokonaniach szkoły w ciągu ostatniego roku.

- Katedry Francji - zaczął w niespodziewany sposób Alexander - jedne z najpiękniejszych katedr zachodniego świata, są nieme.

W holu zamilkły ostatnie nieśmiałe szepty.

- Oczywiście są tam organy i muzyka. Ale nie ma chórów. W dwudziestu siedmiu angielskich katedrach, cztery do sześciu razy na tydzień można usłyszeć śpiewane nabożeństwa, brzmienie nie tylko jedyne w swoim rodzaju, ale także prowadzące nieprzerwaną linią do Thomasa Becketa, do świętego Augustyna.

Pan Vigers, zastępca dyrektora, leciutko pochylił się do przodu i znacząco trącił łokciem arkusze ze szkolnymi statystykami, które, jak co roku.

starannie przygotował dla dyrektora. Alexander uśmiechnął się ciepło do niego i przywrócił papierom ich uprzednie położenie.

- Bez chóru chłopięcych głosów nie istniałoby to szczególne brzmienie, niezrównanej piękności i mocy. Przez pięćset lat komponowano tę wspaniałą muzykę, ale już tylko w angielskich katedrach pozostała nie zmieniona, silna i wolna, dzięki najlepszym głosom napływającym co roku do chórów.

Siedząc w dwunastym rzędzie Sally widziała, jak Hugh Cavendish, którego od dyrektora dzieliły dwa krzesła, krzyżuje nogi ze straszliwą powolnością. Spojrzała na Henry'ego. Nie obejrzał się. Słuchał.

- Jeżeli w kwestii angielskiej muzyki chóralnej mówi się o przywilejach, to obdarzeni jesteście nimi my słuchacze. Żaden chłopiec nie był wydalony z chóru w Aldminsterze z tego tylko powodu, że nie mógł płacić czesnego. Gdy stracimy chór, ucierpią nie tylko nasze dusze, nasze wewnętrzne ja, jeśli chcecie to tak nazwać, ale również odbierzemy przyszłym pokoleniom coś niezwykle cennego i odwiecznego. Nie mamy prawa tego niszczyć, bo i przyszłe pokolenia chciałyby to zachować. Jeżeli zniszczymy tradycję, do tej pory zachowywaną, może nigdy już nie będziemy potrafili jej odbudować. A jednak - podniósł głos - a jednak w naszej katedrze właśnie to zaproponowano.

Na podium powstał ruch. Alexander odwrócił się w prawo, potem w lewo, jego sutanna zawirowała. Podniósł głos jeszcze bardziej.

- Ta groźba to tylko początek. Zmiana zarządu może być jeszcze większym niebezpieczeństwem. Ale jeżeli nie zaczniemy walczyć teraz, nie będziemy przygotowani w chwili, gdy bitwa zmieni się w wojnę. Chciałbym wam przypomnieć, że pierwszy protokół Europejskiej Konwencji Praw Człowieka stwierdza, że państwo musi respektować prawo rodziców do zapewnienia dzieciom wychowania i kształcenia zgodnie z ich religijnymi i ideologicznymi przekonaniem. Wielu z was, spytanych zniechęca, może odpowiedzieć, że muzyka chóralna nie przystaje do współczesnego świata, ale wierzę, że po namyśle większość z was będzie gorąco broniła tej czystej atmosfery edukacyjnego wyboru i możliwości. Muzyka jest jednym z wyborów. I nie ja jeden wierzę, że jest sprawą o niezwykle znaczeniu w życiu.

Spojrzał na pana Vigorsa i jeszcze raz się uśmiechnął.

- Prawie skończyłem. Ale muszę być z wami szczerzy. By uratować chór na jeszcze jeden rok, chór składający się z dwudziestu czterech chłopców i dwunastu dorosłych mężczyzn, między którymi trzech jest dawnymi uczniami szkoły, a wszyscy mieszkają w mieście albo w okolicy, potrzebujemy pięćdziesięciu tysięcy funtów do przyszłego października. Przygotowujemy nagranie i potrzebujemy trzech tysięcy funtów. Organizujemy w mieście letnie koncerty. Weźmiemy udział w sponsorowanym maratonie chóralnym. Potrzebujemy waszej pomocy - darów i imprez, podczas których moglibyśmy zarobić. Potrzebujemy reklamy. Każdego roku jeden albo dwa z angielskich trzydziestu siedmiu chórów przestaje istnieć, ale Aldminster nie znajdzie się pośród nich. Wspólnym wysiłkiem doprowadzimy do tego, że

jak długo będziemy żyć, chłopcy z King's School będą śpiewać w katedrze tak, jak przez ostatnie czterysta lat.

Alexander zamilkł. Hugh Cavendish siedział z zamkniętymi oczami. Na twarzy archidiakona malowała się wściekłość. Alexander wziął do ręki papiery pana Vigorsa.

- A teraz przejdźmy do innych spraw. Z radością mogę powiedzieć, że niezwykle entuzjizm wobec nauki zaowocował niespotykaną liczbą zdobytych przez naszych uczniów miejsc na uniwersytetach...

Sally znów spojrzała na Henry'ego.

- Co o tym myślisz? - szepnęła.

- Super - odparł. - Wspaniale. - Pochylił się na krzesło, by napotkać spojrzenie Chilwortha siedzącego cztery rzędy dalej. Razem triumfująco wystawili kciuki do góry.

„Oczywiście dziś po południu nie mogłem nic powiedzieć publicznie”, napisał tego samego wieczoru Hugh Cavendish do Alexandra Troya w notce dostarczonej przez posłańca, „ale moim zdaniem i zdaniem większości członków zarządu, z którymi rozmawiałem, pańska dzisiejsza mowa była wielkim nadużyciem stanowiska. Nikt nie wie lepiej niż pan, że decyzja o rozwiązaniu chóru została podjęta z największym żalem i tylko - na to muszę położyć nacisk - w celu uratowania katedry, której zachowanie ma nadrzędną wartość. Pańska niewczesna przemowa przyczyni się jedynie do powstania rozłamu w szkole i w mieście, gdzie wszyscy pragną wyłącznie harmonii. Niezwykle mnie zasmuciło, że pan samowolnie postanowił wygłosić to przemówienie, nie będąc nawet uprzejmym skonsultować się uprzednio z zarządem. Zdaniem członków zarządu jedynym sposobem, w jaki może pan umniejszyć wagę tego szkodliwego zajścia, jest dołączenie do świadectw wysyłanych wszystkim rodzicom pańskich przeprosin i zapewnienia, że jest pan lojalny wobec zarządu. Jeżeli pan tego nie uczyni, obawiam się, że dalsze zajmowanie przez pana stanowiska dyrektora King's School zostanie poddane pod dyskusję”.

- Przeczytaj to. - Alexander rzucił list Felicity. Siedzieli razem w ogrodzie, w zapadającym niebieskim zmierzchu. Alexander zdjął koloratkę i rozpiął górny guzik koszuli.

Felicity uniosła kartkę do światła przedostającego się przez okno bawialni.

- Głupi człowiek - powiedziała. - Nigdy nie należy pisać listów, gdy się jest w tak złym humorze.

- Ja często piszę.

- Grozi ci dymisją, jeżeli się nie poddasz. Zapomniał, że pod twoim kierownictwem szkoła rozkwitła. Ciekawe, co tak go dotknęło do żywego.

- Jego tum, Jego katedra. - Alexander ziewnął.

- Jesteś niesamowicie spokojny. Na ogół po takim liście byś się wściekł.

- Tak, ale pięciu ojców dało nam czeki. Nie potrafiłbym nawet powie-

dzieć, ile matek zaoferowało dary i udział w kiermaszu. Chórzystów niesiono na ramionach wokół boiska do krykieta.

- A w pokoju nauczycielskim... jeszcze nie mogę w to uwierzyć - dodała Felicity. - Frakcja Farrella stopniała do garstki zapalonych sportowców!

- Dzięki Johnowi Godwinowi.

- Ależ skąd. Dzięki twojej przemowie.

- Dbają o własny interes. Nie chcą, żeby szkoła straciła swoją rangę.

- Nonsens. Wszystko dzięki twojej przemowie.

- Czy przeszkadzam? - spytał Leo od ogrodowej furtki.

- Witam, mój drogi. Absolutnie nie. Czy słyszałeś... Leo podszedł i pocałował Felicity.

- Czy słyszałem! W całym tumie wrze, a „Echo” zamierza wydrukować twoją mowę. Nie odbieracie telefonów, więc zadzwonili do mnie. Dlatego przyszedłem.

- Cieszę się.

- A co na to dziekan? - spytał Lep. Felicity podała mu list.

- Sam zobacz.

- Pójdę przygotować drinki - powiedział Alexander. - Przynajmniej zobaczę, czy jest coś do picia, a jeżeli jest, wypijemy.

- Cieszę się, że przyszedłeś - zwróciła się Felicity do Leona. Popatrzył na nią znad listu.

- Poszłaś zobaczyć się z Sally. Felicity potwierdziła.

- Pogodziłeś się z nią?

- Nie. I między innymi dlatego przyszedłem do was. Nie mogę nie rozmawiać ze wszystkimi. Zaczynam się czuć jak jakiś parias.

- Sally, dla dobra was wszystkich, musi się poważnie zastanowić nad całą sprawą. Spróbuj to zrozumieć.

- Myślisz, że ja nie jestem poważny? Że po prostu flirtuję? Na Boga, chcę się z nią ożenić. Powiedziała, że ja pierwszy sprawiłem, że uwierzyła w siebie. I co teraz robi? Twierdzi, że wcale nie jest pewna, czy chce mieć męża, czy też woli być samodzielna.

- Musisz zaczekać - powiedziała Felicity. Alexander rozradowany wrócił do ogrodu.

' - Widzicie? - Rzucił butelkę whisky na kolana Felicity. - Znalazłem ją na kuchennym stole z liścikiem mówiącym: „Dla pana Troya z najlepszymi życzeniami od M. i B. Harrisonów”. Ich syn należy do chóru. Mają sklep z alkoholem w Horsley. Jaki miły gest.

- Nie powinienes tego pić - drażniła się Felicity. - Gdybyś sprzedał, miałbyś następne siedem funtów dla sprawy.

- Gdybym jutro nie miał zebrania i greki z klasą A przed dziewiątą rano, wypiłbym do ostatniej kropli.

- A ten list?

Alexander wydobyl butelkę z podołka Felicity i podniósł ją do góry. - Poczekam - odparł z wyższością - by nabrać odpowiedniego dystansu.

Następne zebranie Lokalnej Izby Handlowej Aldminsteru odbyło się w prywatnym gabinecie gospody „Pod Jeleniem”, należącej do słynnej w wiekach osiemnastym i dziewiętnastym kompanii najszybszych dyliżansów łączących zachodnie hrabstwa z Londynem. Okazało się, że wszystkich członków Izby, oprócz trzech, proszono o wpłatę na fundusz chóru i wszyscy takiej wpłaty dokonali. Ci trzej, do których się nie zwrócono, czuli się zasmuceni pominięciem i dwóch postanowiło wysłać czeki jeszcze tego samego popołudnia. Prawie wszyscy byli drobnymi przedsiębiorcami i drażniły ich rządy laburzystowskiej Rady Miejskiej - a właściwie laburzysto-wskiej w nowym stylu, bo podziw dla Franka Ashwortha był ogólny - więc ich hojność miała w sobie coś z politycznego wyzwania, jak również życzliwego zrozumienia dla położenia Dawida wobec Goliata. Okazało się również, że dziekan nie jest zbyt lubiany. Jego wędki, jego wina, jego sposób bycia, jego żona... wszystko to nie budziło niczyjej sympatii. Niektórzy powiadali nawet, że jest zbyt wyniosły jak na Aldminster.

Prawie wszyscy przeczytali w „Echu” artykuł o mowie Alexandra. I nawet jeżeli większość z nich wołała Petera Sellersa albo Sir Harry'ego Secomba¹³, czuli dumę, że zostanie dokonane nagranie śpiewu chłopca, który urodził się tu, w miejskim szpitalu, i od tamtej pory mieszkał i uczył się w ich mieście. Felicity kładła na to nacisk podczas rundy wizyt, jakie odbyła, i mówiła potencjalnym donatorom, że chodzi raczej o trzy tysiące funtów, które zostaną zużyte od razu, a nie o pięćdziesiąt tysięcy w dalszej przyszłości. Zebranie całej sumy potrzebnej na dokonanie nagrania potrwało zaledwie tydzień.

- Najśmieszniejsze jest to - powiedziała właścicielowi winiarni przy Lydbrook Street, który ku jej zdumieniu i radości wypisał czek na sto funtów - że ja po prostu nienawidzę organizowania i proszenia ludzi o coś. Ale wszyscy byli tacy dobrzy.

Właściciel nie był mężczyzną interesującym się kobietami, znał się jednak na galanterii.

- Wszystko zależy od tego, kto prosi, prawda?

Sally też pomagała w czasie wolnym od pracy, a większość rodziców poczuła przypływ misjonarskiej gorliwości. Jedna z matek, tak samo żądna władzy jak Bridget Cavendish, sporządziła listę parafii, przedsiębiorstw przemysłowych, posiadłości i szkół, i każdej z tych instytucji przydzieliła zespół zbierający datki. Dwie dziewczynki z szóstej klasy sporządziły afisz, a trzecia skopiowała go w dwustu egzemplarzach na kopiarce ojca. Ochotnikom z czwartej i piątej klasy dano naręcza tych plakatów do rozklejenia

141

¹³ angielscy aktorzy komediowi (przyp. tłum.)

na mieście. Pewnego ranka Bridget Cavendish, otwierając przed śniadaniem drzwi Benedyktowi, zobaczyła, że w nocy przylepiono jeden z nich na furtce. Oderwała go i z oburzeniem pomachała nim dziekanowi. W swojej złości nie zauważyła nawet, że mąż był nie tyle zły, ile nieszczęśliwy.

- Po prostu wyrzuć to.

- Huff o, nic w tej sprawie nie zrobisz?

- Nie.

- To otwarte wyzwanie i nielojalność.

- Konfrontacja nie jest właściwą odpowiedzią.

- Huffo, co się z tobą dzieje?

Nie mógł już na nią patrzeć, ledwie wytrzymywał obecność w tym samym pokoju swojej towarzyszki życia, nie rozumiejącej artykułów wiary, według których żył on sam. Czuł się tak odizolowany od wszystkiego, że czasami nie potrafił nawet patrzeć na swojego Boga i modlić się. Podniósł rękę w dziwnie beznadziejnym geście i znów ją opuścił.

- Nic. Bridget, ja prowadzę swoje walki za pomocą dyplomacji, a nie strzelb.

- Chyba potrzebujesz wypoczynku. Biedny, zmęczony Huffo, nie jesteś już sobą...

Dzekan nic nie odpowiedział. Bridget odłożyła afisz i przeszła raźnie po pokoju, poprawiając poduszki i ustawiając na miejscu wazon i obrazki. Potem powiedziała macierzyńskim tonem: „Mój drogi, śniadanie będzie za moment”, i wyszła.

Dzekan podszedł do swojego ulubionego miejsca przy oknie. Dzień wstał jasnoperłowy i w bladym świetle tum wyglądał równie tajemniczo jak przed zapadnięciem zmroku. W tym miękkim świetle katedra wyglądała jakby płynęła po wielkiej, zielonej przestrzeni. Hugh Cavendish chwycił się mocno parapetu.

- Dziekan - powiedział do siebie. - Dziekan katedry w Aldminsterze. Dziekan.

- Och! - wykrzyknęła Felicity Troy. - Przestraszyłam się. Kim pan jest?

Młody człowiek w brązowym garniturze i z taśmą mierniczą w ręku powiedział, że przyszedł z biura architekta katedralnego. Kobieta w kuchni pozwoliła mu wejść, bo to sprawa urzędowa.

- Urzędowa?

- Pan Mount chciał przyjść osobiście i wyjaśnić pani wszystko, ale dostał migreny, a on straszliwie cierpi podczas migreny...

- Nie chcę okazać się niemila - przerwała mu Felicity - a przynajmniej lepsza część mnie nie chce tego, zastanawiam się jednak, co mają wspólnego bóle głowy pana Mounta z tym domem.

- Rzeczywiście, nic. - Młody człowiek był speszony. - Ale musiał

zostać w łóżku. Miał za sobą okropną noc i ledwo mógł ze mną rozmawiać przez telefon.

- Dlaczego nie zadzwonił do mnie? I, przede wszystkim, czemu nie zadzwonił, żeby się umówić?

- Chyba próbował kilka razy, ale nie uzyskał połączenia, a jest mało czasu. Dziekan chciał, żeby natychmiast wymierzyć dom.

- Dziekan?

Stali na pięknej klatce schodowej z ciężkimi barokowymi tralkami, stopniami i bogatym zdobieniem w miejscu, gdzie szerokie okno na podeście, wypełnione błyszczącym starym szkłem, odsłaniało widok na ogród.

- Dziekan nakazał dokonać oszacowania wszystkich domów w tumie - wyjaśnił młody człowiek. Był zaniepokojony. - To tylko rutynowe działanie.

- Więc dlaczego musi pan dokonać pomiarów?

- Dziekan chciał szczegółowych danych na temat tego domu.

Na parapecie stała wielka niebieska waza z potpourri. Młody człowiek stuknął ją nerwowo ołówkiem.

- Pani Troy, próbowałem się dodzwonić, ale nikt nie odpowiadał, a kazano mi tu przyjść.

- Gdzie pan już był?

- Tylko na parterze i właśnie wchodziłem...

- Ale pan nie wejdzie.

- Obawiam się, że zgodnie z instrukcjami, jakie dostałem...

- Nie podobają mi się pańskie instrukcje. Są podejrzane. I nie podoba mi się, że ni stąd, ni zowąd nakazano taką szczegółową wycenę właśnie tego domu, bez uprzedzenia. Chciałabym wiedzieć, o co tu chodzi.

- Muszę obejrzeć dach - powiedział młody człowiek z rozpaczą. Felicity lekko się poruszyła, tak żeby nie mógł wejść wyżej bez potrącenia jej. - Zdaję sobie sprawę, że to nie pana wina, ale nie mogę pozwolić panu wejść. Jestem pewna, że chodzi o wycenę domu, a jeżeli moje podejrzenie jest słuszne, powinniśmy zostać uprzedzeni. A teraz niech pan będzie grzecznym chłopcem, pójdzie sobie i zawiadomi Mervyna.

Młody człowiek zarumienił się aż po korzonki włosów.

- Ale pan Mount mnie tu przysłał.

- Proszę mu powiedzieć, że pana odesłałam.

Zaczął powoli cofać się na dół. Wyglądał nieszczęśliwie. Felicity ruszyła za nim, cały czas będąc dwa stopnie wyżej.

- A tak na oko, ile jest wart?

- Nie potrafię tego pani powiedzieć.

- Czwierć miliona?

Młody człowiek wybałuszył oczy.

- Nie wiem.

Felicity wyminęła go i otworzyła frontowe drzwi. Słońce zamigotało na płytkach podłogi. Młody człowiek wybiegł z domu.

- Do widzenia, pani Troy.

- Do widzenia - odpowiedziała i zatrzasnęła drzwi za nim i za światłem słońca.

Poczuła się chora. Wydawało jej się, że hol, z malowanymi boazeriami, cudownymi proporcjami, solidny a jednak przyjaźnie witający wchodzących, kołysze się i poszerza. Trzymając się blisko ściany, Felicity powlokła się do schodów i padła na najniższy stopień. Stracą dom. Alexander coś o tym mówił, ale oboje wiedzieli, że Hugh Cavendish prędzej sprzedałby swoje dzieci niż chociażby jeden budynek w tumie. Jednak jeżeli tak się stanie, jeśli w sercu dziekana nastąpiła jakaś tajemnicza zmiana i zdarzy się coś tak pozbawionego sensu i nieprzewidywalnego, nie będą mogli się obronić. Oczywiście dyrektor szkoły musi gdzieś mieszkać, ale niekoniecznie w najpiękniejszym domu tumu. Gdy przyjechali do Aldminsteru, byli niewiarygodnie szczęśliwi dowiadując się, że dyrektorzy szkoły zawsze mieszkają w tym właśnie domu. Stanowiło to dla niej niewyobrażalną pociechę, źródło radości i spokoju. Czy utrata domu miała być ceną, jaką zapłacą za dalsze istnienie chóru?

Wstała powoli i poszła do bawialni. Tu tworzyła swoje wiersze. Od miesięcy już nic nie napisała, a oczywiście jej obecna aktywność była najgorszym stanem umysłu do pisania wierszy. Usiadła na krześle z wklęsłym oparciem, które kiedyś ocalała od wyrzucenia, i popatrzyła na ogród. Jeżeli chór wymaga zapłacenia tej ceny, czy ona naprawdę chce ją zapłacić? O co toczy się walka? O muzykę, o historię, o Boga, o Alexandra, o nich wszystkich, o nic?

Zamknęła oczy. Walczyła przeciw ciemności, przeciw niespodziewanej ciemności w niej samej, przeciw czarnej nieuczciwości. Jej wargi poruszyły się.

„Nie toczymy bowiem walki przeciw krwi i ciału, lecz przeciw Zwierz-chnościom, przeciw Władzom, przeciw rządcom świata tych ciemności, przeciw pierwiastkom duchowym zła na wyżynach niebieskich”*.

Miała łzy w oczach. Święty Paweł nie przejmowałby się jej łzami, był jednym z największych wrogów kobiet, jednym z najbardziej bezwzględnych i stanowczych ludzi w historii. Felicity wytarła nos. Pewnie głupio tak siedzieć tutaj, w czwartkowy ranek i lamentować nad losem swojego domu albo duszy świata. Podeszła zdecydowanie do telefonu, urządzenia, którego zawsze się bała, i wykręciła numer biura Ikonu na Charing Cross Road.

◆List św. Pawła do Efezjan, 6, 12.

- To się trzęsie - powiedział Henry Ashworth.
- Nie będzie, gdy przestaniesz się kręcić.
- Jak może śpiewać myśląc jednocześnie o tym, żeby się nie kręcić...
- Czy to musi być takie wysokie?
- Tak. Koniecznie. Chcę, żeby dźwięk rozlewał się na katedrę... Henry próbował utrzymać równowagę najpierw stojąc na jednej nodze, a potem na drugiej. Stos drewnianych skrzynek łagodnie się kołysał.
- Umocuj je klinami - poradził Nicholasowi przez interkom Mike, który razem z całym wyposażeniem znajdował się w szatni chóru. Mike fascynował Henry'ego. Nosił ciemne okulary nawet w katedrze i traktował chłopca jak dorosłego.
- Chcę, żeby wyczuwało się tę przestrzeń - powiedział Mike. -1 przesun trochę mikrofony. Rozstaw je. W porządku? A teraz, Henry, zaśpiewaj jedną nutę.
Henry zaśpiewał fis.
- Tu jest niesamowicie - powiedział Mike. - Nuty brzmią o wiele dłużej. Może powinieneś stanąć trochę niżej, dwa stopnie ku...
- Nawie - odpowiedział radośnie Henry. - Stopnie prezbiterium.
- Dobrze - zgodził się Mike machając ręką do Ianthe, bo nie lubił, gdy zauważała, że czegoś nie wie. Dobrze, dobrze. Nawa. Sam był zdumiony, że się tu znalazł, a jeszcze bardziej zdumiewało go, że czuje się oczarowany tym miejscem. Jeszcze nigdy nie nagrywał poza studiem, a takich muzyków jak Leo i Henry nie widział od czasów szkolnych, muzyków dziwnie bezosobowych po zespołach rockowych, do których był przyzwyczajony. Osądził, że to inny rodzaj osobowości. Ianthe dała mu taśmę z utworem „Mój słodki Panie” George'a Harrisona nagrany przez Henry'ego i naprawdę wywarło to na nim wrażenie: głos, frazowanie. Wysłuchał taśmy pod koniec trudnego tygodnia, tygodnia, kiedy musiał powiedzieć Jonowi, że nie może dłużej pracować w Ikonie, a Jon się

załamał. Stephen zagroził, że również odejdzie, więc dał im trzy dni na przemyślenie sprawy. Pod wpływem impulsu powiedział Ianthe, że pojedzie do Aldminsteru, i oto jest tutaj, z całym sprzętem zainstalowanym w szatni chóru, Nickiem patrzącym na stoper, nutami, tym miłym dzieciakiem, który, jak się wydaje, potrafi zrobić ze swoim głosem wszystko, o co się go poprosi, i w tej katedrze. Wszystko było niezwykle, ale i trochę przerażające.

- Wygodnie ci teraz? - spytał Nicholas Henry'ego.

- Tak. - Henry się rozpromienił.

W katedrze panował półmrok, ale nie było zupełnie ciemno i Henry'ego podniecało, że stoi tak zupełnie sam pośród tej wielkiej, przetykanej cieniami przestrzeni; wolałby jednak, by katedra była pełna, chciałby śpiewać dla ludzi zajmujących wszystkie rzędy ławek. Zaczęli od Haendla. Był bardzo podniecony, czuł, jak płuca mu się wypełniają, podniósł ręce niczym skrzydła. I wtedy się pomylił.

- Panie Beckford, wciąż śpiewam to źle. Trzecia linijka, drugi takt: „i głos ewangelię pokoju”.

Próbowali jeden utwór po drugim, „Zielone pola”, powtarzali je wiele razy, potem piosenki francuskie, które uwielbiał, a głos płynął kaskadami nut jak wodosпад. Chłopiec począł robić miny.

- Nudzi się - powiedział Leo. -• Musimy pozwolić mu na przerwę. Henry zaczął skakać po swojej wieży ze skrzynek.

- Och, to mi się podoba, naprawdę, ale szkoda, że nikt mnie nie widzi.

- Jeszcze raz - zawołał Mike z szatni. - Jeszcze raz. Henry, wytrzymuj nuty do końca, dobrze?

Henry przymrużył jedno oko i strzelił palcami.

- Tak, człowieku - powiedział do siebie stojąc samotnie na skrzynkach. - Właśnie tak.

Sally wyobrażała sobie, że podczas tych wieczorów, kiedy Henry będzie zajęty w katedrze, w ciszy i spokoju przemyśli swoje decyzje. Już zaplanowała kilka rzeczy. Quentin Smali zgodził się przyjąć ją na pełny etat, jeżeli poprowadzi mu również rachunki za mniejsze honorarium niż to, które do tej pory płacił swojemu księgowemu. Popatrzyła na trzy piętra jego sklepu i poczuła się przerażona.

Postanowiła też, że na razie nie będzie się spotykała z Leonem, bo wrażenie, jakie na niej wywierał, mogło zaciemnić jej myśli, ale przez to oczywiście myślała bez przerwy o nim zamiast o planach na przyszłość. A potem zadzwonił Alan. Mogła się tego spodziewać po tym, jak napisała do niego, ale jakoś chciała wierzyć, że trudno jest telefonować z Arabii Saudyjskiej. Wystraszyła się, gdy podniosła słuchawkę i usłyszała jego głos. Wydawał się niezwykle spokojny, niemal wesoły.

- No więc, o co chodzi, Sal?

- Nie czytałeś mojego listu?

- Czytałem, ale...
- Więc wiesz. Mam już dość tego, że jestem przykuta do mężczyzny, który dba tylko o siebie, a innym nie poświęca ani chwili uwagi.
- Tak, nie było mnie dość długo, ale przecież wiesz, że robię to dla nas...
- Nie opowiadaj bzdur!

Po chwili przerwy Alan podjął:

- Słuchaj. Każda minuta naszej rozmowy kosztuje kilka funtów. Trudno byłoby mi przyjechać już teraz, bo akurat jest pilna robota i nie mogę spuścić z nich oka ani na minutę. Ale przyjadę za miesiąc. Wtedy porozmawiamy.
- Za miesiąc może mnie tu nie być.
- Nie odejdziesz - stwierdził z pewnością siebie Alan. - W jakiej sytuacji byś się postawiła?
- Po co zadzwoniłeś? - spytała Sally.
- Gdy przeczytałem twój list, pomyślałem, że jesteś nieszczęśliwa.
- Nieszczęśliwa?
- Tak. Przykro mi, że mnie tak długo nie było. Wszystko w Sally zawrzało z gniewu.
- Alan, nie chcę już dłużej rozmawiać. Odkładam słuchawkę...
- Nie przypieraj mnie do muru, Sally!
- To groźba?

Głos Alana złagodniał.

- Co u Henry'ego?

Sally wydała z siebie dziwny dźwięk i rzuciła słuchawkę w ścianę. Słuchawka podskoczyła kilka razy na skręconym kablu i opadła na podłogę. Gdy Sally ją podniosła, połączenie było już przerwane. Widocznie Alan od razu się rozłączył. Sally była nieprzytomna z gniewu i obrzydzenia, cała drżała, ale nie mogła płakać. Położyła się na podłodze, twarzą do podłogi i wyła, i wyła. To obrzydliwe, że w jej życiu istnieje osoba taka jak Alan. Pomijając fakt, że był ojcem Henry'ego, cała reszta była obraźliwa, nie do przyjęcia, jak gwałt. Jego obojętność, samozadowolenie, hipokryzja, jego udawana uczuciowość... Przypomniała sobie, co mówił, gdy odkryła, że miewa dziewczyny na telefon. Przyznał się i powiedział: „Ależ Sal, przecież to nie jest zdrada wobec ciebie”. Jej cała egzystencja wydawała się zdegradowana, bo musiała dzielić życie z kimś takim jak on.

Przestała krzyczeć i usiadła. Mozart, śpiący w koszyku z bielizną do prasowania, nawet się nie poruszył. Stare niebieskie talerze nadal stały na półkach kredensu, światło lampy padało na gazetę, którą rzuciła na podłogę, okruszyny po kanapce Henry'ego były tam, gdzie je zostawiła, nawet telefon, znów porządnie wiszący w swojej kołysce na ścianie udawał, że nic się nie stało. I wtedy zaczęła płakać, głośno i rozpaczliwie, łapiąc powietrze otwartymi ustami, jak rozszoszczone dziecko. Mozart nie mógł już dłużej znieść tej demonstracji uczuć. Wyszedł odmierzoną krokiem z koszyka, przemaszerował przez pokój i przedostał się przez swoje wyjście w ścianie do ogródka. Gdy wyszedł, Sally poczuła się bardzo samotna.

Wstała z podłogi, podeszła do zlewu, nabrała zimnej wody w dłoń i ochlapała sobie twarz. Potem zerwała całe metry papierowego ręcznika, wysuszyła twarz i wytarła nos. Czowała się tak, jakby jej skóra była o kilka rozmiarów za mała. Na krześle z plecionym siedzeniem leżał sweter Henry'ego. Wzięła go i idąc po schodach, przytuliła do siebie, czując obrzydzenie wobec własnej sentymentalności. Złożyła go z niemal religijną starannością i schowała do szafy. Zaledwie skończyła się malować, gdy z hukiem otworzyły się wejściowe drzwi i Henry wpadł do domu wołając:

- Mamo, mam, było super!

Sally zeszła na dół. Zobaczyła, że Henry jest nieprawdopodobnie podniecony.

- Kazał mi wyjąć wszystko z kieszeni, spytałem dlaczego, a on powiedział, że będzie brzęczało - trajkotał. - Musiałem zdjąć zegarek, i zakaszlałem podczas „Ave” czekając na swoje wejście, melodia nagle mi się wymknęła i musiałem powtarzać milion razy! Wybudowali mi coś w rodzaju wieży, byłem o całe kilometry wyżej i pan Beckford musiał grać na organach, więc go nie widziałem, a mikrofon kosztuje pięć tysięcy funtów, tak powiedział Mike. Było fantastycznie.

Sally zrobiła mu jajecznicę, a Mozart, czując, że teraz, gdy Henry już jest w domu, nie będzie więcej nieprzyjemnych manifestacji uczuć, także wrócił i poprosił o mleko.

- Nie mogę doczekać się jutro - powiedział potem Henry. - Było wspaniale.

- Nie powinienes się tak podniecać. Nikt nie ma pewności, że płyta będzie się sprzedawać. To jest niewielka firma, mało znana na rynku.

- Ale będzie w sklepie przy katedrze, a Ianthe zrobi mi zdjęcie na okładkę i ozdobi zwariowanym rysunkiem...

- W krezie?

- Nie. W zwykłym ubraniu - odparł z żalem Henry. - Powiedziała, żebym włożył kurtkę do baseballu.

- No i?

- Czy mógłbym ją dostać?

- Ale one są takie okropne.

- Są nadzwyczajne.

- Porozmawiamy o tym jutro, gdy się trochę uspokoisz, a ja przewycięzę swoje uprzedzenia.

Henry uśmiechnął się.

- Mówisz jak pan Troy. Przyszedł popatrzeć. Powiedział, że jestem wspaniały.

Sally wstała i zabrała talerz Henry'ego.

- Mozart i ja sądzymy, że jesteś zarozumiały.

Henry był w siódmym niebie. Radośnie podśpiewując pobiegł w podskokach na górę i ustawił magnetofon na cały regulator. Przez pluskanie wody Sally usłyszała dziwne, tęskne nuty pasterskiej piosenki z Owernii.

Zasnął natychmiast kamiennym snem, przechodząc ze stanu najwyższego podniecenia w niepamięć. Sally posiedziała chwilę na brzegu jego łóżka, potem zeszła na dół i, ponieważ dzięki Henry'emu poczuła się prawie normalnie, wykręciła numer Leona. Odpowiedział jej młody kobiecy głos.

- Czy zastałam Leona?

- Przykro mi - poinformowała ją Ianthe. - Nie ma go. Był, ale znów wyszedł...

- Tu Sally Ashworth.

- Cześć - przywitała ją gorąco Ianthe. - Henry mówił pani, jak poszło? Był naprawdę wspaniały...

- Właśnie dlatego dzwonię - minęła się z prawdą Sally.

- Henry jest doskonałym śpiewakiem. Mike na ogół nikogo nie chwali, ale powiedział, że czuje się oszołomiony. Poszli z Leo do pubu. Powiem, że pani dzwoniła.

- Nie, nie warto. Chciałam się tylko dowiedzieć, czy wy wszyscy byliście tak samo podnieceni jak Henry.

- Jasne.

- Dobranoc - pożegnała się Sally.

Odłożyła słuchawkę z ogromną starannością, jakby chciała naprawić swoje wcześniejsze zachowanie. Była wykończona, nie potrafiła się zmusić do wykonania tego wszystkiego, co normalnie robiła przed pójściem spać. Powlokła się na górę przytrzymując się poręczy i padła na łóżko. Leżała kilka minut, prawie nieprzytomna. Potem znów wstała, podeszła niepewnie do kominka, zdjęła obrączkę i wrzuciła ją do porcelanowego dzbanka, w którym trzymała spinki, guziki i agrafki. Chwilę stała, a potem odwróciła się, powlokła z powrotem do łóżka i padła na nie jak ścięte drzewo.

- Powinienem był zadzwonić - powiedział Frank Ashworth - ale byłem w tumie, pomyślałem więc, że wpadnę.

Felicity, przytrzymując wpółotwarte drzwi, patrzyła na niego z niechęcią

- Czy jest pani mąż?

- Dopiero wrócił ze szkoły.

Stojąc tak przed drzwiami, Frank przyglądał się Felicity. Miała bose nogi i ubrana była w spódnicę, która Frankowi kojarzyła się z cygańskimi wrózkami przyjeżdżającymi na jarmarki do Horsley Common, gdy był dzieckiem. Teraz okolica ta zabudowana była eleganckimi domami przy ulicach o nazwach takich jak Droga Pierwiosnków czy Zaulek Sasanek.

- Czy mógłbym zamienić z nim kilka słów?

Alexander wyszedł z bawialni mówiąc, że chyba słyszał dzwonek do drzwi.

- Dzień dobry, panie Ashworth...

- Chciałbym chwilę porozmawiać.

- Oczywiście. Proszę wejść - zaprosił go Alexander. Frank wszedł do domu, prosząc:

- To dotyczy również pani Troy, więc gdyby zechciała się pani przyłączyć...

Na podłodze w bawialni rozrzucony był materiał na nowe zasłony do sypialni, które Felicity nagle zdecydowała się kupić, by zmusić los do pozostawienia ich w tym domu. Prawie cały pokój pokryty był surową indyjską bawełną, wydającą zapach spalonego słońcem tłuszczu. Felicity nie skomentowała tego ani słowem. Wszyscy troje usiedli w sporej odległości od siebie, tak by nie dotykać materiału, i Frank poczuł się nieswojo. Alexander zdawał się nie zauważać niczego. Oboje, on i Felicity, siedzieli w milczeniu i patrzyli na gościa.

- Dowiedziałem się, że niedawno przeprowadzono wycenę waszego domu - powiedział Frank.

Alexander potwierdził.

- Zapewne wiecie, że od dawna pragnąłem, by ludzie z miasta, zwykli ludzie, mieli w tumie coś własnego...

- Oczywiście zasady... - przerwał mu gwałtownie Alexander.

- Cii - napomniała go Felicity.

Frank powoli wodził wzrokiem od jednego ze swoich gospodarzy do drugiego. Wydawał się krańcowo wyczerpany.

- Moje pragnienia nie zmieniły się. Ale sytuacja owszem, jest inna, gdyż obecnie ten dom nie zostałby wykorzystany właściwie, z pożytkiem dla mieszkańców miasta. Obawiam się, że właśnie teraz byłby użyty zgodnie z interesami mniejszości, więc - Frank przerwał na chwilę, jakby musiał zebrać całą energię, by kontynuować - podczas następnego zebrania Rady Miejskiej wycofam propozycję kupna domu.

Przez dłuższą chwilę nikt się nie odezwał, Felicity i Alexander nie patrzyli na siebie. Potem Alexander powiedział spokojnie:

- Dziękuję, że pan przyszedł nas o tym powiadomić.

- Macie prawo wiedzieć. - Frank spojrział kątem oka na Alexandra. - Czasami pan nie zostaje właściwie poinformowany.

Wstał. Alexander i Felicity również podnieśli się z krzeseł. Wszyscy troje w milczeniu obeszlą rozłożony na podłodze materiał i skierowali się do holu.

- Byliśmy dumni z pańskiego wnuka - powiedział Alexander. Frank po raz pierwszy od przyjścia uśmiechnął się.

- Zarozumiały małpiszonek - mruknął i wyszedł. Gdy za Frankiem zamknęły się drzwi, Alexander spytał:

- I co się tu właściwie dzieje?

Tylko piętnastu członków zarządu przybyło na zebranie zwołane przez dziekana w pilnym trybie, ale warunek obecności trzech duchownych został spełniony: oprócz dziekana stawili się archidiakon i kanonik Yeats. Bridget zadała sobie wiele trudu, by zmienić pokój stołowy w salę narad: ułożyły na stole notatniki, ołówki, postawiła karafki z wodą, i kazała pani Ray przygo-

tować maślane bułeczki do kawy. Dziekan odmówił wszelkich wyjaśnień co do tematu zebrania, a ona próbowała przekonać samą siebie, że to jego zwykły sposób postępowania. Wiedziała jednak, że mąż czyni starania, by członkowie zarządu uchwalili wotum nieufności wobec Alexandra Troya.

W oczach Bridget zbrodnia Alexandra nie polegała na tym, że wypowiada nonsensy o chórze, ani że wykorzystał mowę na koniec roku szkolnego jako okazję do wyłożenia osobistych poglądów, lecz na tym, że rzucił dziekanowi wyzwanie. Jedyłą, choć drobną okolicznością łagodzącą był fakt, że jest niewątpliwie dżentelmenem. Jednakże prestiż hierarchów Kościoła był dla Bridget czymś świętym, czymś co nie ma prawa być wystawione na szwank ot tak, gdy tylko ktokolwiek tego zapragnie. Według niej, taka zuchwałość stanowiła przestępstwo, i chociaż szczerze wierzyła, że Alexander zostanie ukarany, równocześnie obawiała się, że jeżeli zdecydowano by się na jego dymisję, następcą mógłby nie być człowiekiem, o jakiego jej chodziło. A na dodatek pozycja Hugh'a ucierpiałaby, gdyby musiał pracować w otoczeniu ludzi - tu nawet Bridget wahała się nad wyborem słów - innego gatunku niż ich własny. A przecież wiadomo, że już i tak jest ich w Kościele zbyt wielu.

Po zaprowadzeniu ostatniego członka zarządu do pokoju stołowego poszła do swojego gabinetu porządkować stopy wykazów katedralnych, które w tym celu zabrała z biura Kapituły. Kanonik Steward nie był tym wcale zachwycony, ale ponieważ w dokumenty wkradł się straszliwy bałagan, nie był w stanie odmówić, gdy pani Cavendish zgarnęła segregatory mówiąc, że wszystko uporządkuje. Dwa lata temu postąpiła tak samo w sprawie księgarni przy katedrze, zreorganizowała ją w sposób idealny, znalazła nową zarządzającą i wywołała ogólną złość i oburzenie. Natomiast mistrzyni haftu, twarda, stara kobieta z doktoratem i niewyczerpaną wiedzą na temat historycznych materiałów i haftu, potrafiła obronić swój teren. Zespół ochotników zajmujący się czyszczeniem figur w katedrze miał dosyć przyzwoitości, by nie wychylać nosa poza właściwy sobie poziom, a Towarzystwo Przyjaciół Katedry powoli zwierało szeregi, by przeciwstawić żonie dziekana jednolity front. Biskup, z ironią i jednocześnie żalem, zwierzył się kiedyś żonie, że Bridget Cavendish miała cudowną zdolność j e d n o c z e - n i a diecezji.

Przez półtorej godziny Bridget porządkowała dokumenty i załatwiała telefony. Pani Ray przyszła z kawą na tacy punktualnie o jedenastej, ale gdy otworzyła drzwi do pokoju stołowego, Bridget nie usłyszała nic prócz uprzejmych pomruków, witających poczęstunek. W południe drzwi znów się otworzyły i członkowie zarządu zaczęli wychodzić do holu. Bridget, z pytającym uśmiechem, rzuciła się odprowadzać ich do drzwi. Kanonik Yeats, opierając się na kulach, wychodził jako ostatni. Bridget zajęła się nim bardzo troskliwie, ale wydawało się, że wcale jej nie zauważa, niepokojąc się nie tyle schodkami, po których musi zejść, ile własnymi myślami. Huffo nie wyszedł z pokoju stołowego. Bridget pomogła kanonikowi Yeatsowi zejść

na ulicę i przytrzymując furtkę, nie mogła powstrzymać żadnego stwierdzenia:

- Mam nadzieję, że zebranie poszło dobrze!

Kanonik Yeats zatrzymał się i popatrzył na nią. Nigdy jej nie lubił. Przypominała mu szarogęszącą się ochotniczą armię kobiecą, która w czasie wojny zamieniła jego posługę kapelana w koszmar. Potem powiedział swojej żonie: „Miałem ochotę wpakować jej kulę w biust”. Spojrzał na Bridget niechętnie i zanim odszedł, odpowiedział:

- Poszło dobrze, pani Cavendish, ale w ogóle nie powinno być zwołane. Obraliśmy bardzo niewłaściwą drogę.

Bridget wróciła do domu. Nie znalazła męża ani w gabinecie, ani w jadalni. Pani Ray spotkała ją w holu, między tymi dwoma pokojami, i przekazała wiadomość od dziekana, żeby nie czekać na niego z lunchem, bo nie wróci przed trzecią i przegryzie coś na mieście. Pani Ray musiała wymyślić ostatnie słowa, bo dziekan nigdy by się tak nie wyraził. Bridget wyszła przez tylne drzwi do garażu. Samochodu nie było. Wróciła do domu, powiedziała pani Ray, że to wszystko na dziś, i ciężko weszła po schodach do sypialni, której szlachetne w kształcie okna ozdobiła perkalowymi firankami i zasłonami we wzory z powoju. Ona i Hugh sypiali tu obok siebie od szesnastu lat.

Usiadła przy toalecie i popatrzyła na swoje odbicie bez najmniejszej przyjemności. Hugh poniósł klęskę wobec członków zarządu i nie mógł, albo nie chciał, przyjść do niej po pociechę. Położyła łokcie na szkłe pokrywającym blat, pod którym leżały, jak w więzieniu, dziesiątki fotografii dzieci, opuściła głowę w dłonie, zakrywając oczy. Dom był bardzo cichy. W tym milczeniu, z łokciami drętwiejącymi od zimna Szklanej tafli, Bridget Cavendish po raz pierwszy w życiu doświadczyła bólu, jaki może sprawić miłość.

Gdy dziekan wszedł do gmachu Rady Miejskiej, recepcjonistka, która znała wszystkich i wiedziała o wszystkim, powiadomiła go, że pana Ash-wortha dziś nie ma. Dziekan powiedział, że wobec tego chciałby spotkać się z którymś ze starszych radnych mogących poświęcić mu kwadransik. Recepcjonistka obiecała sprawdzić, co można zrobić, i wprowadziła go do małej poczekalni, w której na stole stał kaktus, a na ścianach wisiały półki z ulotkami dotyczącymi ochrony zdrowia.

- Nikomu pan tu nie będzie przeszkadzał - rzekła i zamknęła za sobą drzwi.

Dziekan podszedł do okna. Wychodziło na parking, za którym widniał zaniedbany zakątek parku obok traktu. Wokół grządek z ukochanymi przez władze miejskie szkarłatną szalwią i pomarańczowymi nagietkami afrykańskimi trawa była wydarta z ziemi. Na ławce siedziała tęga, ponura dziewczyna, z dzieckiem przypasanym w składanym spacerowym wózku, a z tyłu, wśród resztek trawy, spali dwaj mężczyźni, z głowami przykrytymi

gazetami. Było w pół do drugiej. Dziekan jakąś godzinę jeździł samochodem bez celu i walczył ze sobą. Po raz pierwszy nie poszedł do katedry - przysiągł sobie, że będzie tam chodził tylko na nabożeństwa aż do chwili, gdy nagrywający sprzątną po sobie cały bałagan. Wyjechał na obwodnicę i jeździł tak bezmyślnie, jak osioł w kieracie. W pewnym momencie zakręcił, pojechał do portu, słuchał krzyku mew, w małym sklepiku kupił zapiekankę wieprzową i zjadł ją żarłocznie w samochodzie. To go pokrzepiło. Zawrócił do miasta i skierował się do gmachu Rady.

Kazali mu czekać dwadzieścia minut. Przeczytał o narkomanii heroino-wej, o kokluszu, próchnicy i chorobach przekazywanych drogą płciową, a potem znalazł stosik ulotek o prawach obywatelskich i pomocy prawnej, i to również przeczytał. Wreszcie drzwi się otworzyły, weszła inna dziewczyna i powiedziała, że pan Thornton może go teraz przyjąć. W tym momencie dziekan czytał instrukcje przeciwpożarowe przyklepione na drzwiach, i dziewczyna niemal go uderzyła. Poczuli się skrępowana widokiem koloratki i zwracała się do niego bezosobowo, bo nie wiedziała, jak ma mówić. Przejechali windą dwa piętra i wyszli na długi korytarz pokryty wykładziną i rozbrzmiewający echami maszyn do pisania.

W połowie korytarza dziewczyna otworzyła oszklone od góry drzwi i wprowadziła dziekana do małego pokoju z dwoma pokrytymi tweedem fotelami i niskim stolikiem, na którym stała tylko popielniczka. Podeszła do wewnętrznych drzwi, zapukała i otworzyła je:

- Panie Thornton, przyszedł ten pan. - Odwróciła się do Hugh'a i zawiadomiła go: - Proszę wejść.

- Na ogół wszyscy mówią do mnie „panie dziekanie” - powiedział dziekan tak obojętnie, jak tylko potrafił.

Sekretarka wytrzeszczyła oczy. Dziekan przeszedł obok niej do gabinetu i zobaczył radcę Denisa Thorntona, elegancko ubranego, ze złotą szpilką w krawacie. Stał i z uśmiechem witał gościa.

- Dzień dobry, panie Cavendish. Proszę usiąść. Czy napiłby się pan kawy? Nie? Heather, tylko jedna kawa...

Dziekan opadł na krzesło. Denis Thornton usiadł z wdziękiem na swoim fotelu i oparł ręce na biurku. Na placach miał kilka pierścionków.

- Czym mogę panu służyć?

Dziekan odezwał się głosem, który na nim samym sprawiał wrażenie, jakby dochodził z daleka.

- Na pewno wie pan o naszym apelu w sprawie dachu katedry...

- Tak, oczywiście, wiem.

- Okazało się, że zniszczenia są o wiele większe, niż nam się wydawało. O wiele większe. Przy złej pogodzie zagraża katastrofa.

Denis Thornton wydał z siebie potakujące pomruki, ale nie odezwał się.

- Nie jestem pewien, jak dalece omawiano sprawę w Radzie, ale wiem, że pragniecie mieć jakiś ośrodek w tumie...

Dziekan przerwał i popatrzył na radcę. Radca czekał na dalszy ciąg.

- To był pomysł pana Ashwortha - dziekan kontynuował zbyt szybko -i muszę panu powiedzieć, że z początku nie widziałem spraw w taki sam sposób. Dom, o który mu chodziło, dom dyrektora szkoły, widzi pan, jest tak...

- Obawiam się - przerwał Denis Thornton - że nic nie wiem o całej sprawie.

- Myślałem...

- Panie Cavendish, nie mówię, że nie rozważymy tej propozycji. Ale nie figuruje na bieżącej liście spraw do załatwienia. - Uśmiechnął się do dziekana. - Jednak sądzę, że to bardzo atrakcyjna propozycja.

- Wydawało mi się, że pan Ashworth już ją złożył.

- Być może prywatnie, ale nie wobec Rady. Czy mógłby pan wyjaśnić, o co panu dokładnie chodzi?

- Chodzi mi o sprzedaż domu dyrektora szkoły Radzie Miejskiej -powiedział dziekan. - Niedawno sporządziliśmy wycenę, jest wart trzysta tysięcy funtów. Oczywiście... - przerwał.

Denis Thornton wziął pióro z pojemnika leżącego przed nim na biurku i trzymał je lekko w palcach.

- Panie Cavendish, czy mógłby pan napisać do mnie list z opisem swojej propozycji?

Dziekan westchnął.

- Myślę jednak, że skoro pierwszym pomysłodawcą był Frank Ashworth...

Denis Thornton z niezwykłą starannością odłożył pióro na miejsce.

- Lepiej niech pan zaadresuje list do mnie. W końcu Frank Ashworth niedługo przejdzie na emeryturę.

- Na emeryturę! Myślałem...

- Och tak, odchodzi. Potrzebne są młodsze ramiona do dźwigania tych ciężarów.

Dziekan wstał.

- Żyjemy w nieprzyjaznym świecie, panie Thornton.

Denis Thornton odprowadził go na korytarz i otworzył drzwi windy z afektowaną uprzejmością. Dziekan zjechał na parter i wszedł do holu, a echo zwielokrotniało odgłos jego kroków. Obowiązek, mówił sobie, obowiązek, władza i katedra.

- Załatwił pan swoje sprawy? - spytała serdecznie recepcjonistka. Dziekan leciutko się skłonił.

- Dziękuję.

Recepcjonistka wyszła zza swojego biurka i stukając obcasami podeszła do ciężkich wyjściowych drzwi, by je otworzyć.

- Powodzenia - powiedziała.

Obrzydliwy sposób wyrażania się, zbyt poufały, koleżeński. Przeszedł obok niej w milczeniu i ruszył na parking po samochód.

Wrócił do domu od strony ogrodu. Bridget rozmawiała przez telefon.

- Moja droga, teraz nic nie mogę obiecać. Muszę poświęcić cały swój czas Hughowi, dźwiga taki ciężar... oczywiście tak, gdy tylko będę miała wolną chwilę... nie mogę już więcej brać na siebie, ta cała polityka i pieniądze, na pewno mnie rozumiesz...

Zauważyła męża.

- Moja droga, właśnie wrócił. Darujesz mi? Absolutnie tak, gdy tylko będę mogła. Do widzenia.

Odłożyła słuchawkę i podeszła do męża z dziwnym wyrazem twarzy. Gdyby nie znał jej tak dobrze, pomyślałby, że to niepewność.

- Huffo, gdzie byłeś? Nie przyszedłeś na lunch! Zrobię ci kanapkę. Po takim poranku...

Dziekan przeszedł obok żony.

- Dziękuję, nie chcę kanapki. Musiałem coś załatwić na mieście, ale naprawdę nie jestem głodny.

- Mój drogi, a może herbaty? Dziekan leciutko westchnął.

- Będę ci bardzo wdzięczny.

Otwierał już drzwi swojego gabinetu, gdy postąpiła krok ku niemu.

- Huffo...

Dziekan odwrócił się i powiedział spokojnie:

- Zrób, proszę, herbatę. - Zamknął jej drzwi przed nosem.

13

Pod koniec semestru do Aldminsteru przyjechał chór z kościoła parafialnego w Surrey i chłopcy z King's School wyjechali na wakacje. Henry zabrał Chilwortha na tydzień do swojej babci. Większość czasu spędzili budując obóz na oddanym im przez babcię kawałku ogrodu za porządnymi grządkami warzywnymi. Chłopcy byli bardzo szczęśliwi. Przez cały dzień zachowywali się grzecznie, a wieczorami, gdy Jean sądziła, że są w łózkach i niewinnie czytają komiksy, eksperymentowali z żelem do włosów i słuchali na swoich walkmanach muzyki pop.

W⁷ aldminsterskim tumie, mimo obecności zastępczego chóru, odczuwano pustkę. Alexander i Felicity, podnieceni rosnącym funduszem na rzecz chóru i pewnością, że zatrzymają swój dom, wynajęli na dwa tygodnie domek w Herefordshire i wyjechali zdobywać Wzgórza Malvern. Połowa szkoły została zamknięta, w drugiej połowie zamieszkały dwie setki Skan-dynawów uczestniczących w letnim kursie angielskiego. Byli bardzo spokojni, a gdy Bridget Cavendish przyłapała pewną grupkę pilnie zwiedzającą katedrę i spytała, co im się najbardziej podoba w Aldminsterze, odpowiedzieli poważnie: „To, że alkohol jest taki tani”. Dzielnie próbowała opowiadać to wszystkim w tumie jako zabawną anegdotkę, by pokazać, że jest jej lekko na sercu, nikogo jednak nie zwiodła. Dla wszystkich było oczywiste, że cierpi, ale nikt nie wiedział, dlaczego. Któregoś ranka Janet Young zastała Bridget płaczącą przed ścianą jej domu, na której jaskrawoczerwonym sprayem wykonano napis: „Sędzia Lynch SKAZUJE chór”.

- To tylko przejaw głupoty - powiedziała Janet, kładąc ostrożnie rękę na ramieniu Bridget w pocieszającym geście - a nie groźba.

Żona dziekana gwałtownie wyprostowała się i energicznie wytarła nos.

- Przykro mi z powodu Hugh'a. Nie mogę znieść, że spotykają go takie rzeczy.

Janet pomruczała pocieszająco, ale została gwałtownie powstrzymana, gdy próbowała pomóc Bridget wejść do domu.

- Proszę, nie mów nikomu. Staram się nic nie okazywać Hughowi, bo nie chcę jeszcze dokładać mu ciężaru. '
- Przynajmniej raz - opowiadała potem Janet biskupowi - mówiła prawdę. Ale to nie z powodu Hugh'a płakała, jestem pewna, a przynajmniej nie dlatego, że jemu jest ciężko. To ona sama cierpi...
- Dzieci?
- Nie. Była zbyt zraniona. Ale ja jestem ostatnią osobą, której by się zwierzyła. Jest zbyt dumna.

Biskup w zamyśleniu gryzł oprawkę okularów.

- Dziekan też nie jest sobą w ostatnich czasach. Odsuwa się... Rozum nakazywał dziekanowi litować się nad swoją żoną. Widział jej ból, ale nie mógł nic zrobić, by jej pomóc. Nieszczęśliwe lata wspólnego życia nie tyle spowodowały, że stał się twardy, ile oddaliły go tak bardzo od żony, że nie miał teraz dla niej żadnych życzliwych uczuć. Od prawie trzydziestu lat dzień po dniu rzucała mu wyzwania w sprawach miłości i życia, dzieci i parafii, i chociaż nie potrafił powiedzieć, co w końcu przepełniło miarkę, wiedział z całą pewnością, że jego uległość się wyczerpała. Dzień w dzień, w każdej godzinie powtarzał sobie, jak mantrę, że jest dziekanem. Jako dziekan sprawował administracyjną i duchową władzę, która nie tylko była jego przywilejem, ale także jego darem dla Boga. Nikt, już nigdy, nie rzuci wyzwania tej władzy, ani Bridget, ani Alexander Troy, ani Leo Beckford, ani jego własna córka. Czuł, że w tej władzy i sile, z jaką ją sprawuje, zawiera się jakiś element czystości; miał przeczucie, że rodzi się w nim gorliwość reformatora. Gdy, jak co roku, wyjadą z Bridget na dziesięć dni na ryby nad rzekę Dee, wykorzysta czas na dokładne wyjaśnienie żonie, jak od teraz będzie wyglądało ich życie. Zdecydował, że podczas wakacji Cosmo, czy mu się to będzie podobało, czy nie, wyjedzie na obóz do Zachodniej Walii. Obiecał sobie, że będąc z dala od chaosu i trudności, w jakich ostatnio pogrążył się tum, ustanowi nowy, czysty, mocny porządek i zdecyduje, jak zgnieść siły dążące do rozłamu. A przeniesienie Alexandra Troya do niczym nie wyróżniającego się domu pana Vigorsa, wicedyrektora szkoły i kawalera, który na pewno chętnie przeprowadzi się do wolnego mieszkania w samym budynku szkoły, zgniecie opór tego najgwałtowniejszego opozycjonisty.

Gdy członkowie chóru rozjechali się na wakacje, a chór, który przybył na występy gościnne, i Martin Chancellor już się do siebie przyzwyczaili, Leo, zaproszony przez dobrze znaną firmę, wyjechał nagrywać utwory organowe w prywatnej kaplicy jednej z największych posiadłości na północy kraju. Zaproszenie, ku jego lekkiej irytacji, przyszło za pośrednictwem Mike'a Perringa z Ikonu, który tłoczył swoje płyty w tej samej wytwórni co inne, bardziej znane firmy fonograficzne. W rozmowie telefonicznej, w której było wiele niezrozumiałych napomknien o żywicach i tłoczeniu, Mike powiadomił Leona nie tylko o zaproszeniu, ale również o tym, że płyta

Henry'ego „Śpiewający Chłopiec” została rozreklamowana przez wiele kanałów muzyki pop. Tym razem Mike był o wiele mniej lakoniczny niż zwykle, zachowywał się prawie entuzjastycznie.

Leo odczuł ulgę, mogąc wyjechać na jakiś czas z Aldminsteru. Miał nadzieję na trochę wolnego czasu i spokój ducha, bo w jego umyśle, podczas nagrań dokonywanych przez Henry'ego, narodził się plan skomponowania krótkiego utworu chóralnego na podstawie historii Jonasza. Miał też nadzieję, że nie będzie zbyt wiele myślał o Sally. Przynajmniej wśród wzgórz Northumberlandu i Derbyshire nie będzie narażony na niespodziewane spotkanie z nią. A jednak tęsknił. W Aldminsterze każdego dnia spodziewał się, że ją zobaczy, chociaż od dnia, kiedy pocałował Ianthe, jednocześnie obawiał się takiego spotkania.

Powtarzał sobie, że zbyt wiele wagi przywiązuje do tamtego pocałunku. Przecież pocałował Ianthe tylko raz, był to zwykły impulsywny odruch dla uczczenia końca nagrania, gdy Mike dał im do przesłuchania taśmę matkę. Wszyscy byli zachwyceni, ściskali się i całowali, więc pocałowanie Ianthe nie miało specjalnego znaczenia, tym bardziej że była jedyną kobietą wśród obecnych. Przyszła na górę, tam gdzie siedział przy organach, stanęła za nim, objęła go i powiedziała: „Och, Leo, to będzie wspaniałe”, a on odwrócił się i pocałował ją w sposób, w jaki całuje się kogoś, o kim się myśli poważnie. Nie mógł tego przed sobą ukryć, chociaż próbował. A przecież pośród wszystkich ludzi na świecie właśnie Ianthe była osobą, której nigdy nie powinien był tak pocałować. Nawet jej specjalnie nie lubił, a jej wyzywający i celowo niechlujny wdzięk wcale mu się nie podobał. Ale stało się, i teraz z rozpaczą widział, jak bardzo to na niego podziało, zwłaszcza że - a starał się o tym nie myśleć - czuł się przecież związany z Sally.

Próbował sobie wmówić, że Sally ma to, na co zasługuje. Nie widzieli się od tygodni, po nagraniu nie starała się z nim skontaktować, nalegała, że musi być zupełnie sama, by móc zdecydować, co dalej. Po pierwszych chwilach złości doszedł do wniosku, że te dziecinne i nieudane próby uzyskania niezależności wynikały z tego, że w czasie samotnych lat małżeństwa stała się samowystarczalna. Chciała przekonać się, że Leo jest jej wolnym wyborem, a nie ucieczką. Po to, by zachować szacunek wobec samej siebie, musiała pokazać światu, że umie sobie poradzić bez mężczyzny, zanim zdecyduje żyć z innym. Felicity powiedziała mu, że duma Sally bardzo ucierpiała przy zaniedbującym ją mężu.

- Społeczeństwo nie pozwala kobietom na dumę - wyjaśniała Felicity. - Mężczyznom się na to zezwala i społeczeństwo bardzo ich szanuje, gdy są dumni, a ma im za złe, gdy pozwolą, by ich duma ucierpiała. A przecież oszukana kobieta odczuwa takie samo upokorzenie, traci wiarę w siebie. Sally dobrze to zna.

Leo rozumiał wszystko, chociaż z drugiej strony uważał, że jest bardzo cierpliwy, i pragnął zostać wynagrodzony za swoją powściągliwość. Trudno mu było uwierzyć, że Sally pozwala upłynąć tak wielu tygodniom bez spotkania;

uznał, że jest uparta, a nawet okrutna. Tęsknił do niej. Pocałowanie Ianthe nie miało nic wspólnego z tęsknotą za Sally, był tego pewien; po prostu zadziałał impulsywnie. Ale ponieważ to była Ianthe, w piasku została zakopana bomba z czasowym zapalnikiem, na którą ktoś nastąpi któregoś dnia, a najprawdopodobniej będzie to on sam lub Sally. Ianthe napisała dwa listy, ale podarł je i wyrzucił, i nigdy nie odpisał. Ianthe asekurowała się stwierdzeniem: „Wiem, że mi nie odpiszesz” i „nie byłbyś sobą, gdybyś odpisał. Ale to nic nie szkodzi teraz, gdy wiem”. To słowo go prześladowało. Co wie? Tłumaczył sobie, że Sally oczywiście zrozumie - w końcu oboje nie są dziećmi - ale równocześnie lękał się, że to ją od niego oczywiście odsunie jeszcze bardziej, akurat teraz, gdy z nieludzką cierpliwością chciał udowodnić, że jego słowo jest coś warte.

Wyjazd wydawał się dobrym, chociaż tylko chwilowym rozwiązaniem. Ianthe go nie znajdzie i może się uspokoi; Sally może wreszcie dojść do końca tej długiej trasy, którą sobie wyznaczyła. On sam, oddychając powietrzem wolnym od kłótni i komplikacji, które zatruwają od miesięcy atmosferę tumu, wróci z nową energią do swojej muzyki i budowy życia osobistego.

Zaniósł klucze do Cherry Chancellor. Odniosła się do niego bardzo uprzejmie, bo lubiła, gdy mąż miał okazję do samodzielnej pracy; jej zdaniem poczucie odpowiedzialności Martina właśnie jego, nie Leona, predestynowało na stanowisko organisty. Talent organowy miał tu mniejsze znaczenie. Gdy Martin powiedział, że Leo gra Bacha niestylowo, nie wiedziała, o co chodzi. Siedząc w katedrze nie potrafiłaby powiedzieć, czy słucha gry męża, czy Leona, chociaż lubowała się myślą, że Martin jest artystą. Teraz, patrząc na Leona, ubranego w sztruksowe spodnie i starą marynarkę z innego rodzaju sztruksu, żartobliwie spytała, czy tak ma zamiar ubrać się również na spotkanie z księżną. Leo spojrział na jej dziwnie nijaką, choć ładną twarz o regularnych rysach, i odparł z kamienną miną, że na taką okazję jest chyba nawet za dobrze ubrany.

Taksówkarz, z nieświadomym okrucieństwem, wiozł go na stację przez Blakeney Street. Dom wydawał się opustoszały, w oknach nie było ani kwiatów, ani kota. Leo poczuł przez chwilę panikę, że Sally mogła po prostu wyjechać na stałe, a on nigdy by się o tym nie dowiedział, ale zaraz uświadomił sobie, że przecież Henry musi wrócić do szkoły i do chóru. To go uspokoiło, panika ustąpiła miejsca uldze. Leo odwrócił się na siedzeniu i tęsknie patrzył, jak ceglane fasady domów na Blakeney Street znikają w oddali.

- Zapomniał pan o czymś? - spytał taksówkarz.

- Chyba tak. Ciągle czegoś zapominam...

Na stacji odkrył, że pociąg ma półgodzinne opóźnienie. Kupił w kiosku blok listowy i koperty i poszedł do kawiarni. Usiadł w kącie, odgrodził się swoimi bagażami - „Mogłabym panu pożyczyć coś bardziej odpowiedniego”, zaproponowała Cherry Chancellor rzucając okiem na jego stare walizki - i gwałtownie zaczęła pisać.

„Sally, kochana Sally, wyjeżdżam na parę tygodni do pracy. Miałem ci nic

nie mówić, tylko po prostu wyjechać, ale stwierdziłem, że nie mogę. Jestem na stacji. Chciałem ci powiedzieć, że rozumiem, czego się obawiasz: utraty własnego «ja» na rzecz «nas». Oczywiście to jest cena, którą trzeba zapłacić, rodzaj hazardu, ale bez tego nie ma wielkiej wygranej. I pamiętaj, że twoje «ja» będzie przy mnie bezpieczne, tak jak przy tobie będzie bezpieczne moje «ja». Chcę żyć z tobą, a nie posiadać cię czy wykorzystywać. Życie bez miłości jest niepełne, ale chyba o tym wiesz. Cherry ma moje klucze i numery telefonów, pod którymi będzie można mnie zastać".

Chciał napisać „zadzwoń do mnie, proszę, zadzwoń", ale powstrzymał się. Podpisał się „Leo" i jego imię, widniejące samotnie u dołu strony, wyglądało smutno, jakby było tylko pustym zbiorem liter. Włożył list do koperty, zaadresował i poprosił kioskarke, by wrzuciła go do skrzynki.

- To takie ważne?

- Bardzo...

- Dobrze, kochaniutki.

Zapowiadano pociąg. Leo podał dwadzieścia pensów kioskarce, zebrał bagaże i poszedł na peron. Pociąg był przepelniony. Leo ustawił walizki w przejściu między wagonami i usadowił się na nich, opierając plecy o ścianę toalety. Pociąg powoli ruszył i niewzruszenie zaczął się oddalać od żurawi portowych, bloków mieszkalnych, domków jednorodzinnych i katedry.

Pewnemu disc jockeyowi z drugiego programu radiowego spodobała się piosenka pasterska nagrana przez Henry'ego. Nadawał ją co rano przez cztery dni, a potem, ponieważ mnóstwo ludzi telefonowało wyrażając swój zachwyt, piątego ranka puścił ją dwa razy.

Nicholas i Mike pojechali do tłoczni w Wimb-ledonie i uprosili wyprodukowanie pięciu tysięcy dodatkowych egzemplarzy, a tydzień później jeszcze jednego tysiąca. Dziennikarze z gazet o zasięgu krajowym przybyli na Blakeney Street, zrobili zdjęcia Henry'emu i Mozartowi, a potem jedna ze stacji telewizyjnych zaproponowała chłopcu występ w jej programie. Sally się nie zgodziła, a Henry poczuł się obrażony.

- Mamo, proszę, proszę, moglibyśmy sprzedać o tyle więcej...

- To nie byłoby dobre dla ciebie. Twój głos nawet jeszcze nie jest ukształtowany.

- Mamo, obiecuję, że nie stanę się zarozumiały, obiecuję. Pozwól, tylko raz, dla telewizji...

- Nie, Henry.

Henry trochę polamentował.

- Spytam tatę...

- On nie ma nic do tego - powiedziała Sally, zanim zdążyła pomyśleć. -Masz jedenaście lat. Udział w chórze to poważna sprawa, twój głos jest poważną sprawą. Tymczasem mógłbyś stać się zabawką dla publiczności, bo jesteś miłym chłopczykiem.

Henry był wściekły. Poszedł na górę, przez chwilę rozrzucał rzeczy po

pokoju, a potem kopnął woreczek z fasolą zbyt mocno, aż się rozerwał i ziarenka potoczyły się po całej podłodze. Henry próbował je zebrać do kubka do zębów, ale były za lekkie, umykały na wszystkie strony, przyczepiały się do firanek i pościeli. Ze zmęczenia i żalu rozplakał się. Płakał tak głośno, jak tylko potrafił, rozrzucając fasolę stopami, aż ziarenka przykleiły mu się do skarpet. Sally stała na dole schodów i słuchała, powstrzymując się od wejścia do jego pokoju. Po jakimś kwadransie, umazany łzami i upstrzony jakimiś tajemniczymi granulkami niczym grzybem, Henry zszedł na dół i wyjąkał:

- Czy spytasz pana Beckforda?

- Pana Beckforda...

- Proszę.

- Nawet gdyby był zdania, że powinienesz wystąpić w telewizji, nie zgodziłabym się z nim.

- Tylko spytaj.

- Mam nadzieję, że zrozumiałaś, co powiedziałam.

Henry skinął głową, zmęczonym krokiem podszedł do matki i objął ją. Sally oddała uścisk i spytała:

- Woreczek z fasolą?

- Przepraszam.

- Nie szkodzi. Wiesz, musimy dbać o twój cudowny głos.

- Przecież to nie dla mnie...

- Wiem. Ale nie chcę, żeby cię wykorzystywano. Z początku jest bardzo zabawnie, potem jednak praca staje się zbyt ciężka, a w końcu, gdy już jest po wszystkim, zaczyna tego brakować. Henry...

Podniósł na nią wzrok.

- Nie płacz - powiedział poważnie.

- Nie, nie... - Sally powstrzymała łzy.

- Zadzwońisz do pana Beckforda?

Sally chwilę milczała, aż wreszcie się zgodziła. Henry, trochę pocieszony, odsunął się.

- Chyba go już nie lubisz, prawda? Ale on jest w porządku.

Sally zadzwoniła do domu Leona. Nikt nie odpowiadał. Ponowiła próbę później, a także następnego dnia rano i tym razem odpowiedziała Cherry Chancellor, która po sąsiedzku przyszła trochę posprzątać, natchniona szlachetnym uczuciem, bo Martin, chociaż tylko czasowo, znalazł się - jej zdaniem - na odpowiednim dla siebie miejscu.

- Och, wyjechał - poinformowała uprzejmie. - Pojechał na północ, dokonać nagrania w jakiejś posiadłości. Nie powiedział pani?

- Nie...

- Dziwne. No ale wie pani, jaki on jest niezorganizowany. Na pewno ucieszyłby się, że pani dzwoniła.

- Muszę z nim porozmawiać o Henrym - powiedziała Sally, starając się panować nad sobą. - Potrzebuję rady. Na temat występu w telewizji.

- Coś takiego! Powinna pani być ostrożna, bo mogą go zepsuć. Czy zechciałyby pani porozmawiać na ten temat z Martinem?

- Dziękuję, ale muszę rozmawiać z panem Beckfordem, bo to on zajmował się nagraniem.

W głosie Cherry wyczuć można było teraz chłód.

- Oddzwonię do pani zaraz po powrocie do domu i podam, numery telefonów, pan Beckford zostawił mi spis.

Henry siedział przy stole i malował model samolotu.

- Czy to była Ianthe?

- Ianthe? Nie, to pani Chancellor. Dlaczego Ianthe miałyby być u pana Beckforda?

- Przebywa u niego dość często.

- Ale jest połowa tygodnia.

- Ona nie zachowuje się jak wszyscy - stwierdził Henry, a potem dodał: - Hooper ją lubi.

Cherry zadzwoniła dopiero w porze podwieczorku. Podała numery Henry'emu, który zapisał je pędzlem umoczone w czerwonej farbie. Ponieważ nie dodał żadnych innych danych, Sally musiała łączyć się aż trzy razy - i już się bardzo denerwowała - zanim wytropiła Leona. Miła kobieta powiedziała, że właśnie teraz odbywa się nagranie, ale ona może przekazać wiadomość i poprosić, żeby Leo oddzwonił. Sally, czekając, nie potrafiła się niczym zająć. Gdy telefon zadzwonił, kazała Henry'emu podnieść słuchawkę, lecz okazało się, że to Chilworth, który chciał pożyczyć dres. Potem zatelefonowała matka Sally, aby zawiadomić, że następnego dnia będzie w Aldminsterze i przywiezie rzeczy, które Henry u niej zostawił.

- Nie wyobrażam sobie, jak może chodzić tylko w jednym sandale...

- Ma jeszcze inne buty...

- Mały James zostawił puszkę z jakimś okropnym sprayem do włosów. A wydawało mi się, że to taki przyzwoity chłopczyk.

Zastanawiam się, czy jego matka o tym wie.

Potem telefon milczał. O dziewiątej Henry poszedł do swojego pokoju, a Sally mu towarzyszyła, by samej sobie pokazać, że na nic nie czeka. O dziesiątej wykapała się, ponieważ gdy oczekuje się z tęsknotą na telefon, wiadomo, że na pewno zadzwoni wtedy, gdy jest bardzo niewygodnie do niego podejść. O jedenastej zeszła na dół i nakryła stół do śniadania. Potem leżała nie śpiąc do pierwszej, bardzo nieszczęśliwa, aż wreszcie zapadła w niespokojny sen. Leo obudził ją o siódmej dzwoniąc z Derbyshire.

- Sally? Och, Sally, nie zadzwoniłem wcześniej, bo skończyliśmy nagrywać dopiero po północy i bałem się, że cię obudzę. Dostałaś mój list?

- List? Napisałeś do mnie?

- Przed samym wyjazdem. Tak się bałem, że nie dojdzie. Dałem go do wysłania jakiejś kobiecie. Sally?

- Tak...

- Jak cudownie cię słyszeć. Miałem nadzieję i modliłem się, żebyś zadzwoniła, gdy dostaniesz list.
 - Ale nie dostałam...
 - Kocham cię - powiedział Leo. - Wiesz o tym? Sally kiwała gwałtownie głową.
 - Sally, jesteś tam?
 - Tak.
 - Płaczesz?
 - Ciągłe płacę - odparła ze złością.
 - Chciałbym być z tobą - rzucił gwałtownie Leo. - Wszystko jest nie tak: ty tam, ja tu. Nie mogę uwierzyć, że chciałaś do mnie zadzwonić, nie mogę w to uwierzyć...
 - Jeśli mam być szczerą, dzwoniłam z powodu Henry'ego. Ale jeśli mam być jeszcze bardziej szczerą, czekałam tylko na pretekst Kiedy wracasz?
 - Pod koniec tygodnia. Przyjechałbym natychmiast, gdybym mógł.
 - Miałam okropny telefon od Alana. On jest taki niewrażliwy, trudno mu cokolwiek wyjaśnić. Jak mogłam być tak długo jego żoną?
 - Dlaczego do mnie od razu nie zadzwoniłaś?
 - Dzwoniłam, ale cię nie było. A potem nie mogłam.
 - A wczoraj mogłaś.
 - Miałam wymówkę. Henry ma propozycję z telewizji.
- Leo w jednej chwili przeistoczył się z kochanka w chórmistrza.
- W żadnym wypadku mu nie pozwól!
 - Nie pozwoliłam.
 - Zniszczyłoby mu to głos, nabrałby złych nawyków. Jeszcze co najmniej dwa lata, zanim będzie gotowy, a nawet wtedy bym się sprzeciwiał.
 - Płyta sprzedaje się nadzwyczaj dobrze. Stała się niemal przebojem...
 - Naprawdę? - zdziwił się Leo.
 - Obiecałam Henry'emu, że zadzwonię do ciebie i spytam...
 - Pociągnij go ode mnie za ucho i powiedz, że pan Beckford nie pozwala.
 - Dobrze. - Sally była szczęśliwa.
 - Wyjdź po mnie na stację w piątek.
 - Dobrze - odparła. - Dobrze. Poczula się lekka, jakby fruwała.
 - Do piątku.
- Odłożyła słuchawkę z nieskończoną ostrożnością Henry wszedł i rzucił się na łóżko matki, przygniatając ją swoim ciężarem.
- Miałem te wszystkie fasolki w łóżku, a teraz wpadły mi pod pizamę.
 - Pan Beckford nie pozwala. Henry spojrzał na nią niepewnie.

- Naprawdę?
- Powiedział, że mam cię pociągnąć za ucho i przekazać, że się nie zgadza.
- Jak zwykle.

169

- Przykro mi, Henry.

Henry leżąc nadal na matce zaczął kręcić gałkami radia.

- Tylko nie program pierwszy, proszę!

Z radia rozległ się nagle głos Henry'ego, czysty i tajemniczy. Ręka chłopca zastygła na gałce. Odwrócił głowę ku matce i oboje spojrzeli na siebie z nabożnym lękiem.

Nicholas Elliott, badając ostrożnie swoje emocje, dochodził do wniosku, że jest szczęśliwy. Steven i Jon odeszli z firmy i chociaż oznaczało to, że razem z nimi odszedł ich kapitał, Ikon dawał sobie radę tak dobrze, że ich doradca bankowy, człowiek, który chełpił się, że ma nosa przy wyborze prywatnych przedsiębiorstw, bez trudności przyznał większą pożyczkę. Mike wyjechał w poszukiwaniu nowych klientów, więc Nicholas chwilowo miał mieszkanie dla siebie. Do tego jeszcze Mike podwoił mu pensję, a jakby tego było mało, Mike, który nadal czuł się nieswojo, gdy miał do czynienia ze światkiem Aldminsteru, był zadowolony mogąc przyznać, że sukces z nagraniem Henry'ego jest zasługą Nicholasa. Tak więc powoli rosło jego zaufanie we własne siły, zaczął nawiązywać nowe znajomości. Płyta sprzedawała się doskonale, o wiele lepiej niż jakikolwiek inny produkt Ikona. Nicholas, przyglądając się sobie niespokojnie w lustrze, by odkryć cechy zimnego człowieka interesów, mógł stwierdzić, że powoli znika z jego twarzy wyraz zagubienia i pustki. Wyszedł kilka razy z dziewczynami, dał parę wywiadów, był zapraszany na przyjęcia bez Mike'a czy Ianthe.

Wszyscy go pytali, kiedy Henry nagra następną płytę, mówili, że powinien iść za ciosem i wykorzystać okazję, którą stworzyło tak niezwykle i inne od wszystkich nagranie. Nicholas zdał sobie sprawę, że nie tylko jest zadowolony z tego, co już osiągnął, ale również patrzy z ufnością w przyszłość. Poczul się wspaniale, gdy na jego miejsce recepcjonisty i gońca zatrudniono absolwenta szkoły z Ealing, a jeszcze wspanialej, gdy piątego dnia nowy recepcjonista powiedział, że cztery osoby dzwoniły osobiście do niego. Nicholas odnosił się przyjaźnie do tego chłopca, bo pamiętał, jak sam się czuł, gdy zaczął tu pracować.

Nie widywał Ianthe często. Była ostatnio w tak wzniosłym nastroju jak Mike, chociaż nie z tych samych powodów. Też przyznawała, że płyta „Śpiewający Chłopiec” była zasługą Nicholasa, ale dlatego, że zamierzała dobić z nim targu. Powiedziała, że chce być tą osobą, która zawiadomi Leona o wpływach ze sprzedaży, i pojedzie do Aldminsteru sama. Nicholas nie był zachwycony. Chór, chór Henry'ego, był też jego chórem. Chciał zobaczyć, jak Leo patrzy na niego z innym uczuciem niż lekka litość. Wyobrażał sobie wzruszającą rozmowę z biskupem. Ale nie potrafił stawić czoła Ianthe, ani nie zamierzał kusić losu. W końcu Leo był wystarczająco mądry, by nie przypisywać całej zasługi Ianthe. Leo i Ianthe. Nicholas nie wiedział, co z tym zrobić. Nie rozumiał postępowania Leona, ale sądził, że Ianthe rzuciła mu się w objęcia, bo już taka była.

Dwa dni po tym, jak Ameryka, Francja i Włochy kupiły prawa do płyty, a w Anglii rozeszło się sto tysięcy egzemplarzy, Ianthe pojechała do Aldminsteru. Kupiła bilet pierwszej klasy, a w drodze czytała elegancki magazyn motoryzacyjny, by wybrać samochód, który sobie kupi, gdy skończy kurs na prawo jazdy. Ikon zatrudnił księgowego, przyjaciela ojca Mike'a, a ten surowo stwierdził, że nie pozwoli na kupno nie tylko porsche, ale nawet zwykłego mini, póki nie upewni się, że rozumieją całą zawilżość systemu finansowego, i nie będzie miał absolutnej pewności, że ich sytuacja jest dobra. W myślach Ianthe wyśmiewała księgowego, bo była już tak bliska osiągnięcia swojego własnego celu, że czuła się całkiem beztrasko. Palila długie amerykańskie papierosy i przerzucała strony magazynu mając miłą świadomość, że ludzie się jej przyglądają.

Na stacji wzięła taksówkę i pojechała prosto na dziedziniec Kapituły, zlecając kierowcy pozostawienie swojej walizki w dziekance. Leo był w domu, sam. Wydawał się bardzo szczęśliwy. Ianthe spodobało się, że nie pocałował jej od razu, tylko zachował się chłodno, wpuścił ją do domu i zaprosił do bawialni. Pokój był uporządkowany, a na stoliku stał wazon z margerytkami.

- Coś takiego...

- Cherry Chancellor - wyjaśnił Leo - a na dodatek wyłożyła w łazience jakąś purpurową pieniającą się rzecz, która śmierdzi gorzej niż cokolwiek, co człowiek potrafiłby wyprodukować.

Ianthe powoli obesza pokój, by Leo mógł ją dobrze obejrzeć, a potem odgarnęła włosy do tyłu.

- Chcesz poznać dobre wiadomości?

- Oczywiście - odparł grzecznie Leo.

Ianthe położyła ręce na biodrach, a jej liczne bransoletki zabręczały.

- Chór nie zostanie rozwiązany.

- Co takiego?

- Płyta sprzedaje się doskonale. W tym tygodniu Mike podpisał umowę w Stanach, we Francji i we Włoszech.

Gdzieś w umyśle Leona zapaliło się ostrzegawcze światełko.

- To cudowne. Absolutnie cudowne. Gratuluję wam. Ile zarobiliście? Ianthe wyjaśniła mu to dokładnie.

- Powiedzieliście Alexandrowi?

- Jeszcze nie. - Rzuciła Leonowi spojrzeenie. - Tylko tobie.

- Musisz powiedzieć Henry'emu.

- Czy nie zasłużyłam na nagrodę? - spytała cichutko.

Odgradzała ich stara kanapa. Leo położył ręce na jej oparciu, pochylili się i powiedział zdecydowanym tonem, jakiego używał dawno temu wobec Iranki w St Mary.

- Jestem bardzo wdzięczny tobie, Mike'owi i Nicholasowi. Wszyscy są wam wdzięczni.

Ianthe nadal się uśmiechała.

- Nie baw się ze mną.

Leo się wyprostował.

- Nie pocałuję cię.

- O co chodzi?

- Nie powinienem był całować cię wtedy w katedrze. Zrobiłem to pod wpływem impulsu i bardzo żałowałem w chwili, gdy już się stało. Nigdy więcej cię nie pocałuję.

Ianthe zaczęła wyć jak zwierzę. Chwytała poduszki z kanapy i krzeseł i rzucała nimi w Leona, a potem, gdy zabrakło poduszek, ciskała gazetami i książkami. Jej bransoletki dzwoniły i klekotały. Leo obszedł kanapę i uderzył Ianthe w twarz. Plunęła na niego. Leo popchnął ją gwałtownie na krzesło i stanął, przyciskając mocno kolanami, żeby nie mogła wstać. Popatrzyła ponuro, prawie nie mogąc oddychać ze złości.

- Co za przedstawienie - powiedział i odsunął się. Ianthe zaczęła płakać.

- Jak mogłeś mi to zrobić, ty podły draniu...

- Postąpiłem tak, jak chciałaś. Nie będę się powtarzał. Jestem naprawdę bardzo zadowolony z powodu płyty Henry'ego, ale biorąc pod uwagę, jaki rodzaj ludzi zarządza Dconem, sądzę, że to fuks, i nie będę się płaszczył z wdzięczności ani wobec ciebie, ani wobec nikogo innego. Najważniejszy jest chór.

- Nie mówisz mi prawdy! - krzyknęła.

- Ianthe, prawda jest taka, że kocham Sally Ashworth od pierwszej chwili, kiedy ją poznałem, i zamierzam się z nią ożenić. Nigdy nie byłem zakochany w tobie i dobrze o tym wiesz. Nie odpowiadam za twoje młodzieńcze fantazje.

Ianthe zaczęła kołysać się na krześle i jęczeć.

- Jesteś wyjątkowym łajdakiem...

Leo poszedł do kuchni i postawił czajnik na palniku. W zlewie ciągle jeszcze stały naczynia po śniadaniu, które jedli z Sally; wyszła po niego na stację i wrócili razem do jego domu. Spędzili razem noc i rano aż do chwili, gdy musiała iść po Henry'ego do Chilworthów, gdzie nocował. Leo dotknął brzegu kubka, z którego piła Sally, by się podnieść na duchu. Przygotował herbatę i zabrał tacę do bawialni.

- Nienawidzę cię! - krzyknęła Ianthe. Leo postawił tacę na stole. - Chcesz herbaty, czy wolisz już iść? Ianthe pociągnęła nosem.

- Nie wiem...

Leo podał jej kubek.

- Proszę.

- Leo...

- Nie będziemy już o tym mówić. Powiesz ojcu o chórze?

- Chyba tak.

- Myślę, że w głębi serca będzie zadowolony.

- A co ty wiesz o sercach?

Leo usiadł na brzeжку kanapy trzymając kubek w dłoniach.

- Cieszę się z powodu starego biednego Nicholasasa... Ianthe rzuciła kubek na ziemię i skoczyła na równe nogi.

- Wychodzę!

- Jak sobie życzysz.

- Mam nadzieję, że twoje małżeństwo okaże się cholerną katastrofą! Leo zamknął oczy. Ianthe wybiegła z bawialni i po chwili usłyszała huk

zatraskiwanych drzwi wyjściowych, a potem jej nierówny krok, gdy biegła po bruku. Bomba wybuchła, a on nadal żył.

Ianthe weszła do ogrodu dziekanki tylną furtką. Zauważyła, że nie było samochodu ani roweru Cosma. Zatrzymała się i energicznie wytarła nos, przyglądała włosy, opuściła rękawy przykrywając bransoletki, i otworzyła drzwi domu.

- Przyjechałam!

Nikt się nie odezwał. Kuchnia była idealnie wysprzątana, koszyk Benedykta stał pusty. W to spokojne popołudnie dom wstrzymywał oddech. Ianthe poszła do salonu. Nie zastała tam nikogo. Po dzikim wybuchu w domu Leona zaczęła odczuwać zmęczenie. Ruszyła powoli na górę i tam, na podeście, zobaczyła matkę, siedzącą z założonymi rękami na kanapce i patrzącą bezmyślnie przed siebie.

- Mamo?

Bridget odwróciła się wolno. " - Dzień dobry, kochanie.

- Wszystko w porządku?

- Tak, dziękuję.

Ianthe postąpiła krok naprzód.

- To dziwne miejsce, żeby tak siedzieć.

- Jestem zmęczona. Nie możesz sobie wyobrazić, jak już tęsknię do wyjazdu do Szkocji.

Ianthe przysiadła na podłodze.

- Dzięki nagraniu zarobiliśmy tyle pieniędzy, że przez jakiś czas chór będzie bezpieczny. Mam to powiedzieć ojcu?

Bridget wyglądała tak, jakby wychodziła z transu.

- Nie, Ianthe. Nie możemy go teraz niczym kłopotać. Jest wykończony.

- Gdzie poszedł?

Nastąpiła chwila ciszy, a potem Bridget nagle spojrzała błagalnie na córkę.

- Nie wiem.

To już było za wiele dla Ianthe. Położyła głowę na kolanach matki, okrytych drogim bawełnianym materiałem, i wyplakała swoją historię o Leonie, nie mając najmniejszej wątpliwości, że cokolwiek dręczyło matkę, będzie jeszcze miała dość siły, by pocieszyć córkę.

14

Kiedy dziekan poprosił biskupa, by podczas specjalnej uroczystości włączył pierwszą partię nowych świateł, biskup poczuł, że nie może odmówić. Nienawidził wszelkiej ostentacji, a także skłonności dziekana do błyskotliwego czczenia rozmaitych okazji, ale nie była to odpowiednia pora na osobiste skrupuły. Kościół i dziekan potrzebowali jego wsparcia i będą je mieli. Pozwolił nawet dziekanowi, architektowi i inżynierowi światła oprowadzić się po osiemnastu ukrytych źródłach światła zamontowanych w clerestorium, rzucających snopy światłości na sklepienie nawy, oraz pokazać sobie światła smugowe ukryte pod łukami triforium, nadające galeriom niemal teatralny blask.

- I zobaczy pan - mówił dziekan rozkładając ręce - jak bardzo poprawił się wygląd ścian, gdy zostały wyczyszczone. Towarzystwo Przyjaciół Katedry podarowało nam najnowocześniejsze wyposażenie do czyszczenia kamiennych ścian. Robi się to błyskawicznie. Teraz południowy transept, prawda, Mervyn?

Mimo tego zapału, biskupowi wydawało się, że dziekan nie wygląda dobrze, a jego entuzjazm jest sztuczny. Biskup przy dwóch czy trzech okazjach próbował zasugerować, by, jako bracia w Chrystusie, otworzyli nawzajem przed sobą swoje serca, i za każdym razem spotykał się z ostrą odmową. Natomiast przy najmniejszej sugestii, że nie wszystko może być w największym porządku, dziekan stanowczo stwierdzał, że jeszcze nigdy przed tym nie otwierała się tak doskonała przyszłość, wszystko było pod kontrolą, zaradzono wszelkim trudnościom i różnicom opinii. Biskup wiedział, że to nieprawda, ale teraz oto znajdował się tutaj, słuchając zapewnień dziekana, że jest zadowolony z obecnego stanu rzeczy, i musiał okazać cierpliwość. Mógł zrobić przynajmniej tyle, by nie dokładać dziekanowi jeszcze większego ciężaru, lekceważąc jego wysiłki, chociaż nie potrafił powstrzymać się przed refleksją, jak bardzo trudni i nieprzystępni są duchowni w angielskiej diecezji w porównaniu z duchownymi, których znał w Indiach. Ubolewał, że życie zbyt często zmusza go do walki o zmniejszenie dystansu narzuconego przez jego pozycję, bo kochał ludzi i brakowało

mu bliższego kontaktu z nimi. Gdy dziekan okazywał się ludzki, tak jak dziś, a nawet wyjątkowo ludzki, bo nie pozwalał sobie na przyjęcie do wiadomości istnienia kłopotów, biskup uważał go za naprawdę godnego miłości.

- Jesteś prawdziwym złośliwcem w mitrze - powiedziała mu kiedyś Janet.

- Och.

- I bardzo sympatycznym. Ale zawsze chcesz rozwiązywać kłopoty innych.

- Oczywiście...

- Musisz pamiętać o ich dumie.

- Pamiętam - odparł wtedy stanowczo biskup. - Gdyby tak nie było, po co miałbym spędzać sobotnie popołudnie na chodzeniu od jednego wyłącznika do drugiego? Jeżeli to nie nazywa się dbałością o dumę dziekana, chciałbym wiedzieć, jak byś to określiła.

Ku uldze biskupa, uroczystość miała odpowiednią oprawę. Chór, który przyjechał na gościnne występy, wyćwiczony przez Martina, zaśpiewał dwa hymny, Leo zagrał część pierwszej sonaty Elgara, a potem jego „Yesper Voluntaries”. Podczas pierwszego hymnu, chodząc posłusznie od jednego kontaktu do drugiego, biskup przekręcał wyłączniki pod uważnym okiem inżyniera, aż katedrę zalało cudowne światło brzasku. Przez dźwięki muzyki Williama Byrda przedarło się westchnienie zgromadzonych. Wszyscy zauważyli wzruszenie dziekana. Modlitwę dziękczynną odmówił drżącym głosem. Frank Ashworth, siedzący w połowie nawy, też to zauważył. Odczuł lekką pogardę. Hipokryzja dziekana nie miała granic.

Frank nie wiedział, czemu właściwie przyszedł do katedry. Chyba przez instynkt, bardzo silny instynkt, którego nie potrafił stłumić, a teraz musiał to jakoś usprawiedliwić. W chwilach zwątpienia ludzie automatycznie szukają dla siebie sanktuariów; tradycyjnym sanktuarium zawsze był kościół, a on, Frank Ashworth, przeżywa obecnie chwile zwątpienia. Ale nie przyszedł tu dla Boga. Przyszedł, bo potrzebował spokoju i miejsca, w którym świat zewnętrzny nie będzie mu się narzucał. Potrzebował otoczenia, w którym spokojnie pogodzi się z tym, że jego dni jako radnego w Aldminsterze dobiegły końca.

Podczas ostatniego zebrania wstał, by na razie wycofać swoją propozycję kupna domu dyrektora szkoły. Powiedziano mu, że na nadzwyczajnym zebraniu nowo powstałego Komitetu do spraw Środków Publicznych - powstałego bez jego wiedzy i, jak się wydaje, upoważnionego do dowolnego wydawania pieniędzy - Rada zaoferowała dziekanowi i Kapitulie trzysta tysięcy funtów za dom. Oferta została przyjęta, dom miał zmienić właściciela za sześć tygodni. Na jesieni powstanie tam Miejski Ośrodek Pomocy Społecznej, otwarty dla wszystkich ludzi z miasta potrzebujących wsparcia. Frank twardo sprzeciwił się takiemu przeznaczeniu domu, nic jednak nie wskórał. Nawet jego starzy koledzy, ludzie, z którymi pracował od dwudziestu lat, rzucali przeprasające spojrzenia, ale głosowali przeciw niemu.

- Jeżeli tego nie zrobimy, wyrzucą nas - szepnął mu radny siedzący obok. - To nasza jedyna szansa, by tu pozostać. Radziłbym ci...

Frank spojrział na niego z obrzydzeniem. Wstał. Wygłosił krótką mowę na temat głupoty i kłamliwości obecnej Rady, w zamian usłyszał wiele na temat swojego własnego udziału w realizacji planu ocalenia chóru.

- Jak wam nie wstyd! - Frank użył słów, którymi w dzieciństwie przywoływano go do porządku.

Usłyszał szyderstwa i gwizdy. Denis Thornton zauważył, że być może byłoby dla Franka lepiej, gdyby zrezygnował z udziału w pracach tej postępowej grupy ludzi, bo najwyraźniej przestał już do nich pasować.

- W mieście jest wiele osób - powiedział Thornton - chętnych, by wziąć na siebie ciężar publicznej służby. Może słuszne byłoby, żeby pan ustąpił miejsca komuś młodszemu. Oczywiście nie nalegamy, postąpi pan tak, jak zechce.

Po raz drugi w ciągu jednego miesiąca Frank wyszedł z zebrania, ale tym razem towarzyszyła mu głęboka cisza. Nawet gdy już zamknął za sobą drzwi, milczenie trwało nadal. Poszedł do swojego gabinetu, wyjął z biurka osobiste rzeczy - zdjęcie Henry'ego, stary mosiężny kałamarz i piórniki ojca oraz kilka fotografii zrobionych z okazji różnych miejskich świąt - i podszedł do sekretarki.

- Ma pani jakieś pudło? - spytał. Przerwała pisanie na maszynie.

- Po co panu pudło?

Frank wskazał rzeczy, które trzymał w rękach.

- Przeprowadzka do innego gabinetu? Nic o tym nie słyszałam...

- Nie.

Popatrzyła na niego uważnie. Frank nie przypominał sobie, by kiedykolwiek przedtem spojrzała mu prosto w oczy.

- Och, panie Ashworth...

- Nic się na to nie poradzi.

Sekretarka znalazła dwie torby na zakupy i spakowała rzeczy. Nie rozmawiali, i dopiero gdy powiedział do widzenia, zauważył, że płacze. Dodał więc: „Dziękuję za wszystko. Odezwę się jeszcze”, ale ona tylko pokiwała głową Frank, z torbą w każdej ręce, zszedł na dół wielką pompatyczną wiktoriańską klatką schodową krocząc świadomie samym środkiem schodów. Przeszedł przez hol i wyszedł na parking. Jak zwykle, dozorca podszedł, by otworzyć drzwiczki samochodu, wypowiedział kilka uwag na temat pogody i zbyt wolnego awansu drużyny Aldminsteru w drugiej lidze piłkarskiej. Frank dał mu zwyczajowe odpowiedzi, położył torby na tylnym siedzeniu rovera i usiadł przy kierownicy. Parkingowy poklepał dach samochodu.

- Wczoraj go umyłem, panie Ashworth. W czwartek mógłbym nawoskować. Frank wrzucił bieg.

- Ron, nigdy już nie będę miał tak dobrego przyjaciela jak ty. Dziękuję za wszystko.

Pojechał do domu i poczuł się tak zmęczony, że oparł się o ścianę windy i zamknął oczy. Wszedł do mieszkania i stwierdził, że bawialnią wypełnioną

jest bezlitosnym słonecznym światłem. Odłożył torby i usiadł w fotelu. Siedział i zastanawiał się, czy tak właśnie odczuwa się utratę, jak odcięcie kończyn, jak odsunięcie od istoty spraw. Przez całe popołudnie nie mógł zabrać się do żadnych zajęć, a gdy nadeszła noc, nie mógł zasnąć. Wstał nad ranem, usiadł w bawialni przy oknie i patrzył na wstający nad miastem świt, na katedrę i pomyślał, że chciałby tam być. Jednak w jakiś sposób stracił całe rano, zanim się wybrał, bo odczuwał dziwny bezwład, a gdy już wreszcie dojechał, zauważył, że bierze udział w jakiejś uroczystości związanej z oświetleniem, i poczuł się tak, jakby wpadł w pułapkę. Przecież chciał być sam w tym chłodnym, ciemnym miejscu i trochę pomyśleć. Ale irytacja okazała się zbawienna, choćby tylko dlatego, że zaczął myśleć o czymś innym, więc po nabożeństwie opuszczał katedrę krokiem o wiele raźniejszym, niż gdy do niej wchodził.

Zostawił samochód na małym parkingu z drugiej strony tumu, u szczytu traktu. Przez trawnik przebiegała wydeptana ścieżka. Przeszedł już jakieś trzydzieści metrów, gdy usłyszał, że ktoś szybko za nim podąża i woła go. Zatrzymał się i odwrócił. To była Ianthe Cavendish, z włosami rozwianymi wiatrem i zmizerowaną twarzą. Powiedziała bez tchu:

- Widziałam pana w katedrze.

- Nie zamierzałem uczestniczyć w nabożeństwie. Po prostu chciałem chwilę spokojnie posiedzieć.

Ianthe podeszła bardzo blisko:

- Jest coś, o czym powinien pan wiedzieć.

Ianthe nie należała do tego rodzaju kobiet, które podobałyby się Frankowi. Jego zdaniem, dziewczyny w jej typie miały w sobie mało kobiecości, przypominały raczej bezpłciowe larwy żądłówek, czekające na wyrośnięcie. Przez wszystkie lata znajomości nie zamienił z nią więcej niż kilka słów. Nigdy nie było najmniejszego powodu do rozmów. Teraz powiedział podejrzliwie:

- Nie mam zwyczaju słuchać plotek.

- To nie plotka. To prawda i dotyczy Henry'ego.

- Henry'ego!

- Nie jestem donosicielką i nic bym nie powiedziała, tylko że... - przerwała, nabrała tchu i dalej mówiła bardzo wyraźnie, oddzielając każde słowo: -Matka Henry'ego ma romans z Leonem Beckfordem i planują małżeństwo.

Frank stał nieruchomo, tak jakby nie usłyszał ani słowa.

- Nie mówiłam o tym nikomu - kontynuowała Ianthe. - Leo powiedział mi wczoraj wieczorem. Może pan go spytać, jeżeli pan nie wierzy.

- Wierzę pani - odparł Frank patrząc kamiennym wzrokiem przed siebie.

- Henry nic nie wie - dodała Ianthe poufnym tonem.

- To nie pani sprawa.

- Proszę pana, nie lubię sprawiać nikomu kłopotu, po prostu sądziłam, że powinien się pan dowiedzieć...

Frank zrobił taki ruch, jakby zamierzał się odwrócić.

- Niech się pani tylko nie wydaje, że pani obowiązkiem jest powiadomić wszystkich.

Ianthe nic nie odpowiedziała. Frank odsunął się o krok.

- Nie wątpię, że miała pani jakieś swoje powody, by mi o tym powiedzieć. Ianthe odwróciła się i szybkim krokiem poszła ku katedrze. Głowę miała

opuszczoną jakby płakała. Frankowi przyszło na myśl, że Ianthe może być zakochana w Leonie Beckfordzie. Nie zdziwiłoby go to. W końcu częściowo o tym wszystkim wiedział od tygodni, wiedział, że dla Henry'ego nadchodzą ciężkie czasy. Był zły na Sally, że marnuje czas, że jeszcze nie podjęła decyzji, ale wcale nie żałował Alana chociaż to był jego syn. Jego zdaniem Alan, od kilku lat, krok po kroku odrzucał wszelką odpowiedzialność i zdobywał nieuzasadnioną wolność, a teraz przyszła pora, by za to zapłacił. Ale Henry? Frank tylko dzięki głęboko zakorzenionej uczciwości, która przypominała mu, jak sam postąpił trzydzieści lat temu, potrafił teraz poskromić furję ogarniającą go na myśl o rodzicach Henry'ego. Jednak nie będzie siedział spokojnie i czekał, co z tego wszystkiego wyniknie. Nie pozwoli, by sprawy toczyły się własnym torem, a wydaje się, że Sally właśnie to czyni. Przyspieszy tok wydarzeń.

Zatelefonuje do Alana i będzie nalegał na jego powrót do domu.

Doszedł w końcu do samochodu i wsiadł. Późne popołudniowe słońce oświetlało tum, pozłacając mury katedry i czerwone cegły ścian domu dyrektora szkoły, a jeszcze dalej gładką osiemnastowieczną fasadą dziekanki. Frank przez jakiś czas przyglądał się domowi dziekana. Mała mściwa bestia, mruknął pod nosem i przekręcił kluczyk w stacyjce.

Ostatniej nocy, którą spędzali w domku koło Wyche, Felicity obudziła się z uczuciem, że ktoś ją przed czymś ostrzega. Było to bardzo realne wrażenie. Przypominając sobie swoje nowe postanowienie, że nie będzie separowała się od innych, obudziła Alexandra. Jakie to typowe dla niego, pomyślała, że natychmiast spytał ją, czy dobrze się czuje i czy może miała zły sen. Odpowiedziała, że nie był to typowy zły sen, po prostu bardzo silne przeczucie. Alexander włączył lampkę nocną.

- O czym?

- O domu.

- Moja kochana...

Felicity zwróciła ku niemu twarz.

- Jestem całkowicie pewna, że po powrocie zastaniemy dom sprzedany za naszymi plecami.

- O Boże! - Alexander z powrotem się położył. - Ale przecież Frank Ashworth wycofał swoją propozycję, a tak czy inaczej pozbycie się domu złamałoby serce Hughowi.

- Nie wydaje mi się, by miało to coś wspólnego z obietnicami, czy nawet z logiką.

- Jeżeli masz rację - powiedział Alexander sięgając pod kołdrę po jej rękę - czy nam też to złamie serca?

Felicity chwilę się zastanawiała, patrząc w górę.

- Nie, nie będzie aż tak źle. - Zwróciła wzrok na męża. - Będziemy musieli się przenieść do domu zastępcy dyrektora szkoły.

Stanley Vigors był kawalerem, pracowitym, prostolinijnym mężczyzną bez wyobraźni, i jego dom tak samo zachęcał do zamieszkania w nim jak poczekalnia u lekarza. Był to dom nie usposabiający życzliwie, zwykła zbieranina cegieł ustawiona w latach pięćdziesiątych, z metalowymi framugami okien i nieciekawymi proporcjami. Bawialnią była wydłużonym, posepnym pokojem z oknami wychodzącymi na boiska sportowe szkoły, a tylne okna wychodziły na nieprzyjaźnie wyglądający ogród zarośnięty krzewami. Stanley Vigors byłby bez wątplenia zadowolony, mogąc przenieść swoje funkcjonalne i pozbawione wdzięku meble do pustego mieszkania na najwyższym piętrze szkolnego budynku, być może nawet wolałby tam mieszkać, by bardziej się włączyć w życie szkoły.

- Mogłabyś go urządzić bardzo przyjemnie - powiedział Alexander.

- Nie wiem, czy tam może być przyjemnie.

- Więc chociaż troszkę przyjemniej.

- Jeżeli rzeczywiście musimy się przeprowadzić - spytała Felicity -dlaczego nie przejmujemy się tym aż tak bardzo, nawet biorąc pod uwagę, że jest trzecia w nocy?

- Chyba wiemy, że to byłoby dla nas dobre.

- No więc, z punktu widzenia moralności...

- Nie, nie. Dla nas. Dla ciebie i dla mnie. Felicity podparła się na łokciu.

- Czy mieszkanie w tak miłym miejscu jak nasz dom było dla nas niedobre?

- Było bardzo trudne - odparł odważnie Alexander.

- Masz na myśli nasze małżeństwo?

- Tak.

Felicity opadła na poduszki.

- Dziwnie jest tak czuć.

- Wcale nie dziwnie. To zwyczajne. Po prostu na nasze modlitwy przychodzi odpowiedź, o której nigdy nie myśleliśmy.

- Alexander - ostrzegła Felicity.

- Kiedy będę mógł znów mówić o Bogu?

- Mówisz o Nim cały czas.

- Tak.

Alexander wyłączył lampkę. W ciemności Felicity powiedziała z zadumą:

- Zastanawiam się, czy będę mogła tam pisać.

- Gdy tu przyjechaliśmy - odparł Alexander - zastanawiałaś się, czy będziemy mogli kochać się w tej sypialni. No więc mogliśmy, i to wiele razy,

- Doceniam twoje poczucie humoru.

- Felicity, śpij już - zgał ją Alexander, ale słyszała uśmiech w jego głosie.

175

Rano zapakowali rzeczy do samochodu, zostawili klucze w wioskowym pubie i ruszyli na południe, do Aldminsteru. Po drodze nie mówili o domu, rozmawiali za to o Danielu i postanowili, że na Boże Narodzenie kupią sobie nawzajem w prezencie bilety lotnicze do Ameryki, by go odwiedzić. Dyskutowali o tym, że nie sprawdzili się w roli rodziców, i że Daniel był bardzo trudnym dzieckiem, dzieckiem, które chciało od nich odejść już w chwili urodzenia, wyginającym z wściekłości plecy i wykrzykującym płuća, gdy tylko próbowali go całować. Alexander wyznał, jak okropnie się czuł zawsze, gdy łatwiej było mu kochać uczniów niż własnego syna, a Felicity powiedziała, że kocha Daniela, ale jest to miłość wyczerpująca i chyba bez wzajemności. W nastroju wyjątkowej bliskości i harmonii dojechali do tumu. W kuchni znaleźli doniczkę z rośliną, którą zostawiła im na przywitanie Sandra, a wśród listów, jakie zgromadziły się podczas ich nieobecności, było formalne zawiadomienie od Hugh'a Cavendisha o mającej wkrótce nastąpić sprzedaży domu.

Żaden z towarzyszy podróży Alana Ashwortha, którzy wsiedli z nim do samolotu w Dżiddzie, nie mógł przeoczyć jego rozpacz. Wyglądał jak człowiek, który przeżył głęboki szok. Mimo że latał samolotami od lat, tym razem nie potrafił zapiąć pasów i stewardesa musiała mu pomóc. Potem nie był w stanie zauważyć jej, gdy roznosiła cukierki do ssania przed startem, ani nie słyszał pytania, czy podać mu słuchawki. Alan nie był przyzwyczajony do introspekcji, zawsze sięgał po to, czego w danej chwili pragnął, bez zastanawiania się nad konsekwencjami swoich czynów. Zawołano go do telefonu i usłyszał ojca, który powiedział, że jeżeli natychmiast nie wróci do domu, potem może już w ogóle domu nie mieć. Uczciwość kazała Frankowi nadmienić, że prawdopodobnie i tak już jest za późno. Alan wrócił do cennych i delikatnych instrumentów instalowanych na nowym oddziale intensywnej terapii i, ku swemu przerażeniu, wybuchnął płaczem. Kolegom powiedział, że ponieważ tak długo pracował poza domem, żona go teraz opuszcza. Była to okropna scena i nikt nie wiedział, co robić. W końcu napoili go przeszmuglowanym alkoholem, podanym w papierowym kubku, i zabrali go do obozu „wygnańców”, gdzie mieszkał od ponad roku i gdzie często urządzali sobie radosne przyjęcia. Jak zwykle, klimatyzacja pracowała na pełny regulator. Alan, drżąc z zimna, usiadł w fotelu i wpatrywał się w fotografię Henry'ego, podczas gdy koledzy walczyli z systemem telefonicznym Arabii Saudyjskiej, by załatwić sprawy związane z wyjazdem. Alan czekał na słowa pocieszenia.

- Nie jesteś złym człowiekiem - mówiła mu pewna dziewczyna, której najlepsza przyjaciółka się z nim przespała - ale jesteś cholernym głupcem.

Alan dziękował Bogu, że leci samolotem linii brytyjskich, bo przynajmniej podawano tu alkohol. Po podwójnej brandy i połówce butelki clareta podanych do lunchu poczuł się odrobinę lepiej, a nawet wystarczająco dobrze, by zacząć odczuwać gniew na Sally za to, że chce od niego odejść. Przecież on tylko przyjął pracę, która pozwoliła im spłacić hipotekę za dom przy Blakeney Street,

wznieść się o stopień wyżej w hierarchii dzielnic, a przyjmując tę pracę utracił dwa lata patrzenia, jak rośnie jego syn. Właśnie zaczynał wyrabiać sobie nazwisko jako znakomity specjalista - w zeszłym tygodniu proponowano mu kontrakt w Omanie, przy jeszcze ważniejszej budowie - i trudno było uwierzyć, że Sally nie jest ani trochę dumna z męża, którego sułtani proszą o pomoc. A gdy pomyślał, że chodzi do łóżka z kimś innym, miał ochotę ją zabić. Bo śpiąc z innym mężczyzną popełniała największą zdradę, zadawała mu najokropniejszą ranę. Czasami dyskutowali o tych sprawach, na ogół gdy następowała chwila ciszy po burzy wywołanej jego romansem z inną kobietą, więc wiedział, że Sally nie jest flirciarą i traktuje poważnie swój związek z nim. I ta postawa Sally mogła mu teraz pomóc. Osuszył szklankę do końca. Może jeszcze istnieje nadzieja. Szczerze mówiąc, nie potrafił wyobrazić sobie Sally z innym mężczyzną. Poza tym Henry zawsze był dla niej wszystkim, więc nie zrobi nic, co mogłoby go zranić.

Na myśl o Henrym oczy Alana wypełniły się łzami. Gdy jego samego matka zabrała od ojca, by zamieszkać z nią i Peterem Masonem, mimo naturalnego strachu spowodowanego tą zmianą w życiu, w głębi serca poczuł ulgę. Zawsze bał się swojego ojca i byli sobie obcy. Natomiast Peter Mason był człowiekiem przystępnym, pobłażliwym, lubił żartobliwie mówić o „rodzinie” mając na myśli Gwen i Alana, i nigdy w życiu nikogo nie przestraszył. Ale w miarę dorastania Alan zaczynał się orientować, że w Peterze Masonie było niewiele do podziwiania oprócz jego wesołej uprzejmości. Jego ojczym wierzył, że trzeba robić tyle, ile się może, i wtedy wszystko będzie w porządku. Alan pojął, że jego wymagający i często nieprzystępny ojciec przynajmniej kierował się zasadami i żył dla celów szlachetniejszych niż własna wygoda. Wtedy jednak ani Alan, ani Frank nie wiedzieli, jak się do siebie zbliżyć, ale najgorsza przepaść została zaszypana, a najbliżsi sobie stali się po urodzeniu Henry'ego. Pili wtedy razem brandy w pubie przy szpitalnej bramie i kochali cały świat. Alan, który odziedziczył po matce skłonność do płytkiego sentymentalizmu, opowiadał, jak urządzi synowi życie. „Bez obrazy, tato” - mówił - „wszyscy wiele się nauczyliśmy na błędach przeszłości”. Jednak zanim jeszcze Henry skończył dwa lata, przyjął pierwszą zagraniczną pracę, w Kairze, i wyjechał. Sally tak często prosiła „Nie wyjeżdżaj znowu”, ale wtedy Alan, z oczami rozszerzonymi z bólu, mówił: „Przecież to dla ciebie i Henry'ego!”

Jaki może być inny powód - zastanawiał się z głową opartą o fotel i z zamkniętymi oczami - by ktoś chciał mieszkać w Dżiddzie nawet dwa dni, a co dopiero dwa lata? Czy Sally tego nie rozumie? A może jest zbyt rozpieszczona, bo za dużo jej dawał i miała tyle swobody - przecież nie musi pracować, sama chciała - by sobie w ogóle zdawać sprawę z tego, jak jej dobrze? Nagle stanął mu przed oczami obraz samego siebie - samotnego, bez nikogo, kto by o niego dbał - i poczuł się przygnębiony. Sally będzie musiała się zastanowić, jest do tego zobowiązana, a gdy się zobaczą, wszystko się naprawi. To tylko koszmar, niedługo się obudzi i stwierdzi, że

po prostu bez powodu zdrowo się wystraszył. Może na pewien czas mógłby się zatrudnić w Anglii, co oczywiście będzie oznaczało mniej pieniędzy, ale jest przygotowany na takie poświęcenie, nawet jeżeli niesprawiedliwość losu bardzo go boli.

W Anglii powitał go szary, letni dzień. Z lotniska jechał do domu zatłoczonym pociągiem. Poszedł do toalety, Myjąc się i szcztokując włosy patrzył w małym lusterku na swoją smutną, zmęczoną twarz. Nawet pod opalenizną widać było, że jest blady. Sally będzie musiała przyznać, że jest głęboko i szczerze zmartwiony, musi to zobaczyć i zmienić decyzję, bo nagle sama myśl o tym, że może ją stracić, stała się tak przerażająca, że o mało nie zemdlał. Poczł się słaby, nie mógł uwierzyć, że można aż tak cierpieć, nie mógł nawet uwierzyć, że mimo bólu wciąż jeszcze żyje.

Stacja w Aldminsterze była taka jak zawsze. Nawet ogłoszenia pośredników handlu nieruchomościami nie zmieniły się przez czas jego nieobecności. Alan wyszedł przed budynek stacji czując się jak kaleka, wsiadł do taksówki i podał adres na Blakeney Street. Siedząc na tylnej kanapce i drżąc z zimna w swoim tropikalnym ubraniu, patrzył na znajome drogi i ulice, na których, odkąd pamiętał, nie nastąpiły żadne zmiany.

Sally otworzyła drzwi, gdy płacił za przejazd, i stanęła na górnym stopniu. Zapuściła włosy, miała na sobie długą, kloszową, ciemnożółtą bawełnianą spódniczkę i białą bawełnianą koszulkę. Nie uśmiechała się. Alan, pochylony na jedną stronę od ciężaru walizki, patrząc na żonę wolno wszedł na schodki.

- Sal?

Sally cofnęła się do domu, Alan wszedł i pochylił się, by ją pocałować.

- Nie - powiedziała.

- Powinienem przywieźć ci kwiaty...

Sally zachnęła się i weszła do dużego pokoju.

- Sal, daj spokój. O co chodzi? Przecież jestem w domu.

Rzucił bagaż na podłogę i zaczął przemierzać pokój, przyglądając się różnym przedmiotom i komentując zmiany. Sally stała przy piecyku. Parzyła kawę ignorując go, aż wreszcie podała mu kubek mówiąc:

- Alan, to już skończone.

Alan wziął kubek i powiedział lekkim tonem, by zaprzeczyć, że przyjął to do wiadomości:

- A gdzie jest Henry?

- U kolegi. Przyjdzie później. Musimy porozmawiać, zanim mu powiemy. Alan nagle podszedł do Sally i oskarżająco wymierzył w nią palec.

- O czym mamy mu powiedzieć? O tym, że teraz zostanę w domu i będzie miał przy sobie ojca przez cały czas? Przynajmniej to jest prawda. A może o tym, że gdy ja tam pracowałem jak niewolnik dla ciebie i dla niego, ty zabawiałaś się z innym mężczyzną? To jest też prawda. Razem mu powiemy o tych obu rzeczach.

Sally uchwyciła się mocno brzegu piecyka, opuściła głowę i modliła się

o opanowanie. Rano Leo zabrał ją do katedry. „Nie z powodu Boga -powiedział - ale by przypomnieć ci o odwiecznym biegu rzeczy, o odporności rodzaju ludzkiego, która pozwala przetrwać takie kryzysy. Gdy to się już przewali, będzie ci dobrze, i Henry'emu też. A jeżeli ja będę miał coś do powiedzenia, obojgu wam będzie lepiej, a nie tylko po prostu jako tako". Prowadził ją po nawach, po ocienionych zakrętach krążanków, a gdy się rozstawali, położył jej ręce na ramionach i dodał:

- Nie pozwól, by cię poniósł gniew. Nie daj się mu ować. Teraz Sally podniosła głowę i spojrzała na Alana.

- Żadna zmiana w twoim życiu nie wpłynie na moją decyzję. Między nami wszystko skończone. Nie chcę być dłużej twoją żoną.

- Dobrze, dobrze! - krzyknął Alan. - Rzuć tym wszystkim we mnie, zanim jeszcze zdążyłem się umyć, zanim zdążyłem być w domu od pięciu minut...

Opadł na krzesło i zakrył dłonią oczy.

- Sally, obiecuję, że teraz będzie inaczej. Zrobię wszystko, co chcesz.

- Chcę tylko rozwodu.

- Ale nawet mnie nie ostrzegłaś. Brałaś i brałaś wszystko, co ci dawałem, i teraz nagle, ni stąd ni zowąd mówisz, że jesteś znudzona mną i pragniesz odmiany...

- Wszystko, co mówisz, to kłamstwo - przerwała Sally.

- Nie możesz mi tego zrobić. - Głos Alana zniżył się do szeptu. Sally milczała.

- Nie możesz tego zrobić Henry'emu!

Sally szybkim krokiem podeszła do stołu i wzięła leżącą na nim brukową gazetę.

- Wszystko jest tutaj - powiedziała.

- Co jest tutaj?

- Henry jest czymś w rodzaju chwilowej sensacji, bo nagrał płytę, a przedtem w całym tumie podniesiono wrzawę, gdy dziekan próbował rozwiązać chór. I teraz ktoś zawiadomił prasę, że Leo i ja mamy romans. Cała historia jest tutaj, pięknie przyozdobiona przymiotnikami. Henry jeszcze tego nie widział i prosiłam Susan Hooper, by mu nie pokazywała gazety, bo musi się o tym dowiedzieć od nas.

Alan chwycił gazetę. Artykuł wydrukowany był wewnątrz, zajmował pół strony, zamieszczono zdjęcie Henry'ego śpiewającego w katedrze, a nagłówek głosił: „Intryga za plecami dziecka”.

- Nie pora teraz, by spierać się o własne winy i prawa. Musimy myśleć o Henrym - powiedziała Sally.

- Nie mam z tym nic wspólnego. To nie ja odchodzę, nie ja żądam rozwodu i nie mam nic do powiedzenia Henry'emu oprócz tego, że jestem w domu i tu zostaję.

- Więc sama mu powiem. Czekałam na twój przyjazd, bo chciałam być uczciwa.

Alan jęknął.

- Uczciwa! Po tym, co zrobiłaś za moimi plecami! Uczciwa!

- Jesteś wstrętny - powiedziała Sally.

Wyszła z pokoju i poszła na górę, do sypialni. Przygotowała Alanowi łóżko w gościnnym pokoju i wiedziała, że z tego powodu nastąpi jeszcze jedna awantura. Z dołu nie dobiegał żaden odgłos. Uczesała się, poszła do łazienki, umyła ręce i zęby. Mozart, który do tej pory spał na łóżku Henry'ego, przyszedł otrzeć się o jej nogi i pytająco zagruchać. Wzięła go na rękę i natychmiast jej bluzka była cała w sierści.

- Jakoś musimy przez to przejść - powiedziała.

Kot zamruczał. Sally postawiła go na podłodze, więc pomaszerował z powrotem do łóżka Henry'ego i zwinął się we wgłębieniu pościeli. Sally szczotką zdjęła sierść z bluzki, wzięła głęboki oddech i wróciła na dół. Alan siedział tam, gdzie go zostawiła. Patrzył przez okno, a gazeta ześliznęła mu się z kolan. Wydał jej się całkowicie obcym człowiekiem.

- Słuchaj - powiedziała tak przyjaźnie i spokojnie, jak tylko potrafiła - musimy porozmawiać.

Henry spędził miło dzień z Hooperem. Najpierw tresowali szczenięta - bez specjalnych sukcesów, bo pieski nie potrafiły skoncentrować się na tym, co robią, dłużej niż parę minut - a potem pani Hooper pozwoliła chłopcom przyrządzić bułeczki maślane i czekoladową leguminę. Jej dwie przyjaciółki, które przyszły z wizytą, powiedziały Henry'emu, że kupiły jego płytę i jest fantastyczna. Na obiad dostali kurze udka, a po południu zrobili sznurkową drabinę z dwóch linek do wieszania bielizny znalezionych w garażu i przywiązali ją do buku, który szczęśliwie rósł w ogrodzie Hoopera, rzecz nadzwyczajna w mieście. Wspięli się na drzewo po sznurkowej drabinie i zjedli przygotowany przez panią Hooper podwieczorek siedząc na gałęziach. Szczenięta podskakiwały przy pniu i tak prosiły, że zrzucali im kawałki herbatników i skórki. Gdy pani Hooper powiedziała, że już czas i musi odwieźć Henry'ego do domu, Henry miał nadzieję, iż Hooper będzie błagał, by pozwoliła mu zostać na noc, bo często tak się zdarzało, ale tym razem Hooper nic nie powiedział, a Henry czuł, że nie może o to poprosić. Podziękował bardzo serdecznie, licząc, że zmiękczy panią Hooper, ale chociaż była naprawdę miła chyba nie zrozumiała jego intencji. Gdzieś w głębi umysłu Henry'ego zajaśniała dość przerażająca myśl, że jego ojciec jest w domu. Henry marzył o tym, by odwlec spotkanie. Co innego ludzie tacy jak Hooper czy Chilworth, których ojcowie zawsze są w domu, ale on sam czuł się troszkę niespokojny. Wydawało mu się, że przyjazd ojca był bardzo nagły i że dziadek miał z tym coś wspólnego. Dałby wiele, by móc dzisiaj spać w śpiworze na podłodze sypialni Hoopera i bawić się w sygnalizację latarkami, którą tak udoskonalili, że stała się niemal sztuką.

Gdy pani Hooper wypuściła go z samochodu przed domem, ojciec wyszedł mu na spotkanie. Obecność pani Hooper okazała się bardzo

pomocna, ponieważ uniemożliwiła jakąkolwiek wylewność. „Tylko bez scen”, nakazał sobie Henry powtarzając zdanie, które usłyszał od Wooldrid-ge'a; Wooldridge używał go obecnie przy każdej okazji. Weszli razem z ojcem po schodkach do domu i ojciec spytał, jak to jest, gdy człowiek staje się sławny. Henry zaczerwienił się.

- Właściwie tak samo jak przedtem...

Stół był już nakryty do kolacji, pośrodku stała wielka misa z sałatą, a Sally karmiła Mozarta, który głośno krzyczał, jak zawsze, gdy tylko dostrzegł otwieracz do puszek. Henry miał ochotę wziąć go na ręce, ale nie byłoby to sprawiedliwe, bo Mozart już i tak musiał zbyt długo czekać na kolację. Rodzice wydawali mu się zdenerwowani i w ogóle dziwni, więc opowiedział o sznurkowej drabinie i szczeniakach, podczas gdy Sally wyjmowała z piecyka pieczoną szynkę i kartofle. Wreszcie usiedli do stołu. Wszystko wydawało się absolutnie zwyczajne, ale jednak w jakiś sposób zwyczajne nie było. Ani matka, ani ojciec nie jedli dużo, a on sam był tak najedzony po podwieczorku, że też nie odczuwał głodu. Ojciec ciągle pytał o chór, o nagranie i drażnił się z nim na temat sławy, a gdy Henry spytał, czy może już odejść od stołu i iść spać, oboje powiedzieli, że nie, jeszcze nie w tej chwili, bo chcą z nim porozmawiać.

Pomyślał, że będzie musiał wysłuchać kazania na temat zarozumiałości z powodu płyty, ale zamiast tego bardzo długo mówili, że już nie będą małżeństwem i że mama wyjdzie za pana Beckforda, i że ma się nie martwić, bo dla niego nic się nie zmieni. Ojciec płakał.

- Będziemy nadal tu mieszkać? - spytał Henry.

Matka powiedziała że najprawdopodobniej nie, i wtedy poczuł, że chyba też się rozplacze, i zrobił to. Nie chciał już dłużej być z nimi na dole, więc pobiegł do swojego pokoju i zatrzasnął drzwi. Rzucił się na łóżko, zwinął w kłębek, naciągnął kołdrę na głowę i tak leżał w bezpiecznym ciepłku pościeli. Nie mógł przestać płakać. Wydawało mu się, że będzie tak płakał do końca życia. Gdy Sally weszła na górę, krzyknął ze środka swojego kokonu „Idź sobie, idź sobie, idź sobie!” i płakał dalej. Było mu gorąco i okropnie, ale nie chciał nikogo widzieć; czuł, że jego oczy zmieniły się w palące futbolowe piłki. Rodzice postali dłuższą chwilę pod drzwiami i słuchali, jak mruczy i szlocha. Gdy wreszcie przestał, matka weszła do pokoju, rozwinęła go z pościeli, przebrała w piżamę, a on odurzony złością i już senny krzyknął:

- Nigdy się nie ożenię!

Potem Sally zeszła na dół i Alan zdobył się na to, by głośno jej nie oskarżać, ale oskarżenie malowało się w jego oczach. Powiedział, że idzie spać do ojca, wziął walizkę, kluczyki od samochodu i wyszedł. Gdy już poszedł, Sally zadzwoniła do Leona i usłyszawszy jego głos, rozplakała się tak jak Henry, tak jakby już nigdy nie miała przestać.

Cosmo Cavendish powiedział ojcu, że Ianthe dostała czterysta funtów za przekazanie gazetom informacji o Leonie Beckfordzie i Sally Ashworth. Dodał, że oczywiście nie zrobiła tego dla pieniędzy. Dziekan spytał, jakie były jej motywacje, i Cosmo poinformował go, że nie wie, ale na pewno jakieś miała.

- Trudno powiedzieć - stwierdził dziekan - czyje zachowanie, twoje czy Ianthe, jest bardziej nieprzyjemne.

Cosmo ze zdumieniem zauważył, że słowa ojca trochę go speszyły. Łamanie zasad to jedna sprawa: przynosi chwałę i ugruntowuje reputację wśród rówieśników, ale sugestie, że się ma nieprzyjemny charakter, to całkiem co innego, po prostu zbijają z tropu. Jego życie polegało na władaniu ludźmi, jego chwałą była rebelia, a wiedział dobrze, że prawdziwy nieprzyjemny charakter wcale nie przyczynia się do chwały. Poszedł na skargę do matki, ale ona, ku jego zdumieniu, powiedziała, że ojciec ma rację. Pocieszając się, że matka w tej chwili nie czuje się dobrze - a można to było stwierdzić na pierwszy rzut oka - pomaszerował do swojego czarnego orlego gniazda, by przemyśleć sprawę. Bardzo źle ocenił sytuację i musiał teraz odkryć, jaki błąd popełnił. Dziesięć minut później był skłonny zrzucić całą winę na Ianthe i tak byłoby dobrze, tylko że wniosek co do jej winy nie pozwalał na odrzucenie niepokojącej świadomości, że w jakiś sposób pozwolił się okpić. Zszedł na dół na kolację dopiero, gdy wołano go po raz trzeci, i zobaczył, że stół jest nakryty tylko na dwie osoby. Matka powiedziała mu, że ojciec pojechał do Londynu i nie wróci przed północą.

Gdy dziekan przyszedł, Ianthe właśnie wychodziła. Wystraszyła się widząc ojca, z koloratką pod szyją, w swojej bawialni - o której jej brat Fergus powiedział, że wygląda jak wzięta ze sztuki teatralnej o wulgarniej właścicielce zajazdu - teraz zatłoczonej przez czterech przyjaciół wybierających się z nią na koncert w Highgate. Dwaj mężczyźni instynktownie poderwali się na nogi, co później z trudem mogli wyjaśnić Ianthe. Dziekan,

z nieskończoną uprzejmością, ale władczo, w ciągu dziesięciu minut pozbył się obcych i natychmiast, bez żadnego wstępu, powiedział córce:

- Czy możesz jakoś wytłumaczyć swój wstrętny postępek?

Ianthe była jednocześnie wściekła i chciało jej się płakać. Wiedziała, że w latach osiemdziesiątych dwudziestego wieku niewielu ojców mówiłoby do swoich dorosłych córek w tak anachroniczny i stanowczy sposób; niedzielne kolorowe dodatki do gazet często publikowały wywiady ze współczesnymi ojcami, którzy wyraźnie aprobowali i kochali swoje niezależne córki. Teraz jednak nie była wystarczająco pewna swojej pozycji, by walczyć. A lży stanowiłyby przyznanie się do winy. Zapaliła papierosa i zaczęła nonszalancko przechadzać się po pokoju.

- Siadaj - rozkazał dziekan.

Ianthe, idąc na kompromis, przysiadła na podłokietniku fotela.

- Rzadko się zdarza - zacznij dziekan - by kobieta odznaczająca się rozsądkiem i inteligencją, a szczęśliwie ty posiadasz obie te cechy, wykazywała jednocześnie absolutny brak dojrzałości emocjonalnej. Jednak ty należysz do tej nieszczęsnej grupy, a na dodatek w twoim przypadku wchodzi jeszcze w grę niemiły ekshibicjonizm. Spośród swego rodzeństwa nie tylko ty poświęcasz wiele energii na zwalczanie i ośmieszanie wszystkich zasad, w jakich was wychowano i według których, jak ci dobrze wiadomo, ja żyję, ale ty doprowadziłaś swoje działanie do ostateczności, do szkodliwego szaleństwa. Dopóki obrażałaś tylko dom i rodzinę, mogłem dużo znieść, chociaż z bólem. Ale teraz, gdy szkodzisz reputacji katedry, tumu i jego mieszkańców, nie będę tego dłużej tolerował. Słuchasz mnie?

- Czy mogę coś powiedzieć? - spytała Ianthe.

- W każdym razie...

Ianthe nagle zapragnęła, by była tu jej matka. Powiedziała zbyt gwałtownie:

- Nie wiesz nic o miłości, nie potrafiłbyś zrozumieć, przez co przeszedłam.

- Znam miłość - odparł dziekan z odrazą. - Jednak miałem dość szczęścia, by nie poznać zaślepienia. O ile mi wiadomo, Leo Beckford nigdy w najmniejszym nawet stopniu nie zachęcał cię i twoje uczucia spowodowane są wyłącznie twoimi własnymi przesadnymi wyobrażeniami i uporem. Im bardziej cię odrzucał, tym bardziej się go czepiałaś. Gdybyś była głupia, litowałbym się nad tobą. Ale ponieważ jesteś mądra, mogę tylko tobą gardzić.

- I to mówi ksiądz! - krzyknęła.

- Ianthe, zadaniem księdza nie jest bezkrytyczne przebaczenie. Taka postawa niszczyłaby wartości.

Nastąpiła długa chwila milczenia. Ianthe podeszła do okna, oparła czoło o szybę i patrzyła na ulicę, gdzie zapadał już mrok. Była przestraszona, czuła do siebie wstręt i chciała znaleźć kogoś, na kogo mogłaby zrzucić winę. Pancierz iluzorycznej niezależności, którym okryła się w chwili odziedziczenia pięciu tysięcy funtów w dniu osiemnastych urodzin, kiedy to zrezygnowała również z uzyskanego na uniwersytecie miejsca, nagle okazał się bardzo cienki i słaby. Gdy dziekan powiedział głosem całkowicie wypra-

nym z ciepła: „Ośmieszyłaś nas wszystkich, ale najbardziej siebie samą”, próbowała coś powiedzieć, ale nie mogła.

- Wszyscy musimy mieć trochę czasu, by wrócić do równowagi -zawiadomił ją dziekan. - Twoja matka i ja w przyszłym tygodniu jedziemy do Szkocji, a Cosma wysyłamy na obóz do Walii. Dla dobra nas wszystkich, przez jakiś czas nie będziemy się widywać. Ianthe gwałtownie odwróciła się od okna.

- Mogę przyjechać do domu?

- Na razie nie. Za parę miesięcy. Masz dosyć pieniędzy?

- Tak - odparła Ianthe i mocno się zaczerwieniła.

- Tygodnie, które nadejdą, będą trudne dla Aldminsteru i nastąpią poważne zmiany. Muszę porozmawiać z biskupem i z archidiaconem na temat sytuacji Leona Beckforda. W Londynie masz Fergusa i Petrę, masz również swoją pracę. Pieniądze za udzielenie informacji musisz oddać gazecie.

- Mogę je przeznaczyć na fundusz chóru? - spytała Ianthe w przebłysku odwagi.

- Nie wydaje mi się, by chór ich potrzebował.

Dziekan ruszył do drzwi. Chciał już stąd wyjść, opuścić ten pokój o zaśnieżonej, pseudoedwardiańskiej atmosferze, być daleko od swojej samowolnej córki, której obecne nieszczęście wydawało mu się nieuniknionym skutkiem jej lekkomyślności i samopobłażania, chciał być daleko od Londynu. Ianthe załkała. Dziekan przeszedł przez pokój i położył jej rękę na ramieniu. Powiedział: „Jak Bóg da, wszystko to minie”, pocałował córkę w czoło i wyszedł, by złapać pociąg do Aldminsteru.

- Nie chciałbym już więcej widzieć ponurych twarzy w tumie - powiedział biskup. - Gdyby to mogło pomóc, wszedłbym do katedry nosząc sztuczny nos. Czy mogę wejść na chwilę?

Leo roześmiał się, powiedział, że oczywiście, i wprowadził biskupa do bawialni. Wskazał jego sutannę:

- Gdybym ja się tak ubrał, ludzie pomyśleliby, że przez tum idą powiewające zasłony okienne.

- Nie będę miał czasu, by wrócić do domu i przebrać się na nieszpory, więc od razu włożyłem sutannę. Czy mogę usiąść? Słuchaj, Leo. Chciałem porozmawiać z tobą, zanim przyjdzie dziekan. Administracyjnie rzecz biorąc, to sprawa Kapituły, a nie moja, ale z ludzkiego punktu widzenia to również moja sprawa. Przykro mi, że przy tych wszystkich kłopotach nie przyszedłeś do mnie. Oboje z Janet martwiliśmy się o chór, a ty dodatkowo miałeś jeszcze inne problemy. Widzisz, myślałem, że raczej mi ufasz...

Leo spojrział na biskupa z czułością.

- Inny mężczyzna, któremu też ufam, starał się mnie powstrzymać.

- Alexander Troy?

- Tak.

184

- Wiesz, że muszą opuścić swój dom?

- Wiem.

- Jeszcze jedna przykra sprawa. Jeszcze jeden dobry pomysł zniszczony przez egoizm. Leo, martwi mnie, że twój związek z Sally Ashworth wydaje się rzeczą tak nagłą, i oczywiście jestem głęboko zaniepokojony, czy całe to zamieszanie rzeczywiście do czegoś zmierza...

- Tak.

Biskup zdjął okulary i zaczął je huścić za oprawkę.

- Impulsy zrodzone z samotności są bardzo potężne, tak jak impulsy powstające wtedy, gdy w życiu dobiegamy do końca pewnego etapu. Czy myślisz o małżeństwie?

- I o dzieciach - zapewnił Leo.

Biskup, swoim zwyczajem, przygryzł zausznik okularów.

- Jak wiesz, nigdy nie przejmuję się zasadami towarzyskimi. Jedyne, co mnie obchodzi, to słuszne postępowanie i wszystko jedno, czy jest ono zgodne z tradycją, czy się jej sprzeciwia.

- Sally i ja postępujemy słusznie. Na początku myślałem, że to ja jestem w największej potrzebie, ale teraz z radością widzę, że oboje siebie potrzebujemy. W każdym razie będziemy wspólnie budować naszą przyszłość. Nie sądzę, by ksiądz biskup mógł udzielić nam ślubu?

- Istnieje możliwość udzielenia błogosławieństwa...

- Nie, chcemy wziąć normalny ślub.

Biskup włożył okulary na nos i powiedział w zamyśleniu:

- Za rok chyba będę mógł. Jeżeli sądzisz, że to naprawdę jest konieczne. Jeżeli tego naprawdę chcecie...

- Czy to rodzaj próby? - spytał z uśmiechem Leo. Biskup spojrzał w górę.

- Och, jesteś taki podejrzliwy. - Pomyślał chwilę, a potem spojrzał Leonowi prosto w oczy. - Muszę ci jeszcze coś powiedzieć. - Pochylił się do przodu. - Leo, będziemy ogromnie żałowali, ale musisz sam odejść z katedry, zanim cię poproszą byś to zrobił.

Nastąpiła chwila milczenia.

- Czy dziekan poprosi mnie, bym odszedł?

- Nie rozmawiałem z nim, ale chyba nie będzie miał wyboru. Występując sam z tą propozycją, wyrządzisz przysługę i jemu, i sobie.

- Ale...

- Dziekan - powiedział stanowczo biskup - dźwiga o wiele cięższe brzemie, niż nam się wydaje. Jeżeli coś idzie źle w katedrze albo w tumie - a nie dzieje się to bez uszczerbku dla całej diecezji - właśnie on jest obarczany winą. Nie wydaje mi się, by było wielu dziekanów, którzy tak dobrze służą swojej katedrze jak Hugh Cavendish, i nawet jeżeli znajduje w tym dużo szczęścia, dostaje również swoją dozę cierpienia, na które nigdy się nie skarży. Jeżeli jego organista spokojnie i z godnością odejdzie; będzie to wiele znaczyło i dla dziekana, i dla Aldminsteru. Chyba nie wiesz, jak bardzo dziekan ceni twoją

pracę. - Biskup wstał. - Zabrzmiało to raczej pompatycznie. Chciałem tylko powiedzieć, z największą sympatią i prostotą, na jaką mnie stać, że musisz wyjechać z Aldminsteru, ale jeden z moich najlepszych przyjaciół, dyrektor renomowanej szkoły w Sussex, musi natychmiast zatrudnić dyrektora muzycznego. Tamtejszy chór regularnie występuje na festiwalu w Brighton.

- A Sally?

- Mój przyjaciel musi być o wszystkim powiadomiony.

- Dziękuję - powiedział energicznie Leo. Biskup pomachał ręką.

- Nie trzeba Absolutnie nie trzeba Musimy zrobić wszystko, by ten biedny, stary okręt znów popłynął na równym kilu. Grasz dziś podczas niesporów?

- Nie. Dziś tam będzie Martin.

- Ach - rzucił biskup. - No właśnie. Jest ktoś, kto na tym wszystkim skorzysta.

Alan mieszkał cały tydzień w gościnnej sypialni ojca. Nie chciałby, żeby taki tydzień jeszcze kiedykolwiek się powtórzył. Okropne były noce w zniszczonym wiktoriańskim łóżku w kształcie łodzi, które niegdyś należało do jego prababki, okropne były ponure dni, kiedy czuł, że nikt mu nie okazuje sympatii. Ojciec, chociaż nie był manifestacyjnie nieuprzejmy, jasno dał do zrozumienia, że od kilku lat wszystko zmierzało nieuchronnie ku temu, co się stało, i że był to skutek wyboru uczynionego przez nich oboje: jego i Sally. Zbierasz jedynie to, co posiałeś, powtarzał niejednokrotnie Frank, a jeżeli żniwo ci się nie podoba, winę możesz przypisywać tylko sobie. Raz Alan poszedł na Blakeney Street i próbował naprawić stosunki z Sally, ale rozmowa szybko przerodziła się we wzajemne oskarżenia i złośliwości, więc postanowił, że następnym razem zabierze ze sobą ojca. Zarówno dla Sally, jak i dla niego powaga i bezstronność Franka były pomocą a dla Henry'ego okazały się wprost liną ratunkową.

To Frank, nie przebacząc Sally jej decyzji, ani nie ganiać już więcej Alana, że do niej doprowadził, jasno powiedział, że ich małżeństwo nie ma przyszłości. To Frank umówił adwokatów dla nich obojga, Frank zabierał Henry'ego na całe godziny z domu i zachowywał się wobec niego po prostu normalnie. Podczas jednego ze spacerów spotkali Leona. Ku uldze Henry'ego, ani jego dziadek, ani przyszły ojczym nie okazali, że sytuacja jest dziwna. Później tego samego dnia Leo przyszedł na Blakeney Street Henry powiedział, że idzie do swojego pokoju, ale usiadł na schodach i słyszał, jak Leo mówi jego matce, że najprawdopodobniej wyjedzie do Sussex. Henry miał bardzo słabe pojęcie, gdzie Sussex się znajduje, ale zdecydowanie wiedział, że nie chce jechać, gdziekolwiek to jest. Wszedł do dużego pokoju i właśnie tak powiedział.

- Tam jest szkoła - rzekł Leo - i chór o wielkiej tradycji, i słynna kaplica. Dlaczego myślisz, że może być inaczej niż tutaj?

- Wszędzie jest inaczej niż tutaj. A ja nie chcę, żeby było inaczej.

- Zawsze trudno jest sobie wyobrazić życie w miejscu, którego się jeszcze nie zna - powiedziała zachęcająco Sally. - Ale dlaczego nie miałoby tam być jeszcze lepiej?

Henry chwilę pomyślał.

- Nie potrzebuję, żeby było lepiej. Po prostu nie chcę, żeby było inaczej niż do tej pory.

Leo obejmował Sally ramieniem. Gdy Henry wszedł do pokoju, instynktownie chciała się odsunąć, ale mocno ją przytrzymał.

- Henry, cała rzecz polega na tym, że ja muszę stąd wyjechać.

- Dlaczego?

- Dlatego, że ostatnio było wiele nieprzyjemnego hałasu na temat Aldminsteru; nawet w gazecie pisano, że żenię się z twoją mamą. A taka reklama jest niedobra dla katedry i dla tumu...

- Więc nie bierzecie ślubu! - przerwał mu gwałtownie Henry.

- I komu to pomoże?

Henry podszedł do kredensu i chwilę kopał drzwiczki.

- Nie rozumiem tego.

- Oczywiście, że nie, ale kiedyś zrozumiesz - zapewniła go Sally.

- A dlaczego ja też miałbym jechać do Sussex?

- Bo my tam wyjeżdżamy, a ty musisz mieszkać z nami, aż dorośniesz. Potem będziesz mógł mieszkać, gdzie zechcesz.

Krtań Henry'ego napęła się nagle łzami gniewu. - Dlaczego to wszystko musiało się stać? Dlaczego nie możemy żyć jak dotąd?

- Dlatego - odpowiedział mu Leo - że życie ludzi ani stosunki między nimi nigdy nie zatrzymują się w miejscu. Rozwijają się, albo umierają. Popatrz na siebie i Hoopera. Rok temu zaledwie rozmawialiście ze sobą, a teraz jesteście najlepszymi przyjaciółmi. Wszystko się zmienia. Co chwilę następują jakieś zmiany, i nie umiera się od tego. Twój rodzice i ja tylko wprowadziliśmy zmiany, ale ponieważ jesteśmy dorośli, mają one większy wpływ na innych. - Nie pojedę do tego okropnego Sussex! - krzyknął Henry.

Wybiegł z pokoju i pognął na górę. Chwycił szpicownik, pędzel, i napisał: NIE NIE NIE przez kilka stron, najjaskrawszymi kolorami, jakie miał. Po chwili matka weszła do jego pokoju i spytała, czy chciałby pójść z nimi na krótki spacer. Henry wrzasnął, że nie, nie chce. Po ich wyjściu zszedł na dół, by popatrzeć na telewizję, i wtedy zadzwonił telefon.

- Czy to Henry?

- Tak.

- Tu Nick Elliott.

- Och - ucieszył się Henry. - Cześć.

- Co u ciebie słychać?

- W porządku.

- Słuchaj, chciałem rozmawiać z twoją mamą. Jest w domu?

- Nie, poszła na spacer.

- Więc powiem tobie. Co myślisz o nagraniu następnej płyty?
 - Super! - zachwycił się Henry, ale zaraz sobie przypomniał, co go czeka. - Nie mogę. Wyjeżdżam do Sussex.
 - Do Sussex? Dlaczego?
 - Mama i pan Beckford tam jadą. Nastąpiła chwila milczenia.
 - Przykro mi - powiedział Nicholas. - Zapomniałem. Henry obawiał się, że zaraz zacznie płakać.
 - Słuchaj - powiedział Nicholas wyczuwając to. - Chcesz porozmawiać?
 - Nie wiem.
 - Rozumiem, jak się czujesz. Mój ojciec odszedł, gdy miałem pięć lat, i potem miałem już tylko mamę, a ona jest zszokowana. Coś ci powiem. Przyjadę do ciebie w sobotę. Pójdziemy na pizzę. Chcesz?
 - Dziękuję - odparł Henry.
 - Chcesz usłyszeć dobrą nowinę?
 - Tak.
 - Sprzedaliśmy, w Anglii i w Europie, sto pięćdziesiąt tysięcy egzemplarzy twojej płyty.
 - Och!
 - Szkoda, że nie wolno ci udzielić wywiadu.
 - Ale jestem chórzystą. Jestem prawdziwym chórzystą.
 - Trzymaj się tego. Powtarzaj to sobie cały czas. Do zobaczenia w sobotę.
- Nicholas zabrał Henry'ego do tej samej pizzerii, w której był trzy miesiące wcześniej z Ianthe. Henry zamówił wielką pizzę, szklanek coca-coli i lody, a Nicholas po raz tysięczny pomyślał, jakie to zadziwiające mieć w kieszeni pieniądze, które sam zarobił i które może wydawać, jak chce. Rozmawiali głównie o chórze. Nicholas powiedział Henry'emu, jak umierał z zazdrości tego ranka dawno temu, kiedy wszedł do katedry i usłyszał, jak śpiewają „Tu es Petrus”, a Henry przypomniał sobie, że schodząc z sali prób zobaczył Nicholasa, bo właśnie wtedy Harrison uderzył go w nogę futerałem fletu i to naprawdę zabolowało. Potem naśladowali Leona: „A teraz wytrzymaj tę nutę czysto i do końca” i „No już, ty mały potworze, szeroko, szeroko, szeroko”, porównywali wspomnienia z wyjazdów z chórem i Henry powiedział, że wyjeżdżają do Norwegii w przyszłym semestrze. Nagle przypomniał sobie o Sussex i znów się bardzo zasmucił.
- Nie jedź do Sussex. Jeżeli zostaniesz tutaj, za dwa lata będziesz pierwszym solistą.
 - Muszę jechać...
 - Dlaczego?
 - Bo mama i pan Beckford jadą.
 - Mógłbyś mieszkać w internacie.

- Tak - mruknął przygnębiony Henry.
- No, co się dzieje?
- Żaden z moich kolegów nie mieszka w internacie.
- Poznasz nowych kolegów.
- Nie chcę nikogo nowego - jęknął Henry.
- Posłuchaj - powiedział Nicholas. - Najważniejszy jest chór, prawda? Nie możesz go opuścić. A jeżeli masz w nim zostać, to musisz pomyśleć o tym, w jaki sposób mógłbyś dalej mieszkać w Aldminsterze. Internat nie jest taki zły, a wakacje mógłbyś spędzać z mamą i panem Beckfordem.

Henry nie był przekonany.

- A co z twoim ojcem? - spytał Nicholas.
- Niedługo wraca do Arabii Saudyjskiej. Do pracy.
- No tak. Nie możesz tam mieszkać z nim.
- Chyba niezbyt lubi Aldminster.
- Ale to twój ojciec.
- Och, tak... - Henry uciekł spojrzeniem.
- Gdy ja będę miał dzieci, będę zawsze z nimi.

Henry nie odpowiedział. Nicholas poprosił o rachunek i poszedł do kasy zapłacić. Henry, przejeżdżony, czekał przy stoliku. Gdy Nicholas wrócił, powiedział:

- To było super. Bardzo ci dziękuję.

Nicholas odprowadził Henry'ego do domu. Chciał zostawić wiadomość dla Leona ale nie wydawało mu się, że chwila jest odpowiednia, biorąc pod uwagę nastrój Henry'ego. Sam dobrze pamiętał, że kiedyś tak się czuł, jakby cały świat sprzysiął się przeciw niemu. Gdy tak szli po Blakeney Street, powiedział, że aby czuć się lepiej, należy postarać się, by zdarzyło się to, czego człowiek chce. Nicholas wiedział, że to nie są tylko ciche słowa, lecz prawda.

- Na przykład co?
- Chcesz zostać w Aldminsterze, więc musisz się o to postarać. Henry wszedł do domu i zastał matkę z dziadkiem siedzących przy stole i rozmawiających o nim. Pomyślał, że trzeba im przypomnieć, iż nie zamierza jechać do Sussex na wypadek, gdyby podjęli jakieś decyzje, gdy go nie było.
- Rozumiem - powiedział Frank.
- Nicholas mówił, że mógłbym mieszkać w internacie.
- Już o tym myślałam - zwróciła się Sally do teścia - Ale nawet jeżeli zwolnią go z części opłaty...
- Alana stać na to.
- Nie chcę być w internacie - powiedział Henry. Frank popatrzył na niego.
- Słuchaj, młody człowieku. Wszystkie te „chcę” i „nie chcę”... Musisz pójść na jakiś kompromis.

Henry pomyślał, że dziadek mówi tak samo jak pan Beckford. Ale przynajmniej Leo i Frank nigdy go nie przepraszali ani nie rozczulali się.

13 - Chór

193

Nagle, zanim zdążył dobrze pomyśleć, spytał: - Czy mógłbym mieszkać u ciebie?

W ciągu dziesięciu dni dziekan złapał cztery łososie, a Bridget jednego. Mieszkali w tym samym domku co zwykle i z tymi samymi przyjaciółmi: konsultantem w wielkim szpitalu na prowincji, antykwariuszem, doradcą królowej i ich żonami. Prawie wszyscy zauważyli oznaki napięcia u Cavendishów, spowodowane trudnościami ostatnich miesięcy życia w Aldminsterze. Żona antykwariusza, wyjątkowo bystra i o wiele bardziej zainteresowana ludźmi niż łososiami, powiedziała mężowi, że jej zdaniem w małżeństwie Cavendishów coś się popsło i, co dziwniejsze, Hugh zdobył przewagę. Antykwariusz, który od pięciu lat wyjeżdżał na ryby z dziekanem i jego żoną i który, tak jak wszyscy inni, patrzył na supremację Bridget w małżeństwie jak na rodzaj żartu, w którym na szczęście sam nie uczestniczył, odparł, że to nonsens, bo niemożliwe jest, by Bridget się poddała. Charlotte Knight zabrała ją na zakupy do Ballateru i w samochodzie otwarcie spytała, czy wszystko jest w porządku.

Bridget odparła, że po prostu trudno sobie wyobrazić napięcie ostatnich miesięcy, gdy Huffo spotykał się z takim niezrozumieniem dla wszystkich swoich przedsięwzięć w katedrze i nieustannie musiał cierpieć wyzwania ze strony swojego własnego organisty i, co gorsza, dyrektora King's School, który bez skrupułów wykorzystał publiczną okazję do własnych celów. To wszystko spowodowało, że życie w ostatnim okresie było nie do zniesienia. Przez cały czas, gdy mówiła, poprawiała na głowie jedwabną chustkę dziwnie nerwowymi ruchami. Charlotte Knight sondowała dalej:

- Tak, wiem. Nie jest łatwo, gdy pełni się publiczną funkcję i cały czas rzucają w człowieka kamieniami, ale przynajmniej macie siebie. Chciałam powiedzieć, że można znieść wszystko, jeżeli się ma kogoś, kto dzieli to z nami.

Bridget nic nie odpowiedziała. Charlotte zauważyła, że odwraca głowę. Przez jakiś czas jechały w milczeniu, a potem Charlotte powiedziała:

- I jakie to niezręczne dla was, że Ianthe pomogła uratować chór.

- Cała ta sprawa nieomal złamała jej serce - powiedziała grobowym głosem Bridget.

- Dwudziestoczteroletnie serce łatwo zdrowieje...

- O, tak - odparła Bridget - Przypuszczam, że o wiele łatwiej niż starsze. Chwilowo Charlotte nie chciała nic więcej dodawać.

- No a teraz - powiedziała raźnie - ponieważ jesteś taką dobrą gospodynią, pomyśl o czymś łatwym, ale smacznym, co ta nieszczęsna dziewczyna mogłaby nam przygotować na kolację. Tylko nie łososia...

Na brzegu rzeki Dee, na przydzielonym im najlepszym łowisku, dziekan i doradca królowej zbierali swoje wędkę.

- Gratuluję ci, że zdołałeś ocalić chór - odezwał się John Claremont. - To nadzwyczajne. I ten wspaniały chłopczyk. Słyszałem, że Rochester ma teraz iść pod topór. Co za okropna perspektywa, katedry bez chórów. Często

myślałem o tym, by oddać Marka do chóru szkolnego. Nadzwyczajne klasyczne wykształcenie prawie za darmo, a na dodatek muzyka. Mogę pożyczyć ościę? Wydaje mi się, że tu jest mnóstwo ryb.

Dziekan, który miał nadzieję, chociaż nie bardzo w to wierzył, że w Szkocji rozmowy będą dotyczyły ryb, a nie Aldminsteru, odparł, tak, oczywiście, a nawiązując do słów Claremonta stwierdził, że niestety cała reklama dostała się chórowi, a nie katedralnej budowli. A przecież jeżeli trzeba naprawić dach katedry, pewne poświęcenia są niezbędne.

- Poświęcenia?

- Mój drogi Johnie - powiedział dziekan nawijając żyłkę na bębenek -jeszcze nie dotarło do publicznej wiadomości, że musiałem sprzedać jeden z domów w tumie, by nie dopuścić do tego, żeby deszcz przeciekał do nawy.

- Chyba nie mówisz serio.

- Jednak tak. Na fundusz chóru napływają tysiące funtów, podczas gdy inna cenna część naszego dziedzictwa przechodzi w ręce Rady Miejskiej, której motywy są co najmniej dwuznaczne.

W tym momencie podszedł do nich rybarczyk mówiąc, że pod występem są dwie wielkie sztuki. John Claremont rzucił radośnie:

- Doskonale, Angus! Zaraz podetknę im robaka pod nosy. Angus spojrzał na niego z niesmakiem.

- Cała ta sprawa kosztuje was mnóstwo nerwów. - Claremont wrócił do przerwanej rozmowy. - Nic dziwnego, że biedna Bridget...

- Tak czy owak - przerwał mu szorstko dziekan i ruszył brzegiem za rybarczykiem - gdy ci bardzo na czymś zależy, musisz za to płacić.

Tego wieczoru, podczas kolacji, Bridget nagle się rozpląkała. Rozmowa znów dotyczyła Aldminsteru i dziekan poważnie wyjaśniał, w jaki to czarodziejski sposób dopasował przychody katedry do nieustannych wydatków, a wtedy Bridget zaczęła płakać.

- Och, chciałabym nigdy nie usłyszeć nawet o tym przeklętym chórze. To wszystko z jego powodu... - i wybiegła z pokoju. Charlotte Knight poszła za nią do sypialni i usiadła obok na łóżku, Poklepywała Bridget po ramieniu i wygłaszała uspokajające głupstewka o uzdrawiającym wpływie mijającego czasu.

- Byliśmy takim cudownym małżeństwem - mówiła łkając Bridget. -Żadnego gniewnego słowa. Wiedziała, jaką jestem dla niego pomocą. Oczywiście dzieci są raczej nieposłuszne i być może zbyt często brałam ich stronę, ale przecież matce można to wybaczyć! - Nagle spojrzała z przerażeniem na Charlotte. - Myślisz, że chciałby mnie opuścić?

- Na pewno tego nie zrobi.

- Ale chciałby?

Charlotte, kobieta o niezbyt miękkim sercu, popatrzyła z prawdziwą litością na Bridget, na jej twarz z rozmazanym przez łyżę brzoskwinowym pudrem.

- Chyba jest w tak samo złym stanie jak ty. Teraz po prostu nie wie, czego chce.

Bridget usiadła i wyciągnęła różowe chusteczki z pudełka stojącego obok łóżka.

- Chyba do tej pory nigdy niczego się nie bałam. - Wytarła głośno nos i wyćwiczonym ruchem poprawiła włosy. - Chciałam tylko być dobrą żoną.

- Nie wydaje mi się, by Hugh był w tej chwili specjalnie dobrym mężem...

- A jeżeli wszystko się stało z mojej winy?

- Sprawa chóru nie jest twoją winą. Oczywiście zawsze rządziłaś Hughiem, wszyscy sobie trochę z tego powodu żartowaliśmy, ale czy pozwalałby ci na to, gdyby mu się to nie podobało?

Bridget opuściła nogi na podłogę. Niespodziewanie przyznała:

- Może protestował, a ja nie słuchałam?

- No tak, zawsze ty musiałaś mieć rację.

Bridget podeszła do komody, nad którą wisiało lustro, i przyjrzała się swojemu odbiciu. Jej droga sukienka z dżerseju podwinęła się z tyłu i wyglądała dziwnie niewłaściwie i niestosownie przy bosych nogach. Po chwili poprosiła Charlotte już normalniejszym głosem:

- Czy mogłabyś powiedzieć, że nagle bardzo rozboleła mnie głowa? I że byłabym bardzo wdzięczna za filiżankę herbaty.

- Chciałabyś, żebym porozmawiała z Hughiem? Bridget gwałtownie się odwróciła.

- Och, nie. Dziękuję, ale nie chcę. Jesteśmy teraz bardzo uprzejmi dla siebie i tak zostanie, póki nie zdecyduje porozmawiać ze mną... w większej bliskości.

- A jeżeli tego nie zrobi?

- Nie będę teraz o tym myślała - odparła Bridget. Charlotte wstała i poszła do drzwi.

- Przyniosę ci herbaty.

Felicity stwierdziła, że jeżeli ma już mieszkać w domu zastępcy dyrektora szkoły, byłoby wielką przesadą, gdyby do tego jeszcze kazano jej zachować tapety wyglądające, jakby zostały wybrane przez administratora dbającego tylko o oszczędność. Stanley Vigors, człowiek łagodny, a teraz szczęśliwy z racji przeprowadzki do głównego budynku szkolnego, zdziwił się, że w ogóle jej na tym zależy, bo on ich nawet nie zauważał.

- Jak mógł pan ich nie zauważać? - spytała Felicity, gestykulując zamasyżycie w bawialni. - Obrzydliwy winyl w paski pod styl

Regencji! Każę odmalować cały dom, każdy zakątek, wyrzucę wszystkie te plastikowe kłamki i szkło w łazienkach.

- No tak, to dla was obniżenie poziomu.

- Wcale nie - odparła Felicity. - To tylko wyzwanie.

- Przypuszczam - powiedział Stanley czując, że podobną uwagą sprawiłby większą przyjemność swojej matce niż Felicity - że mniejszy dom łatwiej utrzymać w porządku.

Felicity roześmiała się i cmoknęła Stanleya w policzek, a on się gwałtownie zaczerwienił. Chyba nigdy jeszcze nie widział jej w tak dobrym nastroju, czy tak ufnej, więc gdy biegła teraz, biorąc miary i zastanawiając się, co zmienić, pomyślał nagle z dziwnym lękiem, że urządził swój dom wyjątkowo nieciekawie. Czerwony szal Felicity, rzucony w bawialni między szare i oliwkowe meble, nadawał pokojowi zdumiewająco inny charakter. Felicity nigdy nie odpowiadała wyobrażeniom Stanleya o tym, jaka powinna być żona dyrektora szkoły, ale gdy teraz ją obserwował, pomyślał, że bardzo odpowiada jego wyobrażeniu o... Nakazał sobie natychmiast przestać tak myśleć, zaczerwienił się jeszcze bardziej i spytał, czy napiłaby się kawy.

- Nie, dziękuję. Piłam w dziekance. W filiżance z pięknej, delikatnej porcelany, a do tego były maślane bułeczki upieczone w domu.

- W dziekance!

- Gałązka oliwna - rzuciła beztrąsco Felicity. - Nie jestem pewna, czy ze strony Alexandra i mojej nie jest raczej irytujące, że nie cenimy tego tak, jak powinniśmy. Oczywiście, to prawdziwe zaskoczenie, a my czujemy się najbardziej zaskoczeni. Ale, widzi pan, chwilowo chór jest bezpieczny, Daniel chce przyjechać do domu na Boże Narodzenie, a ja podporządkuję ten paskudny domek mojej woli, nawet gdyby to mnie miało zabić.

Stanley dotknął pocieszająco ściany pokrytej taną tapetą.

- Wcale nie paskudny - zaprzeczył na wypadek, gdyby dom mógł go słyszeć.

- Wyjątkowo paskudny.

To samo powiedziała Bridget Cavendish, która sporo straciła na wadze i bez wątpienia była o wiele mniej władcza. Gdy wszedł Hugh, okazała zdenerwowanie. Felicity zwróciła się do niego:

- Mam nadzieję, że ci przykro z powodu tego nowego mieszkania, na które nas skazujesz.

Dziekan przez chwilę wydawał się obrażony, ale szybko się opanował i ku zdziwieniu Felicity odparł:

- Tak, przykro mi.

Bridget zrobiła taki ruch, jakby chciała powiedzieć coś w jego obronie, ale powstrzymała się i tylko wytarła nos. Felicity nie zamierzała litować się nad żadnym z nich, stwierdziła jednak, że żal jej obojga. Gdy wychodziła, Bridget niespodziewanie ją pocałowała i powiedziała, że zna znakomitą specjalistkę od zasłon, biorącą rozsądne wynagrodzenie i bardzo szybko w robocie.

- Zawsze sama je szyłam...

- Może tym razem - powiedziała Bridget - zasługujesz na to, byś nie musiała szyć sama.

Felicity szła przez tum rozmyślając o tym wszystkim. Czy Bridget chciała powiedzieć, że rozumie uczucia Felicity i podziwia jej odwagę, a może nawet posunęła się aż do poczynienia aluzji, że Hugh źle zrobił sprzedając dom? Cokolwiek to było, poczuła się lepiej usposobiona wobec Cavendishów niż kiedykolwiek od chwili swojego powrotu i jeszcze bar-

dziej zdecydowana, by uczynić z nowego domu symbol nowego początku. Gdy skończyła oszołamiać Stanleya Vigorsa, poszła lekkim krokiem do domu i zastała tam Sandrę Miles, płaczącą w bawialni, i Alexandra, z butelką sherry w jednej ręce i pogniecioną chusteczką w drugiej. Wyraźnie odczuł ulgę, gdy Felicity weszła do pokoju.

- Moja droga...

Sandra próbowała wydostać się z fotela.

- Och, pani Troy, przepraszam za moje zachowanie, ale chciałam to państwu powiedzieć osobiście i po prostu nie mogłam...

- Nie mogłaś?

- Opanować się - powiedziała z trudem Sandra. Alexander odłożył chusteczkę i nalał do szklanki sherry.

- Och, proszę pana, nie mogę tyle pić...

- Spróbuj. Wypij choć trochę. Sandra przyniosła nam bardzo dobrą wiadomość, chociaż dla nas jest smutna. Jej narzeczony dostał awans i będzie pracował w głównej siedzibie swojej firmy w Reading, więc oczywiście po ślubie, w grudniu, Sandra wyjedzie do niego.

- Byłam tu bardzo szczęśliwa - powiedziała Sandra. - Nigdy już nie będę miała tak przyjemnej pracy. Oczywiście jestem dumna z Colina, ale to takie okropne, że muszę wyjechać. Zastanawiam się, czy nie odłożyć ślubu...

- Och, nie - powiedział szybko Alexander. - Nie możesz tego zrobić. Felicity usiadła obok Sandry.

- Zawsze możesz przyjechać do nas z wizytą. Przecież twoja matka tu zostaje.

Sandra popatrzyła na nią i wyszeptała:

- Wiem, że tak będzie najlepiej. Naprawdę...

- Tak - upewniła ją miło Felicity.

- Słuchajcie, nie mogę sama pić. Czuję się głupio.

- Wypijemy za przyszłość Sandry - zaproponowała Felicity.

- Oczywiście - zgodził się Alexander. - Pójdę po szklanki. - Pomyślał chwilę i dodał: - Mamy wiele powodów do wznoszenia toastu.

Gdy wyszedł z pokoju, Sandra powiedziała:

- Pani Troy, czuję się tak, jakby wszystko się załamywało i nic nie mogę na to poradzić. Myślę o wyjeździe Leona, i o tym domu, a teraz jeszcze ja odchodzę. Trochę się boję. Wczoraj wieczorem mówiłam Colinowi, że od chwili, gdy zaczęła się sprawa z chórem, wszystko idzie źle.

- Przecież ocaliliśmy chór.

- Tak - odparła Sandra, ale wyraźnie myślała o czymś innym. - Wiem. Po prostu nie wydaje mi się, by jeszcze kiedyś mogło być tak cudownie jak przedtem.

Alexander wrócił z dwiema szklankami, napełnił je i podał jedną Felicity.

- Wypijmy za przyszłość.

Sandra uśmiechnęła się do nich przez łyż.

- Za przyszłość - powiedziała, ale jej głos wcale nie brzmiał pewnie.

16

W pierwszym tygodniu września Leo wyjechał do Sussex. W ostatniej chwili poczuł się nagle bardzo nieszczęśliwy, że musi jechać. Jego nastrój pogorszyła jeszcze Cherry Chancellor, która aż paliła się do przeprowadzki do jego domu. Wprawdzie domy na dziedzińcu Kapituły były identyczne, jednak ten stojący po lewej stronie tradycyjnie zajmował organista. Nowy asystent organisty, świeżo po studiach w Cambridge i umierający z ochoty rozpoczęcia pracy w Aldminsterze, przyszedł, gdy Leo pakował nuty, i pełen entuzjazmu powiedział, że trudno mu pojąć, jak Leo może znieść rozstanie z organami.

- W tej chwili - odparł Leo - jest to bardzo trudne.

- A co mają tam, gdzie pan się wybiera?

- Organy Walkera, z 1885 roku. Są oczywiście bardzo dobre jak na swój rodzaj, ale mniejsze, z czterdziestoma ośmioma rejestrami. Mają jednak przyjemne głosy...

Poszedł do katedry, by pożegnać się z organami. Usiadł przy konsoli, delikatnie dotykał klawiszy z kości słoniowej, manualów i rejestrów. Zdjął buty, by lepiej czuć pedały. Ileż to godzin spędził przy tych organach i chyba były to najlepsze i najszcześniejsze godziny jego życia, chwile, w których dzięki muzyce, którą grał, czuł się częścią wielkiej żywotnej siły ludzkości, co często wzruszało go aż do łez. Odejście od nich napawało go rozpaczą. Nie chciał nikomu odstępować tego wspaniałego instrumentu, zarazem namiętnie ludzkiego w swoich możliwościach i wyniośle obojętnego w swym historycznym trwaniu. Wydawało mu się, że niezmiernie, odwieczna osobowość organów pochłania go i umniejsza, a jednocześnie oddala się od niego cal po calu, już trzyma się z dala, gotowa na przyjęcie nowego wirtuoza. Opuścił bukową pokrywę na klawiaturę, przytulił do niej policzek i słuchał potężnego oddechu katedry. Musi iść. Jeżeli zostanie jeszcze chwilę, nie będzie już do tego zdolny.

Sally pomogła mu zapakować samochód, który sobie kupił. Sama,

dopóki dom na Blakeney Street nie zostanie sprzedany, zamierzała dzielić czas między Sussex i Aldminster, Leona i Henry'ego, aż wreszcie, jak chciała wierzyć, obie miejscowości i obaj mężczyźni jej życia w jakiś sposób stopią się w jedną całość. Rozmawiała z Leonem tylko o zwyczajnych sprawach dnia codziennego, jak na przykład: „Uważaj, gdy będziesz rozpakowywał kołdrę, bo włożyłam do niej płyty”, albo: „Pod deską rozdzielczą jest butelka whisky”, ale wiedział, że Sally rozumie, w jakim stanie ducha odjeżdża. Ciężarówka z firmy przewozowej wydawała się ogromna w stosunku do dziecina Kapituly, ale i tak pianino trzeba było spakować do specjalnej skrzyni wyłożonej materacami i Leo odnosił wrażenie, że pianino jęczy, gdy je wciągają po rampie. Pożegnania też były trudne, i mimo obecności Sally, Leo odczuwał gorzką samotność. Jak tylu innych przed nim, stał na kamiennych schodach prowadzących do sali prób i słyszał chorał Bacha i głos Martina Chancellora, który przerywa śpiew i mówi: „Wcale nie myśleliście o akcentach, prawda?” Przez długą chwilę nie mógł się zdecydować, by otworzyć drzwi i wejść. Gdy już wreszcie wszedł, wszyscy zamilkli i zwrócili ku niemu poważne twarze, na których jeszcze malowało się artystyczne uniesienie. Wiedział, że większość z nich żałuje jego odejścia, ale wiedział także, że ich życie będzie trwało i bez niego, a pieśń zawsze przeżyje śpiewaka. Spojrzał na Henry'ego, a Henry, którego próby dojścia do ładu z nowym porządkiem życia były bardzo utrudnione przez to, że naprawdę lubił Leona, opuścił wzrok i wpatrzył się w podłogę. Leo podszedł do pianina, powiedział Martinowi „Pozwoli pan?” i zwrócił się do chórzystów, chłopców i mężczyzn, by się z nimi pożegnać. Wielu życzyło mu powodzenia, a Hooper wyskoczył ze stwierdzeniem, że jego ciotka mieszka w Sussex, i wszyscy zaczęli go uciszać.

- Chciałbym, żebyście zostali zaproszeni na festiwal w Brighton - powiedział Leo. - Wtedy moglibyśmy, z moim nowym chórem, zmierzyć się z wami i zwyciężyć.

Rozległy się niepewne śmiechki.

- Śpiewajcie dalej - powiedział, ruszając do drzwi - i pamiętajcie, że pieśni podczas nieспорów mają być wykonane lepiej niż kiedykolwiek, bo inaczej pan Chancellor przypisze mi winę.

Wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

- Cisza! - zawołał Martin. - Teraz chciałbym, żeby każdy z was zaakcentował nutę. Raz, dwa...

Leo zszedł po schodach. Sally czekała na niego i razem poszli do pałacu. Janet Young powiedziała, że nigdy nie mówi nikomu do widzenia, jeżeli nie jest pewna, że zobaczy go jeszcze tego samego dnia, więc teraz też nie powie.

- Jestem zdumiony, że tak bardzo mi smutno - rzekł Leo.

- Wszystkim nam jest smutno - odparł biskup - ale oczywiście będziesz tu przyjeżdżał.

- Nie sądzę.

Janet wzięła Sally za rękę.

- Zostawia pan nam zakładniczkę.
- Tylko na razie. Potrzebuję jej.
- Mam nadzieję znaleźć tam jakąś pracę - powiedziała Sally. - I Henry będzie przyjeżdżał na wakacje. Jakoś się ułoży.
- A teraz - odezwał się biskup z odrobiną stanowczości w głosie - pójdziecie do dziekanki.
Wszyscy uścisnęli sobie ręce, a Janet i Sally pocałowały się.
- Niech wam Bóg błogosławi - rzekł biskup i pomachał na pożegnanie okularami;
Sally i Leo wyszli przez bramę pałacu.
- To okropne - powiedziała Sally. - Dlaczego wyglądał tak, jakbyśmy mu sprawili ból?
- Dlatego, że nie rozumiemy zazwyczaj, jak ważne jest środowisko ludzi, wśród których żyjemy, dopóki nie przyjdzie czas pożegnania.
- Chwylił ją za rękę. - A z wiekiem staje się to jeszcze gorsze. Gdy miałaś dwadzieścia lat, nigdy nie pomyślałabyś...
- Jeżeli już mówimy o dwudziestolatkach - przerwała Sally - dostałam list od Ianthe.
- O Boże!
- Miałam ci o tym nie mówić, ale jednak powiem. Nie chcę, żeby między nami były jakieś niedomówienia. Napisała, że zapewniałaś ją o swojej miłości.
Leo zatrzymał się.
- A co ty o tym myślisz?
- Spójrz na mnie - odparła Sally. Uśmiechała się. - Przecież to ja powiedziałam, że ona podnieca się myślą o tym, że jest zakochana. Pamiętasz?
- Sal...
- Odpisałam jej. Napisałam, że najlepszym sposobem na złamane serce jest oddanie go komuś innemu, kto może je wyleczyć. To zdanie znalazłam w kąciку porad sercowych w jakiejś gazecie. Chciałbyś to jakoś skomentować?
Leo pocałował dłoń Sally.
- Wiesz, co chciałbym powiedzieć.
- Tylko już nikogo nie całuj. W tych sprawach jestem troszkę drażliwa.
- Oszalałbym, gdybyś kogoś pocałowała, więc rozumiem, o czym mówisz. Gdy doszli do dziekanki, Bridget otworzyła im drzwi.
Zauważyli, że jest o wiele mniej pewna siebie niż zwykle. Zaprosiła ich do bawialni. Dziekana nie było w domu. W palenisku kominka leżało mnóstwo późnych stokrotek, a na stoliku przy sofie stał wazon z ogromnymi chryzantemami.
- Hugh uwielbia kwiaty - powiedziała Bridget - więc ustawiam je, gdzie tylko mogę. Obawiam się, że chryzantemy nie są jego ulubionymi kwiatami, wolałby mieczyki, ale pan Cheeseman miał takie brzydkie łososiowe, tak że...
- Przyszedłem się pożegnać - przerwał jej Leo, zastanawiając się, co ma znaczyć ta opowieść o kwiatkach. - Jutro rano wyjeżdżam do Sussex. Miałem nadzieję zastać dziekana.

Bridget rozłożyła ręce i pokiwała głową. Sally wydało się to dziwnie proszącym gestem, niewłaściwym dla tej dobrze ubranej kobiety stojącej na tle srebrnych ramek z fotografiami jej nieznośnych, niesamowitych i zbuntowanych dzieci. Wyciągnęła dłoń ku Bridget.

- Czy zechce pani powiedzieć dziekanowi, że tu byliśmy?

- Oczywiście - zapewniła Bridget. Chyba trochę się opanowała. - Mam nadzieję, że będziecie bardzo szczęśliwi w...

- Sussex.

- W Sussex. To takie piękne hrabstwo. I tak blisko morza.

- A ja mam nadzieję - powiedział Leo troszkę szorstko - że nowy organista będzie się wam podobał.

Na chwilę doszła do głosu dawna osobowość Bridget.

- Jest nadzwyczajny. To wnuk bardzo bliskiego przyjaciela mojego ojca. Znakomita rodzina, wszyscy wyjątkowo mili i muzykalni. -

Gdy dziekan pozwolił już Ianthe przyjeżdżać do Aldminsteru, Bridget miała wielkie nadzieje związane z Simonem Prescottem, gdyż odznaczał się idealną ogładą i pochodził z właściwej rodziny. Jednak te nadzieje, tak jak wszystko w tych dniach, musiały pozostać jej osobistą tajemnicą. Uśmiechnęła się uprzejmie do Leona. - Oczywiście biedny Simon powinien jeszcze wiele się nauczyć, zanim będzie takim wirtuozem jak pan.

Leo nie oddał jej uśmiechu. Lekko się skłonił i wziął Sally pod rękę. Bridget odprowadziła ich do drzwi. Gdy je otworzyła, ukazał im się cudowny krajobraz zapowiadający jesień, nowy semestr szkolny i nowy początek wielu spraw. Bridget ostrzegła, że na drugim schodku leży młotek pozostawiony przez Cosma, „który użył go do naprawę tajemniczej sprawy, i nie dość tego, stopień był jeszcze uszkodzony i biedny archidiakon dopiero tego ranka...”. W połowie zdania przerwała i zamknęła drzwi.

- Obrzydliwy babsztyl - powiedział Leo.

- Nie - zaprzeczyła Sally. Patrzyła na drzwi dziekanki, lśniące bielą i na wypolerowaną kołatkę. - Była taka, ale zmieniła się. Przeżyła, albo dopiero przeżyje załamanie nerwowe.

- Daj spokój...

- To prawda. Może dziekan zachowuje się wobec niej okropnie.

- Nie ośmieliłby się.

- Czasami następują zmiany, prawda?

W milczeniu doszli na dziedziniec Kapituły. Ciężarówka z firmy prze-prowadzkowej już odjechała i pozostał tylko samochód Leona, materac i śpiwór, który Cherry Chancellor pożyczyła mu na ostatnią noc. Cherry była w domu Leona. W plastikowym fartuchu i ochronnych rękawicach, mając przy sobie radośnie gaworzące dziecko usadowione w foteliku, wskrobywała brud w kuchni.

- Mogłabyś poczekać do mojego wyjazdu - upomniał ją łagodnie.

- Musimy tu zamieszkać w poniedziałek - odparła Cherry, nie przestając skrobać - a przecież nie mogę trzymać dziecka w takim brudzie.

- Dziękuję - rzekł Leo, ale był zbyt zmęczony, by się przejąć. Poszedł do opustoszałej, brzęczącej echem bawialni, i zastał tam Sally. Siedziała na podłodze gwarząc z niemowlęciem Chancellorów.

- Uśmiecha się. - Sally ściszyła głos. - Uśmiecha się z takim poczuciem szczęścia, jak jego ojciec. Przyjdź do nas. Prześpij u nas tę jedną noc, bo inaczej zdezynfekują cię.

Henry już był w domu. On i Mozart siedzieli jak zwykle na podłodze i oglądali telewizję. Na stole panował normalny bałagan, jaki Henry zawsze zostawiał, gdy wziął sobie coś do jedzenia. Willa na Blakeney Street nadal promieniowała prawdziwym domowym nastrojem, chociaż świadomość tego, że zostanie sprzedana, czyniła ją - podobnie jak organy - dziwnie nierzeczywistą. Henry zachował się cudownie przyjacielsko. Wstał, pocałował matkę, powiedział „cześć” Leonowi, przeprosił za bałagan na stole, bo nie potrafił porządnie ukroić świeżego chleba i pozostawił okruchy.

- Mamy nowego kandydata - dodał. - Nazywa się Froggett, czy coś takiego.

- Dobry? - spytał Leo.

- Och - odparł Henry, wkładając ręce do kieszeni - przecież nie zaprosilibyśmy go do chóru, gdyby nie potrafił śpiewać.

Na ścianie domu dyrektora szkoły przytwierdzono nowiutką tablicę. Oznajmiała, że w najbliższej przyszłości Rada Miejska Aldminsteru otworzy tu ośrodek pomocy społecznej. W pustym domu panowała absolutna cisza. Obiekt figurował na liście zabytków pierwszej klasy i nie nadawał się do przekształcenia go w biura, gdyż nie wolno było w nim nic zmienić. Straż pożarna stwierdziła, że ochrona przeciwpożarowa jest niezadowalająca, bo przejścia są zbyt ciasne, a konserwator oznajmił, że tej klasy historyczny zabytek, z cudowną sztukaterią nie nadaje się do użytku publicznego. W ratuszu sprawa stała się przedmiotem gorzkich rozważań, a Denis Thornton, zaledwie kilka tygodni temu obwołany publicznym dobroczyńcą, teraz był oskarżany o wyrzucenie trzystu tysięcy funtów na osobistą zemstę na Franku Ashworce.

Frank przyjmował to wszystko z obojętnością, która parę tygodni temu jego samego by zdziwiła. Przestał marzyć, że niebawem pojedzie do ratusza swoim roverem, odda go Ronowi do woskowania, a potem powoli wejdzie po tych zadziwiających schodach, minie sekretarkę wiedząc, że na niego nawet nie spojrzy, ale powie coś w rodzaju: „Więc jednak pan wrócił?” - profesjonalnym tonem, który czasami przywodził go do rozpacz. Ale przez cały ten czas, kiedy rozpamiętywał ostatnie wydarzenia, miał Henry'ego. Nawet, na prośbę wnuka, odmalował gościnną sypialnię na czekoladowo. Jemu samemu wydawało się, że to najbardziej przygnębiający kolor, jaki kiedykolwiek widział, ale Henry był szczęśliwy. Razem poszli kupić zasłony, postery i lampę w podrabianym stylu Art Nouveau, z różowym abażurem, który bardzo spodobał się chłopcu. Gdy dwa tygodnie przed rozpoczę-

ciem nowego roku szkolnego Henry zaczął znów uczęszczać na próby chóru, Frank nalegał, że będzie go zabierał z Blakeney Street i woził do katedry. Sally natychmiast się zdenerwowała, ale Henry był zachwycony, bo jazda samochodem oszczędzała mu chodzenia. Gdy Henry był na próbach i śpiewał, Frank spacerował po tumie. Często chodził pod dom dyrektora szkoły i patrzył, z pewną dozą satysfakcji, na starą, niewzruszoną fasadę z czerwonych cegieł i na obraźliwą nową tabliczkę. Kiedyś zdarzyło się, że przypadkowo spotkał Alexandra Troya. Frank stał wtedy z założonymi rękami, z głową lekko pochyloną na ramię, tak jakby zgadzał się z Alexandrem w lekko kpiącym, a zarazem niechętnym podziwie. I spytał:

- Myśli pan, że ten stary drań pobił nas wszystkich?

- Sprawiedliwość nie istnieje - odpowiedział Alexander, bo pytanie zaskoczyło go.

Frank bacznie mu się przyglądał, a Alexander rozmyślał, jak bardzo zmieniła się twarz Franka od ostatniego spotkania. Była teraz zniszczona i smutna.

- Mówiąc między nami - pytał Frank, myśląc z przewrotną radością, że Alexander jest dyrektorem szkoły, do której uczęszcza jego wnuk - czy sądzi pan, że dziekan i Kapituła Odkupią ten dom z powrotem?

Alexander długo się zastanawiał, a potem odpowiedział, że chyba nie.

- Pieniądze?

- Tak - potwierdził szybko Alexander, a potem dodał: - Nie, chyba nie tylko. Po prostu już jest za późno. A poza tym to zbyt skomplikowane.

- Może Rada mogłaby przyznać dziekanowi hipotekę...

- Panie Ash worth, proszę mi wybaczyć, ale jest pan starym intrygantem. Frank rozpromienił się.

- Siła przyzwyczajenia. Uczymy się przez całe życie. Nie wstydzę się przyznać do błędu, gdy zdarza mi się go popełnić. Czy dziekan tego nie potrafi?

- Nie - odparł Alexander. - Nie sądzę, by w tej sprawie mógł to zrobić, i chyba nikt tego od niego nie zażąda.

- Dziwna sytuacja...

- Raczej normalna.

- Nie - sprzeciwił się Frank. - Dziwna. Niech pan pomyśli. Od miesięcy kłócicie się o chór, robicie plany, staracie się nawzajem oszukać, żaden z was nie powie drugiemu dobrego słowa, a teraz, gdy pan stracił dom, a dziekan przegrał w sprawie chóru, wszyscy zbieracie się wokół niego i mówicie, że nie wolno mu utrudniać życia.

Alexander patrzył gdzieś w przestrzeń, może nawet w kierunku swojego byłego domu, ale uśmiechał się.

- Moja żona ma taki obraz tego, co się stało: mówi, że czasami sady się żołądziej w dobrej wierze, a potem, zamiast pięknego, silnego dębu, uzyskuje się okropny, splątany zagajnik, rozrastający się na wszystkie strony. Dziekan popełnił błąd, dbając wyłącznie o budynek katedry. I na tym polega cała sprawa.

Frank odchrząknął i popatrzył na Alexandra.

- A co z panem? Nie jest pan rozgoryczony?

- - Wprost przeciwnie. Zdobyłem to, o co walczyłem.

- Teraz - powiedział Frank, wbrew sobie okazując odrobinę dumy - ja będę się zajmował Henrym.

- Byłem tego pewny - oświadczył Alexander. - Znakomite rozwiązanie. A chór, chociaż może to zabrzmieć dziwnie w tej sytuacji, jest czymś w rodzaju zastępczej rodziny. Tylko nie zmuszajmy Henry'ego do następnych pokazów. Zadbajmy, by rozwiązywać jedną sprawę w jednym czasie.

- Jeżeli będzie pan uważał, że Henry czegoś potrzebuje, proszę mi zaraz o tym powiedzieć - poprosił Frank.

- Dziękuję panu.

- Muszę już po niego iść...

- Niech pan sprawi wnukowi kotka - powiedział niespodziewanie Alexander - bo jego kot wyjedzie do Sussex. Niech pan mu sprawi kotka.

Frank, idąc powoli w kierunku katedry, zastanawiał się nad tym wszystkim. Nie lubił kotów, ale przemyślawszy starannie wszelkie sprawy dochodził do wniosku, że dzieci też specjalnie nie lubi. Czy można trzymać kota na ulicy Tylnej? Czy kot nauczy się wychodzić przez klapkę? Szedł wolno tumem, patrząc, jak zmierzch maluje kolorami ceglane fasady. W krużganku minął granitowy grób pierwszego biskupa i marmurowe kartusze ze zwierzyńcem biskupa Fieldinga, a potem popiersie z brązu jednego z wiktoriańskich biskupów, założyciela wciąż istniejącego sierocińca. Kaplice nagrobne stały puste, jedynie tu i tam widział bukiety kwiatów, chociaż przy jednej z nich, poświęconej patronowi drobnej szlachty hrabstwa, klęczał siwy mężczyzna. Frank zatrzymał się, by mu się przyjrzeć, i zastanawiał się, dlaczego klęczy tu sam, o dziewiątej rano w zwykły dzień. A potem mężczyzna wstał, lekko odwrócił głowę ku wschodniemu oknu, jakby oczekiwał, że rodzące się słońce oświetli jego twarz, i wtedy Frank rozpoznał dziekana.

Henry wiedział, że raczej nie uzyska pozwolenia na nagranie następnej płyty. W ostatnich czasach dorosli ustępowali mu w wielu sprawach, ale nie w tej. Nawet ojciec, który na szczęście wrócił na Bliski Wschód, oszczędzając tym Henry'emu nieprzyjemnych uczuciowych demonstracji, napisał, że nie zgadza się na nagranie. Leo powiedział, że Henry nie tylko musi się jeszcze wiele nauczyć, ale również, że nagranie wykonane w niewielkiej rockowej firmie było wyjątkowym fuksem. To było szczęście, jakie nie zdarza się nawet raz na milion, ale dwa razy się nie powtórzy. Henry zirytował się.

- Przecież jestem zbyt dobry, by traktowano mnie jak fuksa...

- Wyjątkowa kombinacja twojego głosu i firmy Ikon była fuksem. I dopiero, gdy pan Chancellor powie, że jesteś wystarczająco dobry, będziesz mógł dokonywać nagrań w zawodowych firmach zajmujących się muzyką chóralną...

- Ale to już nie będzie przebój...

- Twoje słowa - zarzucił mu Leo - świadczą o tym, że jeszcze nie możesz nagrać następnej płyty. Świat rocka jest straszliwy.
- Dlaczego? - chciał dowiedzieć się Henry.
- Rozgorączkowanie, histeria i fałsz - odparł Leo.
- Co to znaczy?
- Henry, odpowiedź brzmi: nie.

Henry zauważył, że koledzy z chóru raczej są mu niechętni, zamiast okazywać uwielbienie. Niechęć ta osiągnęła takie rozmiary, że w końcu pan Martin Chancellor któregoś rana odesłał go z próby, by przypomnieć reszcie chłopców o roli Henry'ego w uratowaniu chóru. Gdy chłopiec wrócił do sali, miał zaczerwienione oczy, ale głowę trzymał wysoko. Ćwiczyli „Mag-nificat”. Wooldridge, który stał obok Henry'ego, podał mu cichaczem gumę do żucia. Wdzięczny Henry ukrył ją pod psalterzem. Śpiewał, jak gdyby nigdy nic, aż wreszcie udało mu się schować ją do kieszeni. Harrison, którego wyznaczono na asystenta chórmistrza, zachowywał się bardzo oficjalnie i nawet rzucał oskarżające spojrzenia po sali, ale nie dał do zrozumienia, że zauważył występki Wooldridge'a. Nowy kandydat był tak niski, że z trudem mógł odczytywać nuty ze stojaka, więc Harrison, z wyżyn swoich trzynastu lat, usiłował mu patronować, i zajmował się tylko tym. Henry z ulgą zamknął w kieszeni dłoń na gumie i nieznacznie pochylał się w kierunku Wooldridge'a, aż wreszcie zetknęli się ramionami.

- Henry - odezwał się Martin Chancellor. Wolał mówić do chłopców po imieniu. - Czy jesteś zbyt zmęczony, by stać o własnych siłach?
- Nie, proszę pana.
- A czy Charles jest tak słaby, że musi się o ciebie opierać?
- Nie, proszę pana
- Więc zachowujcie się przyzwoicie.

Henry z ulgą poczuł, że upomnienie przywróciło dawny stan rzeczy. Chór, rutyna, dyscyplina, wszystko w błogosławiony sposób wracało do normy. Tylko dom nie był normalny. Mozart wyjechał - przez jakiś czas Henry czuł się z tego powodu prawdziwie nieszczęśliwy - we wszystkich pokojach stały skrzynie, wyżebrane w hurtowni win pana Quentina Smalla, i Sally stopniowo wypełniała je rzeczami, osobno własnymi, osobno Alana, z idiotyczną, skrupulatną uczciwością. Ludzie przychodzili obejrzeć dom i Henry przypatrywał im się z nienawiścią; wszystkim podobał się duży pokój na parterze, ale gdy wchodzili na górę, mówili: „Chyba wyburzyłbym tę ścianę, żeby mieć sypialnię o przyzwoitych rozmiarach” i „Oczywiście pokój chłopca idealnie nada się na drugą łazienkę”. Arogancja tych słów powodowała, że do oczu napływały mu łzy bezradnej furii. Spróbował ukarać Sally zabierając wszystkie swoje zdjęcia i afisze do dziadka, ale po trzech dniach przyniósł je z powrotem. Frank powiedział Sally, że powinna już wyjechać i pozwolić Henry'emu na rozpoczęcie nowego etapu życia, ale ona z uporem sprzątała, pakowała, sortowała, sporządzała listy spraw do załatwienia i konferowała przez telefon. Miała ochotę przytulać Henry'ego,

który do tej pory bardzo to lubił, ale teraz czuł się niezręcznie, bo obejmowanie ludzi jakoś stało się nagle bardzo skomplikowane. Gdy Frank powiedział szorstko, że może lepiej nie będą się obejmowali w miejscach publicznych, Henry był mu prawdziwie wdzięczny. Dla wypróbowania, jak to będzie, spędził kilka nocy na ulicy Tylnej. Ponieważ było to mieszkanie, a nie willa, przez uchylone drzwi widział, jak dziadek czyta w bawialni, i gdy nachodziły go myśli o Mozarcie albo o Sally, a zdarzało się to często, mógł iść i nonszalancko prosić o coś do picia. Któregoś wieczoru Frank powiedział:

- Powinieneś się nauczyć, że w życiu każdy sam musi zadbać o swoje szczęście.

To zdumiało Henry'ego, bo do tej pory sądził, że nie ma na nic wpływu, że inni arbitralnie decydują o nim niezależnie od tego, czy daje mu to szczęście, czy nie. Świadomość, że może mieć władzę nad swoim życiem, sprawiła mu ogromną radość. Leżąc w łóżku zapalił latarkę, omiatał światłem ciemny pokój i przez chwilę czuł się wszechmocny. Jednak ta moc nie przetrwała pierwszego wyjazdu Sally do Sussex, dwa tygodnie po rozpoczęciu roku szkolnego. Podczas próby chóru, ku swemu ogromnemu upokorzeniu, Henry się załamał i musiał przecierpieć hańbę pocieszenia przez Harri-sona, który uważał to za swój obowiązek.

Podczas przerwy pożyczył dziesięć pensów od Chilwortha i zadzwonił do dziadka.

- Dziś wrócę do domu sam. Po drodze muszę coś załatwić. - Zamilkł, czekając, co dziadek powie.

- Zamierzałem po ciebie przyjść.

- Wolę wracać sam. Wszyscy tak robią. Nic mi się nie stanie.

- Bądź o szóstej.

- Tak.

- Dotrzymaj słowa - powiedział Frank. - Na kolację mamy kielbaski. Po szkole poszedł do pustego domu na Blakeney Street. Było tam dziwnie

cicho. Sally wszystko wyłączyła przed wyjazdem, więc nawet lodówka nie mruzczała i dom nie pachniał tak jak zwykle. Henry wchodził po kolei do każdego pokoju, otwierał wszystkie szafy i szuflady, dokładnie je oglądał, a potem zamykał. Zobaczył dwa ciasteczka czekoladowe i schrupał je, znalazł książeczkę z Asterixem, a także białą koszulkę trykotową Sally. Zabrał ją mając nadzieję, iż matka nie będzie miała nic przeciwko temu. Do dużego pokoju wszedł na ostatku i zagrał na pianinie „Jcotlety”. Potem włożył książkę i koszulkę do torby, i wychodząc uważnie zamknął frontowe drzwi.

Nadchodził już zmierzch, otoczyła go błękitna zamglona poświata, a powietrze było ostre i chłodne. Trzymając mocno swoją torbę, Henry ruszył, ale nie w dół, do przystanku autobusowego, by pojechać na ulicę Tylną, ale w górę, do tumu. Przemierzał małe uliczki, którymi szedł każdego ranka od chwili, gdy zaczaj chodzić do szkoły. Zamykano już sklepy, a bary z posiłkami na wynos i winiarnie właśnie się otwierały, wystawiano na ulicę lampy. Przechodząc przez

Lydney Street Henry zobaczył pierwszego w tym sezonie sprzedawcę gorących kasztanów, stojącego przy swoim piecyku przed pizzerią, do której kiedyś zaprosił Henry'ego Nicholas. Gdy doszedł do tumu, nie było tam prawie nikogo, zaśmiecone trawniki nabierały w zapadającym zmroku niebieskiego odcienia, a katedra, z kilkoma światełkami dobiegającymi z okien prezbiterium, wydawała się wielka jak góra.

Główne wejście na pewno będzie już zamknięte, ale Henry i tak wolał przejść przez średniowieczne drzwi biskupie, których chór zawsze używał idąc od strony krużganku. Wszedł cichutko i przystanął, nasłuchując. Katedra była pusta, słychać było jedynie dźwięk organów. Ktoś grał chorał Bacha. Henry zamknął oczy. To pewnie nowy asystent organisty, bo wszyscy wiedzieli, że pani Chancellor lubi, by mąż o tej porze był w domu i bawił się z dzieckiem, zanim się je położy spać. Preludium dobiegło końca, nastąpiła krótka pauza, a potem zabrzmiało „Agnus Dei”. Henry pokręcił głową. Panu Beckfordowi by się to nie podobało. Zawsze mówił, że szesnasty wiek jest taki wspaniały dzięki chóralnej muzyce kontrapunktowej, wykonywanej bez akompaniamentu.

Henry odsunął się od biskupich drzwi i ruszył ciemną nawą. Na schodach ołtarza zawrócił w lewo, minął stalle chóru i doszedł do schodów prowadzących na galerię organów. Zostawił torbę na dole, pod opieką delikatnego kamiennego anioła, którego twarz i złożone dłonie błyszczały od dotknięć chłopców przechodzących tędy od wieków na próbę chóru, poszedł na górę i zastał przy organach Martina Chancellor.a, niepomnego na swoje dziecko, siedzącego samotnie przy konsoli. Pan Chancellor spojrział w lustro wiszące nad klawiaturą i powiedział bez najmniejszego zdziwienia:

- Witaj.

Henry przeszedł niewielką przestrzeń wykładanej drewnianymi płytkami podłogi i stanął obok organisty.

- Pamiętasz to?

Chłopiec niepewnie zamruczał. Martin spokojnie grał przez chwilę, a potem rzekł:

- Spróbuj.

Henry wyciągnął się, by spojrzeć w nuty nad ramieniem Martina, i wziął głęboki oddech. Z organów popłynęła muzyka, obejmując ich obu swoim czarem.

- Gotów?

Henry skinął głową, otworzył usta i zaczął śpiewać.